Kiedy
byłyśmy
siostrami

Jansen Marie

Kiedy byłyśmy siostrami

Pamięci
W. & F.

Wszystkie postacie i wydarzenia w tej książce są zmyślone. Jakiekolwiek podobieństwo do żyjących lub prawdziwych osób jest czysto przypadkowe.

Prolog

Tréveneuc, luty 2013

Constanze oderwała wzrok od leżącej przed nią na biurku kartki papieru i przyglądała się swoim dłoniom. Jakie pomarszczone, zauważyła ze smutkiem i uniosła głowę. Musiała zmrużyć oczy, aby widzieć wyraźnie. Przez okno ze szprosami wyjrzała na ogród przy swoim małym *château*. Był wczesny ranek. Zimowe słońce na horyzoncie przypominało koło bez konturu, pomiędzy krzakami i zaroślami zwisały pasma gęstej mgły. Tam, gdzie mieszała się z pianą, tworzyła kształt podobny do raf, a w miejscu, gdzie Atlantyk rzucał się na surowe betonowe wybrzeże, przypominała tor przeszkód.

Constanze ostrożnie wyprostowała bolące plecy. Upływ czasu dawał jej się we znaki! Człowiek traktuje upływ czasu jako swego rodzaju usprawiedliwienie, które pozwala mu już tylko siedzieć i obserwować ostatnie chwile swojego życia jak drobne ziarnka piasku przesypujące się w klepsydrze, w oczekiwaniu, że ostatnie wreszcie spadnie, a życie dobiegnie końca. Ale to jeszcze nie był ten moment!

Napięła ramiona i ponownie skoncentrowała się na ołówku, który trzymała w dłoni, i kartce papieru leżącej przed nią na wysłużonym blacie biurka z ciemnego drewna. Constanze postanowiła, że dzisiaj wreszcie załatwi to, co od dawna leżało jej na sercu. Czas naglił, już i tak zbyt długo z tym zwlekała.

Kiedy przelewała słowa na papier, przez jej dłonie wciąż przechodziło nerwowe mrowienie. Ciało przestawało nadążać za umysłem. Nie umiała tego powstrzymać, dlatego musiała teraz napisać ten list. Zanim w końcu będzie za późno.

Przez burzę i wiatr,

ponieważ jesteśmy siostrami

Rozdział 1

Simone podreptała w ciemności przez sypialnię. Cyfrowy budzik na nocnej szafce wskazywał dziesięć po szóstej. Po cichu włożyła przygotowane poprzedniego wieczoru ubranie, kilkoma szybkimi ruchami rąk zaplotła włosy w warkocz. Potem sięgnęła po torbę podróżną, przewiesiła przez ramię torebkę i wyszła do przedpokoju. Zatrzymała się w drodze do salonu. Światła miasta zalały pomieszczenie mroczną szarością. Na sofie zobaczyła przykrytego kocem Jensa. Naprawdę spał? Simone nadstawiła uszu. Nawet gdyby nie spał, wątpliwe, czyby się z nią pożegnał. W powietrzu wciąż unosiła się głośna wymiana zdań z wczorajszego wieczoru. Przez chwilę Simone coś ścisnęło w żołądku, potem się przemogła. W ciemnym korytarzu wyjęła z garderoby kurtkę, szalik i czapkę. Nie miała zwyczaju znikać po kryjomu, ale dzisiaj wydawało jej się to rozsądnym wyjściem. Wróci tu za dwa dni i, na co bardzo liczyła, będzie wtedy miała jasny umysł.

Po cichu wymknęła się z mieszkania na korytarz. Rozległo się kliknięcie i w tej samej chwili włączyło się automatyczne oświetlenie. Najciszej jak mogła zeszła skrzypiącymi schodami na parter starego budynku.

Na ulicy odetchnęła głęboko, a z jej ust wydobywały się obłoczki pary. W nocy burzowy wschodni wiatr przyniósł nad Berlin grad z deszczem. Kapryśny kwiecień serwował wszystkie możliwe atrakcje pogodowe. Simone naciągnęła czapkę na uszy, zakryła szalikiem usta i ruszyła do stacji metra.

Na Dworcu Głównym w Berlinie panował duży ruch. Kiedy stanęła na prowadzących na perony ruchomych schodach, w szklanej fasadzie budynku odbijały się promienie wschodzącego słońca. W drodze do podziemi dworca rzuciła okiem na tablicę informacyjną, aby upewnić się, że jej pociąg do Hamburga odjedzie o czasie. W poczekalni postawiła torbę pomiędzy nogami i schowała zimne palce do kieszeni kurtki. Doskwierał jej chłód. Nie tylko ten fizyczny, spowodowany niską temperaturą. Dręczyła ją wczorajsza kłótnia z Jensem.

– Musisz już wyjeżdżać? – naskoczył na nią. – Przecież jutro wieczorem chcieliśmy pójść do La Viente.

– Już w ubiegłym tygodniu powiedziałam ci, że w ten weekend muszę pojechać do Hamburga. Po prostu muszę! Bo zarabiam tam pieniądze, które ty wydajesz w La Viente. – Niezamierzenie jej odpowiedź zabrzmiała opryskliwie. Zirytowało ją, że widocznie znów źle ją zrozumiał. W ostatnich miesiącach irytowało ją wiele nieistotnych rzeczy, które Jens robił albo których nie robił.

– Dobrze wiesz, że zadaję sobie bardzo dużo trudu, aby zarobić pieniądze na galerii. – Jego głos był cichy i pełen wyrzutu. Gdy wyrzucał z siebie te słowa, nie patrzył jej w oczy. Trafiła w czuły punkt.

Simone nie lubiła się kłócić i w żadnym razie nie chciała go zranić, ale czasem po prostu gotowało się w niej w środku nie mniej intensywnie niż w garnku pełnym mleka postawionym na kuchence. W porywie gniewu zrobiła Jensowi wykład o wspólnych wydatkach, na które trzeba zarobić. Słuchał jej w milczeniu.

– Skończyłaś? – zapytał, gdy zrobiła sobie przerwę, by złapać oddech. Przypominał teraz krnąbrnego nastolatka, który miał dość jej zrzędzenia.

To przelało czarę goryczy. Simone z wściekłością odwróciła się na pięcie, a po chwili energicznie zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Czyżby ich związek sprowadzał się już tylko do pragmatycznych kwestii życiowych? Kto

za co płaci? Kto na co zarabia? Kto za co odpowiada? Kiedy utracili tę beztroską niefrasobliwość z pierwszych lat ich znajomości?

Simone poznała Jensa osiem lat wcześniej w kinie pod gołym niebem nad jeziorem Weiβensee. Długi ponury sierpniowy wieczór urozmaicony chłodnym białym winem. On – młody, będący na fali właściciel galerii sztuki z błękitnostalowymi oczami i krótką niesforną czupryną; ona – raczej nieśmiała w stosunku do mężczyzn pośredniczka aukcyjna. Simone nie myślała, że po tym wieczorze jeszcze go kiedyś zobaczy. Ale już dzień później stał przed jej drzwiami. Krok po kroku zbliżali się do siebie, aż wreszcie zostali parą. Wciągnął ją w wir barwnego berlińskiego świata kultury, wystaw i wernisaży. Simone, która do tej pory nie zajmowała się sztuką współczesną, ale tą z dawniejszych czasów, doświadczyła całkowicie nowych wrażeń. W tamtym czasie oboje nie mieli jeszcze trzydziestu lat. Noce stały się dniami, a czas mijał równie szybko jak podczas krótkiego lotu samolotem. Tak bardzo się wtedy kochali. A teraz? Dlaczego wszystko stało się takie trudne?

Miała już trzydzieści sześć lat. Powoli zaczęła tęsknić za czymś innym niż przyjęcia i beztroskie życie. Coraz częściej w jej głowie pojawiała się myśl o domowych pieleszach, bezpiecznym gnieździe i być może nawet o rodzinie, choć wcześniej zupełnie nie przywiązywała do tego wagi. A teraz przede wszystkim pragnęła stałego związku. Ilekroć jednak rozmowy schodziły na temat małżeństwa, Jens zawsze mówił kategoryczne „nie". Kolejny cierń, który ją boleśnie kłuł.

Simone wygrzebała z kieszeni kurtki chusteczkę i wydmuchała nos. Czuła, jak drży jej dolna warga. Żeby tylko nie zacząć płakać. Wspomnienia paliły jak rozgrzane żelazo, a przyszłość była niepewna. Ten stan ją dręczył.

Pomyślała o Karen, swojej najlepszej przyjaciółce. Znały się z dawnych czasów, kiedy wspólnie wynajmowały mieszkanie. Ale obecnie Karen mieszkała w Monachium i jeśli miały szczęście, widywały się raz, dwa razy w roku. Nawet telefonowanie nie było proste. Karen wyszła za mąż za cieszącego się uznaniem konsultanta do spraw zarządzania i perfekcyjnie spełniała się w roli żony i matki w swojej małej szczęśliwej rodzinie: miała dom z ogrodem i troje dzieci z różowymi policzkami i jasnowłosymi główkami. Życie Karen było tak bardzo… inne niż jej. Simone rozejrzała się dyskretnie po peronie i cicho pociągnęła nosem. Czy pewnego dnia Jens będzie gotowy na takie życie? Przy czym na ten dzień ona nie mogła czekać połowę wieczności.

Karen bezustannie zapewniała Simone, jak wspaniale mieć rodzinę.

– Dzieci wprowadzają tyle radości – powtarzała z przekonaniem.

– Tak, pełne pieluchy, kłopoty w szkole, a potem nieodpowiedni partner – kontrowała Simone.

Karen za każdym razem lekko się uśmiechała, kiedy przyjaciółka reagowała tak negatywnie.

– Tak, a co ty masz? Co? Kto zatroszczy się o ciebie na starość? Lepiej się pośpiesz, twój zegar biologiczny już od dawna tyka!

Tak, tyka – teraz nawet głośniej, niżby Simone chciała przyznać Karen.

Terkoczący głos z megafonu, który zapowiedział ICE do Hamburga, wyrwał Simone z zadumy.

Gdy wsiadła do pociągu, uderzyło ją ciepłe, gęste powietrze. Simone znalazła swoje miejsce, zdjęła czapkę z głowy i szalik, wepchnęła je do torby podróżnej, którą postawiła obok swoich nóg.

Torebkę trzymała na kolanach. Wkrótce wszyscy pasażerowie też zajęli swoje miejsca i dochodzący z peronu metaliczny komunikat zapowiedział odjazd pociągu, który chwilę później leniwie ruszył z dworca. W bezprzedziałowym wagonie, po chaosie wywołanym przez wsiadających pasażerów, wreszcie zapanował spokój. Simone słyszała tylko szelest gazet, prowadzone szeptem rozmowy telefoniczne i szybkie stukanie palców na klawiaturach laptopów i notebooków. Za niecałe półtorej godziny będą w Hamburgu.

Przyjrzała się swojemu niewyraźnemu odbiciu w szybie i odgarnęła za prawe ucho niesforny kosmyk brązowych włosów. Splatała je w warkocz w ogromnym pośpiechu, nic dziwnego, że wyglądały jak potargane. Jej twarz w szybie sprawiała wrażenie bladej, a ciemne kręgi pod oczami prawdopodobnie nie były tylko niekorzystnym odbiciem w tym specyficznym lustrze, lecz smutną rzeczywistością. Kiedy już dotrze do hotelu w Hamburgu, musi wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku. Aukcja, na którą ma pójść jeszcze tego dnia, zaczynała się dopiero wczesnym popołudniem, więc będzie miała na to dość czasu. Cicho wzdychając, oparła głowę o zimną szybę i zamknęła oczy. Monotonny odgłos jadącego pociągu, który łagodnie sunął po szynach, trochę ją uspokoił. Wkrótce jednak znów zalała ją fala wspomnień ze szczęśliwszych czasów.

Jens i Simone szybko zamieszkali razem. Dokładniej mówiąc: on wprowadził się do niej. Wyprowadziła się z dawnego wynajmowanego mieszkania, on opuścił pokój znajdujący się na tyłach jego galerii. Nowe przestronne mieszkanie na obrzeżu dzielnicy Prenzlauer Berg Simone wynajęła na swoje nazwisko, upojona świeżą miłością i trochę zwariowaną aurą, która ją otaczała. To był pierwszy błąd, jak musiała przyznać z perspektywy czasu. Powinna była poczekać, dać ich związkowi jeszcze chwilę. Ale czy człowiek potrafi myśleć racjonalnie, kiedy jest po uszy zakochany? Początkowo Jens jeszcze dokładał się do czynszu, ale z upływem lat zdarzało się to coraz rzadziej.

– Galeria nie zawsze przynosi zyski – usprawiedliwiał się na początku. Po jakimś czasie usprawiedliwienia stały się obietnicami: – Ale kiedy zrobię nową wystawę…

Wierzyła w jego słowa, a wtedy wiodło im się dobrze. Zarobki Simone wystarczały dla nich obojga, jeszcze trochę im nawet zostawało. Mogli pozwolić sobie na luksusowe urlopy, ich codzienność też obfitowała w atrakcje. Byli mile widzianymi gośćmi na wielu przyjęciach urządzanych przez ludzi kultury w Prenzlau. Jens bywał na nich regularnie i zawsze zabierał ją ze sobą.

Simone podobał się ich nowy styl życia. Przyjemności pochłaniały jednak sporo czasu, a ona miała też pracę, którą musiała wykonywać. Mozolnie zapracowała na dobrą reputację i nie zamierzała zaprzepaścić tego, co już osiągnęła. Cieszyła się świetną opinią u swoich w większości bogatych i prominentnych klientów, którzy często zlecali jej udział w aukcjach, bo sami chcieli pozostać anonimowi. Jej zadaniem było nabywanie dla nich na licytacjach pożądanych przedmiotów. Prowizje, jakie za to otrzymywała, umożliwiały dostatnie życie jej i Jensowi.

Ale potem czasy się zmieniły. W ciągu ostatnich trzech lat odnotowała znaczny spadek zleceń. Wielu jej klientów nie miało już tak dużo pieniędzy, podczas gdy ceny antyków i dzieł sztuki na aukcjach niewyobrażalnie wzrosły. Gdyby nie paru stałych klientów, którzy regularnie dawali jej zlecenia i wysyłali na aukcje, sytuacja stałaby się krytyczna. I tak żyła już teraz z miesiąca na miesiąc. Galeria Jensa nadal nie przynosiła większych dochodów, chociaż Jens organizował niezliczone nowe wystawy. Wydawało się, że Berlin jednak nie chce dać światu swojego Picassa. Tak więc utrzymanie ich obojga spoczywało wyłącznie na barkach Simone, co było stałym punktem spornym. Czynsz, rachunki, urząd skarbowy: Jens wciąż bez cienia skrępowania kładł na jej biurku swoje zobowiązania płatnicze. Kiedy próbowała wyznaczyć

jakąś granicę, zapewniał ją, że już niebawem galeria zacznie przynosić zyski, a wtedy wszystko się zmieni. W gruncie rzeczy Simone było go nawet trochę żal. Wiedziała, jak bardzo zależało mu na pracy, jak bardzo się stara i jak wielką nadzieję pokłada w każdym nowym artyście. Nie zmieniało to jednak faktu, że nie była w stanie zarabiać za nich dwoje. Dlatego każde, nawet najskromniejsze zlecenie, było dla niej wręcz błogosławieństwem. Toteż gdy poprzedniego wieczoru Jens miał do niej pretensje o to, że musiała w weekend iść do pracy, czara goryczy się przepełniła.

Zawsze zazdrościł jej sukcesów. Być może powinno jej to schlebiać. Ale tym razem nie mogła znieść kolejnej kłótni. Jej praca miała to do siebie, że musiała podróżować. Hamburg, Kolonia, Stuttgart, Monachium.

– Myślisz, że ucieknę z jakimś starym milionerem? – Na początku, gdy Jens zaczął się skarżyć na jej częstą nieobecność, Simone jeszcze próbowała obracać wszystko w żart. Czule głaskała go po głowie, bo uważała, że jego troska jest urocza. Ale z czasem zaczęło ją denerwować, że nie potrafił się pogodzić z czymś tak oczywistym. Przecież ona też wolałaby spędzić sobotni wieczór w La Viente przy wykwintnym jedzeniu, winie i w towarzystwie przyjaciół. Rachunek za te przyjemności sam się jednak nie zapłaci.

Zwykle takie bezsensowne rozmowy poprzedzały jej wyjazdy. Ale kiedy wracała do domu, Jens witał ją stęskniony i pełen skruchy, mówił, że jest mu przykro z powodu ich kłótni, a ona zazwyczaj puszczała złe chwile w niepamięć. Wtedy znów stawał się miłym facetem, który dbał o ich związek i gdyby tylko mógł, podarowałby jej zapewne gwiazdkę z nieba. Na początku potrafił ją tym udobruchać, ale teraz już nie była pewna, czy chce z nim być do końca swoich dni. Przypuszczalnie nie, jeśli wszystko miałoby być tak jak dotychczas.

Simone otworzyła oczy. Za oknem przesuwały się pola i łąki, a pomiędzy grubymi szarymi chmurami przebijały się pojedyncze promienie słońca.

Jens i ona żyli razem, ale z dala od siebie. To uczucie już od dawna prześladowało ją jak mroczny cień, ale jeszcze nigdy nawet sama przed sobą się do tego nie przyznała. Czasem Jens wydawał się jej obcy. Simone ciężko pracowała na swoje pieniądze. Nie czekała, aż zlecenie spadnie jej niczym z nieba i klient się do niej zwróci, ale sama wychodziła z inicjatywą. Na wiele tygodni przed aukcjami dokładnie studiowała ich programy i katalogi, żeby oferować swoim klientom ciekawe pozycje, którymi mogliby chcieć wzbogacić swoje kolekcje. To było jej ogromnym zawodowym atutem, ale pochłaniało dużo czasu i wysiłku. Nic dziwnego, że wieczorami często była za bardzo zmęczona na to, by jeszcze włóczyć się z Jensem po knajpach. On natomiast rozumiał to jako część swojej pracy. Galeria wciąż potrzebowała świeżych twórców, a tych spotykało się wieczorami w Berlinie przede wszystkim w zadymionych klubach, ciemnych barach i przepełnionych narożnych pubach. Od dawna nie był to już świat Simone.

Westchnęła. Parę dni rozłąki z Jensem prawdopodobnie sprawi, że jej złość zmaleje. A może była teraz po prostu za bardzo przewrażliwiona? I właśnie dlatego rzucane przez Karen stwierdzenia w rodzaju: „Simone, zaraz będziesz miała czterdzieści lat!" wywoływały u niej panikę, a przecież nie powinny...

Aby wyrwać samą siebie z melancholijnego nastroju, Simone zmusiła się do tego, żeby pomyśleć o tu i teraz. Wyprostowała się na siedzeniu i wyciągnęła ręce jak najdalej przed siebie. Zlecenie, które miała dzisiaj zrealizować, było jednym z rzadkich i niezapowiedzianych.

Simone wyjęła z torebki kopertę. Na wierzchu widniał jej adres – napisany ręcznie z licznymi zawijasami. Kiedy kilka tygodni temu znalazła kopertę w stercie poczty i rachunków, w pierwszym odruchu przyszło jej na myśl, że to list reklamowy. Ale kiedy wzięła go do ręki, poczuła, że był jakiś inny w dotyku. Może to zaproszenie?

Zamyślona ponownie zbadała palcami grubość koperty, która miała na odwrocie

wytłoczony kwiatowy wzór. Od wewnątrz była wyłożona miękkim ozdobnym papierem w delikatne róże na żółtawym tle. Już dawno nie trzymała w dłoniach tak eleganckiej koperty. Miała w sobie coś takiego, że Simone poczuła falę spokoju, która przepłynęła przez jej ciało, jakby przywracano jej równowagę wewnętrzną. Nostalgiczna koperta obudziła w niej zapomniane uczucie. W czasach jej młodości, przed epoką e-maili i smartfonów, kiedy pisanie i czytanie listów sprawiało człowiekowi przyjemność, wszędzie można było kupić takie koperty.

Przez twarz Simone przemknął uśmiech. Dawno temu miała korespondencyjną przyjaciółkę: Sybillę ze Szwarcwaldu. Pisywały do siebie prawie dwa lata, niestrudzenie omawiając problemy okresu dojrzewania i powierzając sobie nawzajem najskrytsze pragnienia. Simone nie miała wtedy poza nią nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać. Krótko przed trzynastymi urodzinami przeprowadziła się z matką do Berlina i czuła się samotna i zagubiona w nieznanym mieście.

Otrząsnęła się ze wspomnień i spróbowała odczytać stempel pocztowy, ale niestety był rozmazany. Ostrożnie wyjęła list z ozdobnej koperty.

Szanowna Pani Berger,

szóstego kwietnia 2013 roku dom aukcyjny Hanseblick przeprowadzi likwidację pewnego gospodarstwa domowego. Zgodnie z katalogiem wystawionych na sprzedaż przedmiotów pod pozycją nr 265 znajdują się dwa kufry oraz siodło. Zlecam Pani zakupienie tych przedmiotów. Dalsze instrukcje otrzyma pani w późniejszym terminie.

C.C.

Simone odwróciła list, jakby jego druga niezapisana strona mogła zdradzić jej coś więcej na temat tej oferty. Kto dzisiaj wysyła ręcznie napisane zlecenia? I do tego jeszcze bez podania danych nadawcy albo innych informacji?! Cała sprawa wydała się jej podejrzana, ale prawdopodobnie to właśnie ta okoliczność obudziła w niej ciekawość. Na dodatek zlecenie zostało już opłacone, ponieważ do listu dołączono większą sumę gotówki. Dużo więcej pieniędzy, niż mogły być warte dwa kufry oraz siodło, niezależnie od tego, jak były stare. I dużo więcej niż Simone miała w ostatnich miesiącach w ręku. I chociaż ta oferta nadeszła w bardzo nietypowy sposób, Simone ją przyjęła.

Pieniądze schowała w oddzielnym portfelu. Do tej pory jeszcze ich nie tknęła, chociaż mogła z nich pokryć koszty podróży. Nie potrąciła sobie jeszcze piętnastu procent należnej jej prowizji, ponieważ nie mogła przewidzieć, o jaką dokładnie sumę ostatecznie chodziło. Dwa kufry oraz siodło prawdopodobnie nie przyniosą jej dużego zarobku. Było dużo niewiadomych, wiedziała przynajmniej tyle, że aukcja naprawdę się odbędzie, co potwierdziła podczas krótkiej rozmowy telefonicznej z Hamburgiem.

Simone złożyła pismo, włożyła je z powrotem do miękkiej koperty i wepchnęła do torebki. Hamburg! Oparła się wygodnie i patrzyła na migający za oknem krajobraz. Niedługo pociąg przejedzie przez pierwsze odgałęzienie hanzeatyckiego miasta. Simone poczuła radosne mrowienie. Już od miesięcy nie była w Hamburgu, swoim rodzinnym mieście. Ponure myśli o jej związku stopniowo pozostawały w tyle jak szare chmury. Niebo zrobiło się bardziej przejrzyste, a poranne słońce świeciło teraz mocniej.

Ale w jej wspomnieniach Hamburg nie był wolny od starych blizn. Dorastała tam, między

Altoną a Ottensen. Niedaleko od Łaby, niedaleko od śródmieścia. Często chodziła z ojcem nad Łabę. Kiedy teraz o tym myślała, radosne mrowienie ustało i poczuła, jak ściska ją w gardle. Jazda pociągiem zawsze daje tyle przestrzeni do rozmyślań, stwierdziła zrezygnowana, oparła wygodnie głowę i znów gapiła się przez okno.

Kiedy pociąg wjechał na Dworzec Główny w Hamburgu, Simone wyrwała się z zadumy i przetarła oczy. W wagonie zapanowała nerwowość. Ludzie pośpiesznie wkładali kurtki, zabierali bagaż, aż w końcu pasażerowie zaczęli tłoczyć się do drzwi. Simone się nie śpieszyła. Jako jedna z ostatnich wzięła torbę i dopiero wtedy pozwoliła rzece ludzi ponieść się w kierunku hali dworcowej. Burczało jej w brzuchu, jeszcze nic nie jadła. Jak tylko poczuła zapach kawy, poszła w kierunku małej piekarni, z której się unosił.

– Poproszę kawę z mlekiem i bułeczkę. – Simone grzebała w kieszeni kurtki, szukając drobnych. Aromat bułeczek był nie mniej urzekający niż woń kawy. Ten słodki, nadziany cukrem i cynamonem hamburski specjał, który wyglądał jak płaski croissant, nigdzie nie smakował lepiej niż w tym mieście.

Rozkoszowała się każdym kęsem. Pierwszy raz, odkąd opuściła swoje berlińskie mieszkanie, przestała rozmyślać i poczuła się zrelaksowana. Najwyższy czas, aby zebrać się w sobie, ponieważ musiała skoncentrować się na dzisiejszym dniu.

Simone pojechała metrem z dworca do małego hotelu, w którym zarezerwowała pokój na dwie doby. Dobrze znała drogę, zatrzymywała się tam już wiele razy. Dzisiaj w porządku dziennym była aukcja; jutrzejszy dzień przeznaczy dla siebie, uznała, że po prostu na to zasłużyła. W poniedziałek rano wróci pociągiem do Berlina.

– Miała pani przyjemną podróż, pani Berger? – Młody człowiek w recepcji z przyjaznym uśmiechem wręczył jej klucz do pokoju. Numer 15. Pierwsze piętro, a potem w lewo.

– Tak, dziękuję. – Simone wiedziała, że wyglądała bardziej jak duch niż jak ktoś, kto miał przyjemną podróż, i śpieszno jej było, aby wreszcie pójść do pokoju. Tam rzuciła torbę podróżną na wąskie łóżko, wyjęła z kieszeni kurtki papiery, których będzie dzisiaj potrzebowała, i postanowiła, że najpierw weźmie gorący prysznic, aby na nowo zacząć dzień.

Gdy wyszła z łazienki, czuła się już lepiej. Owinęła ręcznikiem mokre włosy i z lekkim pomrukiem wyciągnęła się na łóżku. Poczuła, jak powoli opada z niej poranne napięcie. Żeby tylko nie być znów zmęczoną!

Właściwie czego się spodziewała? Adres aukcji był bardzo obiecujący. Sama aukcja też zapowiadała się interesująco, chociaż tego dnia Simone nie miała kupować drogich przedmiotów. Oczywiście była to również dobra okazja do rozmowy z nowymi klientami, ale nie czuła się w nastroju do nawiązywania nowych kontaktów zawodowych.

Teraz musisz być w dobrej formie! Simone przemog-ła się, by przerwać błogie leniuchowanie. Wstała z łóżka i ponownie poszła do małej hotelowej łazienki. Wysuszyła włosy, zrobiła dyskretny makijaż… Teraz miała znacznie więcej czasu niż rano, aby się wyszykować. Człowiek nigdy nie wie, jakiej publiczności się spodziewać podczas aukcji. Siedziała już obok emerytów dotkniętych manią kolekcjonowania, a także pomiędzy rosyjskimi milionerami. Dlatego odpowiedni wygląd był na wagę złota. Musiała być elegancka i zadbana, nie mogła pozwolić sobie na to, aby przypominać zmiętą gazetę.

Starannie upięła włosy. Rzut oka na zegarek uświadomił jej, że powinna powoli zbierać się do wyjścia. Było już południe, a chciała jeszcze coś zjeść, zanim pojedzie na aukcję. Znów

burczało jej w żołądku.

Kiedy przewiesiła torebkę przez ramię, w okno pokoju hotelowego uderzyły grube krople deszczu. Słońce przegrało bitwę z chmurami. Hamburska pogoda, pomyślała, wzdychając.

W restauracji znajdującej się obok hotelowego lobby Simone zamówiła porcję makaronu. Jedząc, obserwowała, jak strużki deszczu perlą się na oknach. Jej nadzieja, że pogoda się poprawi, znikła, pożyczyła więc od sympatycznego młodego mężczyzny w recepcji parasol i wyszła na zewnątrz.

Aukcja miała się odbyć na obrzeżu dzielnicy Blankenese. Simone mogła dotrzeć tam szybką koleją miejską: wygodnie, szybko i, co najważniejsze, prawie sucha.

W Blankenese, dzielnicy położonej na stromym południowym brzegu Łaby, nagle przestała czuć się jak na północnoniemieckiej równinie. Kręte ulice pomiędzy domami prowadziły w górę do Süllberg i w dół na brzeg Łaby. Domy mieszkalne pobudowano na tarasach zbocza. Simone przeszła pieszo ostatni kawałek drogi z przystanku kolejki miejskiej. Na ulicach, w miejscach, gdzie asfalt popękał, odsłaniając stare kocie łby, utworzyły się kałuże. Dawniej Blankenese była małą wioską rybacką położoną na zachód od centrum Hamburga, wtedy należała jeszcze do hrabstwa Holstein-Pinne-berg. Ojciec opowiadał Simone, jak stopniowo osiedlali się tam kapitanowie oraz piloci. Miasto coraz bardziej się rozbudowywało, tak że w końcu Blankenese z wios-ki stała się przedmieściem Altony, aby później stopić się z wielkim miastem. Z dawnej wioski rybackiej już w latach dwudziestych dziewiętnastego wieku zmieniła się w popularną dzielnicę mieszkalną zamożnych obywateli, która jeszcze dzisiaj uchodziła za jeden z najlepszych adresów w Hamburgu. Simone wiedziała, że za wysokimi płotami mieszka tu wielu sławnych ludzi, aktorów, przemysłowców, a tu i ówdzie jeszcze ktoś ze starej arystokracji. Pomiędzy wysokimi drzewami stały okazałe domy i wille otoczone wypielęgnowanymi ogrodami. Kocie łby z pewnością były niemym świadkiem wielu ciekawych zdarzeń, ponieważ wszystko tu oddychało historią: stare fronty domów, stuletnie drzewa i... przykuwające uwagę amorki, które ponad niektórymi domami patrzyły na ulice. Domy stały ciasno, jeden przy drugim, ale mimo to zabudowa nie sprawiała przygnębiającego wrażenia. Od czasu do czasu pomiędzy fasadami domów oraz nad wjazdami i ogrodami migała niebieska toń wody. Po widocznej w oddali rzece leniwie płynęły statki.

Zanim ten urzekający widok całkowicie ją pochłonął, Simone skoncentrowała się na szukaniu domu, w którym miała się odbyć aukcja.

Dotarła wreszcie do wysokiej bramy z kutego żelaza osadzonej pomiędzy dwiema kamiennymi kolumnami. Jej prawe skrzydło było otwarte, a na lewym widniał znak informujący, który zaanonsował jej, że dotarła do celu. Stara willa w secesyjnym stylu dumnie wznosiła się pomiędzy bezlistnymi jeszcze drzewami. Kanciasty dwupiętrowy budynek miał wysokie szprosowe okna. Wysypany żwirem podjazd prowadził od bramy do kamiennych schodów. Ogród przed domem tylko na pierwszy rzut oka wyglądał na zadbany. Spomiędzy żwiru gdzieniegdzie wyrastały grube brązowe kępki trawy, na grządkach widać było resztki roślin, których uschnięte liście gniły od deszczu. Dom, który swoją pierwszą młodość miał już dawno za sobą, dzisiaj będzie musiał zdradzić wszystkie swoje tajemnice obcym ludziom, a gromadzone w nim przez lata wspomnienia rozproszą się po całym świecie.

Simone weszła do środka przez olbrzymie drzwi z ciemnego drewna. Przez chwilę podziwiała bogato zdobione płytki na podłodze. Bez wątpienia koniec dziewiętnastego wieku. Simone lubiła stare domy i zawsze wzdragała się, kiedy ktoś próbował narzucać im nowoczesny styl. Miała wrażenie, że niemal czuje, jak ten dom walczy o swoje istnienie. Pozostawało mieć nadzieję, że nie wpadnie tu wkrótce gromada robotników, którym polecono zniszczyć wszystko, co istniało tu już od lat, okaleczyć ten dom tak, że nikt go nie pozna, i zrobić miejsce dla szkła

i sztucznego tworzywa. Simone westchnęła.

W przedsionku tuż za drzwiami stał stół, przy którym siwowłosa kobieta o skupionym spojrzeniu ustalała szczegóły aukcji.

– Pani nazwisko?

– Simone Berger.

– Proszę, oto pani karta licytanta – podała ją jej, gdy już zapisała nazwisko.

Simone przeszła do holu wejściowego, reprezentacyjnego pomieszczenia z wysokim sufitem i ogromnymi drewnianymi łukowymi schodami. Przed nimi ustawiono podest, na którym miała odbyć się aukcja. Simone zajęła miejsce w jednym ze środkowych rzędów krzeseł. Stąd miała dobry widok na innych gości. Wiedziała, że prywatni, cieszący się z zakupów i raczej spontaniczni oferenci lubili siadać z przodu. Dzięki temu mogli jeszcze raz wziąć pod lupę licytowane przedmioty. Niektóre nie wyglądały w naturze tak dobrze jak w katalogu aukcyjnym, dlatego niejeden z potencjalnych nabywców zastanawiał się, czy nie zmienić zdania. Simone nie musiała dzisiaj myśleć o takich sprawach. Miała wykonać konkretne zlecenie, nie było jej zmartwieniem, czy przedmioty, które wylicytuje, będą spełniały oczekiwania zleceniodawcy.

Pomieszczenie stopniowo zapełniało się ludźmi. Mokre podeszwy butów wydawały ciche skrzypiące odgłosy; słychać było strzępki rozmów i przytłumione szepty. Aukcja miała dobrą frekwencję. Simone to nie zdziwiło. W starych domach, takich jak ten, w których z pokolenia na pokolenie pomnażano dobytek, zwykle można było kupić interesujące przedmioty. Już ciemne obwódki na ścianach, gdzie wcześniej wisiały obrazy, wskazywały na to, że oprócz domowych sprzętów można tu było kupić rozmaite dzieła sztuki.

Simone oparła się wygodnie i przez chwilę wyobrażała sobie, jaki dostatek panował tu sto lat temu. Ówczesnemu właścicielowi na pewno nigdy nie przeszłoby przez myśl, że pewnego dnia dzieło jego życia, jego dom po prostu zostanie sprzedany na licytacji jakiemuś przeciętnemu człowiekowi, tylko dlatego, że jest gotów zapłacić za niego określoną kwotę. Dom należał kiedyś do dobrze sytuowanej rodziny. Srebrne sztućce z pewnością były wtedy starannie polerowane przez pomoc domową w białym fartuszku; dzisiaj, zaniedbane i poczerniałe, prawdopodobnie trafią do mieszkań ludzi z hamburskiej klasy średniej.

Badawczy wzrok zatrzymał się na starszej damie siedzącej rząd przed nią. W rzucającym się w oczy kapeluszu wyglądała trochę tak, jakby pochodziła z filmu kostiumowego opowiadającego o życiu w minionej epoce. Kapelusz nie był wykonany w stylu retro, był autentyczny. Dama naprawdę musiała być już bardzo stara. Simone gotowa była się założyć, że upatrzyła sobie zastawę stołową i sztućce.

Kiedy hałas powodowany przez gości zajmujących miejsca ucichł, na podest wszedł szczupły wysoki mężczyzna. Na czubek nosa nałożył okulary do czytania, chrząknął i nosowym głosem rzeczowo objaśnił zasady aukcji. Następnie na jego znak dwaj pomocnicy wnieśli na podest pierwszy przedmiot, który miał być wystawiony: duży obraz olejny. Cena wyjściowa, chociaż dość wysoka, była jednak rozsądna. Od razu wystrzeliły w górę pierwsze karty oferentów. Po obrazach przyszła kolej na meble, srebrną tacę – tak jak obawiała się Simone, w tej chwili sczerniałą i bez połysku – oraz porcelanową zastawę. Obiekt po obiekcie zmieniał właściciela.

Simone założyła nogę na nogę, odsunęła kosmyk włosów za lewe ucho i delektowała się wiszącym w powietrzu napięciem. To było właśnie to, co tak uwielbiała w licytacjach. Ku jej zaskoczeniu stara dama w kapeluszu nie licytowała ani srebrnej tacy, ani porcelany.

Jako następne wniesiono na podest dwa kufry i siodło. W Simone obudziła się gorączka myśliwego, podekscytowanie, jakie zawsze odczuwała, gdy była na tropie zwierzyny. Wszystkie myśli o Jensie odleciały gdzieś daleko, a ona czuła, że podnosi jej się poziom adrenaliny. Kufry

były większe, niż sądziła. Skarciła się za to w myślach i spokojnie czekała na swoje wejście. Czy w kufrach coś było? Gdy mężczyźni wnosili je na podest, można było odnieść wrażenie, że zmagają się z dużym ciężarem. Jeszcze raz porównała numery w swoich notatkach z tymi, które miały te przedmioty. Żadnych wątpliwości, to były te obiekty, które miała wylicytować.

Simone zauważyła, jak w siedzącą przed nią starszą damę nagle wstąpiło życie. Siedziała teraz wyprostowana, wydawało się, że delikatnie uplecione rondo jej kapelusza lekko drży.

Najpierw cena podskoczyła. Wyglądało na to, że szczególne zainteresowanie niektórych oferentów budziło siodło. Nie było to zwyczajne siodło jeździeckie, lecz kunsztowny okaz, wysadzany kosztownymi złotymi cekinami. Simone jednak nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Teraz musiała zachować czujność. W miarę jak cena szybowała w górę, ubywało oferentów. Budżet Simone jeszcze się nie wyczerpał, miała spory zapas pieniędzy, kontynuowała więc licytację. W końcu na placu boju została tylko ona i starsza dama. Simone wielokrotnie podnosiła swoją kartę. W którymś momencie zobaczyła, jak jej rywalka się poddała, co sprawiło jej widoczny ból. Simone wygrała aukcję.

Ale nie potrafiła się cieszyć wygraną. Stara dama nie była dla niej prawdziwą konkurentką, godnym przeciwnikiem podczas licytacji. Kiedy Simone podawała swoją kartę pomocnikowi aukcjonera, żeby mógł zanotować jej numer, zobaczyła, jak stara kobieta powoli, jakby z rezygnacją, wstaje i zmierza do wyjścia. Szła ze spuszczoną głową, a w dłoni trzymała chusteczkę, którą wycierała oczy. Czyżby płakała?

Simone poczuła wyrzuty sumienia. Powinna cieszyć się z udanej transakcji, ale silniejsze było poczucie, że coś komuś odebrała. Śledziła dalszy ciąg aukcji, ale myślami była gdzie indziej...

Już zaczynało się zmierzchać, kiedy wniesiono na podest ostatnie obiekty. Ktoś włączył światło. Pod sufitem, gdzie przedtem wisiał drogocenny żyrandol, teraz bujały się na długich przewodach gołe żarówki. Goście stopniowo opuszczali miejsce aukcji. Dzisiejszego popołudnia większość licytowanych przedmiotów znalazła nabywców. Simone chciała zaczekać do końca. Uznawała to za oznakę szacunku należnego przedmiotom, które muszą dzisiaj opuścić swój dom. W końcu nie była to zwykła aukcja na neutralnym terenie, lecz licytacja w domu, w którym poddawane jej przedmioty miały dawniej swoje miejsce i zastosowanie.

Pod młotek trafiały ostatnie okazy, którym w katalogu nadano numer 750: skrzynia ze szmacianymi zwierzętami i lalkami. Simone przeszedł dreszcz. Te rzeczy też będą musiały opuścić swój dom, by trafić w obce ręce, a kiedy to się dokona, ona wróci do małego pustego pokoju hotelowego, gdzie zapewne dopadną ją przerwane poranne ponure rozmyślania.
W przypływie rozczulania się nad samą sobą mimowolnie uniosła numer oferenta, kiedy pomocnik aukcjonera prezentował małego brązowego pluszowego misia, obojętnie trzymając go za kark. Za kilka euro stał się jej własnością. Aukcja dobiegła końca.

Simone od razu zabrała ze sobą swojego nowego przyjaciela z oczami z guzików. Kiedy już podała damie przy wejściu adres, pod który miały zostać dostarczone inne wylicytowane przez nią przedmioty, i w końcu ruszyła w drogę do hotelu, miś jeszcze raz popatrzył z jej torebki do tyłu na teraz już definitywnie opuszczony dom.

Wieczorem Simone uparcie broniła się przed rozmyślaniami. Zignorowała wiadomość w komórce o trzech nieodebranych połączeniach od Jensa. Nie chciała już dzisiaj z nikim rozmawiać. Co prawda złość jej prawie minęła, ale separacja na większą odległość skłoniła ją do rozmyślań. Dręczyło ją, że w nieunikniony sposób wyszły na jaw sprawy, które do tej pory od siebie odsuwała. Opróżniła minibarek w pokoju hotelowym, zjadła salami i wypiła tanie

czerwone wino. Skuliła się pod kołdrą i razem z małym misiem gapiła się na barwne obrazy, które migotały na ekranie telewizora tak długo, aż zamknęły jej się oczy.

Następnego dnia rano miała nie tylko misia, lecz na dodatek potwornego kaca. Na szczęście ból głowy ustąpił po zimnym prysznicu i mocnej kawie, którą wypiła w sali śniadaniowej hotelu. Wracając do pokoju, zastanawiała się, co zrobić z wolnym dniem. Ale najpierw musiała coś załatwić. To była nieprzyjemna, smutna część jej pobytu w Hamburgu. Dlatego chciała mieć to jak najszybciej z głowy. Gdy wkładała kurtkę i czapkę, a następnie sięgała po torebkę, poczuła ucisk w gardle. Jej wzrok padł na małego misia, który siedział obok poduszki. Włożyła go do torebki. Być może było to dziecinne, ale dzięki temu przynajmniej nie była sama, a on… No tak, to był jego ostatni dzień w Hamburgu.

Tym razem pojechała autobusem. Do Bahrenfeld. Tam, pomiędzy terenami przemysłowymi i autostradą, znajdował się cmentarz Holstenkamp. Zatrzymała się przed kaplicą przy wejściu. Jak długo jej tu nie było? Próbowała uciszyć wyrzuty sumienia, kiedy weszła na cmentarz. Panował tu spokój. Pomiędzy rzędami grobów było widać zaledwie pojedynczych ludzi. Siwowłosa kobieta, która pochylona zbierała z grobu blisko wejścia zwiędłe liście, przyjaźnie skinęła jej głową. Simone potrzebowała chwili, aby znaleźć właściwą drogę. Natychmiast odezwało się jej nieczyste sumienie. *Powinnaś tu częściej bywać!*

„Walter Berger” – głosił czarny napis na granitowej płycie, która przykrywała grób. Łatwa do utrzymania porządku – tak zażyczyła sobie kiedyś jej matka. Czy już wtedy planowała wyjazd z Hamburga? Mimo porannego zimna Simone usiadła na ławce pomiędzy rzędami grobów. Dla bezpieczeństwa trzymała torebkę na brzuchu. Poczuła miękki tułów misia w środku, to naprawdę dodało jej otuchy.

Miała dziesięć lat, kiedy on umarł. Któregoś dnia po prostu odszedł. Jej ojciec, człowiek, którego kochała ponad wszystko. Nie rozumiała wtedy, co się stało. Serce, okazało się, że było to serce. Bez przerwy przychodzili sąsiedzi, okazywali smutek, głaskali ją po głowie i cicho rozmawiali z matką. Simone pamiętała tamten czas tylko jak przez gęstą mgłę.

– Życie toczy się dalej – mówiła matka. Później Simone musiała przyznać, że jej rodzice nie mieli sobie wiele do powiedzenia, ponieważ bardzo różnili się od siebie. W każdym razie matka niespecjalnie rozpaczała po śmierci ojca Simone. Patrzyła do przodu. Prawdopodobnie właśnie to spowodowało, że ich drogi tak szybko się rozeszły. Simone – młoda, przepełniona smutkiem i tęsknotą, Ursula Berger – pragmatyczna, rezolutna i bezkompromisowa. Po przeprowadzce Berlin wydawał się jej dużym szarym miastem-potworem. Hamburg był inny, bardziej zielony, mieszczański i swojski. Przez cały okres bycia nastolatką umierała z tęsknoty za Hamburgiem, kurczowo trzymała się wspomnień, nigdy do końca nie pogodziła się z wyjazdem, a winą za tę katastrofę życiową obarczała matkę.

Zaledwie po trzech latach Ursula Berger znalazła nowego towarzysza życia. I z *nim* – Simone wpoiła sobie, aby nigdy nie wymawiać jego imienia – wyjechała kilka lat temu do Ameryki. Smutek Simone z tego powodu był umiarkowany. W wieku osiemnastu lat wyprowadziła się z domu – i tak od czasu przeprowadzki zawsze czuła się tam niepotrzebna i wcześnie poszła swoją drogą. Matka była już tylko osobą, z którą raz lub dwa razy w roku rozmawiała przez telefon. Rodzina? Simone wyobrażała ją sobie trochę inaczej.

„Walter Berger” – to nazwisko widniało kiedyś nad małym antykwariatem ojca na obrzeżach Altony. Kochał ten sklep i żył dla niego. Matka często naśmiewała się z tego i nigdy nie podzielała pasji ojca. Simone była jeszcze za mała, nie pamiętała już szczegółów, o które rodzice się wtedy spierali. Wiedziała tylko, że często się kłócili.

Za to dobrze pamiętała sklep. Lubiła spędzać z ojcem popołudnia wśród pożółkłych książek, toczonych przez korniki mebli i wyblakłych obrazów. Dziwiło ją, dlaczego niektórzy

klienci wchodzą do sklepu i na widok jakiegoś jej zdaniem zupełnie przeciętnego przedmiotu nagle w ich oczach pojawia się błysk. A potem kupują tę rzecz i wynoszą ją ze sklepu jak dawno utracony skarb. Kiedy zapytała o to ojca, czule się uśmiechnął i posadził ją sobie na kolanach.

– Masz rację, Simone, ci ludzie odnajdują tu prawdziwe skarby.

– Tato, przecież to wcale nie są skarby, to są… stare rzeczy.

– To prawda i w tych starych rzeczach niektórzy ludzie odnajdują to, co dawno temu stracili.

Simone przygryzła dolną wargę i przyrzekła sobie, że będzie dokładniej obserwować klientów. Chciała zrozumieć tajemnicę tego, co dawno zostało utracone.

Pewnego dnia do sklepu przyszedł starszy człowiek. Rozglądał się, jakby czegoś szukał. Simone cicho się za nim skradała. Nie chciała przeszkadzać mu w szukaniu. Po chwili zatrzymał się przed starym obrazem olejnym. Widoczne jeszcze przed momentem napięcie na jego twarzy nagle znikło i wydawało się, że był myślami daleko stąd. Simone również patrzyła na obraz przedstawiający ogród pełen jabłoni. Kolory były wyblakłe ze starości, rama odrapana. Simone nie widziała w nim nic szczególnego. Ale wydawało się, że dla tego mężczyzny ten obraz był najpiękniejszy na świecie. Kierując się dziecięcą ciekawością, stanęła obok niego i szarpnęła go za rękaw. Mogła mieć wtedy mniej więcej siedem lat.

– Podoba się panu ten obraz?

Mężczyzna spojrzał na nią z góry zdziwiony, a potem położył rękę na jej ramieniu.

– Tak, moje dziecko, przypatrz się, jest przepiękny! Te kolory, to światło… Kiedyś dawno temu byłem w dokładnie takim samym jabłoniowym sadzie i tam… – głos mu się załamał i stał się bardzo cichy – …spotkałem miłość swojego życia.

Simone patrzyła na obraz wytężonym wzrokiem. Naraz kolory się zmieniły, pojawili się ludzie, którym towarzyszył cichy śmiech. Simone wzdrygnęła się osłupiała. Mężczyzna kupił obraz i od razu zabrał go ze sobą. Ale Simone zrozumiała, że nie wziął wyblakłego obrazu, lecz to, co w nim widział. Ojciec skinął za nim głową ze zrozumieniem. Od tego dnia inaczej patrzyła na stare przedmioty. To była najważniejsza rzecz, jakiej nauczyła się od ojca.

Simone zorientowała się, że po jej policzkach płyną ciepłe łzy, ale się uśmiechnęła. Było to jednocześnie piękne i bolesne pogrążać się w starych wspomnieniach. Rzadko sobie na to pozwalała, ponieważ im częściej myślała o ojcu, tym wyraźniej wkraczał pomiędzy nich mroczny cień matki. Matki, która kiedyś przekreśliła swoje dawne życie i próbowała zastąpić je nowym. Bez wątpienia należała do osób, które nie przywiązywały dużej wagi do wspomnień. Simone potrząsnęła głową. Nie! Nie chciała myśleć teraz o matce. Nie tutaj – nie przy grobie ojca. Nie w Hamburgu.

Po dłuższej chwili podniosła się z ławki, pożegnała się ostatnim czułym spojrzeniem ze skromną płytą nagrobną i pośpiesznie wyszła z cmentarza. Wsiadła do autobusu, a następnie do kolejki miejskiej i pojechała do Hamburga, do serca miasta. Z Dworca Głównego poszła w kierunku Außenalster. Mając za plecami hotel Atlantic, na chwilę zatrzymała się na brzegu rzeki. Nic się tu nie zmieniło. W Berlinie zawsze ogarniało ją uczucie, że wszystko jest ciągle poddawane jakimś modyfikacjom. Ulice, które widziało się jeszcze rok temu, następnym razem były niemal nie do poznania. Hamburg natomiast się nie zmieniał.

Simone szła dalej w kierunku Binnenalster. Z każdym krokiem poprawiał się jej nastrój. Pogoda dzisiaj była niemal wiosenna. Po niebie przesuwały się tylko nieliczne chmury,

a delikatna wodna mgła z fontanny Alster wyczarowywała w powietrzu błyszczące gwiazdy. Simone przeszła przez Jungfernstieg i skierowała się do ratusza. Jak każdego dnia tłoczyli się tu turyści, którzy ustawiali się w grupach i robili sobie pamiątkowe zdjęcia, aby trochę później udać się wzdłuż kanału Alster do kościoła św. Michała. Simone przeszła po moście nad śluzą na drugą stronę kanału, przespacerowała się pod arkadami Alster i ponownie odwróciła w stronę Binnenalster. Gdy mijała przystań dla statków wycieczkowych przy Jungfernstieg, stwierdziła, że jest głodna. Bez namysłu poszukała miejsca w pawilonie nad brzegiem Alster i zamówiła kawę z mlekiem, a do niej gofra z bitą śmietaną i gorącymi wiśniami. Potrzebowała czegoś, co by ją pobudziło, czegoś z dużą ilością cukru. Badawcze, raczej wynikające z przyzwyczajenia spojrzenie na komórkę pokazało jej kolejne dwa połączenia od Jensa. Prawdopodobnie będzie musiała zadzwonić do niego wieczorem. Dopiero teraz oparła się wygodnie i zaczęła obserwować otoczenie. Ludzie stali przy balustradzie nad brzegiem rzeki, robili zdjęcia, rozmawiali, śmiali się. Łabędzie, które sprowadzono już z ich zimowej kwatery, Eppendorfer Mühlenteich, przechadzały się teraz z elegancko wygiętymi szyjami. Silniki biało-czerwonych statków wycieczkowych terkotały na wodzie, a lekka skoczna muzyka dochodząca z głośników lokali gastronomicznych stwarzała radosny nastrój, któremu Simone chętnie dała się ponieść.

Rozdział 2

Mieszkanie było puste. Simone od razu wyczuła, że nie ma w nim Jensa. Stanęła w przedpokoju, w ręku wciąż trzymała klucz, torbę podróżną postawiła tuż obok.

– Halo! – zawołała, chociaż tak naprawdę nie spodziewała się odpowiedzi. – Wróciłam! – Na chwilę zastygła i w bezruchu nasłuchiwała, ale na próżno. Było poniedziałkowe przedpołudnie. Prawdopodobnie Jens poszedł już do galerii.

Wyjechała z Hamburga rano. Przez całą podróż pociągiem zastanawiała się, jak załagodzić kłótnię między nimi i porozmawiać o wspólnej przyszłości. A teraz go nie było. Simone znów zaczęła się złościć, dobre chęci opadły z niej jak jesienne liście z drzewa, a razem z nimi obmyślone słowa. Zrezygnowana rzuciła klucze na stolik obok drzwi, odsunęła nogą torbę i weszła do mieszkania.

Do salonu przylegała z prawej strony przestronna otwarta kuchnia. Na podwyższonym roboczym blacie, który służył jako stół i oddzielał kuchnię od salonu, leżał blok listowy. Na górnej kartce widniała odręcznie napisana notatka. *Pojechałem z Rolfem do Drezna. Pracuję nad nową wystawą. J.*

Simone przyglądała się kartce i czuła, że narasta w niej kolejna fala gniewu. Jens zwymyślał ją przed jej wyjazdem, ponieważ musiała pojechać do Hamburga, a teraz go tu nie było. I na dodatek nie powiadomił jej wcześniej o swojej decyzji! Ale od razu obudziły się w niej wyrzuty sumienia. Dzwonił do niej, a ona nie odbierała. Dlaczego wciąż się między nimi nie układało? Kiedy wróci, koniecznie będą musieli ze sobą porozmawiać.

Simone zdeterminowana weszła do kuchni i włączyła ekspres do kawy. Syczenie zasygnalizowało jej, że w urządzeniu nie było wody. Napełniła maszynę i ponownie nacisnęła przycisk. Teraz młynek wydał cichy pisk. A więc nie było w nim kawy. Otworzyła szafkę. Kawy ani śladu.

– Co za padalec! – Dała drzwiczkom ostrego kuksańca, tak że zamknęły się z hukiem. Chodzenie na zakupy nie było mocną stroną Jensa. Nastawiła ekspres na gotowanie wody i wyjęła z szafki torebkę herbaty. Przynajmniej była jeszcze herbata.

Podczas gdy urządzenie, cicho bulgocząc, gotowało wodę, Simone rozejrzała się po salonie. Narzuta sofy, pod którą Jens spał dwa dni temu, była niedbale rzucona na oparcie. Nieuporządkowana sterta magazynów o sztuce nowoczesnej leżała na niskim stoliku do kawy, obok niej stała brudna miska do muesli z łyżką. Simone pokręciła głową z niedowierzaniem i przysięgła sobie, że mimo wszystko nie będzie się denerwować. Kiedy herbata naciągała, uprzątnęła bałagan po Jensie, wygładziła narzutę na sofie i otworzyła wysokie okno. Do pokoju wtargnęło świeże poranne powietrze i wywiało ostatni ślad zapachu wody po goleniu.

Być może jeszcze dłuższa o kilka dni rozłąka nie byłaby wcale taka zła, pomyślała. Po prostu nie była już pewna swoich uczuć, a już na pewno nie teraz, nie w tej chwili, kiedy przeważyła złość na zachowanie Jensa. Przecież zawsze się mówiło, że człowiek powinien słuchać głosu swojego serca. Jej serce uparcie milczało i ta cisza ją przytłaczała. Szybko włączyła małe radio stojące na kuchennym blacie.

Z herbatą w ręku Simone wróciła do przedpokoju. Na stoliku przy drzwiach leżała sterta sobotniej poczty. Simone oddzieliła reklamy od rachunków, które położyła na osobnej kupce. Poza nimi nie było żadnego nowego listu, stwierdziła z żalem. Miała nadzieję, że tajemniczy zleceniodawca zgłosi się, żeby dokończyć transakcję, zwłaszcza że pozostała jeszcze kwestia przekazania wylicytowanych przedmiotów.

Trzymając herbatę w jednej ręce, Simone drugą przeniosła torbę podróżną do sypialni i wyjęła z niej małego misia.

– W takim razie teraz ty musisz dotrzymać mi towarzystwa – powiedziała i posadziła go na oparciu sofy w salonie. Spoglądał na nią oczami z czarnych guzików. Dla jakiego dziecka ten sympatyczny pluszak był wiernym przyjacielem, zanim wylądował w jakimś pudle z zapomnianymi rupieciami?

Westchnęła. Złość już jej przeszła i ogarnął ją smutek spowodowany tym, że była sama w pustym domu. Simone odnosiła wrażenie, że kłębiące się w niej uczucia są jak wagonik kolejki górskiej, który pędzi z zawrotną prędkością, a na domiar złego nie wiadomo, na jakim uczuciu ostatecznie się zatrzyma. Czy powinna odejść od Jensa, czy też zrobić wszystko, aby uratować ich związek?

Przemogła się i ponownie przeprowadziła inspekcję kuchni. Szafki i lodówka były prawie puste. Widocznie przez ostatnie dwa dni Jens zużył ostatnie zapasy. W pierwszej kolejności będzie musiała iść na zakupy. Westchnęła głęboko. On już taki był. Niektórych rzeczy nigdy się nie zmieni.

Kiedy trochę później Simone załatwiła wszystkie sprawunki i wracała z torbami do domu, zobaczyła, że tuż przed nim zaparkował biały samochód dostawczy. Przy drzwiach obok tabliczki z dzwonkami stał korpulentny kierowca w czapce z daszkiem i wpatrywał się w swoją podkładkę do pisania, do której było przymocowane potwierdzenie dostawy.

– Dzień dobry. – Simone postawiła ciężkie plastikowe torby na ziemi, a wtedy dał się słyszeć brzęk szkła, a tworzywo zdradziecko się wybrzuszyło, uwydatniając kształty butelek wina.

– Halo, czy przypadkiem zna pani panią Berger? – Mężczyzna w czapce z daszkiem wskazał na dzwonek. – Nikogo nie ma w domu.

– To ja. Przywiózł pan rzeczy z Hamburga?

Skinął głową.

Pokazała do góry.

– Trzecie piętro, drzwi na prawo.

– Winda? – zapytał mężczyzna markotnie.

– Niestety, nie. Już otwieram drzwi. – Simone wzięła swoje torby i poszła przodem.

Trochę później kierowca firmy przewozowej z głośnym sapaniem wciągał tyłem po schodach na wózku transportowym pierwszą skrzynię. Dom aukcyjny starannie zapakował przedmioty w drewno i folię, co sprawiło, że stały się jeszcze cięższe, zwłaszcza oba duże kufry.

Kiedy mężczyzna postawił pierwszą skrzynię na środku salonu, otarł pot z czoła i szykował się, aby zejść do samochodu. Simone zastanawiała się, czy to był w ogóle dobry pomysł, żeby wnosić skrzynie do jej mieszkania. W końcu nie wiedziała, kiedy zostaną odebrane – jeśli w ogóle to się stanie. Ale w małym pomieszczeniu piwnicznym, które należało do mieszkania, kufry by się nie zmieściły, a bądź co bądź miały pewną wartość.

Kiedy kierowca z ponurą miną wnosił przez drzwi siodło, drewniany stojak zadrapał futrynę drzwi.

– Przepraszam. – Szybko przetarł zadrapania i już znów był za drzwiami, a Simone z dezaprobatą pokręciła głową.

Trochę później przyszedł z drugą skrzynią. Ta nie wydawała się już tak ciężka. Podał jej

podkładkę z pokwitowaniem.

– Proszę podpisać.

Simone pokwitowała dostawę. Mężczyzna wskazał na skrzynie.

– Muszę je zabrać.

Simone spojrzała na niego zdziwiona.

– Co?

– No, opakowania. Były tylko do transportu.

– Ale…

Wzruszył ramionami i postawił drugą skrzynię obok pierwszej. Stanął z założonymi rękami i wyglądało na to, że nie ma zamiaru sam wyjmować ich zawartości.

Simone parsknęła i rozerwała folię. Drewniana osłona odeszła razem z folią.

– Nie da się oszczędniej, co?

– Nie wolno nam przewozić niezapakowanego towaru.

Wskazała drewniany stojak, na którym leżało siodło.

– A co z tym? To też musi pan zabrać?

– Nie, to jest w komplecie.

Simone wcisnęła mu w ręce folię oraz drewniane listwy.

– Proszę bardzo.

– No, to do widzenia – powiedział i wyniósł się z mieszkania razem z opakowaniami i wózkiem transportowym.

Teraz więc siodło i dwa kufry, które były niemal tak samo wysokie jak ona, stały na środku salonu. Simone ostrożnie obmacała jeden z kufrów. Czuła zapach starej, wyschniętej skóry. Zewnętrzna osłona była lekko popękana, tu i tam przy skórze wisiały kłębki kurzu. Rogi i kanty były pokryte grubym ciemnym materiałem. Szybko oceniła, że kufry miały do najmniej sto lat i były starsze od wielu innych przedmiotów, które widziała na aukcji. Co mogło się w nich znajdować? Simone oparła się jednak pokusie zajrzenia do środka. To do niej nie pasowało, zresztą nie była to jej sprawa. Będzie musiała postarać się o nowe opakowanie, gdyby te rzeczy miały kontynuować swoją podróż. Prawdopodobnie powinno się coś znaleźć w galerii Jensa. Jens… Simone wykrzywiła twarz i odwróciła się do toreb z zakupami.

Kiedy szafki z zapasami i lodówka były znów pełne, oparła się rękami o kuchenny blat i przyglądała się pięciu butelkom czerwonego wina, które kupiła. Spojrzenie na zegarek powiedziało jej, że było już po południu. Nie musiała już dzisiaj nigdzie wychodzić. Zdecydowanym ruchem chwyciła butelkę spätburgundera, odkorkowała ją i wzięła kieliszek z regału. Wino pachniało słodyczą i owocami.

Czerwone wino, rześkie letnie wieczory, Francja… Spędzili z Jensem niejeden piękny urlop w tym kraju. Simone ponownie musiała przyznać, że ich związek już od dawna nie był tak beztroski jak wtedy. Jak będzie wyglądał w przyszłości? Czy w ogóle będą potrafili się jeszcze odnaleźć? Popiła ponure myśli dużym łykiem wina. Alkohol sprawił, że ciepło rozeszło się po jej całym ciele. Spostrzegła, że trochę się odprężyła. Po pierwsze, nie przedstawiać wszystkiego w czarnych kolorach, postanowiła. Już wcześniej często się kłócili. Oczywiście Jens też powinien kiedyś pomyśleć o ich związku. W końcu dłużej tak się nie da. Wzięła do ręki kieliszek, ominęła zajmujące dużo miejsca kufry i usiadła wygodnie na sofie.

Trzy dni później jej plan dnia niewiele się zmienił. Spała długo i niespokojnie, około

południa przeniosła się z łóżka na sofę, przy czym znów musiała przecisnąć się obok kufrów, które wciąż stały na środku pokoju. Na stoliku przy sofie piętrzyły się opakowania po czekoladzie i herbatnikach, Simone była na bieżąco z każdym telewizyjnym serialem, a jedyną osobą, która dzwoniła do jej drzwi, był dostawca pizzy. Żadnego telefonu, żadnej wiadomości od Jensa, a także od człowieka, który zlecił jej kupno kufrów. Wiedziała, że musi pilnie poszukać sobie pracy. Ale za każdym razem kiedy spoglądała na komputer, coś się w niej zacinało. Czuła ołowiany ciężar, który wręcz zmuszał ją, aby nie wstawała z sofy. Czy ostatecznie wpadnie w depresję? Nawet nie przypuszczała, że może być taka rozlazła.

Simone wpatrywała się na zmianę w telewizor i ekran leżącej obok niej komórki. Narastała w niej coraz silniejsza potrzeba, by zadzwonić do Jensa. Kilka razy brała do ręki telefon, aby po chwili znów go odłożyć. Nie, nie zadzwoni do niego. Kiedy on wreszcie wróci? Już od dawna nie czuła się taka samotna. Powiedziała sobie, że musi powoli ruszyć tyłek. Gdyby zabrała się do pracy, poczucie, że Jens ją opuścił, nie byłoby aż tak dojmujące. Ale biurko stojące w rogu pokoju już od wielu dni było osierocone. Ekran komputera wyglądał jak budząca wyrzuty sumienia czarna dziura, przed którą piętrzyła się sterta papierów – rachunków, które trzeba było przejrzeć i, w miarę możliwości, zapłacić.

Simone naciągnęła narzutę pod brodę i unikała spoglądania na biurko. Z czego miała zapłacić rachunki w tym miesiącu? Pieniędzy na koncie nie wystarczy, a w końcu musiała przecież za coś żyć. Na razie nie miała na oku innego zlecenia – nie mogło być inaczej, skoro nie była w stanie wziąć się w garść przynajmniej na tyle, żeby przeczytać e-maile. Jakby sama sobie rzucała kłody pod nogi! Być może naprawdę przyszła pora, aby poszukać innego zajęcia... Ścisnęło ją w żołądku. Nie! Jeszcze się nie podda! Być może Jens faktycznie załatwi coś w Dreźnie i nowa wystawa odniesie choćby niewielki sukces. Zazwyczaj udawało mu się sprzedać kilka obrazów. A jej należała się jeszcze prowizja z ostatniej aukcji. Na kilka tygodni powinno wystarczyć. Ale dopóki kufry i siodło stały tu, w jej salonie, i zlecenie nie było zakończone, nie powinna dotykać tych pieniędzy.

W pokoju unosił się stęchły zapach starej skóry, którą pokryte były kufry. Najwyższa pora, aby pozbyć się tych gratów. Było dla niej zagadką, dlaczego nikt się nie zgłaszał. Codziennie miała nadzieję, że wkrótce znajdzie pisemną wiadomość w skrzynce pocztowej. Ale brakowało jej tak samo jak telefonu, na który też czekała.

Spojrzała przez ramię w stronę kuchni. Na blacie stała jeszcze butelka wina. Akurat tej nie kupiła sama, alkohol był dodatkiem przyniesionym przez dostawcę pizzy. Prawdopodobnie, ze względu na rekordową liczbę zamówień, została tam klientem tygodnia.

Kiedy nagle zadzwonił telefon leżący na sofie, wzdrygnęła się ze strachu. Jens? Sięgnęła po komórkę. Na ekranie wyświetlił się numer Karen. Simone wahała się przez chwilę. Czy była w nastroju na rozmowę z nią? Telefon brzęczał dalej, domagając się, żeby go odebrać.

– Halo?

– Simone? Dobrze, że… – W tle rozległy się dziecięce krzyki.

– Halo, Karen. Jak się macie?

Przez następne pół godziny Simone wysłuchała opowieści o kłopotach, szkolnych ocenach, o popsutych drzwiach do garażu i jakichś ozdobnych drzewkach, które odważyły się zbrązowieć w wypielęgnowanym ogrodzie Karen. Simone nic nie powiedziała przyjaciółce o swoich zgryzotach. Jeszcze nie. Być może znów wszystko będzie dobrze. Zapytana przez Karen, opowiedziała tylko o swoim pobycie w Hamburgu i podkreś-liła, że wszystko jest w porządku. Gdyby przyjaciółka stała przed nią, nie uwierzyłaby Simone, za dobrze ją znała. Ale kiedy dziecięca paplanina w tle stawała się coraz bardziej natarczywa, Karen postanowiła zakończyć rozmowę.

– Koniecznie musisz do nas przyjechać tego lata, nam uda się wyrwać do Berlina dopiero jesienią. Hanna idzie do szkoły, a Mathias ma komunię… Aha, pozdrów ode mnie Jensa. Powiedz mu, że *Hortensje w świetle poranka* świetnie prezentują się w naszym salonie.

– Dobrze, przekażę mu – obiecała.

Karen i jej mąż od czasu do czasu kupowali obrazy z galerii Jensa. Ale trudno powiedzieć, czy robili to ze względu na niego, czy dlatego, że naprawdę im się podobały. Jens natomiast zawsze chwalił dobry gust męża Karen i przeklinał liczne odciski małych dziecięcych palców, z którymi wiązała się każda wizyta monachijczyków w jego galerii.

Podczas rozmowy z Karen słowa przemykały obok Simone niczym orkan, dlatego nagła cisza, która zaległa, kiedy się rozłączyły, wydała się jej czymś wspaniałym. Ale rozmowa obudziła w Simone siły witalne. Podeszła do kredensu i nalała sobie wina. Było gorzkie i miało wodnisty smak. Zatopiona we własnych myślach spojrzała na kufry. A co, jeśli w środku znajdowało się coś zaskakującego? Nie stare ubrania, lecz… może zwłoki?

Stanowczo oglądasz za dużo telewizji, złajała się w myślach. Gdyby rzeczywiście było tam ciało, czułaby jego zapach, prawda? Wcale nie, jeśli został z niego tylko szkielet – odpowiedział ociężały od wina głos w jej głowie.

– Psiakrew. – Niechętnie odstawiła kieliszek. Teraz jeszcze i to, teraz spanikowała.

Na dworze zaczynało się powoli ściemniać, salon oświetlał teraz tylko migoczący ekran telewizora. Simone podeszła do kufrów i przyjrzała się im dokładniej. Nie miały nowoczesnych zamków szyfrowych ani innych urządzeń do zamykania. Zamiast nich były cztery zatrzaski. Prawdopodobnie po ich otwarciu można było rozłożyć połówki jak skrzydła. Przy czym kufry za każdym razem zmieniały się w szafy, ponieważ nie leżały, lecz stały pionowo. Właśnie dlatego używano ich podczas długich podróży. Simone przypomniała sobie, że podobny kufer stał kiedyś w sklepie jej ojca.

Ostrożnie dotknęła jednego z zatrzasków. Przejechała po nim palcem wskazującym i ku jej zaskoczeniu zatrzask się poruszył. Otworzył się z cichym klapnięciem, potem drugi, trzeci i czwarty. Ciekawość już dawno przejęła kontrolę nad jej dłonią.

Kiedy Simone uświadomiła sobie, co właśnie zrobiła, zamarła przerażona i popatrzyła na otwarte zamki. Szybko się odwróciła i wypiła jeszcze jeden duży łyk wina.

No już, otwórz, po prostu zajrzyj do środka – mówił natrętny głos w jej głowie.

Nie! Nie słuchaj tego. Zawiodłabyś tym zaufanie klienta! To nie było w jej stylu.

A jeśli w środku jest coś innego… na przykład szkie…

Spokój!

Simone cicho westchnęła. A głos w jej głowie naprawdę nakłaniał ją, aby zajrzała do środka – musi to uczynić, jeśli nie chce nadal panicznie bać się tych kufrów.

Postanowiła, że tylko rzuci okiem na ich zawartość. Jeden jedyny raz! Potem znów zamknie kufry i prawdopodobnie nikt się nie zorientuje. A jeśli nawet… no cóż, wtedy powie, że po prostu same otworzyły się w transporcie. Ostatecznie były stare. Zdeterminowana podeszła do pierwszego kufra, chwyciła obie boczne części i je rozchyliła. Skrzydła się otworzyły, wydając przykry dźwięk, kiedy tarły o podłogę. W środku nie było zwłok ani szkieletu.

Simone odetchnęła z ulgą. Naprawdę powinna pić mniej wina. Mimo to zawartość kufra wzbudziła jej żywe zainteresowanie. Cofnęła się o krok i poszukała ręką włącznika światła przy aneksie kuchennym. Jarzeniówka nad blatem zapaliła się, bzycząc. Wnętrze kufra rozbłysło i zamigotało tak, że w pierwszej chwili oślepiło Simone. Jej oczy szybko przyzwyczaiły się do jasnego, zimnego światła jarzeniówki i krystalicznego blasku niezliczonych cekinów naszytych na różne części ubrań, które starannie wisiały na poprzecznym drążku jak w szafie – złoto-srebrne żakiety z misternie wykonanymi ozdobami, ściśnięte pomiędzy falbaniastymi

i tiulowymi spódnicami. Bez wątpienia to były stroje kobiece. Simone odnosiła wrażenie, jakby ktoś starannie powiesił je tam dopiero wczoraj. Kiedy dokładniej im się przyjrzała, doszła do wniosku, że ubrania były stare, bardzo stare. Cekiny wciąż błyszczały, ale materiał wyblakł i lekko się zakurzył.

Z prawej strony kufra znajdowały się szuflady. Gdy Simone ostrożnie otworzyła jedną z nich, jej oczom ukazał się okropny bałagan, przemieszane ze sobą opaski na włosy, ozdoby i chustki. Zaciekawiona otworzyła następną. W środku leżały białe rękawiczki, wyraźnie zużyte, ale choć ich skóra była popękana, ponadczasowa elegancja rzucała się w oczy.

Simone przyglądała się swojemu odkryciu. Kiedyś ten kufer należał do kogoś, kto pracował w show-biz-nesie. Może w teatrze?

Jej wzrok padł teraz na siodło z misternymi ozdobami. Nagle wszystkie wrażenia złożyły się w całość. Przypomniała sobie, jak poszła z ojcem do cyrku. Ile lat mogła wtedy mieć… Może osiem? A może jeszcze mniej? Dookoła areny pędzono ogniste konie, które niosły na grzbietach cyrkowych jeźdźców w błyszczących kostiumach… Była pewna: zawartość tego kufra musiała należeć do jednej z takich woltyżerek. Dawniej, kiedy nie było jeszcze sitcomów ani w ogóle telewizji, cyrkowi jeźdźcy byli prawdziwymi gwiazdami.

Simone sączyła wino. Myślami wróciła do domu, w którym wylicytowała kufry. Nie pasowały do jego obrazu. Poza nimi nie wystawiono tam na sprzedaż niczego zagadkowego. Były to po prostu przedmioty należące do zamożnych właścicieli.

Otworzyła drugi kufer. Ciekawość zwyciężyła, a zresztą teraz nie miała aż takich skrupułów, co to za różnica, czy otwarty był jeden, czy oba kufry? W drugim kufrze, obok innych ubrań, znajdowało się dziesięć par butów: skórzane buty z cholewami, buty do jazdy konnej, o zgrabnym fasonie, zapewne zrobione na kobiece stopy. Wykonane z dobrej skóry i wiele lat pielęgnowane. Simone nagle odniosła wrażenie, że czuje zapach koni.

Zostawiła kufer otwarty i dolała sobie wina. Teraz jej ciekawość, kto zgłosi się po odbiór wylicytowanych rzeczy, znacznie się nasiliła. Chciała wiedzieć, dla kogo te cyrkowe kostiumy przedstawiały jeszcze jakąś wartość. Była przekonana, że kryje się za tym jakaś niezwykła historia.

Simone musiała przyznać, że chętnie by ją poznała. Opróżniła ostatni kieliszek wina i postanowiła, że przyjrzy się kufrom jutro, kiedy będzie miała jaśniejszy umysł. W wystarczającym stopniu odczuła już działanie wina, była zmęczona i bolała ją głowa.

Następnego ranka o szyby w oknach jej sypialni załomotał deszcz albo grad i bezceremonialnie wyrwał ją ze snu. Potrzebowała chwili, aby odzyskać orientację. Która godzina? Macała ręką, szukając przycisku, którym włączało się podświetlenie w budziku. Cyfry zaświeciły na zielono. Siódma trzydzieści. Z jękiem opadła na poduszkę. Bolała ją głowa i było jej niedobrze. Przeklęte wino. Ale teraz już z nim koniec. Od dzisiaj wraca do codzienności i zawalonego papierami biurka. I to od razu!

Simone wiedziała, że jeśli teraz nie wstanie, w jej biedne ciało nie wstąpi życie. Zdecydowanym ruchem wystawiła nogi poza brzeg łóżka i starała się zignorować mroczne uczucie w głowie. W koszuli nocnej przeszła przez ciemne mieszkanie. Na dworze panowała paskudna pogoda i do mieszkania wpadało tylko słabe światło. W salonie było nieprzyjemnie zimno. Powinna odkręcić kaloryfery. I włączyć światło, ale nie zrobiła tego, bo niechybnie spowodowałoby ból jej oczu. Szła zamyślona, zaspana, po omacku i zderzyła się z czymś zajmującym dużo miejsca. Kufry! Cholera! Zdecydowanym chwytem spróbowała zapobiec najgorszemu, ale duży kufer, który stał pionowo, już się przechylił. Simone nie zareagowała

wystarczająco szybko. Kufer z głośnym hukiem upadł na podłogę.

Simone wyrzuciła w górę ramiona i cicho zaklęła. Musiała włączyć światło. Kiedy żyrandol pod sufitem rozbłysnął, ukazał się obraz katastrofy. Ubrania zsunęły się z poprzeczki, z dwóch szuflad wysypała się zawartość. Dookoła kufra leżały w nieładzie różne przedmioty. Oby tylko nic się nie zniszczyło! Sumienie Simone powiedziało dobitnie: w ogóle nie powinnaś była otwierać kufrów!

Oddychała głęboko.

– Simone Berger! Uspokój się i po prostu jeszcze raz zacznij ten dzień – powiedziała do siebie na głos.

W pierwszej kolejności zrobi sobie kawę i oceni szkody. Nie odeszła od ekspresu, dopóki kubek się nie napełnił. Pierwszy łyk gorącego napoju dodał jej energii i przegnał ponure myśli. Wróciła do sypialni, żeby się ubrać.

Po chwili obeszła kufer dookoła. Ostrożnie zebrała ubrania z podłogi, położyła je na sofie i starannie pozbierała drobne przedmioty. Szpilki do włosów, guziki, duże broszki, z których jedna była misternie wypracowanym motylem, a także kilkanaście białych rękawiczek położyła najpierw na stoliku obok sofy.

Potem się schyliła, podniosła kufer i ponownie postawiła go pionowo. Był naprawdę ciężki, nawet bez zawartości. Szukając wgnieceń i zadrapań, przyglądała się zewnętrznej okrywie i jednocześnie wygładzała pokryte skórą narożniki. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nic nie uległo uszkodzeniu. Simone zamknęła obie szuflady i znów je otworzyła. Tu też wszystko działało nienagannie. Odetchnęła. Starannie powiesiła ubrania z wieszakami na poprzeczce. Nie mogła sobie przypomnieć, czy wisiały w jakimś określonym porządku; miała nadzieję, że później nikt tego nie zauważy.

W chwili kiedy powiesiła w kufrze ostatni ozdobiony złotym haftem żakiet, jej wzrok padł na coś niebieskiego przy brzegu kufra na dole. Simone schyliła się, by to podnieść, ale koniec przedmiotu mocno utkwił w szczelinie zewnętrznej obudowy kufra. Simone uklękła. To coś wyglądało jak kawałek jedwabnej wstążki. W miejscu, w którym wysunęła się z obudowy, było widać szparę. O nie! Czyżby jednak doszło do uszkodzenia kufra? Ostrożnie pociągnęła wstążkę, ale wyglądało na to, że o coś się zaczepiła. Odchyliła obudowę kufra tak bardzo, jak to tylko było możliwe, i zbadała wewnętrzną jego wyściółkę. Wykonano ją z zapewne miękkiej kiedyś skóry, która teraz stała się wyschnięta i porowata. W lewym dolnym rogu wewnętrzna okładzina była rozerwana na długość ponad dwudziestu centymetrów. Czy to uszkodzenie było stare, czy też to ona przyczyniła się do jego powstania? Delikatnie przeciągnęła palcem po rozdarciu.

Zaskoczona usłyszała szelest. Wsunęła w szparę dwa palce i wymacała nimi papier. Pod wyściółką coś było! Ciekawość znów wzięła górę nad głosem sumienia. Simone wpełzła pod poprzeczkę, na której wisiały ubrania, i obmacała całą wyściółkę kufra od wewnątrz. W połowie jej wysokości jej dłoń natrafiła na coś, co mogło być zawiasem. Następnie poszukała po przeciwnej stronie mechanizmu, za pomocą którego otwierało się domniemaną klapę.
I rzeczywiście: pod dwiema warstwami skóry kryły się dwie małe zasuwki.

Zanim sumienie zdążyło jej tego zabronić, odsunęła zasuwki. Klapa otworzyła się, a oczom Simone ukazała się... pusta przestrzeń. Skrytka? A może po prostu miejsce, gdzie przechowywano w takich kufrach dokumenty? Nie, zamknięcie było na to zbyt dobrze ukryte. Simone poczuła dreszcz podniecenia. Odkryła tajny schowek – i coś się za tym kryło.

Może na dziś wystarczy? – powiedziała sobie w duchu. Ciesz się, że nic się nie uszkodziło. To nie jest twoje!

Simone zmieniła pozycję i usiadła przed kufrem po turecku. Zamyśliła się. Racjonalną

refleksję, że tak czy inaczej musi wszystko znów włożyć na swoje miejsce, zdominowało przypuszczenie, że być może… być może zawartość kufra zawiera jakąś wskazówkę na temat właściciela wylicytowanych przez nią przedmiotów. W końcu stały w jej salonie już od kilku dni. Czy nie powinna sprawdzić każdego możliwego śladu?

Simone szybko wstała i sprawdziła drugi kufer. Nic. Ten nie miał skrytki. Ponownie usiadła przed pierwszym i patrzyła, jakby chciała go przewiercić wzrokiem. Po prostu nie mogła się oprzeć. Niepewnie sięgnęła do ukrytej kieszeni i wyjęła z niej pakiet kopert obwiązanych niebieską jedwabną wstążką. Kierowana ciekawością ponownie sięgnęła do kieszeni i natychmiast stwierdziła, że ukryto tam coś jeszcze, coś większego i cięższego niż listy. Ostrożnie to wyjęła. Były to trzy książki, prawdopodobnie pamiętniki, również starannie obwiązane wstążką. Simone wstała z trudem, położyła znalezione rzeczy przed sobą na kuchennym blacie i badawczo im się przyglądała. Na zewnątrz deszcz wciąż dudnił o szyby, a okna trzeszczały od silnych porywów wiatru. Simone również się trzęsła, z zimna, i ponownie włączyła ekspres do kawy. Kiedy wydał z siebie ciche syczenie i młynek mełł ziarna, zamyślona przejechała palcem po jedwabnej wstążce, która trzymała razem pamiętniki. Ich oprawa była wykonana z cienkiego materiału, a papier dawno już pożółkł. Wyglądały na bardzo stare.

Simone poczuła ucisk w żołądku. Gorączka myśliwska, jak podczas aukcji… Postawiła kawę na stoliku przy sofie, potem przyniosła leżące na kuchennym blacie pamiętniki i listy i położyła je przed sobą, w bezpiecznej odległości od kawy. Lepiej nie myśleć, co by się stało, gdyby przydarzył się jeszcze ten pech!

Usiadła po turecku na sofie, naciągnęła narzutę na nogi i niezdecydowana przyglądała się znalezisku. Czy naprawdę powinna była? Obok niej siedział na sofie szmaciany miś. Czy nie patrzył na nią wręcz zachęcająco?

Wzruszyła ramionami. Było dość nieprawdopodobne, żeby właściciel pamiętników wciąż przebywał wśród żywych. I prawdopodobnie… prawdopodobnie ostatni właściciel kufra w ogóle nie wiedział, że była w nim tajna kieszeń.

Simone sięgnęła po pakiet książek i rozwiązała jedwabną wstążkę. Krótką chwilę przyglądała się kupce, na okładkach na górze z prawej strony starannie zanotowano daty. Na pierwszej widniał rok 1916. Tę znajdującą się na wierzchu książkę Simone zatrzymała na kolanach, pozostałe odłożyła na stolik. Niemal z czcią ją otworzyła i przez chwilę uważnie przyglądała się pierwszej stronie. Był to odręcznie napisany pamiętnik.

Simone oparła się wygodnie, zignorowała wszystkie napominające ją niewygodne myśli i zaczęła czytać.

Rozdział 3

Hamburg, 26 czerwca 1916

Kochana siostro,

bez Ciebie dom jest dziwnie pusty. Vivi, zapomniałaś, co sobie kiedyś przyrzekłyśmy? Na dobre i na złe – ponieważ jesteśmy siostrami! Tylko dlaczego ode mnie uciekłaś? Czy zmusiło cię do tego życzenie rodziców? Są załamani. Pozostałam ja, córka, która nie może dać im tego, do czego ty z pewnością byłabyś…

Parę tygodni wcześniej

Viviane biegła. Letni kapelusz zsunął się jej na kark i wysypały się spod niego jasne, złote włosy. Buty z cholewami i skraj spódnicy były pokryte rosą i nasionami trawy.

– No chodź wreszcie, Elli, pośpiesz się! Nie chcę się spóźnić. – Śmiała się, kiedy prześlizgnęła się przez przejście w żywopłocie.

Elisabeth nie biegła. Ostrożnie szła wąską alejką, która prowadziła przez uformowany tarasowo przydomowy park do Blankenese, zakasała skraj spódnicy i omijała każdy nawet bardzo mały kwiatek, aby jej nie ubrudzić. Matka by ją zbeształa. Nie były już małymi dziećmi, którym wolno było ganiać po łąkach, kiedy tylko miały na to ochotę. Były młodymi damami!

Ukradkiem obejrzała się w stronę domu. Prostokątny dwupiętrowy budynek o prostych kształtach wznosił się dumnie na zboczu, a z dołu wydawał się jeszcze większy i wyższy, niż był w rzeczywistości. Dawniej na zboczu Łaby stały tylko małe rybackie chaty. Obecnie piętrzyły się tu okazałe domy otoczone dużymi ogrodami, umieszczone w rzędzie jak sznur pereł. Od strony fasad do bram wejściowych posiadłości prowadziły alejki ocienione przez drzewa. Do holi wejściowych domów od czasu do czasu dochodziły odgłosy uderzeń kopyt koni ciągnących powozy oraz hałas, jaki robiły automobile. Ale z tyłu w parku panowała cisza zakłócana tylko dźwiękami płynącej rzeki, dzięki czemu człowiek nie odczuwał tego, że mieszka na gęsto zaludnionym terenie. Rybacy już dawno przenieśli się w okolice dolnego biegu Łaby.

Dom rodziny Berentschów był bardzo przestronny. Na dole z holu wejściowego wchodziło się do dużego głównego salonu, który zajmował niemal całą tylną szerokość domu i z którego prowadziły na taras duże dwuskrzydłowe drzwi. Obok znajdował się salon dla pań oraz gabinet ojca połączony z salonem dla panów. Oficjalnie Elisabeth nie miała czego tam szukać, ale lubiła się wślizgiwać do tego pokoju, ponieważ zawsze unosił się w nim przyjemny słodkawo-zimny zapach tytoniu.

Z holu wejściowego na górne piętro prowadziły ogromne schody. Po lewej stronie znajdowały się sypialnie i prywatne pokoje członków rodziny, a po prawej kilka pokoi gościnnych, które od wybuchu wojny przeważnie stały puste.

Na poddaszu mieściły się pokoje osób zatrudnionych w gospodarstwie. Ich też było z dziesięć. Obecnie mieszkała tam już tylko Tilla, pokojówka. Käthe, kucharka, codziennie rano jeszcze przed świtem przychodziła pieszo z Sülldorf, gdzie mieszkała z mężem i czwórką dzieci. Kuchnia i pomieszczenia gospodarcze znajdowały się w piwnicy. Ponieważ dom stał na zboczu, tam także było z tyłu prawdziwe okno.

Dom ze wszystkich stron otaczały wysokie drzewa, w wysokich oknach na pierwszym piętrze odbijało się jak w lustrze błękitne niebo. Elisabeth kochała swój dom.

Park, przez który dopiero co przeszła i który ciągnął się od tarasu w dół do stromego brzegu, był podzielony rabatami i żywopłotem. Elisabeth jeszcze raz omiotła wzrokiem obie strony domu. Na szczęście nikogo nie zauważyła! Tilla i Käthy często spędzały przerwę obiadową w pobliżu bocznego wejścia, które prowadziło do kuchni oraz pomieszczeń gospodarskich. Co prawda duży taras za domem zasłaniał personelowi widok na ogród, ale nigdy nie było wiadomo, jak daleko prostolinijna Tilla mogła odejść od budynku, aby schronić się w cieniu rosnących w ogrodzie drzew. A gdyby tak się stało, z pewnością usłużnie doniosłaby matce o wycieczce córki.

Wtedy nie spędzało się czasu na włóczeniu się po parku bez określonego celu. Dawniej na tarasie willi u stóp Süllbergu odbywały się huczne uroczystości, ale teraz… teraz trwała wojna. Teraz już się nie bawiono. Prawdopodobnie to pogodne usposobienie Viviane sprawiało, że Elisabeth mimo wszystko potrafiła cieszyć się z nielicznych cennych godzin, które mogła spędzić ze swoją młodszą siostrą.

Za żywopłotem z krzewów tarniny i czarnego bzu, które ogradzały działkę, na dole, u stóp zbocza, płynęły ciemne niebieskozielone wody Łaby. Rzekę było widać również z wychodzących na tyły posiadłości okien na górnym piętrze, gdzie dziewczęta miały swoje pokoje. Elisabeth nie wiedziała, ile godzin minęło, odkąd zaczęła się przyglądać z okna łodziom. Dawniej w taki dzień jak dzisiaj lekkie jak piórko żagle małych joli można było zobaczyć na wodzie wszędzie, jak okiem sięgnąć. Ale teraz u ujścia Łaby były zakotwiczone okręty wojenne i rzeka utraciła swój dawny radosny urok.

Elisabeth odwróciła się plecami do domu i zauważyła, że Viviane zyskała już nad nią sporą przewagę.

– Vivi, poczekaj, nie idź tak szybko! – zawołała Elisabeth za siostrą stłumionym głosem. Ona również przecisnęła się przez żywopłot i ostrożnie stawiała kroki. Niejedna osoba potknęła się już na wąskiej ścieżce, z której wystawały korzenie i kamienie! Nie należało narażać się na upadek.

Viviane niewzruszenie szła dalej i po drodze zrywała przekwitłe dmuchawce, których lekkie jak piórko białe parasolki unosiły się za nią w powietrzu niczym maleńkie krople deszczu w blasku słońca. Był to jeden z pierwszych dni czerwca i jednocześnie jeden z pierwszych dni, który przyniósł prawdziwie letnią temperaturę.

Viviane miała szesnaście lat i stała u progu doros-łości. Elisabeth, częściowo nieufna, a częściowo zafascynowana, obserwowała, jak jasnowłosa dziewczynka zmieniła się w delikatną młodą kobietę. Co prawda, sama miała osiemnaście lat i też była młodą kobietą, ale nie pamiętała, że również ona przeszła taką cudowną metamorfozę. Viviane wciąż miała w sobie dziecięcą figlarność, podczas gdy jej twarz stała się już poważna, a figura nabrała subtelnych kobiecych kształtów.

Elisabeth natomiast miała uczucie, że co prawda dorosła, ale pozostała chuda i mało kobieca. Ze smutkiem stwierdziła, że zwyczajnie brakowało jej uroku, którym promieniała Viviane. Poza tym nosiła to szczególne piętno, choć wolałaby odsunąć je od siebie jak najdalej. Jednak każde spojrzenie w lustro sprawiało, że znów się z nim stykała.

Zastanowiła się chwilę i szybkim krokiem podążyła za Viviane. Ta biegła już stromą ścieżką w kierunku Łaby. Elisabeth zobaczyła, jak jasnoniebieska spódnica siostry znika za rozwidleniem drogi. Viviane znów ubrała się zbyt kolorowo, uznała Elisabeth, która tak samo jak

większość kobiet wolała proste stonowane sukienki bez wcięcia w pasie, jakie wówczas noszono. Oczywiście, że te szare lub czarne suknie nie były szykowne, szyto je z szorstkiego, wywołującego swędzenie materiału, a ich krój nie podkreślał kobiecej figury. Ale też nie o to chodziło. Były zgodne z wydanym przez Ministerstwo Wojny rozporządzeniem dotyczącym ubiorów. A przy ogólnym braku materiałów nie było dużego wyboru, na dodatek w mieście przeważały kobiety w żałobie i w oczach Elisabeth wesołe kolory były niestosowne.

Viviane natomiast wciąż postrzegała wydarzenia wojenne jak ciemną chmurę na niebie. Wymarsz żołnierzy w pikielhaubach i z bronią na ramieniu dziewczęta traktowały początkowo jak festyn ludowy. Euforycznie machały chustkami za odjeżdżającym pociągiem i śpiewały piosenki na pożegnanie. Ale wydawało się, że Viviane nic sobie nie robiła z przygnębiającego nastroju, który niedługo potem ogarnął miasto i jego mieszkańców.

– Wojna jest daleko stąd – mówiła zawsze, kiedy Elisabeth upominała ją, aby nie zachowywała się zbyt wesoło.

Na brzegu Łaby stykającym się z Falkensteinem musiały skręcić trochę w prawo, następnie przejść pomiędzy ogrodami a Parkiem Rzymskim. Nie miały dużo czasu. Słońce już minęło zenit, a około czwartej po południu matka czekała na nie z herbatą.

Nikt w domu się nie spodziewał, że młode panny nie będą siedzieć spokojnie, tylko wyfruną z domu w poszukiwaniu przygód. A szczerze mówiąc, to Viviane była tą energiczną i ruchliwą, a Elisabeth podążała za nią wiedziona wyłącznie siostrzaną więzią. Przy czym w tamtym czasie włóczenie się po okolicy nie było bezpieczne, a cel, jaki obrała Viviane, nie przystawał damom i wiązał się ze znacznym ryzykiem. Elisabeth rzuciła lekkie przekleństwo i przyśpieszyła kroku. Skraj spódnicy Viviane ponownie znikł za wysokim żywopłotem z cyprysów i bała się, że jej nie dogoni.

– Hej!

Viviane czekała za rogiem i machała bukietem floksów.

– Przestań, uspokój się! – Elisabeth odskoczyła przestraszona, a Viviane się roześmiała. Obie siostry pobiegły dalej cienistym korytarzem pomiędzy starymi wysokimi drzewami.

– Jak myślisz? – Viviane pogłaskała jasnoróżowe kwiaty, które trzymała w ręku. – Czy Jakobsen będzie musiał oddać również swoje konie?

– Jeśli tego wymaga wojna. Nie pamiętasz, co mówił ojciec?

Viviane skrzywiła się i Elisabeth popatrzyła na nią z przyganą. Od dwóch lat młodzi niemieccy żołnierze tracili na frontach wszystko, co mieli, a nawet życie, a Viviane martwiła się o konie! Wszędzie brano je do wojska tak samo jak młodych mężczyzn. Już niejeden sąsiad w Blankenese drżał o swój cenny ekwipaż i musiał się o niego wykłócać. Matka bała się, że jeśli straci swoje dwa kasztany pociągowe, będzie zmuszona przesiąść się do automobilu ojca. W jej oczach samochód był diabelskim wynalazkiem! W wehikule męża, jak chętnie i głośno zapewniała, odczuwała paniczny strach. A ponieważ nie ufała tramwajowi ani nowoczesnej elektrycznej kolei naziemnej, pozostawał jej tylko powóz.

Cokolwiek by mówić, pokazanie automobilu stanowiło dobrą wymówkę, kiedy trzeba się było bronić przed oficerami, którzy dokonywali inwentaryzacji przydatnych dla wojska koni. Ten, kto posiadał będący na chodzie pojazd, raczej nie chciał karmić kosztownych w utrzymaniu koni pociągowych. Dlatego oba kasztany stały do tej pory nie niepokojone w stajni za szopą, w której trzymano automobil, i matka mog-ła jak dawniej jeździć do miasta powozem, nawet jeśli oznaczało to, że konie znów przyciągną uwagę oficerów.

Jednak Viviane mało obchodziły oba grubokościste fryzyjskie konie pociągowe. Według niej nie nadawały się do jazdy wierzchem. Jej serce wyrywało się do koni Jakobsena.

Elisabeth nie wiedziała, z jakiego powodu jej młodsza siostra zapałała taką miłością do

koni. Przecież w rodzinie nikt nie miał bzika na punkcie tych zwierząt. Ojciec lubił wszystko, co wiązało się z motoryzacją, a matka używała koni wyłącznie jako środka transportu. Ale kiedy Viviane była mała i jej guwernantka Hedda zabierała ją na pobliski wybieg dla koni, dziewczynka traciła dla nich głowę. Wówczas ojciec jeszcze uważał, że posyłanie młodszej córki na naukę jazdy konnej to przejaw zamiłowania do sportu, bycia nowoczesnym i czynnik kształtujący charakter. W każdym razie rotmistrz Jakobsen był szanowanym obywatelem przedmieścia Hamburga, Blankenese, i ojca cieszyło, że córka obraca się w dobrym towarzystwie.

Elisabeth nigdy nie wsiadłaby na konia. Lubiła urodziwe zwierzęta, ale brakowało jej odwagi młodszej siostry. Jednak w związku z wybuchem wojny prywatne lekcje jazdy konnej nagle się skończyły i matka wykorzystała dogodną porę, aby przybliżyć córce bardziej kobiece przyjemności. Najpierw były to lekcje tańca, ale w ubiegłych miesiącach raczej robótki na drutach, aby w obliczu nadchodzącej zimy przynajmniej z daleka okazać żołnierzom wsparcie. Robienie na drutach było dla Viviane czymś tak abstrakcyjnym i odległym jak pływanie dla ptaka. Nawet Elisabeth musiała przyznać, że wycieczki na świeżym powietrzu sprawiały jej więcej przyjemności niż siedzenie w dusznym salonie w towarzystwie plotkujących dam.

– Szkoda by było, gdyby zarekwirowali Jakobsenowi konie do nauki jazdy – powiedziała pod nosem Viviane, kiedy młode kobiety zbliżyły się do jego posiadłości. Obcasy butów do jazdy konnej ukrytych pod spódnicą stukały na ścieżce wyłożonej kamiennymi płytami. Nie zrezygnowała z myśli o konnej przejażdżce i cały czas namawiała Elisabeth, żeby poszła z nią do Jakobsena. Viviane miała nadzieję, że będzie mogła dosiąść jednego z jego koni. Jakobsen tymczasem szkolił przeważnie młodych mężczyzn dla jednostek frontowych i nie mógł poświęcać czasu dzieciom dobrze sytuowanych sąsiadów.

Z powodu rozwijającej się motoryzacji młodym żołnierzom bliższe były eleganckie samochody niż końskie grzbiety, ale nagle kawaleria znów zaczęła cieszyć się na froncie prestiżem, a na dodatek dla wielu żołnierzy nie wystarczyło automobili. A że droga na front w siodle była przyjemniejsza niż marsz, wielu młodzieńców, których było na to stać, chciało szybko przyswoić sobie technikę jazdy konnej podczas lekcji u Jakobsena. Na brak zajęcia nie mógł więc narzekać, ale kiedy pojawiała się jasnowłosa Viviane, rzadko potrafił oprzeć się jej urokowi. Gdy tylko przedpołudniowi uczniowie sobie poszli i konie miały oficjalną przerwę, przychodziła pora, kiedy Viviane i Elisabeth kilka razy w tygodniu zakradały się krętą ścieżką do szkoły jazdy konnej.

Elisabeth wiedziała, że igrają z ogniem. Gdyby dowiedziała się o tym matka, z pewnością surowo by je ukarała.

Na teren szkoły weszły od tyłu, ponieważ na drodze i przy głównej bramie ktoś mógłby je zobaczyć.

– Witam piękne panie. – Jakobsen skłonił się z przesadnym szacunkiem, niemal szurając czapką po ziemi, a na jego ogorzałej twarzy zagościł szelmowski uśmiech, kiedy Viviane i Elisabeth wyszły z cienia drzew przy ujeżdżalni. Rotmistrz stał po przeciwległej stronie kwadratowego maneżu. Po powitaniu mizerny niski mężczyzna z pałąkowatymi nogami od razu zajął się swoim uczniem.

Elisabeth nie podobało się, że tego dnia był tam obecny nieznany im jeździec. Kiedy nieufnie się rozglądała, aby upewnić się, czy nikt jej nie widzi, wzrok Viviane przykuł już kłusujący po piachu elegancki karosz.

– Elisabeth, spójrz, to jest Juventus! Czyż nie jest piękny?

– Bardzo dobrze, Philippe. *Volte, s'il vous plaît* – zaterkotał w powietrzu głos Jakobsena, a Elisabeth nie posiadała się ze zdumienia. Francuskie słowa?

Dopiero teraz poświęciła trochę uwagi młodemu mężczyźnie w siodle, dosiadającemu Juventusa. Koń i jeździec tworzyli harmonijny obraz: koń skoncentrowany i oddychający równomiernie w rytmie swoich kroków, jeździec na jego grzbiecie stopiony z ruchem ciała wierzchowca. Mięśnie Juventusa pracowały pod mokrą od potu sierścią, mimo to nie wyglądał na zmęczonego.

Elisabeth usłyszała obok siebie oddech siostry. Patrzyła na konia zafascynowana i lekko drżały jej dłonie, jakby to ona była w siodle i delikatnymi ruchami kierowała Juventusem.

– Kto to jest? – zapytała Elisabeth, patrząc na obcego mężczyznę. Viviane nie odpowiedziała, pogrążona w myślach przyglądała się koniowi.

Po chwili Jakobsen zapowiedział koniec lekcji.

– Philippe, było dobrze. *Les rênes, s'il vous plaît*. Popuść mu cugli. – Ponownie zdjął z głowy czapkę i brnąc w piasku, podszedł do stojących przy płocie młodych dam.

– Panienko Viviane, panienko Elisabeth. – Życzliwie skinął głową.

Viviane nie potrafiła dłużej powściągnąć ciekawości. Wpatrując się w jeźdźca na karym Juventusie, zapytała:

– Panie Jakobsen, kim jest pański nowy uczeń?

– Czyżby był Francuzem? – wyrwało się Elisabeth.

Nauczyciel jeździectwa oparł się plecami o płot i również obserwował jeźdźca i konia.

– To Philippe. Jego grupa adeptów jeździectwa ma właśnie gościnne występy w cyrku Hagenbecka.

– Dlaczego wolno im dawać gościnne występy? – Elisabeth cisnęły się na usta kolejne pytania. Ale Jakobsen machnął ręką.

– Zagraniczni wędrowni artyści mają specjalne zezwolenie, jeśli przebywali na terenie kraju jeszcze przed początkiem wojny – odpowiedział zwięźle. – Chce kupić ode mnie konia lub nawet dwa.

Viviane nie interesowało, skąd pochodził jeździec.

– Przecież nie może pan sprzedać Juventusa! – Była wyraźnie oburzona.

– Dziecko, a co mam zrobić? Zanim wyślą moje ogiery razem z innymi końmi na front, wolę oddać je…

– Do cyrku?! – Głos Viviane przycichł.

– To nie są zwykli artyści cyrkowi. Przyjrzyj mu się. – Wskazał na młodego mężczyznę. – W całym moim życiu widziałem zaledwie kilku tak utalentowanych jeźdźców.

Viviane zmarszczyła czoło, ponieważ wiedziała, ile znaczyła pochwała, którą rotmistrz właśnie wygłosił.

Mężczyzna się zastanawiał.

– Dziewczyno, niestety dzisiaj nie mogę dać ci konia do jeżdżenia. Być może jutro. – Wskazał na Juventusa. – W najbliższych dniach Philippe chce wypróbować jeszcze inne konie. Mogłabyś je rozgrzewać pod siodłem.

Elisabeth cicho parsknęła. W tej chwili jej młodsza siostra została zdegradowana do roli koniucha, i to jeszcze u jakiegoś Francuza! Ale twarz Viviane się rozpromieniła.

– Bardzo chętnie, panie Jakobsen, w takim razie przyjdziemy jutro.

Karosz, ściągnięty cuglami przez jeźdźca, zatrzymał się obok Jakobsena.

– Czy nie zechciałby pan przedstawić mnie tym młodym damom? – W głębokim melodyjnym głosie młodego mężczyzny było słychać akcent, który wywołał u Elisabeth nieunikniony błogi dreszcz.

– Philippe Chervon. Elisabeth i Viviane Berentsch.

– Bardzo mi miło. – Elisabeth usłyszała głos Viviane i zauważyła, jak siostra przenosi wzrok z konia na jeźdźca. Otwarcie się do niego uśmiechała. Elisabeth tylko skinęła głową, starając się przy tym zachować kamienną twarz, i opuściła głowę, tak jak robiła zawsze, kiedy istniało niebezpieczeństwo, że będzie mierzyć kogoś wzrokiem o jedną chwilę za długo.

– Dobrze, w takim razie kontynuujemy jutro. Teraz można już odprowadzić Juventusa do stajni – ponaglił Jakobsen. – Moje panie. – Przyjaźnie skinął im na pożegnanie, z uznaniem poklepał karosza po szyi i oddalił się razem z jeźdźcem.

– Chodź, wracamy do domu. – Elisabeth trąciła młodszą siostrę łokciem. Viviane, której spojrzenie było wciąż skierowane na Philippe'a, wzdrygnęła się.

Punktualnie o czwartej matka czekała na nie w salonie dla pań z popołudniową herbatą. Był to rytuał, od którego nie dała się odwieść nawet z powodu wojny.

Dziewczęta pośpiesznie wślizgnęły się do domu przez tylne drzwi, w holu wejściowym przy łukowatych schodach zdjęły buty i trzymając je w dłoniach, wbiegły na górę. Matka oddawała się popołudniowemu odpoczynkowi, dlatego o tej porze nikt nie chodził po domu, ale miała bardzo wrażliwy słuch. W korytarzu na piętrze Elisabeth i Viviane rozdzieliły się, poszły do swoich pokoi i zmyły kurz z twarzy i rąk.

Trochę później Elisabeth usłyszała kroki matki i duży stojący zegar w holu wejściowym wybił godzinę czwartą. Teraz również dla dziewcząt przyszedł czas, aby zejść do salonu na rzekomy popołudniowy odpoczynek. Jeszcze na schodach Elisabeth szybko wyjęła z włosów Viviane zbłąkany kwiat. Przed drzwiami do salonu wygładziły ubrania. Viviane chichotała. Sprawiała wrażenie ożywionej i podnieconej. Elisabeth położyła ostrzegawczo palec na ustach i miała nadzieję, że matka nie zauważy niczego nadzwyczajnego.

Gertrud Berentsch siedziała już przy małym stoliku i uważnie zmierzyła córki wzrokiem, kiedy weszły do pokoju. Zasłony w salonie dla pań były do połowy zaciągnięte. Matka nie lubiła słońca, przywiązywała wagę do wytwornej bladości.

Viviane, siadając, wierzchem dłoni otarła z czoła coś, co nie przystawało damie.

– Coś ci dolega, moje dziecko? – Gertrud Berentsch ściągnęła wargi, zanim wysączyła łyk herbaty, i zatrzymała badawczy wzrok na Viviane.

– Ależ nic mi nie jest, mamo. Prawdopodobnie to z gorąca. – Viviane na potwierdzenie powachlowała dłonią, kierując powietrze w swoją stronę.

Elisabeth, która zajęła miejsce obok siostry, zmieszana wpatrywała się w swoją filiżankę. Ale wydawało się, że dzisiaj ich matkę zajmowało coś ważniejszego niż martwienie się stanem zdrowia Viviane.

– Dziewczęta, przyszła pora, aby porozmawiać o jesiennym balu. – Gertrud Berentsch odstawiła filiżankę z cichym brzękiem. W czasach takich jak te było trudno zachować umiar pomiędzy odpowiednią dozą powściąg-liwości a wypełnianiem obowiązków towarzyskich. Elisabeth nie lubiła takiej farsy. Bywanie na balach nie uchodziło w czasie wojny. Mimo to bale się odbywały, przeważnie pod pretekstem zbierania datków na rzecz żołnierzy. Według oficjalnych planów wspomniany jesienny bal miał być imprezą charytatywną, ale nieoficjalnie matka dążyła do wydania córek za mąż za pozostałych jeszcze w ojczyźnie mężczyzn.

Elisabeth po krótkim namyśle spojrzała na twarz matki. Gertrud Berentsch była piękną kobietą, co pozwalało przeczuć, na jak wyjątkowy kwiat wyrośnie pewnego dnia Viviane. Włosy matki, niegdyś w kolorze złotego blondu, teraz przetykały siwe kosmyki, co jednak nie ujmowało jej młodzieńczego wdzięku. Na szczupłej wyrazistej twarzy prawie nie dostrzegało się

zmarszczek i można się było tylko domyślać, że kobieta zbliżała się do pięćdziesiątego roku życia. Jako żona kupca Otto Berentscha miała wysoką pozycję i była ceniona w sferach towarzyskich Hamburga. I w przeciwieństwie do ojca Elisabeth, który musiał sobie wypracować odpowiednią pozycję, ona pochodziła ze starej kupieckiej rodziny.

Matka starannie wygładziła brukselską koronkę przy rękawach bluzki. Ze śmiechem zignorowała ulotkę z rozporządzeniem dotyczącym ubioru, które przed rokiem zostało wydane dla mieszkańców Hamburga. – Dwa garnitury, jeden płaszcz, dwie marynarki, dwie pary spodni, trzy koszule i kalesony, trzy pary butów i cztery pary skarpet – przeczytała na głos, przez chwilę się namyślała, wreszcie zawyrokowała: – Nic tu nie ma o sukniach. – Dlatego też dzisiaj nieodmiennie była ubrana w suknię ze szlachetnej tkaniny.

Wydawało się, że Gertrud Berentsch się zastanawia, kiedy przyglądała się córkom. Czysta forma uprzejmości, pomyślała Elisabeth, ponieważ matka z pewnością już drobiazgowo zaplanowała bal, na którym miała zadebiutować Viviane. Czegoś takiego nie zostawiało się przypadkowi, a już na pewno nie w czasie wojny.

Elisabeth poczuła bolesne ukłucie w okolicy żołądka. W tym roku Viviane zadebiutuje na jesiennym balu. Trudno wprawdzie było wyobrazić sobie gorszą porę, mimo to pani Berentsch nawet wojna nie powstrzymałaby przed wprowadzeniem córki do towarzystwa. Elisabeth nie przypadł ten zaszczyt, co wiązało się z nieszczęśliwą okolicznością: Gertrud Berentsch uważała, że nikt nie będzie chciał poślubić jej starszej córki. Ale nigdy nie powiedziała tego głośno. Szesnasty i siedemnasty rok życia Elisabeth przeszły bez echa, a cała uwaga była skierowana na Viviane. I tak Elisabeth osiągnęła pełnoletniość bez swojego wielkiego wejścia do towarzystwa. Dobrze, że w tym roku pozwolą jej przynajmniej uczestniczyć w balu jako cień Viviane, ale to nie będzie jej bal, nie będzie jedną z debiutantek, na których skupi się uwaga. Zgodnie z tradycją bal miał się odbyć w hotelu Rohr na Süllbergu. Tutaj, w sali tanecznej, w świetle kryształowych luster spotykały się młode pary. Żołądek Elisabeth zawiązał się w bolesny supeł. Głos matki raptownie wyrwał ją z zamyślenia.

– Viviane, pomyślałam już o liście gości. – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na stoliku pojawiła się kartka papieru.

Viviane bez słowa wzięła ją do ręki.

Matka palcem wskazującym postukała od tyłu w pismo.

– U góry są młodzi mężczyźni, na których powinnyśmy zwrócić szczególną uwagę.

Elisabeth z zaciekawieniem nachyliła się do siostry. Na liście nie było wiele nazwisk. Wojna przerzedziła wyższe sfery. Niemała liczba synów z dobrych domów w euforii wyruszyła na front, aby służyć ojczyźnie.

– Co rozumiesz pod pojęciem „szczególna uwaga", matko? – W oczach Viviane pojawiła się nieufność.

– No cóż, dziecko. – Matka pojednawczo pogłaskała dłoń młodszej córki. – Twój ojciec i ja zgodziliśmy się co do tego, że najlepiej będzie, jeśli jeszcze przed tą zimą wybierzemy dla ciebie odpowiedniego partnera do zaręczyn. Nie możemy już z tym nazbyt długo czekać. Wkrótce wojna wezwie wszystkich lepszych synów, a kto wie… – westchnęła teatralnie – kto wie, jak długo to wszystko jeszcze potrwa.

– Chcecie wydać mnie za mąż za pierwszego lepszego? – Viviane tak energicznie zerwała się z krzesła, że aż się przewróciło.

– Siadaj! – Ton głosu matki nie dopuszczał sprzeciwu. Ale dodała coś pojednawczego: – Viviane, moje dziecko, chyba nie chciałabyś skończyć jako stara panna…

Elisabeth bardzo wyraźnie zauważyła, jak wzrok matki – przez ułamek sekundy – spoczął na niej.

– Wyobraź sobie, że wojna potrwa jeszcze kilka lat. Wtedy będziesz miała ponad dwadzieścia lat, a nam… nam będzie prawdopodobnie brakować wielu młodych mężczyzn. Komu wtedy oddamy twoją rękę? Jakiemuś żółtodziobowi, który będzie młodszy od ciebie? – Matka oparła się na krześle i pokręciła głową. – Szczególne okoliczności wymagają czasem szczególnego działania. Przecież nie od razu zostaniesz przyrzeczona jednemu z tych mężczyzn. Powinnaś tylko dokładnie przyjrzeć się wszystkim na balu i dobrze to rozważyć.

Viviane parsknęła.

– Rozważyć? Co powinnam rozważyć, matko? Jaki związek byłby najkorzystniejszy dla naszej rodziny?

– Zabraniam ci tak mówić. W końcu twój ojciec i ja chcemy dla ciebie jak najlepiej.

A twoja starsza siostra jest już dla nas kulą u nogi, dokończyła w myśli Elisabeth. Przełknęła ślinę i wzięła się w garść, aby nie wybuchnąć płaczem. Nie będzie ciężarem wyłącznie dla rodziców, lecz kiedyś również uczepi się Viviane jako niezamężna siostra.

Dziewczęta jednocześnie osunęły się na swoje miejsca. Młodsza, ponieważ uświadomiła sobie, że teraz czeka ją nowy rozdział, który można by zatytułować „Powaga życia", i będzie ono tak urządzone, jak rodzice uznają za słuszne. Starsza, ponieważ uświadomiono jej właśnie z całą mocą, że dla niej nic takiego nie było przewidziane.

Zaczęło się ściemniać i brzeg Łaby wraz ze zboczem i domem Berentschów pogrążył się w ciepłym czerwonym świetle. W oddali, wysoko nad polami i łąkami, na drugim brzegu rzeki, po niebie płynęły pojedyncze chmury. Lato, jak każdego roku, zaczęło się wcześniej. Kwitnące wyspy, obramowane soczystą zielenią, okalały brzeg Łaby. Niedługo, kiedy nastanie zmierzch, będzie widać małe światełka na odległym brzegu. Wielu ludzi próbowało zdobyć na własną rękę żywność, bo ta była racjonowana, i dlatego łowili ryby.

W rodzinie Berentschów jeszcze nie odczuwało się biedy. Dom handlowy ojca, którego magazyn był w większości zapełniony tkaninami, przeżywał rozkwit w pierwszych latach wojny, ponieważ wojsko było pewnym odbiorcą.

Elisabeth bała się już, że ojciec również będzie musiał pójść na wojnę. Ale dzięki odpowiednim znajomościom zostało mu to, jak dotąd, oszczędzone.

W pokoju Elisabeth lekkie letnie zasłony w oknach, których wysokość była równa wzrostowi dorosłego człowieka, powiewały delikatnie, poruszane chłodną wieczorną bryzą. W parku na drzewach świergotały ptaki. Na zewnątrz w korytarzu było słychać ciche kroki Tilli, a obok, w pokoju Viviane, od popołudnia panowała przygnębiająca cisza.

Elisabeth czesała drewnianym grzebieniem długie kasztanowe włosy. Nie były tak delikatne jak włosy Viviane ani nie miały ich blasku. Elisabeth odłożyła grzebień na toaletkę i przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Nawet słabe wieczorne światło nie mogło złagodzić tego, co widziała. Nieśmiało przejechała dłonią po bliznach na lewej połowie twarzy, jakby mogła je w ten prosty sposób zetrzeć. Ale nadal tam były, tak jak już od wielu lat. Hedda często opowiadała jej, że omal nie umarła, i głaskała ją wtedy po policzku, jakby od tego piętno mogło się stać mniejszym złem.

Ale Elisabeth często pragnęła, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Kiedy miała cztery lata, na Hamburg spadła nieszczęsna epidemia ospy. Chorowały dzieci dorożkarza i Gertrud Berentsch stanowczo twierdziła, że to one przyczyniły się do zarażenia jej starszej córki. Hedda natomiast zawsze tylko wzruszała ramionami i uspokajająco mówiła, że to wszystko zależy od Boga.

Elisabeth nie pamiętała choroby. Zapewne leżała wiele dni w gorączce i mimo obcisłych

bandaży na małych dłoniach którejś nocy rozdrapała swędzące krosty. Heddę, która czuwała obok chorej dziewczynki, zmógł sen, i kiedy zobaczyła, co się stało, było już za późno. Przez wiele dni kobiety i lekarze próbowali pomniejszyć szkody na skórze palącą maścią, ale nic to nie dało. Gorączka ustąpiła, rany się zagoiły, ale na twarzy Elisabeth pozostało rozległe zbliznowacenie, którego nie dawało się przykryć makijażem.

Od tamtej pory czuła ciągle na sobie pełne współczucia spojrzenia. Jedyną osobą, która, jak się wydawało, nie dostrzegała jej zeszpecenia, była Viviane. Tylko w jej towarzystwie Elisabeth udawało się, kiedy była dzieckiem, a potem nastolatką, przynajmniej przez kilka chwil czuć się normalnie i beztrosko.

Ojciec natomiast zawsze patrzył na nią pełen współczucia.

– Elli, moja mała Elli, mimo to jesteś dla wszystkich darem niebios – próbował ją pocieszyć. Otto Berentsch był wysoki i potężnie zbudowany, ale miał bardzo łagodny charakter. Elisabeth kochała ojca całym sercem, lecz jego spojrzenie, które zawsze zdradzało jej, co myśli, bolało ją nie mniej niż obrażony wzrok matki. Kiedy zaczęła zmieniać się w kobietę, wydawało się, że Gertrud Berentsch śledzi argusowym wzrokiem, czy nie wyrośnie z tego piętna. Musiała jednak pogrzebać tę nadzieję i razem z nią wszelkie plany na przyszłość starszej córki. Od tamtej pory matka koncentrowała się wyłącznie na Viviane i pilnowała ślicznej córki jak oka w głowie.

Elisabeth westchnęła ze wstrętem i odwróciła się od lustra. Przecież Viviane na pewno nie była córką, po której Gertrud Berentsch wiele sobie obiecywała. To trochę łagodziło jej złość na własną matkę, Viviane ze swoim temperamentem była dla niej ciężarem. Zawsze bardziej niesforna, wyróżniała się większym temperamentem niż Elisabeth. Na dodatek robiła się naprawdę krnąbrna, kiedy tylko coś nie odbywało się po jej myśli. Biedna Hedda miała z nią pełne ręce roboty.

Ale Gertrud Berentsch, kiedy nie było to konieczne, nie zwracała większej uwagi na te wady. Przyszła gwiazda rodziny nazywała się Viviane, toteż Elisabeth mogła już tylko wkładać bardzo dużo wysiłku w to, żeby być grzeczną i posłuszną córką. W oczach rodziców pierworodna, mimo wszelkich starań, zawsze była stawiana na drugim miejscu. Nie przeszkadzało to jednak Elisabeth kochać młodszą siostrę nade wszystko. Viviane była najważniejszą osobą w jej życiu.

Następnego dnia złość Viviane na to, co zaleciła jej matka, najwidoczniej minęła. Tylko Elisabeth czuła podświadome napięcie, kiedy siostra znów wymknęła się z domu koło południa, aby pobiec do ujeżdżalni.

Z dnia na dzień robiło się coraz cieplej i słońce obiecywało sprowadzić trochę upału. Kiedy schodziły wąską ścieżką na brzeg Łaby, w migoczącym cieple tańczyły motyle.

– I co? Co myślisz o kandydatach na liście gości? – zapytała Elisabeth ze szczerą ciekawością.

– Nie wiem. – Viviane potrząsnęła głową zagniewana i rozwiązała wstążkę miękkiego kapelusza, kiedy opuściły drogę prowadzącą na brzeg. Szły powoli obok siebie, rozkoszując się chłodem cienia rzucanego przez drzewa. – Nie wiem, co myślą sobie rodzice. Widziałaś listę. Hans Vendinger jest owłosiony jak małpa i sepleni. Gernod Hauser jest piętnaście lat starszy ode mnie, a Franz…

– Franz pochodzi z najlepszego domu – weszła jej w słowo Elisabeth, naśladując głos matki.

– Daj spokój, Elli, przecież go znasz, naprawdę nie mogę wyjść za mąż za takiego człowieka. – Viviane napuszyła się jak kogut.

Elisabeth się roześmiała. Tak, jej siostra trafiła w sedno. Z wyglądu Franz Detersen z pewnością był najbardziej kuszącym kandydatem, ale wyróżniał się nieco specyficznym trybem życia. Dokładnie rzecz biorąc, był nic niewartym prostakiem, tak przynajmniej nazwał go kiedyś ich ojciec. Tym dziwniejsze wydawało się to, że jego nazwisko widniało na liście potencjalnych przyszłych mężów Viviane.

– Po prostu poczekam, zobaczymy, co przyniesie lato. Być może wrócą z frontu jacyś zamożni mężczyźni, albo… – Viviane stłumiła głos – być może ta nieszczęsna wojna wkrótce się skończy.

Elisabeth położyła rękę na ramieniu siostry.

– Ach, Vivi, na pewno znajdzie się ktoś odpowiedni. Będziesz promienną panną młodą. – Zdawała sobie sprawę, jak mocno ciążyła Viviane żelazna wola rodziców. Wola, której nie dało się tak po prostu nie podporządkować. Właściwie to ona pierwsza powinna zostać ujęta w małżeńskich planach. Cicho west-chnęła.

Kiedy dziewczęta przyszły do ujeżdżalni, rotmistrz Jakobsen stał tam z Philippe'em i dwoma końmi. Sierść Juventusa błyszczała w słonecznym świetle jak czarny węgiel i silnie kontrastowała z białą sierścią siwka Artikosa. Gdy tylko dotarły do płotu okalającego ujeżdżalnię, wydawało się, że ponure myśli opuściły Viviane. Jej twarz się rozpromieniła, a jasne loki huśtały się wesoło, kiedy przechodziła przez bramę ujeżdżalni. Elisabeth pozostała na zewnątrz w cieniu starego dębu. Czuła, jak bardzo Viviane się cieszyła, że będzie mogła dzisiaj dosiąść konia. Elisabeth nie żałowała jej tej radości, zwłaszcza z uwagi na zaistniałą sytuację.

– Panienko Viviane. – Rotmistrz krótko ukłonił się na powitanie i zaraz potem podstawił młodej kobiecie złożone w koszyczek dłonie, aby pomóc jej dosiąść konia. Artikos miał na grzbiecie damskie siodło, zgodnie ze starymi zwyczajami. Co prawda obecnie wiele kobiet jeździło w męskich siodłach, ale dla rotmistrza Jakobsena było nie do pomyślenia, żeby taka młoda dama jak Viviane siedziała na koniu z szeroko rozstawionymi nogami.

Viviane z dużą wprawą skorzystała z pomocy Jakobsena, poderwała się w górę i już po chwili znajdowała się w siodle. Przycisnęła uda pod amazonką do rogów damskiego siodła, które pomagały jej utrzymać stabilną pozycję, i wygładziła suknię. Artikos niespokojnie dreptał w kółko, rotmistrz powiedział kilka uspokajających słów i Viviane już trzymała w ręku cugle i skinęła głową na potwierdzenie, że jest gotowa. Jakobson puścił Artikosa. Młody mężczyzna przyglądał się, jak jego dzisiejsza towarzyszka jazdy wsiada na konia, i sam wskoczył na siodło.

Po odpowiedniej rozgrzewce dla ludzi i zwierząt oboje młodzi jeźdźcy zaczęli pracę z końmi. Elisabeth miała wrażenie, że Jakobsen dobrze wiedział, co robi: zagrał swoim atutem, prezentując potencjalnemu kupcowi konia pod swoją wzorową uczennicą.

To, co się potem rozegrało na torze, sprawiło, że nawet Jakobsen oniemiał. Viviane i młody mężczyzna zręcznie prowadzili swoje konie. Słychać było tylko ich równomierne oddechy i głuchy odgłos kopyt. To, co rozpoczęło się jako lekcja jazdy konnej, przerodziło się w taniec, w którym oboje jeźdźcy stanowili nie tylko jedność z końmi, lecz w którymś momencie złączyli się w *pas de deux* i jechali we wspólnym rytmie. Elisabeth dostrzegła, jak rotmistrz Jakobsen uważnie obserwował konie. Dwa ogiery tak blisko siebie, to mogło być niebezpieczne. Ale tu ujawniły się umiejętności obojga jeźdźców. Konie biegły posłusznie, bardzo skoncentrowane, obok siebie, dopóki jeźdźcy ich nie rozdzielili.

Wspólny taniec zmienił się w wyzwanie. Młody jeździec prezentował kolejne figury, a Viviane naśladowała go po drugiej stronie ujeżdżalni. Powietrze migotało w letnim upale, biała piana kapała z końskich pysków. Elisabeth zamarła ze strachu, kiedy Artikos, którego dosiadała

Viviane, dał upust swojej radości, skacząc przez wysoką przeszkodę. Viviane z elegancją poddała się ruchowi wierzchowca i roześmiała się zachwycona.

Elisabeth nie wiedziała, ile czasu minęło, zanim rotmistrz Jakobsen zaklaskał w dłonie i przywołał jeźdźca i konia do rzeczywistości.

Viviane ściągnęła lejce i podniecona poprawiła letni kapelusz. Taftowa wstążka przy rondzie rozwiązała się i powiewała na wietrze.

– *Très joli* – moje uznanie. – Młody mężczyzna podjechał tak blisko Artikosa, że oba karosze znów zetknęły się bokami.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony. – Viviane promieniała.

Elisabeth dostrzegła nieznany jej dotąd błysk w oku młodszej siostry. I ten błysk nie odnosił się do konia, lecz do młodego mężczyzny.

– Philippe, panienko Viviane. – Rotmistrz zdjął kapelusz. – Dzisiaj udowodniliście mi, że moje konie są wręcz wspaniałe. – Doświadczony człowiek mówił to z dumą i wzruszeniem.

– Co to ma znaczyć? – Głos Gertrud Berentsch rozchodził się z salonu na cały dom. Był tak ostry, że Elisabeth skuliła się ze strachu.

Matka kazała zawołać córki do salonu jeszcze przed herbatą. Elisabeth poczuła, jak jej twarz pokrywa się bladością, kiedy zobaczyła, na co wskazała zirytowana matka. Viviane natomiast tylko beztrosko wzruszyła ramionami.

– Moje buty do jazdy konnej, matko. O co chodzi?

– Są zakurzone i… jeśli się nie mylę, jeszcze lepi się do nich koński gnój. Albo muszę teraz zwolnić służącą, ponieważ te zapaprane buciska stały w szafie w domu, albo… Dlaczego twoje buty są takie brudne?

– Mamo… – Vivan uniosła dłonie w przepraszającym geście.

– Stanowczo zabroniłam ci nadal chodzić do ujeżdżalni! – Matka popatrzyła z przyganą na córkę. – Elisabeth, wiedziałaś o tym? – Gertrud Berentsch nawet nie poczekała na odpowiedź. Było dla niej jasne, że obie córki nie miały przed sobą żadnych tajemnic. – Powinnaś być mądrzejsza i powiedzieć mi o wszystkim. A więc obie mnie oszukałyście! Nie wiem, co mam o tym sądzić! – Podparła się pod boki, jakby była prostą kobietą. – Ale teraz koniec z tym.

– Tak, mamo – wyszeptały jakby jednymi ustami obie dziewczyny, Elisabeth ze śmiertelną powagą, Viviane natomiast tylko tak, aby uspokoić matkę.

Rozdział 4

Nałożona jako kara popołudniowa bezczynność budziła w Elisabeth skłonność do rozmyślań. Siedziała przy małym stoliku do czytania w swoim pokoju i zamiast śledzić ciepłe, delikatne słowa książki o miłości, gapiła się przez okno i wsłuchiwała w swoje niekończące się myśli. Grzmiący zakaz wciąż rozbrzmiewał w całym domu i Elisabeth codziennie pośpiesznie udawała się do swojego pokoju, aby tylko nie spotykać się z zaniepokojonym spojrzeniem siostry. Wiedziała, że Viviane długo nie wytrzyma w domu. Była jak dziki ptak, który ucichł na chwilę zamknięty w klatce.

Życie Elisabeth również można było porównać do samotności uwięzionego w klatce ptaka, tylko że ona do tego nie przywykła. Dom Berentschów w Blankenese był dla Elisabeth jak zamek. Od czasu jej choroby w dzieciństwie zabarykadowała się za murami i ukrywała w cieniu wysokich parkowych drzew. Czyżby jej piętno przynosiło hańbę rodzicom? Nigdy nie zostało to wprost powiedziane, a jednak czuła, że na jej barkach spoczywa ciężar. Młodsza siostra i opiekunka do dzieci zawsze były w jej życiu oazą spokoju. Ale Hedda opuściła ich rodzinę, kiedy rozpoczęły naukę, na jej miejsce przyszedł domowy nauczyciel. Hedda często i chętnie odwiedzała dziewczynki i dotrzymywała towarzystwa Elisabeth, kiedy rodzice mieli jakieś obowiązki poza domem. Ale chociaż dziewczyna powinna się była z tego cieszyć, stanowiło to zaledwie namiastkę wcześniejszej stałej obecności Heddy.

Elisabeth rzadko zabierano na różne święta i zabawy, a ponieważ wstydziła się sama siebie, przyjmowała to bez szemrania. Ale teraz, na krótko przed wejściem w świat dorosłych, coraz częściej młodą kobietę kłuło jak cierń to, że nie mogła objąć roli starszej córki w takim stopniu, jaki jej przysługiwał. Na dodatek Elisabeth bardzo ciążył fakt, że Viviane również mocno cierpiała, ponieważ rodzice drastycznie ograniczyli jej możliwość samodzielnego wyboru męża. Było jej nieskończenie przykro, że nie mogła wybawić młodszej siostry z tej sytuacji.

Z westchnieniem odłożyła na bok książkę i wstała. Na dworze za oknem był przepiękny letni dzień. W oddali, na oddzielonym szerokim nurtem Łaby jej drugim brzegu, lśniła zielona wstęga pól i łąk. Dawniej w taki dzień Elisabeth poszłaby po południu na brzeg rzeki, trzymając młodszą siostrę za rękę. Spacer pod parasolem przeciwsłonecznym, a gdzieś w głowie myśl, że trzeba pamiętać o tym, aby przypadkiem nie spóźnić się na popołudniową herbatę. Ale od czasu wybuchu wojny takie spacery nie były dobrze widziane.

Wojna wywarła duży wpływ na życie codzienne, dawała niewiele możliwości, aby choćby na krótko oderwać się od rzeczywistości. Viviane znalazła dla siebie odmianę w potajemnych lekcjach jazdy konnej. Elisabeth natomiast była teraz jeszcze bardziej odcięta od życia.

Całe miasto i jego mieszkańcy popadli w prawdziwe odrętwienie. Skończyły się beztroskie spotkania towarzyskie. O ile na początku wojny jeszcze pozwalano sobie na świętowanie, o tyle wkrótce radosne głosy umilkły. Przede wszystkim od kiedy dla każdego stało się jasne, że nikt tej wojny nie przerwie. Tymczasem wszystkie domy dotknęły jakieś ograniczenia, nie mówiąc o rekwirowaniu powozów i koni i tak zwanych zbiórkach patriotycznych, podczas których gromadzono koce, ubrania, a nawet dywany dla wojska. Było coraz mniej żywności, a kucharki chodziły zniechęcone po sklepach z kartkami żywnościowymi, ale niewiele już można było za nie kupić. Käthe, kucharka rodziny Berentschów, której królestwo znajdowało się w piwnicy domu, często narzekała, a od czasu do czasu nawet popadała w konflikty z panią domu. Gertrud Berentsch nie przyjmowała do wiadomości, że musi cierpieć

z powodu wojny, która toczyła się daleko od miasta.

Biedna Käthe dwoiła się i troiła, aby w domu niczego nie brakowało. Do tej pory do pewnego stopnia jej się to udawało. Mięso z masowego uboju przerabiano na konserwy, które wysyłano żołnierzom na front, ale pod koniec 1915 roku doprowadziło to do braków na rynku i ceny poszybowały niebotycznie w górę. Na dodatek angielska flota, jak wiadomo, blokowała drogi morskie i nie przepuszczała dostaw z neutralnych i zaprzyjaźnionych państw. W tym czasie ziemniaki stały się rzadkim dobrem, a mleko i chleb ściśle racjonowano. Zwykły mieszkaniec Hamburga, jak podawały niektóre gazety, już od dawna nie mógł pozwolić sobie na solidny posiłek.

W gazetach oprócz artykułów na temat najnowszych wydarzeń wojennych znajdowały się reklamy wiatrówek dla dzieci. „Niemieckie dzieci muszą się uczyć strzelania", można było w nich przeczytać. Elisabeth studiowała te wiadomości, mając złe przeczucie, że do szczytu nędzy, którą ta wojna sprowadziła na kraj, jeszcze daleka droga

Matka nie uważała za stosowne tego, że córka zajmuje się takimi doniesieniami, a pewnego razu doszło nawet do kłótni, kiedy Elisabeth stanęła w obronie zrozpaczonej kucharki i próbowała wyjaśnić matce sytuację. Podczas gdy matka twardo trzymała się tradycyjnego stylu życia i nie tolerowała żadnych ograniczeń, naiwna Viviane po prostu była obojętna na zachodzące w świecie zmiany. Elisabeth natomiast przysparzały one głębokich trosk.

Na twarzy ojca malował się coraz większy niepokój. Był wprawdzie właścicielem dużego domu handlowego, ale jego magazyny w Speicherstadt nie były jednak tak wypełnione jak kiedyś, a zapasy zostały niemal całkowicie wyprzedane. Blokady morskie i handlowe, zamknięte granice i oczywiście nieruchome linie frontów znacząco utrudniały prowadzenie interesu.

Kiedy Elisabeth już sobie uświadomiła, że nie ma szans na życie małżeńskie i towarzyskie, zaczęła coraz bardziej interesować się działalnością ojca. Znosił to bez sprzeciwów, ponieważ zdawał sobie sprawę z trudnej sytuacji córki ciężko doświadczonej przez życie. Elisabeth miała nadzieję, że jej zainteresowanie być może choć trochę go ucieszy. W końcu nie miał męskiego potomka, a od początku wojny było wątpliwe, czy znajdzie się odpowiedni mąż dla Viviane. Wszystko się skomplikowało.

Elisabeth oparła się o parapet i patrzyła na ogród. Krzewy lśniły w słońcu ciemną zielenią, a drzewa rzucały na trawniki wyspy cienia. Być może byłoby wskazane założyć ogród warzywny. Słyszała od Tilli, że wszędzie ludzie przygotowują się na jeszcze większe braki żywności. Ale matka zapewne złapałaby się za głowę, gdyby jej angielskie róże miała zastąpić zwyczajna kapusta i buraki. Mimo to pomysł nie był wcale taki niedorzeczny. Najlepiej przedstawić go ojcu. Każdego dnia wychodził z siebie, ponieważ żądano od domu takiego trybutu.

Kiedy jeszcze zastanawiała się, jakich słów powinna w tym celu użyć, aby nie wyjść na zbyt histeryczną ani przemądrzałą, ujrzała, jak za żywopłotem znika jaskrawożółta sukienka. Viviane! Elisabeth zacisnęła pięści. Ojej, jak siostra mogła być taka głupia i nie posłuchać rozkazu matki!

Elisabeth, zagniewana, zastanawiała się, co powinna zrobić. Czy ma pobiec za nią, czy zawołać, żeby wróciła? Nie, tym razem Viviane sama musi poradzić sobie z konsekwencjami. Elisabeth już raz nadstawiła za nią głowę. Gdyby matka zauważyła, że Viviane wciąż jest nieposłuszna, skończyłoby się to czymś gorszym niż zwykła bura. Elisabeth odwróciła się energicznie i ponownie sięgnęła po książkę. Najlepiej, jeśli zapomni, co właśnie widziała.

Pięć dni później Elisabeth mocno się przestraszyła. Był wieczór, słońce dopiero co zaszło

i przez okna wpadały do jej pokoju jeszcze ostatnie ciemnoczerwone promienie światła. Elisabeth już szykowała się do snu, kiedy usłyszała kroki w pokoju Viviane. Z cichym skrzypieniem otworzyły się przechodnie drzwi pomiędzy ich pokojami.

– Elli? Elli, śpisz już?

Elisabeth usiadła prosto na łóżku.

– Nie. Dlaczego się tak skradasz, Vivi?

Viviane szybko podeszła do jej łóżka i usiadła na brzegu.

– Elli, wstawaj, no już. Mam niespodziankę.

– Teraz? – Elisabeth potrząsnęła głową. – Vivi, jest bardzo późno i… – W tym momencie uświadomiła sobie, że jej młodsza siostra nie miała na sobie nocnej koszuli, lecz była ubrana. – Co chcesz zrobić? – zapytała nieufnie.

– Daj spokój, nie psuj zabawy, to będzie ekscytujące. Chodź, ubieraj się. Tylko szybko!

– Vivi, o co chodzi? Ja…

– W takim razie pójdę sama.

– Dokąd? – zapytała Elisabeth ostrzej, niż chciała.

Viviane zrobiła nadąsaną minę.

– Nie powiem ci. Dowiesz się, kiedy pójdziesz ze mną. – Wstała z zachęcającym gestem.

Elisabeth bez namysłu postanowiła, że nie pozwoli nigdzie pójść młodszej siostrze samej wieczorem. Jednak Viviane nie sprawiała wrażenia, że coś mogłoby ją odwieść od jej planu.

– No dobrze. – Elisabeth odrzuciła na bok kołdrę i wstała.

– Czy mam się ładnie ubrać?

– Ach, to nieważne, ubieraj się. – Viviane popchnęła starszą siostrę w kierunku szafy z ubraniami.

– Na Boga, coś ty wymyśliła?

– Pośpiesz się, bo się spóźnimy.

Trochę później obie siostry wymknęły się domu jak złodziejki, co Elisabeth absolutnie się nie podobało, chociaż delikatne podniecające mrowienie w karku mówiło jej, że jakaś jej część bardzo się cieszy na tę przygodę. Ubiegłe dni były przecież tak bardzo monotonne.

– Jeśli nas złapią, zamkną w areszcie domowym do Bożego Narodzenia, zdajesz sobie z tego sprawę, Vivi? – wyszeptała Elisabeth, kiedy obok siostry wyślizgnęła się przez bramę posesji na ulicę.

– Tak, tak, a jeśli przegapimy dzisiejszy wieczór, prawdopodobnie będziemy złe na siebie jeszcze dłużej niż do Bożego Narodzenia. No, chodź już! – Viviane chwyciła siostrę za rękę i pociągnęła za sobą. Dwa rogi ulicy dalej czekała dorożka zaprzężona w małego szczeciniastego konia. Elisabeth zatrzymała się zdziwiona.

– Viviane?

– No już, wsiadaj, nie stanie ci się nic złego.

Po chwili Viviane wspięła się do otwartego pojazdu. Elisabeth nie była pewna tego, co robi. Ledwo usiadła, dorożkarz cmoknął i koń pobiegł kłusem w coraz większą ciemność. Elisabeth nie potrafiła ustalić, w jakim kierunku jadą. Oszczędzano już na ulicznym oświetleniu.

– Dokąd jedziemy, Vivi? – Powoli zaczynała się bać. Tym razem zamiłowanie jej siostry do przygód mogło się źle skończyć.

Viviane przemilczała pytanie. Elisabeth wydawało się, że widzi, jak jej siostra się uśmiecha, i czuła, jak bardzo była podekscytowana.

Jechali przez przedmieścia Hamburga. Na ulicach widziało się jeszcze tu i tam ludzi, których wywabił z domów słabnący upał. Nawet coraz większy mrok nie mógł zatrzeć wrażenia, że większość z nich wyglądała biedniej niż kiedyś. Elisabeth ogarnął niepokój. Co zamierzała jej

siostra? Do jakiej głupoty dała się jej znów namówić?

Po dobrych trzech kwadransach przejechali przez bramę ogrodu zoologicznego Hagenbecka. Elisabeth trochę się przestraszyła. A więc były w Stellingen. Tutaj naprawdę mogło im się coś stać! Była to dzielnica robotnicza. Co prawda znajdowały się tu hale przeznaczone na uroczystości, gdzie byli już zapraszani również jej rodzice. Ale młode damy nie zapuszczały się same w taką okolicę, a już na pewno nie o tej porze.

Dorożka jechała dalej i skręciła w lewo. Elisabeth próbowała nie stracić orientacji w ciemności. Do samego parku nie można było wjechać. Viviane, wyraźnie podniecona, pokazała ręką na teren po prawej stronie.

– Patrz, zaraz będziemy na miejscu.

To musiał być park Amsinck, wielki angielski park krajobrazowy, kiedyś prywatny, a obecnie otwarty dla wszystkich. Gdy zbliżali się do jego końca, dorożkarz ściągnął lejce.

Elisabeth głęboko zaczerpnęła powietrza. Zobaczyła oszczędnie oświetloną kopułę namiotu. Cyrk!

– Viviane, nie sądzę, żebyśmy…

– Philippe nas zaprosił. Wszystko jest w porządku. Uwierz mi, Elisabeth, to będzie cudowne.

– Ten Francuz? – oburzyła się Elisabeth. – Viviane, dobrze wiesz…

– On nie jest… Francuzem – odparła przekornie Viviane. – Pochodzi… pochodzi gdzieś z Alzacji.

– Z Alzacji? Vivi, to wcale nie lepiej. Myślę…

– Chodź już, Elli. – Viviane dłużej jej nie słuchała.

Ku zdziwieniu Elisabeth liczni widzowie przepychali się do wejścia przez uliczkę lampionów.

– Zawsze dają przestawienie dopiero wieczorem, wiesz, z powodu wojny. W dzień niechętnie się coś takiego ogląda – wyszeptała Viviane. Czasy nie były jeszcze na tyle złe, ponieważ wydawało się, że ludzie, jak dotąd, nie stracili ochoty na rozrywkę.

Viviane pośpiesznie wysiadła z dorożki i pociągnęła za sobą siostrę. – Możemy wejść od tyłu.

– Znasz to miejsce? – Elisabeth stanęła w miejscu jak zamurowana i popatrzyła na siostrę.

– Byłam tu raz parę dni temu. Philippe kupił Juventusa i Artikosa od rotmistrza Jakobsena. – Wcześniej bała się o zwierzęta, ale teraz w jej głosie pobrzmiewała nawet duma.

Elisabeth pokręciła głową. Nie tylko dlatego, że Viviane wciąż wymykała się ukradkiem w południe do ujeżdżalni, ale że na dodatek sama włóczyła się po mieście!

– No, nie gap się, chodź, zaraz się zacznie!

Elisabeth niechętnie poszła za Viviane. Jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa na temat jej zachowania. Koniecznie musi nauczyć rozumu swoją młodszą siostrę! Ale zanim Elisabeth zdążyła to zrobić, Viviane zaprowadziła ją do pierwszego rzędu krzeseł i gestem wskazała, żeby usiadła.

Elisabeth nie miała czasu, aby dać reprymendę Viviane. Z areny już rozległa się głośna muzyka i stłumiła w zarodku jakąkolwiek próbę oficjalnej rozmowy. Przestraszona Elisabeth patrzyła na arenę. W powietrzu unosił się zapach trocin. Kurtyna się rozsunęła i zaczęło się przedstawienie.

Obrazy na arenie przesuwały się przed oczami Elisabeth jak we śnie: klauni, mimowie, artyści, przeróżne małe tresowane zwierzęta. Publiczność biła brawo, śmiała się i wrzeszczała. W obliczu tego wspaniałego występu również Elisabeth zapomniała na chwilę o swojej złości. Jeszcze nigdy nie była w cyrku. Na święcie ludowym w Hamburger Dom tak, kiedy były

dziećmi, z Heddą. W teatrze i operze kiedyś przed wojną. Ale to tutaj…

Kiedy magik opuścił arenę, kapela zagrała klasyczną muzykę taneczną. Viviane siedziała wyprostowana jak świeca.

– Teraz on – szepnęła.

– Kto?

Kurtyna znów się rozsunęła i pytanie stało się zbyteczne.

Lekkim kłusem na arenę wjechał na koniu młody jeździec, którego Elisabeth już znała.

– Czy to nie jest cudowne? – Oczy Viviane błyszczały w świetle lampionów.

Philippe zmusił ogiera do galopu i dał pokaz klasycznej tresury. Miał na sobie barokowy kostium ze spiczastym kołnierzem i błyszczące buty ze srebrnymi ostrogami. Obraz uzupełniał trójrożny kapelusz na jego głowie. Przez cały występ prowadził konia bardzo skoncentrowany.

Muzyka stała się nagle bardziej dynamiczna. Młody mężczyzna w galopie zmusił ogiera do skoku. Zwierzę raptownie zadarło łeb do góry. Philippe poprowadził konia jeszcze raz dookoła areny i w wyciągniętym galopie chwycił bukiet róż, który trzymał w pogotowiu jego pomocnik. Przy następnym kroku w galopie skierował konia na wąskie drewniane otoczenie areny, odgłos kopyt rozbrzmiał w namiocie jak huraganowy ogień. Publiczność głośno wyrażała radość okrzykami „aaaach!" i „oooch!".

Elisabeth wstrzymała oddech. Philippe przemknął przed nią z zawrotną szybkością, wydawało jej się, że jeszcze czuje na twarzy muśnięcie końskiego ogona. W następnym okrążeniu raptownie zatrzymał się przed nimi, zmusił konia, aby odsunął się trochę od bandy, kazał mu się odwrócić, wspiąć na tylnych nogach, żeby już po chwili zwierzę uklękło w pozdrowieniu. Jeździec z promiennym uśmiechem wyciągnął do Viviane rękę, w której trzymał bukiet róż.

Elisabeth przerażona chwytała powietrze. To nie mógł być przypadek!

Viviane natychmiast wstała, przyjęła róże z ręki jeźdźca i odwzajemniła powitanie pocałunkiem, który zdmuchnęła z otwartej dłoni. Publiczność wiwatowała.

Elisabeth nie mogła uwierzyć w to, co właśnie zobaczyła, i to nie brawurowa jazda młodego mężczyzny zaparła jej dech w piersi! Powodem jej wzburzenia było ze wszech miar niestosowne zachowanie tego Francuza… Alzatczyka… czy kimkolwiek on był… i jej siostry.

Zanim Viviane znów usiadła, Elisabeth zerwała się na równe nogi, wzięła ją za rękę i siłą wyprowadziła z widowni.

Na dworze, w łagodnym nocnym powietrzu, mając za plecami bijącą brawo publiczność, Elisabeth nie mogła zrobić nic innego: złapała Viviane za ramiona i mocno nią potrząsnęła.

– Zwariowałaś? Nie dość, że nas tu przyprowadziłaś, to na dodatek na oczach wszystkich przyjmujesz kwiaty od tego… tego… na Boga, Viviane, jeśli ktoś nas rozpoznał! Matka zamartwi się na śmierć, a ojciec… Jego córki w cyrku, i to same, o tej godzinie. – Z wyrzutem uniosła ręce. – Natychmiast wracamy do domu i nikomu o tym ani słowa. Będziemy miały szczęście, jeśli nie zobaczyła nas jakaś służąca albo pokojówka i jutro tego nie wypaple!

Viviane bez oporu pozwoliła Elisabeth zaprowadzić się do czekającej dorożki. Ale mocno przyciskała do piersi bukiet róż, a na jej twarzy malował się błogi uśmiech. Elisabeth nie wiedziała, co o tym sądzić. Narastało w niej złe przeczucie.

Kiedy dotarły na miejsce, znów po cichu wślizgnęły się do domu. Dopiero gdy Elisabeth była pewna, że Viviane jest w swoim łóżku, mogła wreszcie odetchnąć.

– Teraz już ostatecznie przestaniesz wymykać się do Jakobsena, słyszysz? – Stojąc w drzwiach, Elisabeth jeszcze raz popatrzyła na siostrę.

Viviane tylko wzruszyła ramionami i wciąż się uśmiechała. Elisabeth parsknęła i zamknęła za sobą drzwi. Czyżby jej siostra całkiem straciła rozum? Tylko co sobie myślała,

biorąc udział w takiej dziecinadzie? Kipiąca ze złości Elisabeth starała się zasnąć, ale ta noc była stracona. Dopiero nad ranem udało się jej trochę uspokoić.

– Czy panienki dobrze dzisiaj spały?

Elisabeth wzdrygnęła się nerwowo, chociaż Tilla zadawała to pytanie każdego ranka. Podczas śniadania starała się nie dać nic po sobie poznać, ale kątem oka obserwowała Viviane. Na szczęście jej młodsza siostra miała duży talent i potrafiła starannie ukrywać przed matką swoje myśli i uczucia.

Wydawało się, że to zwykły poranek. Na dworze ptaki świergotały na powitanie dnia. Tilla brzęczała wokół stołu i nalewała słabą kawę. Okoliczność, z której Gertrud Berentsch natychmiast sobie zadrwiła.

– Kto ma pić tę brązową lurę?

Tilla drgnęła. Niska i trochę niezdarna pokojówka i tak musiała znosić ostre awantury, jakie urządzała jej pani domu.

– Łaskawa pani, Käthe mówi…

– Käthe jest… – przerwała jej Gertrud Berentsch.

– Matko – wtrąciła łagodząco Elisabeth. – Teraz kawa jest w mieście niemal na wagę złota. Nie obwiniaj kuchni.

– Ciesz się, że w ogóle jest jeszcze prawdziwa kawa – mruknął Otto Berentsch. Ojciec sprawiał wrażenie zmęczonego. W ostatnich dniach gazety ciągle publikowały nowe hiobowe wieści. Szybkie zwycięstwo było tak odległe jak powrót do normalności. Verdun jak zły omen pojawiało się każdego dnia na tytułowych stronach gazet.

Elisabeth natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia. Zamiast oddawać się nieróbstwu i konspirować razem z siostrą, powinna wesprzeć ojca. W tych czasach jego małżonka była dla niego marnym oparciem.

– Viviane, czy zajęłaś się już listą gości? – Matka spojrzała na córkę surowym wzrokiem.

Tille wymknęła się jak myszka z salonu, oddychając z ulgą, ponieważ pani domu zajęła się innym tematem.

Viviane przesadnie długo smarowała chleb masłem. Elisabeth natychmiast zauważyła napięcie, które zapanowało w pokoju.

– Tak, i nie pozwolę, aby którykolwiek z tych mężczyzn zabiegał o moje względy. Jeśli o to ci chodziło, matko – odpowiedziała Viviane, na dodatek stanowczym głosem.

Gertrud Berentsch głośno położyła sztućce na talerzu. Otto Berentsch uniósł głowę i nerwowo wodził wzrokiem od matki do córki.

– Nie pozwalaj sobie! Dokonaliśmy najlepszego z możliwych wyboru, w tych ciężkich czasach powinnaś być szczęśliwa, że w ogóle wchodzą w grę jacyś warci uwagi kandydaci. Choćby Franz Detersen, ten byłby dobrą partią. Co ty o tym myślisz, Otto?

Elisabeth omal się nie roześmiała histerycznie. Matka ignorowała wojnę w życiu codziennym, tak jak koń ignoruje natrętną muchę. Ale kiedy chodziło o wydanie córki za mąż, nagle okazało się, że czasy są ciężkie, a teraz parła do przodu ostrym galopem, tak że Viviane omal nie zemdlała.

– Nie chcę wychodzić za mąż, przecież jestem jeszcze taka młoda – powiedziała Viviane dziecięcym, płaczliwym głosem.

– Już najwyższy czas, nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Wszyscy są dobrymi kandydatami i na pewno mają życzliwy stosunek do naszej rodziny – powiedział zmęczonym głosem Otto Berentsch. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była domowa kłótnia.

– Chcecie, żeby liczyło się tylko wasze zdanie. – Teraz Vivian przekornie odłożyła sztućce na talerz. – Ojcze? Nie możecie tego ode mnie wymagać. – Widocznie miała nadzieję, że ojciec odniesie się krytycznie do planów swojej żony i stanie po stronie najmłodszej latorośli.

Otto Berentsch osuszył usta serwetą, zanim podniósł głos.

– Viviane, nie jesteś już dzieckiem, a ja nie jestem już najmłodszy. Ta wojna… Powinnaś kierować się naszym wspólnym dobrem.

– A ja? – Viviane zerwała się z krzesła. – A moje dobro się nie liczy? – Szlochając, wybiegła z salonu.

Gertrud Berentsch rzuciła serwetę na talerz.

– Znów zaczyna. Elisabeth… – Matka spojrzała na nią. Przywołaj ją do porządku, rozkazały jej oczy i Elisabeth posłusznie wstała i poszła za siostrą. Ale nie była pewna, czy coś osiągnie. Wszystko się w niej buntowało na myśl, że Viviane zostanie wydana za mąż tylko z konieczności.

– Nie mogę tego zrobić, Elli. – Viviane położyła mokry od łez policzek na ramieniu siostry. – Franz Detersen… tylko nie on.

Elisabeth poszła za Viviane do jej pokoju. Siostra rzuciła się na łóżko i płakała w poduszkę.

– Dlaczego nie dadzą mi czasu, żebym sama wybrała sobie męża?

– Być może… – Elisabeth pogłaskała Viviane po jasnych włosach – być może boją się, że wkrótce zabraknie mężczyzn, którzy byliby ciebie godni. – Uśmiech, który miał ją pocieszyć, nie wypadł najlepiej.

– Ta przeklęta wojna.

– Vivi, a może ten wybór wcale nie jest taki zły.

Viviane wzdrygnęła się i wyprostowała jak świeca.

– Czy to znaczy, że trzymasz ich stronę?

– Nie, ale posłuchaj, przecież matka chce tylko…

– Właśnie. *Ona* chce – Viviane wpadła jej w słowo. – Zawsze wszystko musi być tak, jak ona chce. Jak tylko wojna się skończy, i tak wszystko się zmieni. Philippe też tak mówi.

– Aha, Philippe tak mówi? A właściwie co cię łączy z tym chłopcem? Wymykasz się w południe z domu, a potem jeszcze i w nocy. Zwariowałaś? Wiesz, co się będzie działo, kiedy rodzice się o tym dowiedzą?

– On jest miły i… i wspaniale jeździ konno.

Elisabeth przewróciła oczami.

– To rzeczywiście ważne cechy. – Ale potem jakby spadła jej zasłona z oczu. – Ty… ty się w nim kochasz? – Elisabeth zeskoczyła z łóżka i uniosła ręce. – No jasne, to stąd wieje wiatr. Viviane, natychmiast wybij sobie tego chłopca z głowy!

– Wcale się w nim nie kocham – odparła Viviane.

Elisabeth zaczęła chodzić dookoła pokoju. Viviane wodziła za nią hardym wzrokiem.

– Mam taką nadzieję, siostrzyczko. Gdy matka się dowie, jeszcze uzna, że skalałaś swój honor. Ona zabiega dla ciebie o dobrego kandydata na męża, a ty… ty oddajesz się jakiemuś koniuchowi.

– On nie jest koniuchem! Jego rodzina jest jedną z najbardziej znanych grup jeździeckich w Europie. Występują na wszystkich największych arenach.

– Phi! W Europie, która właśnie pęka jak szkło… a w dodatku jest Francuzem! Samo to, że od razu go nie aresztowali i nie wsadzili do więzienia, już graniczy z cudem.

Elisabeth energicznie odwróciła się do Viviane.

– Dość tego! Od tej chwili przestaniesz wymykać się z domu. Będę cię miała na oku, a… a jeśli mimo to uciekniesz, będę musiała powiedzieć matce.

Viviane odwróciła się plecami do Elisabeth.

– Zostaw mnie samą. Ty wcale mnie nie rozumiesz.

– Viviane, powoli nadchodzi czas, kiedy staniesz się dorosła. – Elisabeth było przykro, że musi besztać młodszą siostrę. Ale teraz nie była pora na tego rodzaju fascynacje, które na dodatek nie miały przyszłości. Woltyżer! Matka prędzej oddałaby ją do klasztoru, niż…

– Wyjdź.

Elisabeth wyszła z pokoju siostry przez przechodnie drzwi. Ledwo się zamknęły, usłyszała, jak Viviane szlocha. Poczuła, jak ściska ją w gardle.

Trzy dni później, rano, w domu Berentschów nagle wybuchło zamieszanie.

Elisabeth właśnie się ubrała, aby zejść do salonu na śniadanie, a wtedy w korytarzu natknęła się na odchodzącą od zmysłów Tillę i matkę z zakasaną spódnicą.

– Co się stało?

Matka nie odpowiedziała, tylko wpadła do pokoju Viviane. Elisabeth pośpieszyła za nią. Tilla stała w drzwiach ze spuszczonymi ramionami i wskazywała na łóżko. Widać było, że tej nocy nikt w nim nie spał.

– Gdzie ona jest? – Gertrud Berentsch rzuciła się na swoją starszą córkę.

Cała sytuacja tak zbiła Elisabeth z tropu, że zdołała tylko wykrztusić:

– Nie… nie wiem.

– Ach, ta dziewczyna! Już ona zobaczy, kiedy trafi w moje ręce. Na co ona sobie pozwala!

Matka pośpiesznie minęła Elisabeth i wyszła z pokoju.

Tilla odwróciła się.

– Ja tylko chciałam panience … Weszłam, a jej nie było.

– Wszystko w porządku, nic na to nie poradzisz. – Elisabeth skinieniem głowy kazała Tilli odejść. Bezradnie stała teraz w pustym pokoju siostry. W ostatnich dniach niewiele ze sobą rozmawiały. Kłótnia pomiędzy nimi wisiała w powietrzu. Pokój był dokładnie posprzątany, wyglądał niemal tak, jakby w poprzednich dniach nikt w nim nie mieszkał. Ale Elisabeth cały czas nasłuchiwała, co robi jej siostra. Była prawie pewna, że Viviane przestała wymykać się z domu i pogrążyła się w swoim nieszczęściu.

Elisabeth podeszła do szafy i otworzyła ją. Od razy rzuciło się jej w oczy, że brakuje niektórych ubrań. Zniknęły również trzy pary butów do jazdy konnej, które w niej przechowywała.

Och nie! Vivi, co ty zrobiłaś? Elisabeth szumiało w głowie. To nie mogła być prawda!

Pobiegła na dół. W korytarzu o mało nie zderzyła się z pokojówką.

– Tilla, powiedz stangretowi, żeby zaprzęgał. Natychmiast!

W salonie natknęła się na zdenerwowaną matkę. Twarz ojca była czerwona z gniewu.

– Prawdopodobnie wiem, gdzie ona jest. Znajoma… ona może tam być. Pojadę i jej poszukam! – wyjąkała Elisabeth i od razu wybiegła, zanim rodzice zdążyli zapytać o szczegóły.

Kiedy później dojechała do Stellingen, kazała stangretowi zatrzymać się na przypadkowo wybranej ulicy, nieopodal szerokich alei i w odpowiedniej odległości od namiotu cyrkowego. Stangret nie powinien wiedzieć, gdzie tak naprawdę szukała siostry.

Elisabeth zrobiło się nieprzyjemnie, kiedy wysiadła z powozu. Domy stały tu ciasno jeden

przy drugim, stare szare fasady z matowymi oknami. Dzieci bawiły się w rynsztoku. Szybko poszła ulicą w stronę ogrodu.

Miejsce, gdzie przed kilku dniami stał kopulasty namiot, wiało pustką. Zobaczyła tylko zadeptaną trawę i kilka źdźbeł wyschniętej słomy. Elisabeth patrzyła przerażona na opuszczone miejsce. Wiatr unosił w powietrzu kilka strzępów papieru, a sprzątacz zmiatał śmieci na jedną stertę.

Elisabeth dopadła do niego.

– Gdzie on jest?!

– Kto? – Stary mężczyzna spojrzał na nią zdziwiony.

– Namiot, cyrk!

– Wczoraj go zwinęli i dzisiaj wszyscy odjechali.

– Dokąd? – Elisabeth musiała wziąć się w garść, chwyciła mężczyznę za ramiona i potrząsnęła nim.

– A skąd mam wiedzieć – odpowiedział i wrócił do swojej pracy.

Elisabeth stała na pustym placu zagubiona. Czyżby Viviane naprawdę się na to odważyła? Czyżby uciekła z tym… tym…? Z trudem łapała powietrze. Prawdopodobnie za kilka dni wróci. Po prostu musi wrócić! Ale co Elisabeth miała powiedzieć rodzicom? Przecież nie mogła im zdradzić, że ich oczko w głowie uciekło z cyrkowym woltyżerem! Zwłaszcza że mogła się tego domyślać, przewidzieć, co się stanie. Czy w ostatecznym rozrachunku ona byłaby temu winna? Czy powinna bardziej pilnować siostry?

Nie! Wracając do powozu, uknuła plan. Powie rodzicom tylko tyle, że nie znalazła Viviane u rzekomej przyjaciółki. Kiedy siostra wróci, a z pewnością wróci, wtedy wspólnie szybko wymyślą jakąś historię. Jak zawsze – *na dobre i na złe, ponieważ jesteśmy siostrami*. Tak sobie przysięgły kiedyś, kiedy były małe, i do tej pory zawsze się tego trzymały. Nie zostawi siostry samej. Rodzice zaczną się wściekać, była tego pewna. Ale chyba tak będzie lepiej, niż gdyby prawda wyszła na jaw. Elisabeth nie mogła pozwolić, aby jej młodsza siostra pogrążyła się jeszcze bardziej niż do tej pory.

Kiedy przekazała rodzicom wiadomość, matka szalała, a ojciec prawie wyszedł z siebie. Po południu powiadomiono żandarmerię. Ale nikt nie wiedział, gdzie należało szukać młodej kobiety.

Viviane nie wróciła do domu. Ani następnego dnia, ani dwa dni później. A im dłużej się nie pojawiała, tym bardziej Elisabeth cierpiała z powodu wyrzutów sumienia i zastanawiania się nad tym, dokąd i z kim uciekła. W oczach matki to właśnie ona była wszystkiemu winna. Gdyby lepiej uważała na młodszą siostrę! Ojciec był zatroskany. W domu Berentschów zrobiło się bardzo cicho.

Ale hańba rodziców z powodu utraty córki nie była jedyną konsekwencją ucieczki Viviane. Nad Elisabeth zebrały się chmury samotności.

Rozdział 5

Simone zamknęła pamiętnik Elisabeth. Podczas czytania zdrętwiały jej nogi i rozbolały ją plecy. Zaczynało już świtać. Położyła pamiętnik na stoliku przy sofie i wygodnie się na niej wyciągnęła. Potem z powrotem opadła na poduszkę i zaczęła rozmyślać. Czy to możliwe, żeby dom, w którym w weekend była na aukcji, należał do rodziny Berentschów? Czy siostry jeszcze się kiedyś spotkały?

Simone niemal fizycznie czuła ból Elisabeth po utracie siostry, ale również ona poczuła się samotna i opuszczona. W tamtych czasach ucieczka Viviane od rodziny z pewnością była niedorzecznością, a nawet skandalem. I to jeszcze do cyrku! Czy rodzice Viviane kiedyś się o tym dowiedzieli? I co się stanie z Elisabeth? W jednej chwili odpowiedzialność za całą rodzinę spoczęła na jej barkach.

Simone spojrzała na kufry. Czy należały kiedyś do Viviane? Ale jak znalazły się w domu w hamburskim Blankenese? To by znaczyło, że pewnego dnia Viviane wróciła do rodzinnego domu!

Simone musiała wziąć się w garść, aby od razu nie zacząć czytać dalej. Powinna przecież coś zjeść i wreszcie się ruszyć. Wstała sztywno. Idąc, włączyła komputer. Być może internet znał kilka odpowiedzi na jej pytania. Kiedy urządzenie się uruchamiało, Simone przetrząsała lodówkę. Jogurt był lepszy niż nic. Z łyżką w ustach wróciła do biurka i usiadła. Odsunęła na bok stos rachunków.

Na początek jej wzrok padł na symbol koperty: w skrzynce były nowe wiadomości. Z rozczarowaniem stwierdziła, że to nie nowe zlecenie ani nie wiadomość od Jensa. Odkąd wyjechała z Hamburga, nawet nie próbował się z nią skontaktować. No tak, wcześniej ignorowała jego telefony. A mimo to…

Simone odstawiła jogurt i sięgnęła po telefon. Przez chwilę wahała się, a potem wystukała numer Jensa.

– Żądany abonent jest obecnie nieosiągalny – rozbrzmiał automatyczny komunikat.

Energicznie odłożyła telefon na biurko. Przynajmniej będzie teraz wiedział, że dzwoniła.

Otworzyła wyszukiwarkę. Jedną ręką trzymała pojemnik z jogurtem, drugą wystukała „Elisabeth Berentsch". Bez sukcesu.

Simone oddała się rozmyślaniom. W 1916 roku Elisabeth miała osiemnaście lat. To było dziewięćdziesiąt siedem lat temu. Razem dawało to sto piętnaście lat. Pomiędzy jej urodzeniem a teraźniejszością rozegrały się dwie wojny światowe. Prawdopodobnie Elisabeth wyszła za mąż, co mogło oznaczać zmianę nazwiska, albo wcześnie umarła. Simone nie bardzo w to wierzyła, ale oczywiście było to możliwe.

Następnie spróbowała z „Berentsch Hamburg". Wyszukiwarka wyświetliła kilka wyników, wśród nich stronę, na której znajdowały się zeskanowane stare spisy ludności. „Dom handlowy Berentsch – do 1957", było tam napisane. A więc rodzinny interes przetrwał dwie wojny światowe. Niestety, kolejne wyniki nie przyniosły dalszych informacji. Simone stukała palcami w blat biurka. Chociaż internet wypluwał niezliczone informacje dotyczące wszelkich tematów i osób, to wszystko na temat życia prywatnego i osobistego, co działo się przed wielu laty, nadal nie zostało zdigitalizowane.

Simone szukała dalej, ale nie znalazła potwierdzenia, że dom w Blankenese rzeczywiście należał kiedyś do rodziny Elisabeth. Trochę zezłościła się na samą siebie. Gdyby dokładniej zwróciła na to uwagę w Hamburgu! Biuro aukcyjne zachowywało dyskrecję. Pod jakim

pretekstem powinna się tam zgłosić i wypytać? Mog-ła skłamać, że przeczytała o tym w pamiętniku obcej osoby i teraz dręczy ją ciekawość. Simone rozważyła w myślach możliwości, jakie jej zostały. Urząd meldunkowy? Księgi kościelne? Czy tak po prostu dostanie je do wglądu? To wszystko wydawało się jej bardzo czasochłonne.

Oparła się na krześle. Przyszło jej na myśl, aby czytać dalej. Być może znajdzie w pamiętniku Elisabeth jakiś ślad, mogący doprowadzić ją do anonimowego zleceniodawcy, który do tej pory jeszcze się nie zgłosił.

Wyłączyła komputer i poczłapała z powrotem do sofy. Ze stosem poduszek pod plecami, nogami w górze i pluszowym misiem w zagięciu łokcia znów otworzyła pamiętnik. Przeczytała dopiero jego znikomą część. Była pełna napięcia, jakich wskazówek udzielą jej kolejne strony.

Hamburg, 17 listopada 1916

Długo cię szukali. Ale nikt nie potrafił powiedzieć, co się z tobą stało. Dla naszych rodziców było to bolesne doświadczenie. Matka wychodziła z siebie, ale wściekłość z powodu twojego zachowania powoli bladła wobec problemu, jaki się przed nami pojawił. Posiłki stały się skromne do tego stopnia, że matka grozi, że zwolni kucharkę. Przy czym biedna Käthe nie może nic na to poradzić. Nie wiem, jaka będzie zima. Boję się. Ojciec już od tygodni nie domaga, a matka wykańcza mnie nerwowo. Ach, Vivi, moja mała siostro, mam nadzieję, że tobie wiedzie się lepiej. Dostałam twój list. Dobra stara Hedda przemyciła mi go. Kiedy czytałam te słowa, serce pękało mi z bólu.

List? Simone uniosła głowę znad pamiętnika. Drugi pakiet! Usiadła. Na stole przed nią leżała sterta kopert. Ostrożnie wzięła ją do ręki i spoglądała niezdecydowanie to na listy, to na leżący na sofie pamiętnik.

Co ja wyprawiam? – zadała sobie pytanie. Lękliwie przeciągnęła palcami po pożółkłych kopertach. Grzebanie w prywatnej korespondencji wydało się jej niewłaściwe. Ale skoro chciała dowiedzieć się, co się stało z Viviane, musiała przeczytać list. Simone poczuła się jak szpieg. Ale nie mogła inaczej, po prostu musiała się dowiedzieć, jak potoczyła się ta historia. Rozwiązała wstążkę, którą był związany pakiet. Nie było ich tak dużo, jak można się było spodziewać po wielkości sterty, ponieważ każda koperta była naprawdę gruba. Nie było na nich nadawcy ani stempla pocztowego. Na wierzchu kopert było napisane zamaszystym odręcznym pismem „Dla Elli". W górnym prawym rogu ktoś dopisał małe cyferki. 16, 17… Czy to były lata?

Simone sięgnęła po pierwszą kopertę. Ostrożnie wyjęła z niej papier i rozłożyła list. Była to kartka zapisana gęstym drobnym pismem.

Kierunek Wschód – październik 1916

Kochana Elli,

nie jest mi łatwo pisać te słowa. Mam nadzieję, że Hedda przekaże ci ten list. Nie mam odwagi pisać bezpośrednio do domu. Bo mogłoby się zdarzyć, że list wyląduje u matki, zamiast trafić do Ciebie.

Wiem, że okrutnie Cię zdradziłam/zawiodłam. Mam nadzieję, że pewnego dnia mi wybaczysz. Ale chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będę nosić Cię w moim sercu, kochana Siostro. Nie powiem Ci, gdzie dokładnie teraz się znajdujemy, ponieważ jest prawie pewne, że rodzice każą mnie szukać. Ale potrzeba, żeby się przed Tobą wytłumaczyć, tak mnie gryzie, że wysyłam Ci ten list.

Od dziecka byłaś mądra i bardzo rozsądna. Zawsze pragnęłam, aby udzieliło mi się choć trochę Twojego spokoju i pokory życia. Ale coś nie dawało mi spokoju, miotało mną i szarpało jak huraganowy wiatr. Życie, jakie wybrali dla mnie rodzice – czułabym się w nim jak delikatna roślina na mrozie. Wyjść za mężczyznę, który mi nie odpowiada, i do końca życia ugrząść na łonie rodziny… Nie – nie przeżyłabym tego. Mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz, dlaczego musiałam uciec.

Pierwsze dni, kiedy spotkałam Philippa u Jakobsena, zmieniły moje życie. Coś się we mnie obudziło. Jeszcze nigdy nie spotkałam człowieka, który byłby mi tak bliski. Oczywiście oprócz Ciebie, kochana Siostro! Ale to jest coś innego.

Tak, potajemnie wymykałam się w południe z domu. Biegłam do niego, musiałam go zobaczyć. Jego sposób jazdy konno i obchodzenia się z końmi to było jedno. Kiedy zaczynałam z nim rozmawiać… Ach, biedny Jakobsen nie miał lekko. Dwoje młodych ludzi nieskrępowanych i bez nadzoru za murami jego stajni!

Ale mówię Ci, w Philippie znalazłam pokrewną duszę. Być może dlatego, że ma podobny do mojego temperament i przede wszystkim też kocha konie. To było tak, jakbyśmy się znali już całą wieczność, prawdopodobnie… prawdopodobnie spotkaliśmy się już w poprzednim życiu. Nie rozmawialiśmy wiele. Dosiadaliśmy koni i tańczyliśmy.

Byłabyś na mnie zła, moja starsza Siostro, gdybyś wiedziała, jak nieokiełznana byłam w owych dniach. Spotykałam się z Philippe'em nawet wieczorami. Nigdy bym Ci tego nie powiedziała, gdyby nie był to tak ważny moment w moim życiu. Jeździliśmy konno na brzeg Łaby. Tam w ciepłym wieczornym świetle galopowaliśmy, ścigając się z jaskółkami. I od tamtej pory wiedziałam: jeśli mam spędzić życie z mężczyzną, to tylko z nim – i z tym uczuciem wolności.

Jaką ofiarę musiałam ponieść! Wiem, że rodzice są mną do głębi rozczarowani. Nikt nie musi mi mówić, sama to wiem: drzwi naszego domu są dla mnie na zawsze zamknięte. Ale, kochana Siostro, mam nadzieję, że w swoim sercu zawsze będziesz miała dla mnie otwarte drzwi. Nawet jeśli miałybyśmy być odtąd na zawsze rozdzielone, każdego dnia będę o Tobie myślała.

Dlatego chciałabym Ci powiedzieć, jak mi się żyje. Żebyś wiedziała, że mi się dobrze wiedzie i że nie żałuję swojego kroku. Tego wieczoru, kiedy zdecydowałam o moim losie, długo stałam pod drzwiami do Twojego pokoju i płakałam. Nie mogłam się z Tobą pożegnać. Próbowałabyś mnie powstrzymać. Uciekłam po kryjomu, zabierając ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Namioty były już zwinięte, a Philippe czekał na mnie przy swoim wozie. Jechaliśmy całą noc i kiedy następnego dnia wzeszło słońce, znajdowaliśmy się już daleko od Hamburga. Nikt z członków cyrkowej trupy nie wie, kim jestem ani skąd się tam wzięłam. Tak samo nikt się nie pyta, dlaczego jestem teraz z Philippe'em. Zostałam przyjęta do tej koczowniczej trupy, która żyje jak jedna wielka rodzina. Troszczą się tu o mnie jak o ptaka, który wypadł z gniazda, a ja mimo ciężkich czasów czuję się bezpiecznie.

Siostrzyczko, proszę, nie myśl o mnie, że straciłam resztki przyzwoitości. Co prawda mieszkam w wozie Philippe'a, ale oczywiście wszystko jest tak jak trzeba. Ofiarował mi swoje

łóżko, a sam zrobił sobie posłanie na podłodze. Mamy zamiar się pobrać. Ale aby to się stało, musimy znaleźć się we właściwym czasie w odpowiednim miejscu, daleko od Hamburga. Nie martw się o mnie – naprawdę go kocham i wiem, że podjęłam jedynie słuszną decyzję. To tyle.

Czuję się, jakby tu zawsze było moje miejsce. I tylko na mnie czekało.

Podróżujemy drewnianym zielonym wozem cyrkowym, w którym, jeśli człowiek się ścieśni, można wygodnie mieszkać. Jest on jak mały dom na kołach. Mamy tu salon, jadalnię i sypialnię. Och, wiem, że na pewno kręcisz teraz głową. Jest tu mała kuchnia z piecem. Można się też umyć. Oczywiście Philippe dba o to, żebym miała jak najwięcej prywatności.

Wóz należał jeszcze do jego rodziców. Bardzo się o nich martwi, ponieważ wojna ich rozdzieliła. Oczywiście, jak się dobrze domyśliłaś, Philippe nie jest Alzatczykiem ani Belgiem. Pochodzi z Francji, co oczywiście musieliśmy trzymać w tajemnicy. Kiedy nadciągnęła wojenna wichura, jego rodzice podróżowali po Włoszech. Od tamtej pory Philippe nie ma od nich żadnej wiadomości. We Francji znajduje się małe gospodarstwo, które należy do rodziny Philippe'a. On ma nadzieję, że pewnego dnia będzie mógł tam razem ze mną wrócić, kiedy wojna się wreszcie skończy. Dopóki to nie nastąpi, będziemy się starali podróżować bezpiecznymi drogami, nie za blisko frontów.

Wszyscy artyści jakoś próbują uniknąć tego nieszczęścia. Większości z nich nie wolno wyjechać ani oficjalnie wykonywać swojej pracy, ponieważ są obcokrajowcami. Ale podczas występów niewielu z nich się tym przejmuje, ponieważ w blasku reflektorów wrogowie stają się przyjaciółmi. To zadziwiające, jak bolesne jest przeżycie, kiedy zamiast przed trybunami gra się przed rzędami polowych łóżek, na których leżą ranni żołnierze. Tak, doświadczyłam już takich rzeczy.

Wiele trup artystycznych narzeka na duży ubytek ludzi i zwierząt. W razie potrzeby próbujemy sobie pomagać, spotykamy się w miastach i dajemy wspólne występy.

Robi się trudniej, kiedy przychodzą władze. Zazwyczaj to ja rozmawiam z urzędnikami, w końcu nie mam akcentu. Tak, przyznaję, ciągle muszę kręcić. Zresztą trupa wymyśliła trik, jak za każdym razem można obejść niewygodne pytania na temat pochodzenia i bronić się przed konfiskatą koni. Muszę cofnąć się trochę w przeszłość, aby opisać Ci ich postępowanie.

Nasz wóz ciągnie wierna Lola, ciężka francuska zimnokrwista klacz o sile wołu i usposobieniu owcy. Podczas jazdy ogiery albo przywiązuje się z tyłu wozu, albo Philippe dosiada jednego, a drugiego bierze na powróz. Lola i ja powozimy wozem, przy czym nie wydaje się, żeby klacz brała mnie na poważnie, kiedy siedzę na koźle. Ach, jakie to ekscytujące, teraz wiodę prawdziwe życie wagabundy!

Oba ogiery Jakobsena, zupełnie tak samo jak ja, zaczęły nowe życie, do którego nie były przyzwyczajone. Męczy je długi monotonny bieg i w niektóre dni z wysiłku puchną im pęciny. Philippe mówi, że niedługo powinny się do tego przyzwyczaić. Cała drętwieję i czuję się jak stara kobieta, kiedy o późnej porze zeskakuję z kozła. Ale szczęście, którego doznaję, kiedy wieczorami siedzę przy ogniu w kręgu mojej nowej rodziny, mówi mi, że to wszystko jest warte wysiłku. Nasza trupa składa się z czterech wozów. Co roku artyści spotykają się od nowa, łączą się w grupy i zazwyczaj spędzają ze sobą cały sezon. Na zimę przenoszą się do swoich kwater, jednak w tych ciężkich czasach nie wszyscy mogą do nich wrócić. Podróżowanie już jest bardzo utrudnione. Nie wiemy więc, co przyniesie nam zima.

Tego roku Philippe ma wesołą trupę. Towarzyszy nam rodzina Liganelli, czterech braci

i siostra. Są artystami, mężczyźni mają siłę niedźwiedzi i potrafią zbudować piramidę z ludzi. Fiona, ich siostra, jest kobietą-wężem, która już kilka razy przeraziła mnie swoimi niewiarygodnymi umiejętnościami. Odgrywa ważną rolę w kontaktach ze wspomnianymi już ciekawskimi urzędnikami. Kiedy w jakiejś miejscowości pytają nas o dokumenty, cała trupa działa według dobrze wyuczonego planu.

Fiona wybiega z ukrycia, płacząc. Jak już mówiłam, jest kobietą-wężem i potrafi bardzo osobliwie bujać lewą ręką. I wybucha zdenerwowaniem.

Podróżuje z nami Mister Hoaldman – wyróżnia się niezwykle niskim wzrostem, ponieważ ledwo sięga mi do bioder. Mister Hoaldman posiada jednego z tych rzadkich huculskich koni. Nie, to nie jest kuc, ma wielkość dorosłego konia, tylko z o wiele za krótkimi nogami. Wspólnie z Philippe'em wymyślili numer, w którym konie Philippe'a pokazują sztuczki, a hucuł je naśladuje. Właściwie powinno to być śmieszne, ale zwierzę jest tak sprytne, że z czasem stało się prawdziwą konkurencją dla szkolonych ogierów. Oprócz tego Mister Hoaldman jest kucharzem naszej menażerii. Udaje mu się tą niewielką ilością pożywienia, którą w tych ciężkich czasach dysponuje nasza trupa, napełnić wszystkie żołądki. Ale odbiegam od tematu…

Podczas urzędowych przesłuchań Mister Hoaldman jest drugim aktorem. Gdy tylko pośpiesznie pojawia się Fiona ze swoją rzekomo wywichniętą ręką, składa dłonie nad głową. Na tę tajną komendę nasze konie zaczynają okazywać strach i dziko szarpią powrozami. Philippe podbiega do nich, aby je uspokoić. W obecności szalejących ogierów jeszcze żaden urzędnik nie odważył się powtórnie poprosić o jego dokumenty. Konie pociągowe natomiast na ten znak spuszczają łby, jakby wybiła ich ostatnia godzina. A nasza wierna Lola zaczyna kuleć tak, że nikomu nie przyszłoby na myśl, aby tę zmęczoną chabetę jeszcze rekwirować na potrzeby wojska. Philippe posiada wybitny talent do tresury koni, mam nadzieję wiele się przy nim nauczyć.

W ostatnim wozie podróżuje madame Guiseppe, do tej pory nie wiem, kim ona właściwie jest, może wróżbiarką, a może stanowi atrakcję już z powodu swoich robiących niesamowite wrażenie występów. Madame Guiseppe otacza naszą trupę matczyną opieką, która zawsze działa jak balsam na nasze serca. Ona odpowiada za dramatyczny finał, kiedy grozi nam niebezpieczeństwo, że mimo całego zamieszania urzędnicy będą jednak sprawdzać nasze dokumenty. Podczas gdy konie szaleją, a Philippe zachowuje się tak, jakby chciał je uspokoić, madame Guiseppe teatralnie łapie się za pierś, łapczywie chwyta powietrze i pada na ziemię. Bracia Liganelli bez zwłoki rzucają się jej na pomoc i razem z połamaną Fioną wyprowadzają ją z placu. Zostaje na nim tylko kilku zdumionych urzędników, którzy na widok tego zamieszania jak najszybciej pragną się wycofać i zostawiają nas w spokoju. Gdy tylko znikną, konie znów stoją posłusznie, Fiona prostuje rękę, a madame budzi się z omdlenia.

Tak to podróżuję teraz po kraju z pięcioma i pół mężczyznami oraz dwiema kobietami. Matka załamałaby ręce i wołała o sole trzeźwiące. Mam nadzieję, Siostrzyczko, że zachowasz mój list dla siebie.

Mogłabym Ci jeszcze tak wiele opowiedzieć, tak barwne i ekscytujące jest moje nowe życie.

Ale na tę chwilę chcę na tym poprzestać. Powinnaś tylko wiedzieć, że nieźle mi się wiedzie i że jestem w dobrych rękach. Na dworze już zaprzęgają konie, dzisiaj ruszamy dalej. Postaram się pisać do Ciebie najczęściej, jak to możliwe.

Twoja kochająca

Vivi

Simone opuściła rękę, w której trzymała list, i wpatrywała się w ciemność pokoju. Za oknami było widać światła miasta. Nad Berlinem zapadł zmierzch. Potrzebowała kilku minut, aby wrócić do rzeczywistości. Jak odważnie młoda kobieta porzuciła swoje dostatnie bezpieczne życie. A mimo to pomyślała o bólu Viviane z powodu utraty starszej siostry, który czuło się między wierszami.

Simone trochę się zawstydziła, że przeczytała ten intymny list. Teraz już tak dużo wiedziała o Elisabeth i Viviane, że niemal czuła się z nimi związana. To zmuszało ją, aby dowiedzieć się, jak dalej potoczyły się ich losy. Znów badawcze spojrzenie na zegar, ale co to za… zresztą i tak nie miała żadnych innych planów. I znów wzięła do ręki pamiętnik Elisabeth.

Rozdział 6

Hamburg, 17 listopada 1916

… Ach, Vivi, moja mała siostro, mam nadzieję, że tobie wiedzie się lepiej. Dostałam twój list. Dobra stara Hedda przemyciła mi go. Kiedy czytałam te słowa, serce pękało mi z bólu.

Nie tylko dlatego, że tak mi ciebie brakuje, lecz również dlatego, że teraz ciężar rodzinnych obowiązków spoczywa na moich barkach. Zawsze pragnęłam przejąć obowiązki pierworodnej. A teraz stoję w obliczu tego zadania i boję się. Boję się tego, co przyniesie nam zima. Boję się o dom i rodziców i boję się mężczyzny, którego mam wiosną poślubić…

Jesienią tego samego roku

Dosłownie przed chwilą z salonu domu Berentschów wyszedł kapitan żandarmerii. W świetle nisko stojącego słońca meble przy oknie rzucały długie cienie. Mimo przytłumionego jesiennego światła nie można było nie zauważyć nerwowej atmosfery wyrażanej w gestach czy brzmieniu głosu. Kapitan ze stoickim wyrazem twarzy przedstawiał swoje ustalenia:

– Przez wiele tygodni sprawdzaliśmy wszystkie stacje kolejowe, a nawet porty. Nikt nie widział dziewczyny, która odpowiadałaby rysopisowi państwa córki. Teraz trzeba przerwać poszukiwania. Przykro mi, ale naprawdę muszę skierować moich ludzi do innych zadań.

Otto Berentsch wysłuchał jego raportu z melancholijnym wzrokiem. Kiedy już uczynny żandarm opuścił pokój, ojciec okazał rzadki u niego poryw uczucia, chcąc położyć dłoń na ramieniu żony.

– Któregoś dnia Viviane wróci, gdzież by się miała podziać w tych czasach…

Gertrud Berentsch nieznacznie się uchyliła, żeby uniknąć dotyku męża.

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć w tym domu jej imienia. – Jej głos przeciął powietrze jak strzała.

W ubiegłych tygodniach postarzała się o całe lata. Elisabeth nie była w stanie powiedzieć, czy z to powodu zgryzoty, czy może z głodu.

– Ale, matko… – Elisabeth zrobiła krok w jej stronę.

– Nie! – Gertrud Berentsch uniosła ostrzegawczo rękę. – Jej noga nigdy nie przekroczy progu tego domu. Jak mogła… jak ona mogła tak nas skompromitować! Zrobiła z nas pośmiewisko. Córka, która po prostu ucieka! Jak mamy to wyjaśnić, kiedy ktoś nas zapyta?!

Ojciec westchnął cicho i odwrócił się od żony. Najwidoczniej nie potępiał Viviane tak ostro. Ale również dla niego ból z powodu utraty córki, która od niego uciekła, był nad wyraz dotkliwy.

Elisabeth opuściła ramiona, zrezygnowana i zakłopotana patrzyła w podłogę. Ciążyły jej wyrzuty sumienia, ale milczała. Nie mogła zdradzić siostry.

Atmosfera była gorąca, rozdarta pomiędzy wściek-łością, strachem a rozpaczą, i to nie tylko z powodu zniknięcia Viviane. Elisabeth wiedziała, że wojna sprowadziła niespodziewane obciążenia również na jej rodziców.

W gazetach jedne złe nagłówki ścigały następne – jeśli w ogóle się jeszcze ukazywały. Elisabeth coraz częściej towarzyszyła Käthe w wyprawach do miasta, ponieważ wydawanie

żywności zostało drastycznie ograniczone i biedna kobieta często była narażona na przejawy wrogości, kiedy miała przy sobie większą ilość kartek żywnościowych, niż jej przysługiwało. Elisabeth, która teraz wzięła na siebie część sprawunków, coraz wyraźniej rzucał się w oczy względny dobrobyt, jaki panował w domu Berentschów. Tym trudniej godziła się z tym, co widziała w mieście. Matki z jęczącymi dziećmi często stały godzinami przy najgorszej pogodzie, aby zdobyć bochenek chleba. Ulice były do cna wymiecione z mężczyzn. Powoływano wszystkich zdolnych do służby wojskowej, a w miastach kobiety, starcy i chorzy walczyli o przeżycie.

Ojcu, jak do tej pory, tego oszczędzono. Elisabeth przypuszczała, że pomogła mu w tym ta czy inna znajomość. Ale nikt nie potrafił powiedzieć, jak długo jeszcze będzie tak dobrze. Gdyby rozeszła się plotka, że kupiec Berentsch wykręca się od służby wojskowej, trudno przewidzieć skutki, jakie by to wywołało. Ojciec rzetelnie starał się wspomagać machinę wojenną częścią składowanego towaru, ale pewnego dnia magazyny będą puste.

Elisabeth próbowała śledzić wiadomości, lecz niewiele rozumiała z polityki i gospodarki. Ale czuła, że plany programu Hindenburga, według których wszystkie dobra muszą być oddawane na potrzeby wojny, przyczyniły się do rzucenia kraju na kolana. Najwyższe dowództwo wojsk lądowych już w sierpniu poczyniło szeroko zakrojone starania, aby zrekompensować malejącą liczbę żołnierzy przewagą techniczną. Oczywiście nikt nie mówił oficjalnie o ogromnych stratach w ludziach, ale liczba osób, które obecnie nosiły żałobę, przekroczyła w tym czasie wszelkie granice. Nikt już nie cieszył się z poczty polowej, ponieważ dostarczała tylko coraz więcej złych wiadomości. Wszędzie dominował czarny kolor ubrań i już nie mówiono głośno o froncie wschodnim. Somma i Verdun stały się wycis-kającymi łzy tematami tabu.

Do matki dość często przychodziły z wizytą przyjaciółki i w kręgu kiedyś elitarnej grupki, która spotykała się na herbatce, teraz, szlochając, opłakiwano swoich poległych synów. Na srebrnej tacy w korytarzu, przeznaczonej na listy, piętrzyły się wiadomości od znajomych i partnerów w interesach o utracie któregoś członka rodziny. Wojna przynosiła ich Gertrud Berentsch więcej, niżby chciała. A wobec faktu, że tym samym znacznie zawężała się lista kandydatów na męża dla Viviane, tylko wzruszała ramionami. W tamtych czasach przynajmniej nikt nie pytał o miejsce pobytu młodszej córki. W ten sposób przygnębiające okoliczności ostatecznie znalazły w oczach matki jakiś pozytywny wymiar.

Elisabeth za to była głęboko wstrząśnięta tym, że wielu młodych mężczyzn straciło życie. Jednych znała tylko powierzchownie, innych, tych z dzieciństwa, trochę lepiej. Niektórzy zostawiali żony i dzieci albo zrozpaczonych rodziców. A dla osieroconych osób życie w ojczyźnie wcale nie stawało się łatwiejsze.

W tamtym czasie Otto Berentsch był wielokrotnie proszony o zorganizowanie transportu materiałów wojennych i dostarczenie na front całego zapasu jego towarów. Elisabeth z troską zauważyła, że mundurowi zgłaszali się coraz częściej.

Kiedy pewnego dnia znów interweniowali u ojca trzaskający obcasami dwaj regulaminowo ubrani oficerowie, nie mogła się powstrzymać. Wślizgnęła się niepostrzeżenie do holu wejściowego zastawionego kwiatami i tak ukryta cała zamieniła się w słuch, starając się, by nie uronić nic z tego, o czym rozmawiali mężczyźni.

Terkoczące głosy wysokich rangą żołnierzy docierały do Elisabeth w strzępach.

– Rozumie pan, panie Berentsch. Pańskie magazyny… to byłoby bardzo przydatne…

Chodziło o przemysł zbrojeniowy, drogi transportu, produkcję prochu, roboty publiczne.

Oficerowie pasowali do wykwintnego salonu jak kwiatek do kożucha. Otto Berentsch nigdy nie wpuszczał oficerów do swojego gabinetu ani do palarni na jego tyłach. Wyraźny znak, że im nie ufał.

Kiedy mężczyźni już opuścili dom, Elisabeth patrzyła, jak ojciec zdenerwowany chodzi w tę i z powrotem. Sprawiał wrażenie wzburzonego.

– Ojcze? Wszystko w porządku? Chciałbyś coś do picia? – Elisabeth weszła ostrożnie do pokoju. Nigdy nie była pewna, jak dalece tolerował jej zainteresowanie męskimi tematami. Czasem udzielało mu się karcące spojrzenie matki, kiedy Elisabeth czytała gazetę, czasem dawał jej dziennik, jakby chciał, żeby zasięgnęła informacji. Tego dnia wydawało się, że jej obecność go ucieszyła.

– I co powinienem teraz zrobić? Cały przemysł przestawił się na gospodarkę wojenną. – Nadal nie przestawał chodzić, kręcąc głową. – Żądają ode mnie, żebym oddał do dyspozycji wojska wszystkie nasze magazyny i środki transportu.

– Jeśli jest to korzystne dla kraju – powiedziała cicho Elisabeth. Nie dlatego, że aprobowała wojnę, ale za sprawą spotkań organizowanych przez matkę, podczas których kobiety robiły na drutach, ostatecznie sama też wnosiła jakiś swój wkład. A więc dlaczego ojciec tak się wzbraniał?

Otto Berentsch odwrócił się i popatrzył na nią. Teraz jego oczy płonęły wściekłością.

– Po prostu kobiety nic z tego nie rozumieją. Dostarczanie skarpet to jedno, ale, Elisabeth… Jeśli cały mój interes zaanektują na potrzeby wojenne, z czego wtedy będziemy żyć?

Elisabeth wzdrygnęła się, słysząc te ostre słowa. Nie pomyślała o tym i od razu zamilkła.

– Tak, ojcze, przykro mi. Oczywiście masz rację. Jeśli… Jeśli mogę ci w jakikolwiek sposób…

Otto Berentsch machnął ręką. Wstrząsnął nim atak kaszlu, jego zdrowie zdawało się pogarszać w oczach pod ciężarem zmartwień.

– Nie, nie możesz mi pomóc. Ale jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, zastosuj się do planu matki i jak najszybciej wyjdź za mąż za tego Prusaka. Z jego kontaktami na pewno będzie to korzystne dla naszego przedsiębiorstwa.

Wydawało się, że ojciec nie zauważył, jak Elisabeth zesztywniała. Wyjść za mąż? Matka nic o tym nie wspominała!

Późną jesienią 1916 roku, kiedy z drzew pospadały żółtobrązowe liście, atmosfera stała się jeszcze bardziej ponura. Dręcząca myśl o małżeństwie oraz niepewność co do wybranka drążyła umysł Elisabeth jak robak jabłko. W niektóre dni była już blisko tego, aby zapytać matkę o jej plany, jednak nie mogła zdobyć się na odwagę. Nie potrafiła myśleć o niczym innym. Czy to możliwe, żeby ojciec coś opacznie zrozumiał? Matka milczała. W końcu Elisabeth nabrała nadziei, że być może temat umarł śmiercią naturalną.

Kiedy nastała zima, bieda nie zostawiała czasu na rozmyślania. Pojawiło się zbyt wiele problemów do rozwiązania. Jednym z nich było zaopatrzenie w żywność. Zrozpaczona kucharka w domu Berentschów starała się zapewnić państwu to, co najpotrzebniejsze. W tym czasie racjonowanie żywności sprawiło, że zatarła się różnica pomiędzy biedą a bogactwem. Mięso i wędliny można było dostać wyłącznie na czarnym rynku. Gertrud Berentsch nie ukrywała już dłużej swojej złości.

– Przecież mamy pieniądze. Ale co nam po nich, skoro nie możemy za nie nic kupić?

– Matko, ceny są horrendalne, a straże regularnie pilnują targowiska. Aresztuje się tam ludzi i mówi, że zostaną wcieleni do Służby Pracy.

– Chyba nie zabiorą nam kucharki? – lamentowała matka przekornie.

– Powinniśmy się cieszyć, jeśli do Służby Pracy nie powołają Käthe albo nawet nas. Zabrali już prawie wszystkich mężczyzn, a ci, który wracają, ledwo mogą ustać na nogach.

– Nas? Po co mieliby nas powołać?

Elisabeth miała dość tłumaczenia matce, co rozgrywało się poza ich małym, jeszcze prawie nienaruszonym światem. Jak ona mogła zamykać oczy na codzienność w czasie wojny? Gertrud Berentsch beztrosko krzątała się po domu, jak zawsze, kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia. A przecież zapowiadało się, że te święta będą najczarniejsze w historii Hamburga.

Nie była w stanie wyobrazić sobie, że prawie wszystkie kobiety przejęły obowiązki mężczyzn i na dodatek zostały powołane do pracy w fabrykach produkujących na rzecz wojska, i to przez siedem dni w tygodniu. Elisabeth natomiast słyszała użalanie się kobiet stojących w kolejkach przed punktami wydawania żywności. Niektóre były tak zmęczone, że opierały się o ścianę i zasypiały na stojąco.

Dla Käthe Elisabeth znajdowała surowsze słowa.

– Niczego nie kupuj na czarnym rynku! Jeśli cię złapią, mogą cię zamknąć. Pomyśl o własnej rodzinie!

– Ale przecież łaskawa pani nie lubi potraw z brukwi – lamentowała Käthe.

– Będzie musiało jej to wystarczyć, tak jak wszystkim.

Nad Bożym Narodzeniem, które w ubiegłych latach obchodzono tak uroczyście, tym razem zawisła zmrożona atmosfera, którą przyniosła ze sobą wojna. Salonu nie rozjaśniały błyszczące ozdoby choinkowe, nie było nawet drzewka. A Elisabeth bardziej niż kiedykolwiek tęskniła za młodszą siostrą. W dniu Bożego Narodzenia był cienki krupnik i kilka kromek chleba z brukwi. Na deser pudding z brukwi z kleksem miodu. Elisabeth wolała nie pytać wiernej Käthe, gdzie go zdobyła.

Ojciec siedział przy stole z bladą twarzą. Od tygodni nie ustępował mu kaszel, na dodatek dokuczało mu panujące w domu zimno. Drewno na opał było racjonowane jak wszystko inne, dlatego palono tylko w małych kozach w sypialniach. Matka z kamienną twarzą mieszała łyżką w jedzeniu. Jej wystawna świąteczna toaleta nie była w stanie ukryć, że głód ściągnął już swój haracz. Elisabeth bolał fakt, że bardzo lubiane dawniej święto obchodzono w takim ponurym nastroju i że musiała razem z rodzicami tak wyraźnie widzieć ich nędzę. Sama była silna i zdrowa. Dawniej raczej znienawidzona okoliczność, która teraz się opłacała.

Kiedy pudding już został zjedzony, milczenie przy stole stało się niemal nie do zniesienia. Podczas Bożego Narodzenia obchodzonego w normalnych czasach Viviane zaintonowałaby teraz kolędę. Ale to, co dzisiaj zabrzmiało w domu, było już tylko wspomnieniem jej dźwięcznego jak dzwon głosu.

To była matka, która przerwała milczenie.

– No dobrze, mam nadzieję, że już nigdy nie będziemy musieli czegoś takiego znosić. – Demonstracyjnie odsunęła od siebie do połowy pustą miseczkę z puddingiem.

Elisabeth postanowiła, że poprosi Käthe, aby zabrała do siebie do domu wszystko, co zostało ze świątecznej kolacji. Wolała nie myśleć o tym, jak obchodzono dzisiejszy wieczór w mieszkaniach mniej zamożnych ludzi.

– Nowy rok będzie lepszy. – Klaśnięcie dłońmi matki wyrwało Elisabeth z zamyślenia. – Moje dziecko! – Wbiła wzrok w Elisabeth. – Dzisiejszego wieczoru powinna pojawić się przynajmniej jedna dobra wiadomość. Ojciec i ja z radością chcemy ci przekazać, że o twoją rękę poprosił wyjątkowo honorowy mężczyzna.

To oficjalne ogłoszenie jej przyszłości sprawiło, że Elisabeth zaschło w ustach, a po jej plecach przeszły na przemian gorące i zimne dreszcze. Tak długo wmawiała sobie, że rodzice ponownie odrzucili temat jej małżeństwa, że sama w to uwierzyła. Ale ta nadzieja teraz prysła raptownie jak bańka mydlana.

Matka kontynuowała radośnie:

– Gunter von Ehlers jest najmłodszym synem von Ehlersów z majątku Ehlershein w Wehlau. Pamiętasz go? Byliśmy tam dziesięć lat temu, po wyjeździe do Królewca, zanim pojechaliśmy do Gdańska.

Elisabeth przypominała sobie mgliście. Podróż była już tylko odległym wspomnieniem; zakurzone aleje, ogromne połacie kraju i ponure lasy. Jako dziecko bała się tego miejsca i jego dziwacznych mieszkańców, a po powrocie do domu starała się szybko o wszystkim zapomnieć. Teraz wiedziała tylko, że odwiedzali wiele rodzin, mężczyźni przeważnie byli partnerami w interesach ojca, a niezliczone dzieci nie chciały bawić się z nią i Viviane. Jak miała pamiętać którąś konkretną osobę?

– Gunter już wtedy był wysportowanym młodym chłopcem. – Matce zaświeciły się oczy. – Od dłuższego czasu utrzymuję listowny kontakt z jego matką i rodzina Ehlersów również cieszy się na to szczęśliwe zrządzenie losu.

Elisabeth zauważyła, że matka mówiła o tym związku, jakby byli świeżo zakochaną młodą parą.

– Nie przypominam sobie – wtrąciła nieśmiało. Szukając pomocy, skierowała wzrok na ojca. Ale on odwrócił wzrok.

– Mam nadzieję, że znów znajdziecie wspólny język. Przecież wtedy tak dobrze się rozumieliście.

– Przyjedzie do nas z wizytą zaraz po Nowym Roku. O ile… – wahanie w głosie matki sprawiło, że Elisabeth nadstawiła uszu – … pozwoli na to jego stan zdrowia.

Ojciec widocznie wiedział coś więcej. Nie bez pewnej dumy w głosie próbował zachwalać przyszłego zięcia.

– Był na froncie wschodnim i został honorowo zwolniony. U boku Ludendorffa przegonił Rosjan pod Tannenbergiem.

Ojciec spotkał się z karcącym spojrzeniem matki.

– Tak, ale nie musi wrócić do wojska. Proszę, to mam przekazać ci od jego matki. – Gertrud Berentsch podsunęła coś, co leżało na stole, w stronę Elisabeth. Była to *Carte de Visite*, fotografia ze złotą obwódką z grubej tektury. Przedstawiała ona młodego mężczyznę w galowym mundurze z pikielhaubą pod prawym ramieniem. Jego poza zdradzała pewną pychę i zdecydowanie. Na dolnym brzegu złotej obwódki widniała napisane odręcznie małymi literami adnotacja, że zdjęcie zrobiono w 1913 roku. Elisabeth dobrze wiedziała, że żołnierze już dawno zdjęli te uniformy i zamienili je na szarobrązowe mundury polowe. Badawczo przyglądała się twarzy swojego przyszłego męża, ale nie potrafiła z niej nic wyczytać. Miał proporcjonalne rysy twarzy, kształtny nos i wąskie wargi. Elisabeth było całkowicie obojętne, kogo i gdzie ten mężczyzna przepędził albo za jak wysportowanego uważała go matka. W jej pamięci boleśnie zachowała się nieszczęsna sytuacja Viviane, kiedy przedstawiono jej listę chętnych do żeniaczki mężczyzn, i nagle poczuła przemożną potrzebę ucieczki. W tej chwili dobrze zrozumiała swoją młodszą siostrę. Ten mężczyzna był dla niej kimś całkowicie obcym.

Elisabeth starała się odnaleźć w pamięci dziecięce oblicze, które pasowałoby do Guntera von Ehlersa. Ale twarze, które widziała wtedy podczas podróży, wirowały jej w głowie tak, że

w umyśle pojawiały się tylko nierealne oblicza. Prześladowały ją nawet w snach.

Dotychczasowe milczenie matki zmieniło się w prawdziwą powódź słów zachwytu na temat jej przyszłego zięcia. Nie było dnia, żeby nie zasypywała Elisabeth hymnami pochwalnymi. Wydawało się, że w tych trudnych czasach przyszły oblubieniec przynajmniej zdejmie ciężar z ramion matki.

Elisabeth tęskniła za Viviane. Nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o swoim strachu związanym z zawarciem małżeństwa. Dlaczego matka tak długo milczała na ten temat?

Czasem zakradała się po kryjomu do pokoju młodszej siostry, chociaż matka poleciła, aby był stale zamknięty. Elisabeth delikatnie głaskała osierocone poduszki; w pokoju wciąż unosił się zapach Viviane. Ale została w nim tylko jedna mała fotografia na toaletce, wszystkie pozostałe matka kazała usunąć. Elisabeth nie miała odwagi jej tknąć, tak jakby pod jej dotykiem ostatni wizerunek siostry mógł rozpaść się w pył. Długo wpatrywała się w fotografię z nadzieją, że jej skoncentrowane myśli zostaną przekazane Viviane.

Samotność i ból po utracie siostry po wielu tygodniach zmieniły się w lekką złość. Dlaczego uciekła? Nagle Elisabeth dostrzegła tchórzostwo Viviane. Powinna poddać się losowi, tak jak teraz Elisabeth poddała się swojej przyszłości. Ale chociaż złość mieszała się z bezsilnością, z jej serca nie dała się wymazać głęboka siostrzana miłość i Elisabeth trochę zazdrościła Viviane odwagi.

W Nowy Rok rodzinę Berentschów odwiedziła Hedda. Ze współczującym spojrzeniem wetknęła Elisabeth do ręki list. Elisabeth od razu wiedziała, że pochodził od Viviane. Wzięła go i dobrze ukryła. Przez cały dzień wyjmowała list, gładziła pogniecioną kopertę, odkładała go i brała z powrotem. Nie miała odwagi go przeczytać, chociaż aż trzęsła się z ciekawości. Z jednej strony tęskniła za głosem siostry, który niechybnie wywoła w swojej głowie. Z drugiej strony obawiała się, że będzie musiała pogrzebać wszelką nadzieję na powrót Viviane, i bała się tego, co w nim przeczyta. Będą musiały odtąd radzić sobie bez siebie, każda na swój własny sposób. Tylko gdzie ona jest? Czy wszystko u niej w porządku? Kiedy ciekawość wzięła górę i Elisabeth otworzyła kopertę, podczas czytania ogarnęła ją najpierw radość i tęsknota niemal nie do zniesienia.

Ale potem tęsknota zmieniła się w ból, a na koniec nawet we wściekłość. Rzekome szczęście Viviane tylko sypało sól na ranę jej własnej niepewnej przyszłości.

Elisabeth nie była pewna, czego początkowo spodziewała się po liście. Że siostra poprosi ją o pomoc? Żeby utorowała jej drogę do rodzinnego domu? Ale Viviane o niczym takim nie wspomniała. Nie potrzebowała starszej siostry. Elisabeth poczuła się jeszcze bardziej samotna niż wcześniej.

Postanowiła, że od tej pory będzie odsuwać od siebie każdą myśl o Viviane. Teraz musiała skoncentrować się na własnym problemie i zatroszczyć się o rodziców.

Wiosna też nie przyniosła spodziewanej poprawy warunków życia. Zima okrutnie uszczupliła ostatnie rezerwy żywności w mieście i ponownie zmniejszono do minimum racje produktów spożywczych. Elisabeth z przerażeniem zauważyła, że tymczasem jej ubrania zrobiły się dużo za luźne. Wszyscy ludzie w jej otoczeniu, czy to dawniej rumiana na twarzy i jędrna Käthe, czy jej rodzice, byli teraz wyraźnie naznaczeni głodem. Jej myśli godzinami krążyły tylko wokół jednego: jak zorganizować następny posiłek.

Wyjście do miasta w celu zdobycia żywności często okazywało się bezowocne. Elisabeth

wracała do domu obok cicho jęczącej Käthe, która niosła pusty koszyk i znów sięgała tylko po kilka brukwi i jednego pomarszczonego buraka, aby nakarmić swoich państwa. Podczas jednego z takich wyjść Elisabeth zaobserwowała, jak kilka osób kręci się przy drzewach w alejach. Kobiety zrywały młode pąki z gałęzi albo wyrywały z ziemi korzenie dmuchawców. Kiedy dostrzegła, że w ten sposób wiosna trochę złagodziła biedę, aż nią wstrząsnęło. W ogrodzie domu Berentschów chyba też wszystko nadawało się do jedzenia? Cała nadzieja w tym, że coś świeżego, cokolwiek by to było, pomoże ojcu odzyskać zdrowie.

Zima strasznie wymęczyła Otto Berentscha. Był teraz poważnie chory. Jego kaszel dzień i noc rozbrzmiewał w domu jak ochrypłe szczekanie. Elisabeth kilka razy posyłała Käthe po lekarza. Ale ten nie mógł nic zrobić dla swojego pacjenta.

Z czasem księgowy domu handlowego Berentsch, Ludwig Palovski, zaczął niemal codziennie przychodzić do domu, ponieważ ojciec nie był już zdolny zarządzać interesem w biurze. Elisabeth lubiła tego spokojnego, roztropnego mężczyznę, który mimo wszystkich krzywd starał się pomóc interesowi rodziny. Palovskiemu oszczędzono powołania do wojska, ponieważ nosił okulary, których szkła miały grubość cegły. Na jego twarzy malowała się coraz większa i większa troska, na dodatek w niektóre dni ojciec ledwo mówił i leżał nieprzytomny z gorączki.

Pewnego deszczowego popołudnia, kiedy Elisabeth zaproponowała panu Palovskiemu kawę, a dokładniej mówiąc to, co w tamtym czasie nazywano kawą – zalane wrzątkiem prażone zboże – popatrzył na nią niepewnie.

– Panno Berentsch… – zwrócił się do niej. – Prawdopodobnie pani ojciec uzna to za niewłaściwe, ale myślę, że powinna być pani poinformowana o aktualnej sytuacji. – Wbił wzrok w koronkowy obrus na małym stole w salonie i nerwowo wiercił się na krześle. – Ponieważ pani ojciec ostatnio zdecydowanie wzbraniał się przed tym, aby dom handlowy Berentscha prosperował wyłącznie na dostawach wojennych, nasza działalność w dużym stopniu zamarła. W ubiegłych tygodniach wielokrotnie otrzymywałem od dowództwa wojskowego żądania, aby oddać na potrzeby frontu resztę towarów, które jeszcze leżą w magazynach. Przede wszystkim jest to płótno żaglowe i workowe. Poradziłem pani ojcu, aby bezzwłocznie spełnić te żądania, ponieważ tylko wtedy będziemy mieli jeszcze małą szansę, że Ministerstwo Wojny nam za nie zapłaci. Bo jeśli je zarekwirują, stracimy ostatnie zapasy, jakie nam jeszcze zostały. A z powodu blokady szlaków żeglugowych i granic prawie nie dostajemy nowych towarów.

Elisabeth przeszły ciarki. Nie wiedziała dużo o interesach ojca. Skoro Palovski teraz ją w nie wtajemniczył, oznaczało to duże kłopoty.

– Panie Palovski, nie wiem, ja… mój ojciec…

– Panno Berentsch, niełatwo przychodzi mi panią zanudzać… Ale obecnie pani ojciec już prawie nie jest w stanie podejmować decyzji.

– Tak, wszyscy mamy nadzieję, że szybko wróci do zdrowia.

– Ja również mam taką nadzieję. Jakiś czas temu powiedział mi, że myśli pani o szybkim wyjściu za mąż i że pani narzeczony zajmie się domem handlowym. Ale nie wiem, czy możemy tak długo czekać. Przykro mi, panno Berentsch, z pewnością ma pani teraz inne sprawy na głowie… Ale, jak powiedziałem: jeśli wojsko zarekwiruje nasze zasoby w magazynach, stracimy resztę nadających się do sprzedaży towarów.

– Panie Palovski, czy to naprawdę nie może poczekać?

Palowski pokręcił głową wytrącony z równowagi, jednocześnie mrużąc oczy za grubymi okularami.

Elisabeth rozważała w myślach. Czy powinna zawołać matkę? Nie! Gertrud Berentsch nie miała bladego pojęcia o interesach męża, nigdy jej to nie interesowało. Na dodatek zła wiadomość prawdopodobnie bardziej ją rozwścieczy, niż otworzy oczy na rzeczywistość. Poza tym Elisabeth nie wierzyła, że matka potrafiłaby podjąć trzeźwą i przemyślaną decyzję. Prawdopodobnie zezłościłaby się nawet na pana Palovskiego, że absorbuje kobiety w jej rodzinie takimi sprawami. Czyżby więc nie pozostało jej nic innego, jak z miejsca wziąć stery w swoje ręce?

– Proszę zrobić to, co uważa pan za konieczne, panie Palovski. Niech pan sprzeda towary wojsku po najlepszej cenie, a… a od teraz chcę być informowana o każdym wydarzeniu w domu handlowym Berentschów. Ma pan rację, przyszła pora, aby zdjąć odpowiedzialność z mojego ojca, on nie jest… – głos jej się załamał, kiedy sama musiała to teraz przyznać – …już do końca panem swoich decyzji. I dopóki mój przyszły mąż…

– Jak pani sobie życzy, panno Berentsch. – Księgowy skinął głową, a przez jego twarz przemknęła iskierka nadziei.

Kiedy tego dnia Palovski już opuścił dom, Elisabeth zrobiła coś, czego nigdy wcześniej nawet by sobie nie wyobrażała. Poszła do gabinetu ojca. Tam, na ogromnym biurku leżały nietknięte akta z minionych zimowych miesięcy. Elisabeth usiadła za biurkiem na krześle z wysokim oparciem i zdecydowanym ruchem wzięła do ręki pierwszą stertę papierów. Jeśli nie chciała, żeby rodzina marnie skończyła, musiała teraz zająć się tymi sprawami. Nie było sensu czekać, aż do Hamburga przyjedzie wychwalany „Prusak", poślubi ją i przejmie zarządzanie rodzinnym interesem. Każdy dzień był teraz na wagę złota. Trzeba za wszelką cenę uratować dom handlowy.

Rozdział 7

Simone wyrwała się ze snu. Czyżby usłyszała hałas? Jens?

Ale druga strona łóżka była wciąż osierocona. Budzik pokazywał czwartą trzydzieści. Na dworze panował mrok. Przez chwilę Simone nasłuchiwała w ciemności pokoju, potem z powrotem opadła na poduszkę. Śniło jej się, że biegła ulicami Hamburga, była wojna, czuła głód, a przed nią za rogiem domu znikał szary płaszcz. „Tato!" – chciała zawołać, ale nie wydała ani jednego dźwięku.

Przyłożyła rękę do czoła. Było ciepłe, podczas gdy jej dłoń wydawała się lodowata. Lektura pamiętnika i listów poruszyła ją chyba bardziej, niż się do tego przyznawała. Całkiem się rozbudziła. Nie było już co myśleć o śnie, postanowiła więc wstać.

Na stoliku obok wciąż leżał pamiętnik Elisabeth. Simone przyglądała mu się zamyślona, kiedy czekała, aż ekspres do kawy skończy swoją pracę. Jak by to było, gdyby jeszcze dzisiaj rodzice wybierali córkom mężów? Simone się roześmiała. Na kandydata, którego prawdopodobnie wyszukałaby jej matka, na pewno nigdy by się nie zgodziła, prędzej kaktus wyrósłby jej na dłoni. W tamtych czasach młode kobiety raczej nie miały szans, aby zaprotestować i zawczasu wziąć nogi za pas. Simone przypomniała sobie, że Elisabeth wspomniała w pamiętniku o obszernym liście swojej siostry. Wzięła do ręki pakiet z listami. Pierwszy już przeczytała, a kiedy podniosła drugą kopertę, stwierdziła zdziwiona, że koperty leżące pod nią były nieotwarte. Czyżby Elisabeth w ogóle ich nie czytała?

Simone usiadła na sofie. Co powinna zrobić? Skoro Elisabeth nawet nie otworzyła kolejnych listów od siostry, nie wypadało jej w nich grzebać.

Zamyślona powędrowała wzrokiem do kufrów. W dalszym ciągu stały bezpańskie w jej salonie. Z tego, czego się do tej pory dowiedziała, wynikało, że należały zapewne do Viviane, niezależnie od sposobu, w jaki trafiły do domu Berentschów. Być może w pamiętnikach i listach rzeczywiście znajdowała się wskazówka, która pomogłaby jej dotrzeć do ich prawowitego właściciela. Aby dowiedzieć się czegoś o dalszych losach Viviane, musiała zajrzeć do nieotwartych listów, ponieważ z drugiego listu nie dowiedziała się niczego istotnego na temat jej losów.

Jednak Simone nie wierzyła, że w pamiętnikach Elisabeth znajdzie wskazówkę dotyczącą miejsca pobytu Viviane. Elisabeth z pewnością bała się, że matka mog-łaby przeczytać pamiętniki. Nikomu nie zdradziłaby tajemnicy siostry. Ale jeśli nie przeczytała późniejszych listów, prawdopodobnie w ogóle nie wiedziała, co się stało z Viviane.

Simone przeszło po plecach dobrze znane nerwowe mrowienie. Gorączka myśliwska! Podniosła się z sofy i podeszła do okna. Na zewnątrz wciąż było ciemno, ulicami jeździły nieliczne już samochody.

– I co mam teraz zrobić? – Czy jeśli otworzy koperty, nie naruszy czyjejś sfery prywatnej, a przynajmniej nie złamie tajemnicy korespondencji? Ale czy i tak już tego częściowo nie zrobiła?

Obiema rękami odgarnęła włosy do tyłu, żeby zawiązać je na karku w węzeł. Spojrzała na telefon. Żadnej wiadomości. Odwróciła się i popatrzyła na zegar w kuchni. Krótko po piątej. Jaki był dzisiaj dzień? Sobota? Czyżby faktycznie przesiedziała cały tydzień w domu?

Wzdychając, poczłapała do włączników i zapaliła wszystkie lampy. Jasne światło ożywiło jej nastrój i wznieciło w niej trochę większą motywację. Najwyższy czas, aby znów wrócić do życia. Przemogła się i napięła ramiona. Chipsy i siedzenie bez ruchu na sofie nie prowadziły do

rozwiązania jej problemów. Kiedy Jens wróci do domu, porozmawiają i znów wszystko będzie dobrze. Albo i nie.

Simone zdecydowanym ruchem wzięła ze sterty następny list. W końcu nie musiała przeczytać wszystkich, być może tylko ten albo jeszcze jeden, żeby dowiedzieć się, co stało się z Viviane. Jeśli wtedy nie wpadnie na żaden trop, będzie musiała wymyślić coś innego. Z listem w jednej i prawie zimną kawą w drugiej ręce poszła do salonu. Zawahała się, stanęła przed sofą i zdecydowała, że dzisiaj skorzysta z biurka. Być może podkreśli to szczerość jej intencji.

Kiedy usiadła na zimnym biurowym krześle, przeszedł ją dreszcz. Potem rozłożyła gęsto zapisane kartki.

Saksonia, 29 grudnia 1916

Kochana Elli,

przenieśliśmy się teraz na południe. Na wschodzie atmosfera była tak przygnębiająca i było tam również niebezpiecznie. Poruszamy się niedaleko granicy austriacko-węgierskiej. Tutaj człowiek ma uczucie, że wojna jest daleko stąd.

Ale najpierw najważniejsze. Philippe i ja pobraliśmy się. Tak chciałabym mieć tego dnia Ciebie u mego boku, kochana Siostro. W pewnej wsi znaleźliśmy ładny mały kościół, a pastor nie pytał, skąd przybywamy. Powiedział tylko, że wola zawarcia małżeństwa przed Bogiem w czasach takich jak te jest zrozumiałym życzeniem.

Tak więc do ołtarza poprowadził mnie, jak stary kochany wuj, najstarszy z braci Liganelli. Fiona pożyczyła mi jedną ze swoich sukien, być może trochę za błyszczącą jak na mały wiejski kościółek, mimo to przepiękną. Ona i madame Guiseppe były moimi druhnami. Najgłośniej płakał Mister Hoaldman. Madame Guiseppe sądziła, że zapewne nie było mu dane poślubienie jego dawnej wielkiej miłości. Przed drzwiami kościoła stały w szpalerze nasze konie, trzymane przez trzech pozostałych braci Liganelli. Nie sypano kwiatów, ale kiedy przeszliśmy przez drzwi, z nieba spadły drobne płatki. Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa, Elli.

Philippe nosi mnie na rękach i czyta mi z oczu każde moje życzenie. Jest tak, jakbyśmy znali się całą wieczność. Nigdy nie pomyślałabym, że dwoje ludzi, którzy z powodu swojego pochodzenia właściwie powinni być sobie obcy, potrafią być tak bardzo sobie bliscy. Gdyby tylko nie ta przeklęta wojna!

Niebawem po weselu musieliśmy jechać dalej i to, co najpierw spadło z nieba jak błyszcząca niespodzianka, okazało się wkrótce problemem. W tej okolicy jest taka ilość śniegu, jakiej nigdy w życiu nie widziałam w Hamburgu. Nasze konie mozolnie brną w nim do przodu, droga jest uciążliwa. Mamy nadzieję, że szybko nadejdzie wiosna, i chcemy spróbować dostać się do Pragi. W Austro-Węgrzech powinno być teraz spokojnie. W Pradze gości duży cyrk i mamy nadzieję dostać tam angaż na kilka tygodni. Potem Philippe chciałby ruszyć wzdłuż Wełtawy do Linzu, a następnie dalej przez Austrię, a stamtąd być może uda nam się dojechać do Szwajcarii. Pogoda na południu ma się poprawić. Philippe słyszał, że wędrowcy mogą ze Szwajcarii pojechać do Francji. Nie bardzo w to wierzę, słyszy się tyle plotek. On tęskni za swoją rodziną, rozumiem to bardzo dobrze. Jeśli będziemy posuwać się do przodu zgodnie z planem, możemy dotrzeć do Francji latem. Jednak on wciąż nie ma żadnej wiadomości od swoich rodziców.

Mam także nadzieję, że Wam również dobrze się wiedzie, mimo fatalnych czasów. Kochana Siostro, być może pewnego dnia znów się zobaczymy. Nie mam odwagi, by żywić nadzieję, że rodzice jeszcze raz otworzą przede mną drzwi, ale spodziewam się, że Ty mnie

rozumiesz.

Jestem więc teraz madame Viviane Chervon. Muszę się do tego jeszcze przyzwyczaić. Gdy tylko uda nam się dostać do Francji, prawdopodobnie będę mogła wysłać Ci mój adres. Bardzo będę się cieszyć na wiadomość od Ciebie.

Kochająca

Viviane

Simone odłożyła list na biurko i zamyślona wygładziła go dłonią. A więc Viviane rzeczywiście znalazła szczęście u boku Philippe'a, a Elisabeth w domu bojaźliwie zmierzała ku niepewnej przyszłości. Simone współczuła Elisabeth. Rozumiała, jak mogła czuć się młoda kobieta. Podobnie bolesne uczucie dotykało ją, kiedy przyglądała się życiu swojej przyjaciółki Karen. Czy można zazdrościć ludziom, których się kocha?

Simone założyła ręce na piersi i oparła się na krześle. Tak, zdecydowała, można. Nie życzyć im nic złego i cieszyć się z ich sukcesów, ale odczuwać lekką zazdrość w skrytości ducha. Być może pewnego dnia ona i Jens też znajdą wspólny język. Jeśli kiedykolwiek się jeszcze odezwie… Dlaczego nie dzwoni? Czy powinna jeszcze raz spróbować do niego zatelefonować? Czy on nie przesadza z tym milczeniem? A gdyby zgłosiła się do niego już wcześniej? Ale coś powstrzymywało ją przed wzięciem do ręki telefonu. Obecnie był od niej tak daleko, jak kiedyś szczęśliwe małżeństwo od Elisabeth.

Nagle Simone jakby przeszedł piorun; gwałtownie pochyliła się do przodu razem z krzesłem. Chervon! Jeszcze nie szukała po nazwisku! Pośpiesznie włączyła komputer i niecierpliwie stukała palcami w blat biurka, kiedy urządzenie powoli ożywało ze zwykłym piszczeniem i terkotem.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, pełną niezliczonych zachęt, aby odnowić ochronę przeciwwirusową i zaktualizować programy, mogła wreszcie połączyć się z internetem. Wpisała w pasek wyszukiwarki „Chervon". Wyskoczyło mnóstwo rezultatów, ale na pierwszy rzut oka wszystkie wydawały się bezwartościowe. Kawiarnie, francuski piosenkarz i producent zabawek. Simone cicho westchnęła i spróbowała z „Philippe Chervon". I znów nic przekonywającego. Po krótkim namyśle wpisała „Viviane Chervon" i słowo „cheval"*. Tym razem otrzymała miliony wyników. Jej wzrok przykuły obrazy koni. Cicho westchnęła. Jej własne doświadczenia z końmi były minimalne i nie wykraczały poza doświadczenia dziewczyny, która zbyt często oglądała *Czarnego Księcia*, film o historii i życiu konia. Matka nigdy nie zgodziła się na to, żeby brała lekcje jazdy konnej. Z pewnością było to wtedy drogie hobby, ale mimo to Simone dręczyła ignorancja matki. Matki nigdy, ale to naprawdę nigdy nie obchodziły jej pragnienia, marzenia i uczucia.

Narastała w niej gorycz, więc znów skoncentrowała się na ekranie. Bezsensownie „cheval" odnosiło się również do tematów technicznych, a ponadto te dwie sylaby występowały w nazwach jakichś wsi. Ponownie wróciła do paska wyszukiwania i dopisała „cyrk". Po chwili w wynikach wyszukiwania otworzyło się kilka obrazów. Oprócz charakterystycznych koni cyrkowych z pękami piór na łbach pojawiło się skserowane czarno-białe zdjęcie młodej kobiety stojącej na końskim grzbiecie. Simone kliknęła w nie. Zdjęcie wyglądało, jakby pochodziło z gazety.

Minął jakiś czas, aż znalazła pasujący do niego tekst i pobieżnie go przetłumaczyła. Dotyczył kobiety nazywającej się Constanze Chervon i jakiejś nagrody, którą zdobyła. Simone zirytowało, że jej francuski był tak słaby. Nabazgrała nazwisko na bloczku obok klawiatury. Potem wpisała je w wyszukiwarkę. Obok wielu nieistotnych wyników na drugiej stronie rzucił się jej w oczy wpis: „Constanze Chervon, 22410 Tréveneuc".

Simone zerwała się z krzesła, pobiegła do przedpokoju i wygrzebała z torebki list zleceniodawcy ostatniej aukcji. Wróciła do biurka i wyjęła z miękkiej koperty arkusz papieru listowego. Był podpisany inicjałami C.C. Przypadek czy pierwsza istotna wskazówka?

Simone położyła ręce na karku. Na dworze zrobiło się już jasno. Na chwilę zamknęła oczy. Nie, to nie mógł być zwykły przypadek.

Jeszcze raz nachyliła się do przodu, wystukała w wyszukiwarce „Tréveneuc" i kliknęła tryb mapy. Obraz przybliżył miejsce we Francji. Simone musiała zmniejszyć mapę, aby móc się w ogóle w niej zorientować. Tréveneuc leżało w północnej części Bretanii, w departamencie noszącym nazwę Côtes-d'Armor. Ponownie powiększyła podgląd. Mała wioska otoczona dużą ilością zieleni oraz innymi osadami, na samym wybrzeżu kanału La Manche. Najbliższymi większymi miastami były Saint-Quay-Portrieux na wschodzie i Plouha na północnym zachodzie. Simone nie znała jakoś szczególnie dobrze Francji. Nazwy nic jej nie mówiły. Na ostatnim zbliżeniu wyglądało to tak, jakby wioska leżała na głębokiej prowincji. Jednak nie było tam nikogo o nazwisku Chervon.

Simone wróciła do listy wyników. Niestety wpis okazał się takim jedynym. Brak było numeru telefonu. Wpisała w wyszukiwarce kolejne polecenie, tym razem zapytała o francuską informację telefoniczną. Pojawił się jeden wpis. Simone nabrała głęboko powietrza i próbowała się skoncentrować, kiedy wybierała numer. Miała nadzieję, że język nie będzie się jej plątał.

Usłyszała kobiecy głos.

– *Bonjour, comment puisje aider?*

– Halo… *Bonjour, une* połączenie – ach… *à Tréveneuc, s'il vous plait.*

– *Le nom?*

– *Constanze Chervon.*

– *Momentanément…*

Simone słyszała, jak kobieta stuka w klawiaturę.

– *Pas de ligne téléphonique.*

Nie istniał telefon zarejestrowany na to nazwisko. Być może nie było już takiej osoby. Nadzieja Simone zgasła.

– *Une adresse?* – zapytała mimo to.

– *Momentanément* – poprosił głos na drugim końcu linii. – *Une famille Chervon … vivant dans Tréveneuc* – powtórzył głos bardzo powoli.

– *Merci*. Czy jest… *sorry – une route de la moison … la rue?*

– *Non, désolé.*

– *Merci.* – Simone rozłączyła się. Przynajmniej w wiosce mieszkała rodzina Chervon, ale informacja nie znała dokładnego adresu ani numeru telefonu. – Cholera.

Mapa online miała funkcję nawigacji, a ponieważ Simone nie przychodziło do głowy nic lepszego, wpisała w górnym pasku wyszukiwarki swój adres w Berlinie, a w dolnym „22410 Tréveneuc". Rezultat sprawił, że nagle nabrała powietrza w płuca.

Czego się spodziewała? Odległość wynosiła około 1300 kilometrów, samochodem dobre dwanaście godzin samej jazdy. Do tego trzeba mieć samochód, któremu można zaufać, że

pokona taki dystans. Co prawda Simone i Jens mieli stare praktyczne kombi, które już dawno nie wyjeżdżało poza granice Berlina.

Odchyliła się razem z krzesłem do tyłu i zamyślona wpatrywała się w ekran. Musiała doprowadzić do końca zlecenie, ponieważ bardzo pilnie potrzebowała pieniędzy. Osobiste pamiętniki oraz listy powinny znów wrócić na łono rodziny, o ile jeszcze ktoś z jej członków żył. Czy miała tu tylko siedzieć i czekać, aż coś się wydarzy? Czy pojechać i dowiedzieć się, czy mieszka tam Constanze Chervon i czy być może to nie ona była jej tajemniczą zleceniodawczynią? Pomysł był dość absurdalny, ale mimo to kuszący.

Simone zastanawiała się gorączkowo, co byłoby najlepsze. Osoby, których szukała na podstawie pamiętnika, byłyby teraz bezspornie zbyt stare, żeby jeszcze żyły. Constanze Chervon pozostawała jej jedynym śladem. Ale co powinna jej powiedzieć? – Halo, prawdopodobnie mam tu listy i pamiętniki jednej z pani krewnych. Czy to pani wysłała mi pieniądze, abym wylicytowała dwa kufry? – Brzmiało to nazbyt zwariowanie. Ale skoro nie znała adresu ani numeru telefonu, mogła wyjaśnić całą sprawę tylko na miejscu.

Głęboko w jej wnętrzu górę brała ciekawość i chęć przeżycia małej przygody. Chciała poznać zakończenie tej historii, która była jak trzymająca w napięciu książka. Takiej książki ani ja, ani ty, ani nikt inny nie odłożyłby na bok, nie doczytawszy do końca. Zwłaszcza że droga prowadziła przez Francję. Ponadto musiała pozbyć się tych kufrów, obojętnie komu miałaby je przekazać.

Jednak podróż samochodem trwałaby zbyt długo. Postanowiła poszukać połączenia lotniczego. Kiedy klikała w wyniki, jej żołądek zaczął się nerwowo buntować. To nienormalne, co ty wyprawiasz, dziewczyno, pomyślała. Właściwie nie lubiła latać. Ale przy takiej odległości nie pozostawało jej nic innego.

Godzinę później ekran był prawie nieczytelny z powodu mnóstwa otwartych okien. Jednak Simone ułożyła możliwą trasę podróży. Mogła polecieć z Berlina do Paryża. Lot trwał niecałe dwie godziny. Tam miałaby ponad godzinę przerwy. Kolejny lot do Rennes, gdzie wylądowałaby po niecałej godzinie. W Rennes musiałaby wypożyczyć samochód i jechać około półtorej godziny do Côtes-d'Armor i dalej do Tréveneuc.

– Och, to nie będzie tanie – powiedziała do siebie, kiedy przyglądała się cenom biletów lotniczych. Szybko oszacowała swoje możliwości finansowe. W każdym razie jej honorarium za to zlecenie wystarczyłoby na podróż i noclegi. Ale potrzebowała pieniędzy na życie tu, w Berlinie. Weszła na stronę swojego banku. Było jeszcze konto oszczędnościowa, jej ostatnie pieniądze na czarną godzinę. Naruszenie tej rezerwy było nierozsądne, ale…

W przypływie wyrzutów sumienia szybko wsunęła rachunki z ostatniego tygodnia pod stertę papierów na biurku. Musiały poczekać. Powinna lecieć? Mogła? Co działo się z Jensem? Czy pozwalała na to jej praca?

Simone, od tygodnia chowasz się w swoim mieszkaniu, powiedział jej wewnętrzny głos. Być może ten wyjazd cię rozrusza. Zanim dokończyła monolog rozważający za i przeciw, jej palec mimowolnie poruszył się na klawiaturze i zarezerwowała najwcześniejszy lot. Wsiadłaby do samolotu o czternastej zero pięć. Trochę przerażona spojrzała na zegar w salonie. Było już przedpołudnie. Wróciło nerwowe mrowienie w okolicy żołądka.

Godzinę później przy drzwiach mieszkania czekała spakowana walizka na kółkach. Simone stała w przejściu do salonu i przyglądała się starym kufrom. Oczywiście nie mogła zabrać ich ze sobą. Gdyby rzeczywiście miała u celu podróży znaleźć ich prawowitego właściciela, to on musiałby zapewnić im lepszy lub gorszy transport. Znów zezłościł ją brak

danych zleceniodawcy w liście. Kto obecnie jeszcze wysyła w ten sposób zlecenia i załączoną do nich gotówkę? A jednak cała ta historia kryła w sobie tajemnicę, która aż prosiła się, aby ją wyjaśnić. Byłoby śmieszne, gdyby jej się to nie udało.

Być może powinna zabrać ze sobą coś z kufra. Coś, co dowiodłoby, że zgodnie ze zleceniem zakupiła na auk-cji zamówione przedmioty. Co prawda zapakowała pamiętniki i listy, ale zastanawiała się, czy mogła wręczyć je tej nieznanej osobie. Simone nie była tego taka pewna.

Podeszła do kufra z szufladami i wysunęła jedną z nich. Od razu wpadła jej w oko broszka w kształcie motyla. Simone ostrożnie ją wyjęła, wróciła do przedpokoju, wyciągnęła z torebki chustkę, zawinęła w nią broszkę i schowała w bocznej kieszeni torebki. Potem przemogła się. Jeśli chciała zdążyć na lotnisko, musiała już iść.

Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem mieszkanie. Czy wszystkie okna były zamknięte? Światło wyłączone? Mały brązowy miś siedział na sofie tak, jak go tam zostawiła. *Masz tu wszystkiego pilnować, żeby nikt się nie włamał.*

Wzięła walizkę i podeszła do drzwi. W chwili kiedy chciała położyć rękę na klamce, usłyszała dźwięk klucza w zamku i wzdrygnęła się.

– Halo, skarbie. – W szparze w drzwiach ukazała się jasna czupryna Jensa. Na moment znieruchomiał zdziwiony. Jego wzrok wędrował od Simone do walizki i z powrotem. – Wyjeżdżasz? Dlaczego się nie odzywałaś?

Simone patrzyła na niego z osłupieniem. Przez tydzień nie dawał znaku życia, a teraz tak po prostu staje w drzwiach i pyta, dlaczego *ona* się nie odzywała? Poza tym przecież do niego dzwoniła. Nie widział tego na swojej komórce?

– Przepraszam – powiedział ściszonym głosem. Niepewnie zamknął za sobą drzwi. – Wiem, że się pokłóciliśmy i że byłaś na mnie zła. Masz rację, pozwalałem, żebyś brała za dużo na swoje barki. Powinienem wnosić większy wkład do naszego życia.

Simone nie wiedziała, co ma powiedzieć. Jego nagłe pojawienie się wywołało spore zamieszanie w jej uczuciach.

Podszedł do niej i ścisnął jej ramię.

– Skarbie, naprawdę! Obiecuję, że się poprawię. I rozmawiałem z Ralfem. Wymyśliliśmy całkiem nową koncepcję wystawy, to będzie hit!

– Hit – powtórzyła cicho Simone.

– Być może… w ostatnim czasie nie za bardzo się starałem. Przepraszam, Simone. W poprzednich dniach miałem wiele okazji, aby to przemyśleć.

Głos wewnętrzny Simone podniósł upominająco palec: uważaj – on tylko tęskni za pełną lodówką i odrobiną seksu. To wszystko. On się nie zmieni.

Ale jego płaczliwy ton ją zmiękczył. Za bardzo chciała uwierzyć w to, co obiecywał. Mimo to pozostał cień nieufności i nagle poczuła, że potrzebuje więcej czasu. W ostatnich dniach nie potrafiła zastanawiać się nad tym, jak powinno potoczyć się jej życie. Coś, o czym skutecznie zapomniała. Jeszcze nie uświadomiła sobie do końca, co tak naprawdę gryzło jej wnętrze, ta niezmierna samotność czy rzeczywiście utrata miłości. Szumiało jej w głowie. Czuła się, jakby spędziła minione tygodnie w mydlanej bańce, która teraz pękła i twardo przeniosła ją do rzeczywistości.

Nagle poczuła ulgę, że znów może uciec. Szybko złapała walizkę i wsunęła ją pomiędzy siebie i Jensa.

– Porozmawiamy spokojnie, kiedy wrócę, okej?

– Dokąd się wybierasz? – Jens wskazał na walizkę.

– Mu… muszę polecieć do klienta w związku z ostatnim zleceniem. Jest jeszcze kilka

spraw do omówienia.

– Nie możesz załatwić tego przez telefon? – Jens uniósł brwi pytająco.

– Nie, on… ona…. Prosiła, żebym przyjechała. – Simone nigdy nie potrafiła kłamać. Nie odważyła się powiedzieć Jensowi, że ciągnie ją tylko mgliste przypuszczenie. Zwłaszcza że w tym momencie cały plan wydawał się jej dość głupi.

– Okej. – W zupełnie oczywisty sposób powiesił kurtkę w garderobie i wszedł do salonu. – Co to za stare kufry?

– Kupiłam je na aukcji. Musze już iść. Porozmawiamy, kiedy wrócę.

– A kiedy wrócisz?

Bała się już, że znów dojdzie do jednej z tych zwykłych dyskusji, jakie toczyły się zawsze, kiedy musiała wyjechać. Ale Jens odwrócił się do niej i wyglądał na szczerze zmartwionego tym, że chciała wyjść.

– Wkrótce, myślę, że to nie potrwa długo.

– Dobrze. Zadzwoń, kiedy będziesz na miejscu. A tak w ogóle to dokąd jedziesz?

– Do Bretanii.

– Wow… no nieźle.

Simone podeszła i cmoknęła go w policzek. Ucieszyła się, kiedy poczuła jego bliskość. Przez chwilę była rozdarta wewnętrznie. Ale potem zdecydowanym krokiem skierowała się do drzwi.

Kilka godzin później samolot wzbił się w niebo nad Berlinem. Simone patrzyła na coraz mniejsze miejskie ulice pod sobą. Trochę kręciło się jej w głowie. Oddychała głęboko. Kiedy maszyna obrała właściwy kurs, Simone wyjęła z torebki pamiętnik Elisabeth i zaczęła czytać dalej.

* cheval – koń (franc.)

Rozdział 8

Hamburg, 22 kwietnia 1917

Czy potrafię go pokochać? Nie jestem w stanie jeszcze tego powiedzieć. Ponieważ sposób, w jaki teraz na siłę organizują nam naszą wspólną przyszłość, wciąż wydaje mi się niewłaściwy. Czy dwoje ludzi nie powinno normalnie szczerze się do siebie zbliżyć? Albo czy naprawdę jest wskazane, aby zaufać doświadczeniu rodziców i po prostu pogodzić się z losem?

Ach, Vivi, Ty nie musiałaś zadawać sobie tego pytania. Za radą ojca teraz nie mogę już tego odwołać. Tak bardzo mi go brakuje. Drugi człowiek, który po prostu mnie zostawia… A matka nie jest dla mnie rzeczywistym wsparciem. Jeszcze nigdy nie czułam się taka opuszczona. Mimo to muszę przyznać, że nawet trochę się cieszę na przyszłe towarzystwo Guntera. Przynajmniej mam nadzieję, że choć trochę przegonię z domu samotność. Być może, ze względu na nasze losy, będę potrafiła znaleźć wspólny język z tym mężczyzną. Przynajmniej śmiem mieć taką nadzieję…

Z radością poznałabym twoją opinię o Gunterze. Z pewnością byłby dla ciebie zbyt nijaki i bezbarwny. Wydaje się, że jest spokojny i rozsądny. Ale ojciec prawdopodobnie inaczej wyobrażał sobie jego wkład w sprawy rodzinne…

Kilka dni wcześniej

Kiedy automobil wjechał z turkotem na wjazd prowadzący do domu, Elisabeth myślała, że z nerwów postrada zmysły. A może to pierwsze ciepłe kwietniowe dni sprawiły, że dostała zawrotów głowy? Patrząc na ogród przed domem, można było sądzić, że wojna stała się już odległą przeszłością. Przyroda nie rozróżniała wojny od pokoju, jej celem było pojawienie się wiosną z pełną świeżością i siłą. Kolorowe kwiaty wszędzie spychały na bok zwiędłe liście pozostałe po zimie. Drzewa i krzewy wypuszczały seledynowe liście, a dookoła latały grube trzmiele. Jaki ponury kontrast stanowili na ich tle ciężko doświadczeni wojną i zimą ludzie!

Elisabeth stała przy oknie w salonie i patrzyła na podjazd. Przyłączyła się do niej matka.

– Elisabeth, mam nadzieję, że jesteś świadoma powagi tej chwili – powiedziała niemal z przyganą. Jej strapiona twarz wyglądała blado i była pozbawiona blasku. Makijaż, który sobie zrobiła, wydawał się zbyt wyrazisty jak na ich obecną sytuację. Elisabeth zrobiło się niedobrze. Upłynęły dopiero trzy tygodnie od śmierci ojca.

Pewnego dnia jego kaszel po prostu ustał. Przez kilka godzin mógł spokojnie spać. Elisabeth siedziała przy jego łóżku i początkowo miała jeszcze nadzieję na od dawna wyczekiwaną poprawę, ale zniweczyła ją szybko rozgorączkowana i coraz bardziej nieobecna twarz. Wezwany lekarz polecił przygotować się na najgorsze. Przynajmniej Otto Berentschowi został oszczędzony pełen męki koniec. Gorączka bez przerwy rosła, aż stracił świadomość. Po południu nagle ustał jego rzężący oddech. Elisabeth siedziała tam jeszcze trochę. Ale było to bardziej przygotowanie na nieuniknioną przyszłość niż prawdziwe pożegnanie.

Gertrud Berentsch przyjęła śmierć męża z zaskakująco pragmatycznym spokojem. Kilka łez i parę cichych minut pożegnania były wszystkim, na co się zdobyła. Kiedy odeszła od łóżka małżonka, przygładziła włosy i spojrzała na Elisabeth.

– Teraz jesteśmy zdane same na siebie. Dobrze, że niedługo prowadzenie domu przejmie nowy mężczyzna.

Pogrzeb odbył się w piątkowy poranek. Oprócz Elisabeth i jej matki przy grobie stał tylko pan Palovski, a z tyłu Tilla i Käthe. Pastor w największym pośpiechu odmówił modlitwę. Na cmentarzu było widać wiele świeżych grobów.

W następnych dniach Elisabeth rzuciła się w wir pracy. Teraz musiała zająć się firmą. Co prawda nie miała dokładnych wskazówek ojca, zaniedbał jasne uregulowanie swojej sukcesji. Chyba sam się nie spodziewał, że może tak szybko umrzeć. Pan Palovski wspierał Elisabeth w jej działaniach.

– Panno Berentsch, da pani sobie radę. A jestem jeszcze ja. – Obiecał, że tak jak wcześniej w pełni zaangażuje się w działalność firmy i dalej będzie dbał o interesy domu handlowego Berentschów, ale potrzebuje osoby z rodziny, z którą mógłby się kontaktować. – Do chwili aż będzie mógł się włączyć pani przyszły mąż.

Elisabeth zastanawiała się, czy w związku z tym nie było jeszcze innych spraw do uregulowania, czy nie powinna zapytać o to adwokata. Ale Palovski machnął ręką. Wojna tak zachwiała strukturą gospodarki, że nikogo nie obchodziło, kto z rodziny zajmował się interesami. I tak Elisabeth całymi dniami czytała księgi handlowe, listy handlowe i bilanse. Na początku niewiele z tego rozumiała, ale stopniowo rozjaśniało się jej w głowie, i przede wszystkim praca odwracała uwagę od jej sytuacji.

– Przecież tym wszystkim zajmie się Gunter – zganiła ją matka.

– Będzie wdzięczny, jeśli ktoś szybko wszystko mu objaśni i przekaże firmę – skontrowała Elisabeth.

– To jest zadanie dla Palovskiego.

– Sądzę, że lepsze wrażenie zrobi, jeśli również ja będę potrafiła mu to przedstawić.

– Ale kobiety, które zajmują się takimi sprawami, nie robią dobrego wrażenia na mężczyźnie! – Gertrud Berentsch parsknęła wyniośle.

– Matko, czasy się zmieniły. Teraz kobiety wszędzie muszą być aktywne.

Za kilka minut Elisabeth pozna swojego przyszłego męża. Wybrała prostą suknię i zrezygnowała z makijażu. Chociaż matka była innego zdania, obecnie po prostu nie wypadało się stroić. Co prawda Elisabeth długo stała przed lustrem i przyglądała się swojej naznaczonej bliznami połowie twarzy, ale wiedziała, że makijaż nie był w stanie zamaskować tego piętna. Jej przyszły mąż powinien ujrzeć ją taką, jaka była naprawdę. Być może w ogóle jej nie zechce. Na tę myśl w Elisabeth zabłysła mała iskierka nadziei. Nawet jeśli rodzice wszystko zaaranżowali, być może ten Gunter okaże się na tyle mężczyzną, że jeżeli narzeczona nie przypadnie mu do gustu, odwoła małżeństwo. Wszystkie te rozważania wirowały jej w głowie i mieszały ze zbliżającym się warkotem silnika.

Koła samochodu, skrzypiąc na żwirze, zatrzymały się przed domem. Gertrud nerwowo przywołała córkę do holu i poleciła Tilli otworzyć drzwi.

Elisabeth spuściła głowę i wpatrywała się w płytki podłogowe w holu wejściowym.

– Gunter, bardzo się cieszę, że mogę pana powitać – powiedziała matka niezwyczajnie głośnym i przesadnie uprzejmym tonem do gościa, który jeszcze nawet nie wszedł do domu.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy kroków na schodach prowadzących do drzwi wejściowych. Pierwszą rzeczą, jaką Elisabeth zauważyła, był nietypowy takt na trzy. Odgłosy zbliżających się kroków przerywał ostry dźwięk. Kiedy matka wystąpiła do przodu, Elisabeth ustąpił bolesny skurcz mięśni w szyi. Uniosła głowę i spojrzała na drzwi. W blasku wpadającego

światła do środka weszła wysoka postać. Przez chwilę oczy Elisabeth musiały przyzwyczaić się do kontrastu.

– Pani Berentsch, to dla mnie wielki honor. – W monotonnym głosie Guntera dało się słyszeć zmęczenie.

Elisabeth zobaczyła, jak postać szybko się pochyla, aby pocałować matkę w dłoń.

– Jest mi niezwykle przykro, że nie może mi towarzyszyć moja matka. – Zrobił przerwę, aby głośno zaczerpnąć powietrza. – Kazała mi przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia.

– Proszę wejść. Zapraszam. Elisabeth?

Elisabeth przemogła się. Co sobie pomyśli mężczyzna, jeśli będzie tak stała w holu sztywno jak kołek?

– Ja również bardzo się cieszę…

Podała gościowi rękę i dopiero teraz udało się jej z cienia w drzwiach uformować osobę. Gunter von Ehlers był od niej prawie o dwie głowy wyższy, miał smukłą sylwetkę, a na jego twarzy, która na dawno zrobionym zdjęciu wyglądała tak gładko i subtelnie, pojawiło się kilka pierwszych zmarszczek i bladych blizn. Krótkie jasne włosy sprawiały wrażenie zmierzwionych. Nerwowym ruchem ręki przygładził je do tyłu. Jego oczy wydawały się raczej szare niż niebieskie. Dopiero teraz Elisabeth skojarzyła sobie, co powodowało ten dziwny dźwięk na schodach. W lewej ręce, blisko przy nodze, trzymał laskę. Elisabeth nagle chyba uświadomiła sobie, dlaczego wystąpił z wojska… i dlaczego jej rodzice uważali ich za idealną parę.

Popołudniowa herbata w salonie, dzięki zimie i zapobiegliwości Käthe obficie uświęcona naparem z dzikiej róży, przebiegała w sztywnej atmosferze. Elisabeth przypominało to kiepską sztukę teatralną. Matka bez przerwy paplała. W tym czasie Elisabeth nerwowo kręciła się na krześle i kilka razy sama siebie skarciła w duchu za to, że nie potrafi zachować cierpliwości. Gunter siedział naprzeciw niej, ze wzrokiem obowiązkowo skierowanym na Gertrud Berentsch, od czasu do czasu przytakiwał i uprzejmie, ale zwięźle odpowiadał na jej niezliczone pytania o samopoczucie jego rodziny. Elisabeth wyraźnie widziała u niego zmęczenie.

– Gunter ma za sobą długą podróż – spróbowała wreszcie przerwać potok słów matki.

Gunter pierwszy raz od przywitania spojrzał prosto na nią i krótkim mrugnięciem oczu zdradził swoją wdzięczność.

– No tak, sądzę, że powinnam zostawić was na chwilę samych. – Gertrud Berentsch wstała i krótko pogłaskała Elisabeth po ramieniu. Gest, od którego córka niemal się wzdrygnęła, ponieważ nigdy nie doświadczyła czegoś takiego od swojej matki.

Dopóki matka nie wyszła z salonu, Elisabeth milczała.

– Przykro mi, nie zawsze jest taka… taka podekscytowana. Wojna, śmierć mojego ojca, a teraz pańska wizyta.

– Mówmy sobie na ty, ostatecznie niedługo się pobierzemy. – Gunter na moment wykrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu.

Elisabeth zamarła wobec tej suchej szczerości i spojrzała na niego zdziwiona.

Gunter wzruszył ramionami.

– Może dajmy już sobie spokój z tymi grzecznościowymi zwrotami?

– Tak, tak będzie lepiej. – Elisabeth osunęła się na krześle.

Mężczyzna poprawił się na swoim miejscu, wydawało się, że siedzenie sprawia mu trudność. Potem chrząknął.

– Elisabeth, nasi rodzice tak to wszystko dla nas obmyślili. Przyznaję, że nie jestem do tego nieprzychylnie nastawiony. Jesteś ładną młodą kobietą, wykształconą – wodził oczami po

pokoju – i pochodzisz z dobrego domu. – Znów utkwił w niej wzrok. – To… to mi nie przeszkadza. Krótko wskazał prawą dłonią na własną twarz.

Elisabeth mimowolnie przejechała palcami po swoich bliznach.

– W dzieciństwie ciężko chorowałam, to… to jest pamiątka po tamtej chorobie.

Skinął głową ze zrozumieniem.

– Elisabeth, myślę, że każde z nas dźwiga swój krzyż. Być może nasze małżeństwo wcale nie jest złym pomysłem. Ale uważam, że będzie fair, jeśli wyjaśnię ci kilka rzeczy.

Rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, że w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchiwać, a potem nachylił się do przodu.

– W zasadzie jest to temat, o którym się nie mówi, przynajmniej nie w takich okolicznościach. Mam nadzieję, że nie wprawię cię teraz w zakłopotanie, ale to naprawdę ważne. Mogę ofiarować ci pewne bezpieczeństwo i pomoc. I muszę ci powiedzieć, że nie mam nic przeciwko temu, aby opuścić moje rodzinne strony i osiedlić się tutaj. Ale powinnaś wiedzieć jedno. Wolałbym przekazać ci to bardziej subtelnie i delikatnie, ale, niestety, nie mamy na to dużo czasu. Wolę więc powiedzieć ci to od razu: nigdy nie będę mógł być prawdziwym mężem z krwi i kości. – Patrzyła na niego poważnym wzrokiem. Oparł się lekko na krześle. – Mam nadzieję, że twoja matka nie oczekuje całej gromadki wnuków. Tej możliwości Rosjanie pozbawili mnie strzałem.

Elisabeth potrzebowała chwili, żeby zrozumieć, co miał na myśli. Poczerwieniała i szybko spuściła głowę.

– Panie… ja… Gunter, nie wiem… tak mi przykro.

Jego szczerość, za którą Elisabeth była tak wdzięczna, sprawiła, że nie była w stanie zebrać myśli.

– Nie musi być ci przykro, nie możesz nic na to poradzić. Powinnaś jednak o tym wiedzieć, skoro mamy… się pobrać.

– Sądzisz więc, że nasze małżeństwo byłoby raczej…

– Powiedzmy… natury praktycznej, Elisabeth. Z pewnością oboje zyskamy na tym związku. Tylko o tym… problemie… mojej matce trudno było powiadomić twoich rodziców listownie. – Roześmiał się desperacko, zanim znów spoważniał. – Zależałoby mi, żeby spełnić ich życzenie. Bo inaczej będę musiał na zawsze pozostać w ich domu, jako najmłodszy potomek, na którego spadnie obowiązek opiekowania się rodziną.

Mimo wyjawionej tajemnicy Elisabeth poczuła, że jej sympatia do Guntera rośnie.

– Ja też chyba zostałabym wieczną samotną starą panną. – Znów poczerwieniała, kiedy dotarło do niej, że małżeństwo raczej tego nie zmieni.

– Dobrze, teraz już wszystko wiesz. Myślę, że w ciągu następnych dni będziemy mieli dość okazji, aby się poznać. Jeśli nadal uważasz, że mogłabyś wyjść za mnie za mąż… Z chęcią bym teraz trochę odpoczął, długa podróż nie była zbyt przyjemna.

– Kazaliśmy przygotować pokój gościnny. Tilla już zaniosła tam twój bagaż. Jest na pierwszym piętrze. Zaprowadzę cię. – Elisabeth wstała i mimowolnie uniosła rękę, aby wesprzeć Guntera. Jednak od razu ją cofnęła, ponieważ nie wiedziała, czy w ogóle chce lub potrzebuje jej pomocy.

– Dziękuję. Nie trzeba. Na co dzień radzę sobie całkiem dobrze. Nie martw się, nie będziesz miała ze mną kłopotu. Na niektóre czynności potrzebuję tylko trochę więcej czasu.

Kiedy Elisabeth prowadziła Guntera na piętro, przyszła jej do głowy zupełnie nowa myśl. Czy wada fizyczna stwarzała dla niej rzeczywistą możliwość, aby zerwać zawiązanie małżeństwa? Być może matka zrezygnowałaby z Guntera, gdyby wiedziała, że… Na Boga, nie! Nigdy nie mogłaby porozmawiać o tym z matką. Elisabeth natychmiast porzuciła tę myśl.

Kiedy Gunter wspiął się już ciężkim krokiem na piętro, Elisabeth ponownie zeszła do salonu. Bez namysłu wzięła z małego barku na kółkach butelkę koniaku, nalała duży łyk do filiżanki z wystygłą herbatą. I jednym haustem wypiła jej zawartość. Zaszumiało jej w głowie, kiedy alkohol ciepłem rozchodził się po jej ciele.

Następne dni upływały dość przyjemnie. Gunter okazywał szczere zainteresowanie domem handlowym Berentschów. Był wykształcony i oczytany, i Elisabeth złapała się na tym, że cieszyła się spędzanym z nim czasem, który upływał z pewną beztroską. Po raz pierwszy od dawna nie czuła się już taka samotna. Tylko jeden temat sprawiał, że przez twarz Guntera przemykał mroczny cień: wojna. Jego oczy zaczynały wtedy nerwowo zerkać tu i tam, drżały mu ręce, a głos stawał się mocniejszy.

– Przeklęci Rosjanie. Jak mogli się odważyć, zaatakować naród niemiecki! Cesarz powinien jeszcze raz skopać im tyłki!

Odtąd Elisabeth starała się unikać tego tematu.

Po tygodniu Gunter poprosił ją na słowo do salonu.

– Elisabeth, naprawdę podoba mi się w Hamburgu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, moglibyśmy też szybko wziąć ślub. Wtedy nie musiałbym specjalnie wracać do Wehlau.

– Czy twoi rodzice nie chcą być przy tym obecni?

Gunter machnął ręką.

– Jeden mój brat jest jeszcze na froncie, drugi musi zajmować się majątkiem. Ojciec jest stary i niedołężny, a matka niedomaga już całą zimę. Nie sądzę, że powinna podjąć się takiej długiej podróży.

– Jeśli jesteś tego pewny?

– Już omówiłem wszystko z twoją matką.

Jednak Elisabeth poczuła się teraz zaskoczona. Miała nadzieję, że dostanie jeszcze dwa, trzy miesiące do namysłu, ale w gruncie rzeczy nie było tu się zbytnio nad czym zastanawiać i chyba nie miała innego wyboru. Albo weźmie Guntera, albo poczeka na księcia, o którym marzy każda dziewczyna, a który chyba jednak nigdy do niej nie przyjedzie.

– Ślub będzie skromny i spokojny. Raczej nie nadaję się do tańczenia i w tych czasach chyba nie zbierzemy pełnej sali gości. A jeśli zaistnieje taka możliwość, będziemy mogli jeszcze raz zorganizować uroczysty ślub w późniejszym terminie, kiedy naród niemiecki w końcu odniesie zwycięstwo.

Ślub w pochmurny, przerywany deszczem majowy dzień był jeszcze mniej romantyczny, niż Elisabeth się obawiała. Podczas gdy Gunter i ona mówili sobie „tak” w małym kościele na skraju Blankenese, na zewnątrz ulicami maszerowały tłumy demonstrantów. W tym czasie w całym kraju nastrój pogorszył się z powodu wojny, chociaż wciąż udawało się wysyłać na front rezerwistów.

Gertrud Berentsch siedziała w pierwszej ławce, za nią Tilla i Käthe. Liczba weselników była nader skromna. Matka postanowiła, że nie jest to czas na urządzanie wystawnych uroczystości. Na dodatek nigdy się nie wiedziało, czy osoba, do której wysłało się zaproszenie, wciąż przebywa wśród żyjących. Nie mówiąc już o tym, że nie było możliwości, aby odpowiednio ugościć tłum osób składających życzenia.

Pastor musiał krzyczeć, aby zagłuszyć okrzyki demonstrantów na zewnątrz, wygłosił więc odpowiednio krótkie kazanie. Ceremonia ledwo się zaczęła, a już się skończyła.

– Zamiast tak głośno krzyczeć, powinni wziąć do ręki broń i wesprzeć towarzyszy na froncie – warknął gniewnie Gunter, kiedy wyszedł z Elisabeth z kościoła. Rzeka ludzi zablokowała ulicę i państwo młodzi musieli z trudem torować sobie drogę do czekającego automobilu.

Kiedy kilku wrzeszczących mężczyzn omal ich umyślnie nie potrąciło, Gunter przywołał ich do porządku.

– Idźcie do pracy, wy, leniwa hołoto! Pomóżcie żołnierzom na froncie! Oni giną tam za wasz kraj, więc wy też dajcie coś z siebie! – Groźnie machnął laską.

Elisabeth przerażona schowała głowę w ramionach i lękliwie obserwowała demonstrantów. Dzięki Bogu nikt nie usłyszał tego wybuchu. W ostatnich tygodniach Gunter dał się poznać jako spokojny, raczej zamknięty w sobie mężczyzna; widać było, jak ciążyła mu wojna. Elisabeth miała nadzieję, że pewnego dnia odzyska równowagę. Bądź co bądź nie był teraz w chełpiących się wojną Prusach, lecz w Hamburgu, tym Hamburgu, w którym ludzie mieli za sobą najgorszą zimę głodu i gdzie mało kto zachwycał się wojną, nie mówiąc już o tym, żeby wierzył w ostateczne zwycięstwo cesarstwa.

Rozdział 9

Simone przestraszyła się, kiedy rozległ się sygnał i głos dochodzący z głośników poprosił pasażerów o zapięcie pasów. Przetarła oczy, schowała pamiętnik do torebki i wyjrzała przez okno. Na ziemi było widać tylko pojedyncze domy. Lotnisko Charlesa de Gaulle'a leżało na północny wschód od Paryża. Nie było widać śladu migoczącego światłami miasta.

Kobieta siedząca obok, która przez cały lot drzemała, wyprostowała się zaspana.

– Już dolecieliśmy?

– Tak, za moment. – Jakby na potwierdzenie samolot opuścił dziób.

– Och! – Kobieta cicho westchnęła.

Simone natomiast starała się pokonywać swój podświadomy lęk przed lataniem. Nie była entuzjastką podróżowania samolotem, ale ten lot trwał o połowę krócej niż jazda pociągiem z Berlina do Kolonii. Jednak to, co teraz ją czekało, napawało ją przerażeniem: musiała znaleźć na olbrzymim lotnisku terminal, z którego odlatywały samoloty do Rennes. Kiedy maszyna z lekkim wstrząsem wylądowała na francuskiej ziemi, Simone wyjęła z torebki kartkę, na której przezornie zapisała drogę. Chwaliła sobie dworce kolejowe, ponieważ wszystkie drogi biegły tam prosto. Za to lotniska były krętymi labiryntami przypominającymi nigdy niezaznające spokoju mrowisko.

Dała się ponieść fali wysiadających pasażerów zdążających w kierunku wyjścia. Nie musiała czekać przy taśmie bagażowej, miała ze sobą tylko mały bagaż podręczny. Starała się zorientować w topografii lotniska. Gdzieś szło się do CDGVAL, cokolwiek by to oznaczało, do małej kolejki podziemnej, którą można było dojechać w poprzek lotniska do Terminalu 2.

Kiedy Simone dotarła do wyjścia, poczuła zmęczenie. Było już późne popołudnie. Zarezerwowanie lotu jeszcze na ten sam dzień wydało jej się teraz beznadziejnie głupim pomysłem. Miała nadzieję, że w Rennes w pobliżu lotniska znajdzie jakiś hotel, w którym będzie mogła przenocować. Ale nie miała czasu, aby sprawdzić to w internecie. Pasażerowie byli już proszeni do wyjścia.

Lot do Rennes nie był tak spokojny jak ten do Paryża. Kilka rzędów za nią siedziała rodzina z trójką dzieci, głośnych i nadmiernie rozbawionych.

Simone wyjęła z torebki pamiętnik Elisabeth, aby oderwać się od tych wrzasków i kłótni. Była ciekawa, jak wiodło się Elisabeth i Gunterowi po ślubie. Kiedy przewracała kartki do miejsca, w którym przestała czytać, rzuciło jej się w oczy, że wpisy zrobione już po ślubie były znacznie krótsze od poprzednich.

Hamburg, 12 czerwca 1917

Kochana Vivi,

czyżbyśmy były od siebie jeszcze bardziej oddalone, ponieważ nosimy teraz nazwiska naszych mężów? Czy nasze więzi rodzinne zostały ostatecznie zerwane? Nazywam się teraz Elisabeth von Ehlers. Przy czym tylko matka jest naprawdę dumna z przyjętego nazwiska. Trochę tęsknię za starym, które przecież wiązało mnie z tobą, ojcem i pięknymi dawnymi czasami. Gdyby

nie brzeg Łaby, który w ogóle się nie zmienił, można by sądzić, że cały świat oszalał. Przynajmniej nikt nie wpadł jeszcze na pomysł, żeby zmienić nazwę domu handlowego Berentschów. Chociaż byłoby to podobne do Guntera. Nie potrzebował dużo czasu, aby wciągnąć się w interes.

Ale Palovski wyraził swoją nieufność wobec tego pomysłu. Biedny dobry Palovski… Do tej pory nigdy nikomu nie przeszkadzało, że jest Żydem. Ale Gunter uważa, że wszyscy Żydzi są miglancami, i mówi, że trzeba należycie przeciwstawić się „żydowskiemu defetyzmowi". Powiedziałam mu, że to Palovski uratował naszą firmę w ciężkich czasach, kiedy ojciec był obłożnie chory.

„Zapewne, aby samemu się wzbogacić", fuknął w odpowiedzi na to. Wolę mu na wszelki wypadek nie mówić, że moja siostra wyszła za mąż za Francuza.

Hamburg, 5 lipca 1917

Kochana Vivi,

dostałam twój list. Przykro mi słyszeć, że aresztowano Philippe'a. No tak, ale co sobie myślałaś, w końcu jest Francuzem. Mam nadzieję, że chyba zaopiekują się tobą inni artyści. Gdybym tylko mogła, zaoferowałabym ci moją pomoc. Mam nadzieję, że przynajmniej Bóg wie, gdzie jesteś, i otacza cię swoją opieką. Twoje słowa brzmią rozpaczliwie. Mimo to cieszę się, że wciąż przebywasz na niemieckiej ziemi i nie przyszło wam do głowy, aby przekraczać granicę. Tyle się czyta o potwornych walkach. W niektóre dni Gunter po lekturze gazet jest tak zdenerwowany i wymachuje swoją laską, jakby chciał znów pojechać na front.

Mieliśmy małą dysputę o działalności firmy. Wspaniałomyślnie przekazał mi pieczę nad księgowością. Sądzę, że powodem tego była jego niechęć do zajmowania się tymi wszystkimi papierami. Jednak wbrew woli Palovskiego całkowicie przestawił gospodarkę magazynową na towary wojenne. Niespecjalnie mnie to zachwyciło. Wydaje się, jakby niemieckie wojska nabrały świeżego oddechu. Będzie się wysyłać na front mnóstwo artykułów zaopatrzeniowych. Pod tym względem ojciec miał rację, dzięki swoim kontaktom Gunter bardzo przydaje się firmie. Ma dobre stosunki w Prusach i nawet zaopatrują nas w towary. Jednak nie opuszcza mnie uczucie, że w pewnym stopniu próbuje dokończyć swoją własną kampanię wojenną.

Nie mogę się skarżyć, w domu jest naprawdę spokojnym i miłym człowiekiem. Za to Palovski nie stwarza wrażenia, że zbytnio ceni Guntera. Sądzę, że zatrzymuje go już jedynie dawne przywiązanie do ojca. Natomiast matce wyraźnie poprawił się nastrój. Znów zaczęła snuć plany na czas po wojnie. I tak dalej, i tak dalej.

Hamburg, 23 września 1917

Nie wiem, co się stało, ale dziecko wszystko zmienia.

– Och, co? – Simone patrzyła zdumiona na ostatni wpis w pamiętniku.
– *Pardon?* – siedzący obok mężczyzna zdjął z uszu słuchawki i spojrzał na nią pytająco.
– *Excusez-moi* – Simone wymamrotała zmieszana, kiedy zorientowała się, że mówi

głośno do siebie.

Jej sąsiad uśmiechnął się przyjaźnie i ponownie założył słuchawki. Simone patrzyła przez okno na wieczorne niebo. Kolejny pamiętnik i listy leżały starannie zawinięte pomiędzy jej ubraniami w walizeczce w schowku nad głową. Ale nie chciała jej teraz zdejmować i otwierać. Musiała więc być cierpliwa.

Lotnisko w Rennes było znacznie mniejsze niż w Paryżu czy w Berlinie. Simone szybko zorientowała się w nowym miejscu i wyszła na zewnątrz. Powietrze okazało się zadziwiająco ciepłe. Wyglądało na to, że we Francji wiosna nadeszła szybciej niż w Berlinie. Przed budynkiem lotniska energicznym machnięciem ręki przywołała taksówkę. Poprosiła kierowcę, aby polecił jej jakiś hotel.

– *Oú puis-je trouver un hôtel*?

– *Oui, s'il sous plaît, Madame*. – Kierowca skinął głową i ruszył przed siebie. W czasie jazdy Simone patrzyła przez okno na mijany krajobraz.

Kiedyś obiecane,

a potem niedotrzymane

Rozdział 10

Simone obudził promień słońca, który wdarł się do pokoju hotelowego przez rzadką firankę i padał prosto na jej twarz. Zmęczona przesunęła się na drugą stronę łóżka. Wczorajsza podróż była wyczerpująca. Wyprostowała ręce, przeciągnęła się i próbowała wykrzesać z siebie siły witalne. Gdy tylko jej umysł zaczął trzeźwo pracować, znów wróciła myślami do Elisabeth i Viviane. Co się później wydarzyło? Simone obróciła się na bok i prawą ręką zaczęła grzebać w walizce, która leżała otwarta obok łóżka.

Pomiędzy kilkoma swetrami i spodniami zapakowała listy i ostatni pamiętnik. Położyła stertę obok siebie na łóżku. Aby zachować właściwą kolejność, musiała na początku przeczytać następny list Viviane. Ostatnie wpisy Elisabeth były dość zwięzłe. Być może po prostu nie miała czasu na pisanie. Albo coś innego skłoniło ją, żeby zaniedbać pamiętnik? Tylko co to za dziecko, o którym wspomniała w ostatnim wpisie? Czy było możliwe, że Elisabeth zaszła w ciążę mimo rany Guntera?

Simone otworzyła pamiętnik. Rzuciła się jej w oczy data: 1939. Szybko przerzuciła kartki do ostatniej zapisanej strony, widniała tam data 1944.

Simone zamknęła pamiętnik zdziwiona. Tak więc wzmiankę o dziecku z września 1917 roku i następne wpisy dzieliło ponad dwadzieścia lat. Simone czuła, że narasta w niej rozczarowanie. Przejrzała dokładniej stertę listów. Czy słowa Viviane mogły wypełnić powstałą przerwę?

Simone spojrzała badawczo na zegar, który wisiał na ścianie naprzeciwko łóżka. Musiała wynająć samochód, aby pojechać do Tréveneuc. Ale przede wszystkim musiała coś zjeść. Burczało jej już w brzuchu.

Mimo to na początek dnia przeczytała jeden list. Simone ostrożnie wyciągnęła z kupki kopertę. Wyglądało na to, że została już wcześniej otwarta, ale potem znów ją zaklejono. Przejechała paznokciem pod klapką i ostrożnie ją oderwała. Wyjęła list i ponownie opadła na poduszkę.

Berlin, 22 czerwca 1917

Kochana Elli,

niestety los inaczej pokierował naszym życiem. Nie udało nam się wiosną przejść przez granicę do Austro-Węgier. Na południu było jednak bardziej niespokojnie, niż myśleliśmy. Tak więc udaliśmy się na północ w nadziei, że będziemy mogli wystąpić w jakimś większym mieście. Oszczędności Philippe'a się kończyły, a pozostali zaczynali powoli odczuwać zaniepokojenie. Nasza trupa ciągnęła więc późną zimą przez Saksonię, od Drezna po Halle, a potem dalej przez Lipsk do Dessau. Delikatnie budząca się wiosna dobrze nastrajała ludzi i zwłaszcza na wsi było znacznie łatwiej dostać pokarm dla zwierząt i trochę żywności dla nas. Przez kilka tygodni nie czułam się najlepiej, zrzucałam to na karb ciężkich zimowych dni. Ale Fiona miała lepsze rozeznanie i wyjaśniła mi, co naprawdę się ze mną działo.

Spodziewam się dziecka!

Byłam zdumiona. Czy masz pojęcie, jak prosto i szybko to idzie? Wciąż jeszcze słyszę plotki na herbatkach u matki, jak kobiety rozmawiają o tym, zakrywając dłonią usta, jak wiele

uciążliwości i kłopotów przysparza ciąża. Zawsze myślałam, że jest ona męczeństwem na ziemi, nie… znając szczegółów.

Poprosiłam Fionę, żeby zachowała to dla siebie, musiałam najpierw sama poradzić sobie z tą wiadomością. Ale bardzo się ucieszyłam i planowałam, że powiem o tym Philippe'owi w szczególnej chwili. W tamtym momencie nie wydawało mi się to do końca odpowiednie, musiałam wtedy jeździć na ogierach, ponieważ pilnie musieliśmy zarobić trochę pieniędzy. A przecież czułam się bardzo dobrze, dopóki nie dostałam tych przykrych nudności. Ale się myliłam, ponieważ wszystko poszło inaczej, niż myślałam.

Najpierw jechaliśmy dalej i próbowaliśmy zapewnić sobie utrzymanie. Niektórym właścicielom dużych gospodarstw rolnych najwidoczniej podobały się małe prywatne występy dla rodziny i sąsiadów. Ludzie wyraźnie cieszyli się z rozrywki po długiej ciężkiej zimie. Nasze ogiery nie zapomniały swoich numerów i prezentowały jeszcze większy kunszt niż kiedykolwiek. Przez kilka krótkich tygodni mieliśmy nadzieję, że ten rok nie będzie taki zły.

Potem przybyliśmy do Dessau, zaplanowałam, że właśnie tam zakomunikuję wreszcie Philippe'owi szczęśliwą nowinę, ale pomysł, żeby z tym zaczekać, okazał się fatalny! Nie mogę sobie tego darować!

Atmosfera w Dessau była dużo gorsza niż na wsi. Ledwo udało nam się przejechać naszymi wozami przez ulice pełne demonstrujących ludzi, kiedy doszło do większych rozruchów. Naraz znów znaleźliśmy się w środku tłumu i nie mogliśmy uciec. Kiedy niektórzy ludzie chcieli położyć rękę na naszych koniach, stanął im na przeszkodzie Philippe. Krzyknęłam jeszcze za nim, żeby uważał, ale było już za późno. Z wściek-łości i strachu o nasze zwierzęta zbeształ ich w swoim rodzinnym języku. „Francuz! Francuz!", rozbrzmiało, a zaraz potem: „Szpieg! Szpicel!". Zobaczyłam już tylko, jak Philippe został odepchnięty od wozu i dosłownie połknięty przez tłum. Jeden z braci Liganelli wskoczył do mnie na kozioł wozu i ostro popędził zacną Lolę. Odwróciłam się i próbowałam ustalić, co stało się z Philippe'em. Chciałam zeskoczyć z wozu, ale Liganelli mocno mnie przytrzymał. Krzyczałam do niego, żeby zawrócił albo przynajmniej poczekał. Ale powiedział, że nie ma czasu, bo zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

Postąpił rozsądnie i dzięki temu uratował mi głowę. Inaczej po prostu zeskoczyłabym z wozu i pobiegła w środek tłumu, co zapewne nie skończyłoby się dla mnie szczęśliwie. W końcu znaleźliśmy bezpieczny nocleg za miastem. Nikt już nawet nie myślał o występie, naszą dewizą było: szybko jechać dalej. Wróciłam pieszo do miasta, aby poszukać Philippe'a. Ulice wciąż były pełne demonstrantów, próbowałam więc się dowiedzieć, co działo się z zatrzymanymi. Upłynął jakiś czas, zanim otrzymałam odpowiedź.

Na posterunku żandarmerii było pełno ludzi. Stały tam ciasno stłoczone kobiety i głośno lamentowały, błagając, aby uwolnić ich braci, mężów, synów. W końcu demonstrantom chodziło o przyszłe dobro ogółu, a wszystkiemu była winna ta przeklęta wojna. Na pewno stałam tam dwie lub trzy godziny, zanim w końcu mogłam porozmawiać z jakimś urzędnikiem. Tak się bałam i nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Ostrzeżono mnie, żebym była ostrożna. Niepewnie próbowałam wyjaśnić mężczyźnie, że Philippe nie został aresztowany pod zarzutem udziału w demonstracji ani wichrzycielstwa, lecz rzekomego – szepnęłam tylko – szpiegostwa. Mężczyzna spojrzał na mnie zdziwiony, a potem pokręcił głową. „No, dziewczyno, tak szybko go nie odzyskasz, jutro pojedzie do Berlina na przesłuchanie". Ze strachu omal nie stanęło mi serce. Ale co miałam zrobić?

Pośpiesznie wróciłam z tą informacją do naszego obozowiska. Pierwszy raz, odkąd podróżuję z trupą, doszło do ostrej kłótni. Oczywiście chciałam natychmiast jechać do Berlina, przecież musiałam spróbować znaleźć Philippe'a i jakoś mu pomóc. Ale pozostali wypowiedzieli się przeciwko zmianie miasta na jeszcze większe. Mister Hoaldman powiedział, że słyszał, że tam

w całym mieście panuje na ulicach niepokój.

Ale nie dałam się odwieść od mojego zamiaru i tak doszło do tego, że nasze drogi się rozeszły. Zaprzęgłam Lolę, przywiązałam oba ogiery z tyłu do cyrkowego wozu i w porannej mgle ruszyłam w drogę. Bardzo się bałam, w końcu nagle byłam zdana wyłącznie na samą siebie. Ale strach o Philippe'a był większy. Wzięłam się więc w garść, ostatecznie podróż miała trwać tylko cztery dni.

Wieczorem przed moim odjazdem madame Guiseppe dała mi jeszcze kartkę z nazwiskiem i adresem w Berlinie. Rodzina artystów Aldenhoffów prowadziła tam stały cyrk. Miałam się tam zgłosić, a na pewno mi pomogą. Pożegnanie nie było łatwe. Ale byłam ożywiona nadzieją, że odnajdę Philippe'a w Berlinie.

Zmęczona, ale cała i zdrowa dotarłam do miasta i podziękowałam Bogu za poczciwe konie. Miasto przypominało mi trochę stary dobry Hamburg. Takie duże i tyle w nim ludzi. Ale co zrobiła z ludźmi bieda spowodowana wojną! Większość błąkała się po ulicach, próbując zdobyć coś do jedzenia. Potrzebowałam prawie pół dnia, żeby znaleźć kwaterę Aldenhoffów. Skromna hala bez ozdób, w przeszłości zapewne fabryka. Wyjawiłam moją sytuację dobrze zbudowanemu mężczyźnie przy głównej bramie. Czy wpuścił mnie z litości, czy dlatego, że Artikos i Juventus nerwowo rżały za wozem i grzebały kopytami? Nie wiem tego, ale kazał mi poczekać i wysłał chłopaka, żeby zawiadomił szefa cyrku. Szacowny pan Aldenhoff jest imponującą postacią, wysoki i ze znacznym obwodem brzucha. Zawsze ma cygaro w ustach i nosi na głowie cylinder. „Mamy komplet, dziewczyno, nie możesz tu zostać, w ubiegłym roku zebraliśmy dość artystów", powiedział, kiedy mnie zobaczył. Bałam się, że mnie odprawi. Ratunek przyszedł z nieoczekiwanej strony. Obok przechodziła młoda kobieta, obejrzała moje ogiery, a potem mnie. „Ona ma piękne konie. Ach, ojcze, popatrz! Nie możesz jej odprawić. Powiedz, co potrafią ogiery?". Nie bez dumy opowiedziałam, że opanowały cały kurs wyższej szkoły jazdy i opowiedziałam o Philippie. „Młody Chervon jest twoim mężem?". Teraz doświadczyłam uprzejmości patriarchy. Opowiedziałam mu o aresztowaniu Philippe'a i że nie wiedziałam, jak mu pomóc, pojechałam więc za nim do Berlina, żeby zobaczyć, czy na miejscu mogę coś dla niego zrobić. Pozwolono mi zostać. Mina, córka Aldenhoffów, wzięła mnie pod swoje skrzydła. Chociaż jazda na koniu nie była już taka łatwa, na szczęście mój rosnący brzuszek nie rzucał się w oczy pod powiewnymi scenicznymi kostiumami. Odnalezienie Philippe'a i zajmowanie się końmi w tych tygodniach było ponad moje siły.

Teraz jestem już prawie trzy miesiące w Berlinie. Dowiedziałam się, że Philippe rzeczywiście też przebywa w mieście. Nie chcą go wypuścić i nie pozwalają mi go odwiedzić. Pan Aldenhoff ostrzegł mnie, żebym się tak nie rzucała w oczy, bo mnie też mogą aresztować za szpiegostwo. Mina pozwala mi występować w swoim numerze z tresurą koni, więc przynajmniej mogę pokrywać koszty swojego utrzymania. Nie wiem, jak długo to się będzie udawało ze względu na moją już z trudem ukrywaną ciążę. Jednak moje szczęście tutaj trwało dość krótko – obecnie muszę zmierzyć się z przeciwnościami.

Mam nadzieję, że wszystko przyjmie dobry obrót i wkrótce znów będę mogła wziąć w ramiona mojego ukochanego męża. Och, Elli, tęsknię za Tobą, ale mimo to nie żałuję, że odeszłam.

Twoja kochająca

Vivi

Simone zamknęła oczy, zwróciła twarz do ciepłych promieni słońca, które padały obok niej na łóżko, i przez chwilę się nie ruszała. Rozpacz, która biła z tego listu, sprawiła, że zrobiło się jej zimno. Nie była to powieść napisana przez autora przy biurku; były to prawdziwe przeżycia młodej kobiety.

Simone potrzebowała chwili, aby wrócić do rzeczywistości. Usiadła na łóżku. Wszystko w środku wzywało ją do kontynuowania lektury, otwarcia kolejnego listu i zajrzenia do ostatniego pamiętnika. Ale chyba lepiej było zachować rozsądek. Do dziesiątej musiała zwolnić pokój w hotelu, wypożyczyć samochód i ruszyć w drogę do Tréveneuc. Z westchnieniem spuściła nogi na podłogę.

Wzięła szybki prysznic, ubrała się, spakowała swoje rzeczy i zorientowała się, że jest już trochę za późno na śniadanie. Udało się jej wyłudzić letnią kawę i kromkę chleba od personelu, który już sprzątał salę śniadaniową.

W recepcji przywitał ją z przyjaznym uśmiechem siwowłosy portier i cierpliwie wysłuchał, co Simone starała się powiedzieć swoim szkolnym francuskim. Potrzebowała taksówki, która zawiozłaby ją do najbliższej wypożyczalni samochodów.

Niecałą godzinę później siedziała za kierownicą zielonego jak żaba małego samochodu. Jej rzeczy znajdowały się w bagażniku. Wnętrze samochodu pachniało jeszcze cytryną. Simone otworzyła okno i spojrzała na deskę rozdzielczą i przyciski. Do przedniej szyby była przymocowana nawigacja samochodowa.

– Okej, no to w drogę, pani Berger.

Przekręciła kluczyk i samochód zapalił. Simone włączyła przyciskiem nawigację. Urządzenie mówiło po francusku. No świetnie. A czego się spodziewała? Skoncentrowana, wstukała cel podróży. Od razu odezwał się głos i podał pierwsze polecenie. Wyświetlacz pokazywał niebieską strzałkę, która wskazywała na ulicę przed parkingiem w prawo. Jakoś dojedzie, postanowiła, a ponieważ i tak nie do końca rozumiała, co mówi metaliczny głos, włączyła radio.

Niebieska strzałka poprowadziła Simone najpierw przez miasto, następnie na obwodnicę, a stamtąd na zachód na autostradę. Musiała się skoncentrować, aby nie przegapić rozjazdów. Kiedy Simone dotarła do autostrady, trochę się odprężyła. Kilometr za kilometrem posuwała się do przodu. Tablice przy zjazdach informowały o nazwach miejscowości, o których nigdy wcześniej nie słyszała. Roześmiała się, kiedy uświadomiła sobie, że nie miała zielonego pojęcia, gdzie się znajduje. Zegar na wyświetlaczu nawigacji zdradził jej, że za niewiele ponad półtorej godziny powinna dotrzeć do celu. Chyba nie pozostawało jej nic innego, jak zdać się na technikę. I tak już podróż była trochę szalona. Ale czuła, że to, co teraz robiła, było ponad wszelką wątpliwość słuszne.

Radio grało francuskie piosenki. Słońce świeciło przez szybę i ogrzewało twarz Simone, a kiedy po miejscowości o dziwnej nazwie Yffiniac na wyświetlaczu pojawił się ogromny niebieski obszar, w Simone obudził się niemal urlopowy nastrój. Morze! Znajdowało się nieopodal szosy. Kiedy Simone dzieliło od celu podróży tylko dobre trzydzieści minut jazdy, wydawało się, że niebieska plama na wyświetlaczu niemal wbija się w drogę. Miejscowość, przez którą przejeżdżała, nazywała się Binic i była wyraźnie nastawiona na turystów. Niezliczone szyldy wskazywały kempingi i pensjonaty. Simone bez namysłu włączyła kierunkowskaz i zjechała z głównej drogi. Niedługo potem zatrzymała się na długim parkingu. Od plaży dzielił

ją tylko sięgający do kolan mur.

Simone wyłączyła silnik i wysiadła. Uderzył ją powiew świeżej słonawej bryzy, który potargał jej włosy. Zrobiła kilka kroków i już była przy murze. Dookoła krzyczały mewy. Wydawało się, że jest odpływ, szerokie pasy mułu ciągnęły się aż do horyzontu, gdzie połyskiwała ciemnoniebieska woda kanału La Manche z białymi koronami fal. Po jej prawej ręce wznosiły się klify zatoki, po lewej stronie znajdował się port jachtowy, w którym łagodnie kołysało się mnóstwo białych masztów. Wzdłuż plaży przechadzali się nieliczni spacerowicze. Za plecami Simone, po drugiej stronie szosy, właśnie otwierały swoje podwoje bistra i kawiarnie. Ustawiano krzesła i stoły, rozkładano parasole przeciwsłoneczne. Simone usiadła na murku i przez chwilę rozkoszowała się otaczającą ją atmosferą. Zatoka, mała miejscowość – nie mogła wyjść z podziwu. Było tu czarująco. Cicho zaburczało jej w brzuchu, kiedy pomyślała, jakie smakołyki mogą serwować tutejsze kawiarnie. Przezwyciężyła potrzebę zjedzenia drugiego śniadania. Musiała jechać dalej. Energicznie uderzyła dłońmi o kolana, wstała i ponownie wsiadła do małego zielonego samochodu.

Równoległa do wybrzeża droga prowadziła do Saint-Quay-Portrieux. Małe miasto nie było takie senne jak Binic, ale wszystko tu nawiązywało do morza. Szyldy reklamowały hotele, porty i plaże, a gdy ostatnie rondo dosłownie wypluło Simone z miasta, szosa zaczęła biec przez pola. Mało brakowało, a przeoczyłaby rozwidlenie, niepozorną boczną drogę, przy której stały pojedyncze domy.

Simone nawet nie zauważyła, że znalazła się we wsi Tréveneuc, gdzie na wzgórzu wznosił się imponujący kościół z piaskowca. Na murach stały białe i czerwone kwiaty. Zjechała na pobocze i zaparkowała. Głos nawigacji powiedział coś, co zapewne miało znaczyć „dotarłeś do celu".

Niezdecydowanie rozejrzała się dookoła. Wydawało się, że w miasteczku niewiele się dzieje. W nadziei, że spotka kogoś, kto będzie mógł jej pomóc, wysiadła z samochodu. Poszła kawałek ulicą. Szyld wskazywał na sklep, którego drzwi były otwarte. Postanowiła, że zapyta w nim o dom madame Chervon.

W małym sklepiku pachniało ziołami i serem. Za ladą stał mężczyzna w białym fartuchu. Całe wyposażenie wydawało się dość archaiczne.

– Pardon – powiedziała Simone, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Mężczyzna spojrzał na nią przyjaźnie.

– *Je suis Allemande*. – Sama nie wiedziała, dlaczego w pierwszej kolejności wyjaśniła, że jest Niemką. Ale tu, z dala od ścieżek, którym chadzali turyści, poczuła się nagle bezradna.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał mężczyzna łamanym niemieckim.

– Szukam madame Chervon. Podobno mieszka w Tréveneuc.

– Aha, tak. – Mężczyzna spuścił wzrok i skoncentrował się na czymś za kontuarem. Simone czekała przez chwilę, niemal pewna, że coś jeszcze powie. Ale nie usłyszała nic więcej.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie dokładnie mieszka?

– Tak.

Dobry Boże, jeśli dalej będzie tak samo…

Mężczyzna pokazał na ulicę.

– Przy Jezusie w lewo.

Simone spojrzała na niego z niedowierzaniem. Czy dobrze go zrozumiała?

– Przy Jezusie w lewo?

– Tak.

– *Merci*.

Wyszła ze sklepu i stanęła bezradnie. Czy mężczyzna sobie z niej zażartował? Poszła w kierunku, jaki jej wskazał. Ukośnie po drugiej stronie ulicy odchodziła mała boczna droga. Tak czy inaczej, musiała rozprostować nogi i zapytać kogoś innego.

Gdzieś w oddali terkotał traktor. Z krzaków rosnących wzdłuż wąskiej drogi dochodził świergot ptaków, w powietrzu latało kilka motyli.

Simone, od chwili gdy wyszła z wioski, pokonała już spory kawałek drogi. Nagle dostrzegła wysoki kamienny krzyż z figurą Jezusa. Przy Jezusie w lewo?

Z lewej strony od ulicy odchodziła wąska polna dróżka. Czy mogła to być właściwa droga? Krótko spojrzała przez ramię do tyłu na wioskę. Czy nie byłoby lepiej pojechać samochodem? Ale polna droga nie budziła zaufania. Chyba nie było dobrym pomysłem, aby jechać nią wypożyczonym samochodem.

Po krótkim zastanowieniu ruszyła dalej pieszo. Krzaki po bokach drogi stopniowo zmieniały się w gąszcz, a potem w las. Droga ostro skręciła w prawo i biegła dalej prosto. Simone w cieniu wysokich drzew czuła się tak, jakby była pod ochroną. Po pewnym czasie pojaśniało i zobaczyła, że za lasem rozciągały się pola. Czy dobrze szła? Prawie się przestraszyła, kiedy las raptownie się skończył i stanęła przed *château*, dużym, pobielonym wapnem dwupiętrowym domem, którego okna okalały dziewicze ramy z piaskowca. Do muru i narożników mocno przywierały pnące róże z gałązkami, które już wypuszczały zielone liście i pierwsze pąki kwiatowe ciężko zwisające w baldachach i stanowiące ciepły kontrast w stosunku do zimnego koloru ścian. Leśna droga przechodziła tu w wysypany żwirem podjazd, który kończył się rondem przed *château*.

Simone rozejrzała się dookoła. Nikogo nie zauważyła.

– Halo! – zawołała. Nie chciała chodzić po działce obcej osoby. – Halo?! – Nie usłyszała odpowiedzi.

Podeszła podjazdem do domu. Do dwuskrzydłowych drzwi wchodziło się po dwóch stopniach. Nie było tabliczki z nazwiskiem ani dzwonka, tylko staromodna kołatka, którą Simone po krótkim wahaniu zastukała w drzwi. Po chwili czekania spróbowała ponownie. Ale nikt nie otwierał. Simone znów przeszła na podjazd i popatrzyła w górę na dom. Okna były zamknięte, za większością szyb zobaczyła zaciągnięte do połowy zasłony. Zdecydowała, że spróbuje jeszcze od tyłu, i poszła wąską dróżką wzdłuż domu do ogrodu. Po jej prawej ręce stał przylegający do domu drugi budynek. Być może była to dawna stajnia? Nie wyglądała na taką, z której ktoś jeszcze korzysta. Simone musiała się schylić, żeby przejść pod krzakami, które zarastały też dróżkę i zagradzały przejście.

Kiedy skręciła za rogiem domu, oślepiło ją słońce i musiała zasłonić dłonią oczy, żeby w ogóle coś widzieć. Po tej stronie *château* znajdował się duży parking z rabatami, niskim żywopłotem i krzewami. Wzrok obserwatora automatycznie skierował się na punkt w końcu parkingu, Simone zmrużyła oczy i wstrzymała oddech. Za ogrodem, pomiędzy krzakami rododendronów, rozciągał się rozległy widok na morze. Zatokę otaczały strome klify i dopiero kiedy słuch przyzwyczaił się do szelestu liści, Simone usłyszała szum morskich fal, które rozbijały się o wybrzeże poza zasięgiem jej wzroku. Przez chwilę całe to miejsce wydawało się nierealne, najpierw las, potem samotne *château*, a teraz ten ogród, którego koniec wydawał się stapiać ze stromym wybrzeżem.

– *Excusez-moi?*

Simone o mało nie dostała zawału, kiedy nagle obok niej rozległ się głos. Z przerażenia świat zawirował jej przed oczami.

– *Pardon.* – Obok niej stała stara niska puszysta kobieta, miała zawiązaną kolorową

chustę na włosach i patrzyła na nią pytająco.

Simone była tak bardzo zbita z tropu, że nie mogła wykrztusić słowa.

– Pardon, przepraszam. Jestem Niemką. Przychodzę z Tréveneuc. Szukam madame Chervon.

Niska puszysta kobieta serdecznie się roześmiała i uniosła dłonie w obronnym geście. Powiedziała po francusku:

– Nie rozumiem, co pani mówi.

Simone doszła do siebie i głęboko nabrała powietrza. Co ona powiedziała?

– *Excusez-moi*. – Jeszcze raz wyłożyła cel swojej wizyty porządną francuszczyzną.

– *Madame Chervon? Qui…* – Kobieta uniosła dłoń i wyciągnęła palec ku niebu. – *Pardon*. – Wyciągnęła z fartucha służącego do pracy w ogrodzie telefon komórkowy.

Simone nie zrozumiała wiele z tego, co kobieta mówi do telefonu. Mówiła szybko i z silnym akcentem. Prawdopodobnie bretońskim. Simone przypomniała sobie, że czytała, że dialekt bretoński bardzo różni się od francuskiego.

Kobieta skończyła rozmowę i uśmiechnęła się do Simone.

– Zadzwoniłam do syna – wyjaśniła po francusku – on zna niemiecki. Tak będzie prościej. Chodźmy!

Zapraszającym gestem zaproponowała Simone, żeby poszła za nią.

– *Merci*. – Simone ucieszyła uprzejmość kobiety i jednocześnie wydało się jej, że przyjazd tutaj był zwariowanym pomysłem. Kobieta zaprowadziła ją na duży taras, który ciągnął się wzdłuż domu. – Proszę, niech pani usiądzie – pokazała na kilka mebli do siedzenia. – A przy okazji, mam na imię Maria.

– Simone. Simone Berger.

– Powinien zaraz się zjawić, proszę o chwilę cierpliwości. Muszę wracać do pracy. – Maria wskazała na róg ogrodu, z którego wcześniej wyłoniła się jak z nicości.

– *Merci*, nie ma problemu. – Simone było przykro, że została przyłapana na skradaniu się po ogrodzie. Na szczęście kobieta nie sprawiała wrażenia, że była o to zła. Prawdopodobnie tu na wsi wierzono, że są jeszcze dobrzy ludzie. W mieście każdemu obcemu, który pojawiłby się w cudzym ogrodzie, zapewne pogrożono by wezwaniem policji.

Kiedy Maria zniknęła między nielicznymi krzewami, Simone oparła się na krześle i wystawiła twarz na słońce. Wydawało się, że ten dzień podobnie jak kraj-obraz podczas jazdy autostradą ją oszołomił. Kilka razy głęboko odetchnęła. Czy naprawdę tu była? Czy tylko jej się to śniło w domu, na sofie? Czy był to jedynie nierealny sen?

Im bardziej się uspokajała, tym głośniejsza stawała się morska kipiel. Słyszała nawet wołanie mew. W Simone znów zakiełkował urlopowy nastrój i ogarnęło ją uczucie, że jej umysł właśnie zatęsknił za odpoczynkiem. Nie chodziło o to, że w ubiegłych latach nigdzie nie wyjeżdżała, ale Jens inaczej niż ona wyobrażał sobie urlop. Wyjazdy do innych miast, zwiedzanie, muzea, galerie… Jens nie był człowiekiem, który mógł spokojnie usiedzieć w jednym miejscu, aby oderwać się od codziennego życia. Co prawda każda podróż była dla niego interesująca, ale mało się relaksował, nie był to żaden urlop, w czasie którego można byłoby leniuchować. Jeszcze jeden punkt, w którym nie mogli się ze sobą zgrać. Simone czasami po prostu pragnęła pójść na plażę na jakiejś spokojnej wyspie. Tutaj, gdzie słyszała szum pobliskiego morza, to pragnienie stało się nagle bardzo aktualne.

– *Bonjour!*

Głęboki męski głos wyrwał Simone z zamyślenia. Szybko wyprostowała się i zaczesała kilka niesfornych kosmyków włosów za ucho, po czym wstała. Na taras wszedł sprężystym krokiem wysoki mężczyzna.

– *Bonjour*. Simone Berger. – Wyciągnęła do niego rękę. Co sobie ten mężczyzna mógł o niej pomyśleć, po tym, jak się tu zakradła? Gorączkowo szukała jakiegoś przekonującego wyjaśnienia i w głębi duszy już widziała siebie siedzącą w jakimś prowincjonalnym komisariacie.

– Pascal. – Podał jej rękę.

Simone rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. Oceniła go na czterdzieści parę lat. Miał potargane przez wiatr krótkie czarne włosy i naturalną brązową cerę, na całej koszuli poprzyczepiane było siano. Do znoszonych dżinsów założył czarne ciężkie buty robocze. Czyżby był rolnikiem?

Kiedy Simone potrząsała jego ręką, rozbawiony nie spuszczał jej z oczu i patrzył prosto w twarz. Jego brązowe oczy błyszczały wesoło, a miny, która sugerowała coś między krytyczną oceną a życzliwością, nie potrafiła zinterpretować. Simone była poirytowana, ale nie miała czasu, żeby analizować to wrażenie, ponieważ mężczyzna wesoło mówił dalej.

– Napędziła pani mojej matce porządnego stracha. Rzadko błąkają się tu obcy

– No tak, jest… jest mi potwornie przykro. Nie chciałam być nieuprzejma, ale w domu nikt nie otwierał, pomyślałam więc…

– Pomyślała pani, że w takim razie pokręci się pani po ogrodzie.

– Nie! Ja…

Roześmiał się.

– Już dobrze. Nie wygląda pani na kogoś, kto chce tu coś ukraść. Proszę bardzo, usiądźmy.

Energicznie usiadł na ogrodowym krześle i na chwilę skierował wzrok w stronę morza.

– Jest tu naprawdę pięknie – powiedziała Simone, również siadając. – Bardzo dobrze mówi pan po niemiecku, Pascal.

Uśmiechnął się, a dookoła oczu zrobiły mu się drobne zmarszczki. Sympatyczne zmarszczki. Simone musiała nad sobą panować, żeby nie gapić się na niego. Nie mogła się od tego powstrzymać – taki był przystojny.

– Przez jakiś czas studiowałem w Niemczech. Skąd pani pochodzi, Simone?

– Z Berlina.

– Piękne miasto, trochę zbyt tłoczne jak na mój gust – powiedział i machnął przy tym niechętnie ręką.

– No tak, jeśli się na co dzień mieszka tam, gdzie inni przyjeżdżają na urlop. – Simone cicho westchnęła i ponownie zerknęła tęsknie w kierunku wybrzeża.

Pascal zaśmiał się.

– Ale życie i praca tutaj jest czymś innym niż krótkie trzy tygodnie urlopu.

Jego głęboki melodyjny głos z silnym francuskim akcentem sprawił, że na rękach dostała gęsiej skórki.

– No dobrze, co panią tu przygnało? – Jego brązowe oczy, które spoważniały, patrzyły na nią z ciekawością.

– Poszukuję madame Chervon. Niestety, w Niemczech udało mi się dowiedzieć tylko tego, że podobno tu mieszka, ale nie znam numeru telefonu. Więc tu przyjechałam. Mężczyzna w sklepie we wsi odesłał mnie… właśnie tutaj. – Zauważyła, jak enigmatyczne było jej wyjaśnienie. Nie wiedziała nawet, czy trafiła na właściwą madame Chervon.

– Guiellever? – Przez twarz Pascala znów przemknął uśmiech. – Lubi wysyłać obcych… jak to się mówi… w pole.

– Och, czyli to nie jest… – Simone nagle poczuła, że się totalnie ośmieszyła.

– Owszem, to jest dom madame Chervon. Moja matka jest tu gospodynią. – Gestem

wskazał na tył ogrodu, gdzie właśnie wyłonił się za krzakami kolorowy fartuch Marii.

– Więc jednak dobrze trafiłam. – Simone odetchnęła z ulgą. – Czy… czy mogłabym porozmawiać z madame Chervon, a raczej czy ona w ogóle tu jest?

Pascal głęboko odetchnął i skrzyżował ręce na piersi.

– Madame Chervon jest już bardzo stara, jak być może pani wie. Obecnie jej tu nie ma. Czego pani od niej chce?

– Ja… więc… – Simone spróbowała w krótkich słowach wyjaśnić, że sprowadziło ją tutaj tajemnicze zlecenie i kufry. Nie wspomniała o pamiętnikach i listach.

– I nie wie pani nawet, czy madame Chervon rzeczywiście jest pani zleceniodawczynią? Bardzo śmiała decyzja, żeby wybrać się w taką długą podróż, prawda?

– Tak – przyznała cicho Simone. Teraz, kiedy już ujęła w słowa cel swojej podróży i je wypowiedziała, cała ta historia wydała się jej szalona. – Nazwisko Chervon było jedynym punktem zaczepienia, jaki miałam.

– No tak… – Pascal skrzyżował ręce i położył je na stole. – Jak już powiedziałem, madame Chervon jest bardzo stara. Moja rodzina dba tutaj o wszystko… – I znów lekki uśmiech, chociaż bardziej smutny niż wcześniej. – Madame Chervon jest dla mnie jak ciotka. Rozumie pani, że się o nią martwimy, kiedy nagle pojawia się ktoś zupełnie obcy.

– Tak, oczywiście. – Simone rozbrajająco uniosła dłonie. – Pascal. Nie chciałabym wzniecać niepokoju i nie kierują mną żadne ukryte zamiary. Mam tylko jeden cel: przekazać te kufry prawowitemu właścicielowi.

– Tak, rozumiem. Być może madame Chervon jest pani zleceniodawczynią, ale nie zdołała się z panią ponownie skontaktować.

– Czy jest chora? – W jej głosie było słychać, że posmutniała.

– Kilka dni temu zasłabła. Zawieźliśmy ją do szpitala. Teraz jest tam jeszcze na… jak to się nazywa po niemiecku?… Na oddziale odnowy? Nieważne. W każdym razie czuje się już lepiej. Moja matka regularnie ją odwiedza i dba tu o wszystko. Niestety, Constanze… madame Chervon… jest jeszcze trochę oszołomiona.

– Och, tak mi przykro. – Simone była szczerze skonsternowana, zwłaszcza że stara dama wydawała się jedynym powiązaniem z Viviane i Elisabeth, których historia tak ją poruszyła. – Czy mimo to istnieje możliwość, abym ją odwiedziła?

– Myślę, że to się da zrobić. Madame Chervon nie zadziera nosa. – Uśmiechnął się, a wtedy wokół jego oczu znów pojawiły się drobne zmarszczki. – Ale proszę jej nie denerwować.

– Bez obaw. Myślę, że jeszcze dzisiaj pojadę do Saint-Brieuc, i tak muszę znaleźć nocleg, a wydawało mi się, że jest tam dużo hoteli. – Przypomniała sobie, jak przejeżdżała przez tę miejscowość, zanim zatrzymała się w Binic.

– Więc nie przyszła tu pani pieszo? – Teraz siedzący naprzeciw mężczyzna uśmiechnął się zuchwale.

– Nie – odpowiedziała, uśmiechając się. – Zostawiłam samochód w Tréveneuc… i poszukałam Jezusa.

– Jezusa?

– No, krzyża, na początku drogi. Mężczyzna w sklepie powiedział, żebym przy Jezusie skręciła w lewo. – Roześmiała się.

Pascal również zaczął się śmiać.

– W każdym razie trafnie to opisał. Chodźmy, odwiozę panią do wsi, żeby nie musiała pani jeszcze raz iść przez las. – Wstał i pomachał matce. – *Maman, nous partons!*

– *Salut!* – rozległo się z zazielenionego ogrodu.

Simone poszła za Pascalem do frontowej strony *château*, gdzie stał duży srebrny samochód terenowy opryskany błotem. Pascal otworzył jej drzwi od strony pasażera. Kiedy wsiadła do środka, owionął ją zapach siana, ziemi i mężczyzny. To była tylko króciutka chwila, ale tak silnie na nią podziałała, że jej serce gwałtownie zabiło. Kiedy Pascal zamknął drzwi i szedł dookoła samochodu, głęboko oddychała. Rany boskie, Simone – panuj nad sobą, pomyślała. Potem Pascal wsiadł do samochodu i zawiózł ją do małego zielonego auta, które stało w pobliżu kościoła.

– Wielkie dzięki za podwiezienie.

– Nie ma o czym mówić. Proszę pojechać do Saint-Brieuc do Centré Médico i zapytać tam o madame Chervon. – Oparł się o kierownicę. – Czy w najbliższych dniach przyjedzie pani jeszcze raz do Tréveneuc?

– Ja… nie potrafię jeszcze powiedzieć.

Ponownie się uśmiechnął.

– Gdyby jednak, proszę nas odwiedzić. Nasz dom stoi niedaleko lasu. Że tak powiem, przy Jezusie dalej prosto. Moja *maman* robi najlepsze *krampouezhenn* w okolicy.

– Z chęcią. I jeszcze raz bardzo dziękuję. – Simone nie wiedziała, co to były *krampouezhenn*. Ale sposób, w jaki Pascal to powiedział, świadczył, że musiało to być coś smacznego. I sama myśl, że zje razem z nim posiłek, była w pewnym sensie kusząca. Ale zapewne nie wróci już do Tréveneuc, skoro madame Chervon była w Saint-Brieuc, pomyślała trochę zasmucona i wysiadła z auta. Kiedy Pascal odjechał, pomachała za srebrną terenówką.

Kiedy Simone wsiadła do swojego wypożyczonego samochodu, na moment wstrzymała oddech. Sztuczny cytrynowy zapach we wnętrzu natychmiast przykrył świeży aromat siana, który czuła jeszcze przed chwilą w aucie Pascala. Z cichym westchnieniem otworzyła okno.

Rozdział 11

Podczas jazdy w tamtą stronę Simone nie zwróciła na to uwagi, ale teraz, kiedy jechała przez Saint-Brieuc, zauważyła, że miasto leżało w okolicy pełnej rozpadlin.

Rzeka wyżłobiła w ziemi głęboką dolinę i krętą linią uchodziła do morza. Domy w mieście przylegały do zboczy rzecznej doliny aż do samego jej brzegu. Simone spontanicznie czuła, że miasto przypomina jej Hamburg i Blankenese.

Wprowadziła do nawigacji adres Centré Médico i podążyła przez małe miasto za niebieską strzałką na wyświetlaczu, słońce stało już nisko i nadawało niebu nad miastem barwę ciepłej czerwieni. Być może powinna dzisiaj dać sobie już spokój i poszukać noclegu. W końcu nie zarezerwowała jeszcze powrotnego lotu i nie musiała być w Rennes w ustalonym czasie. Ku swojemu zaskoczeniu rozkoszowała się tutaj uczuciem wolności. Bez namysłu wyłączyła nawigację i skierowała się w stronę morza. W pobliżu ujścia rzeki zauważyła mnóstwo szyldów pensjonatów.

Ale najpierw chciała coś zjeść. Na rogu ulicy stał sprzedawca ze swoim samochodem. Tekturowy stojak reklamowy zachwalał rozmaite smakołyki. Simone zatrzymała się i kupiła dwie kanapki z bagietek. Sprzedawca starannie je zapakował, wyrzucając z siebie lawinę francuskich słów. Przyjaźnie skinęła głową, ale niewiele zrozumiała z tego, co jej powiedział. Potem postanowiła poszukać dachu nad głową. Trochę powyżej nurtu rzeki przytulał się do zbocza przy brzegu zachęcający swoim widokiem dom. Wąski przydomowy ogródek oraz parapety przystrajały kolorowe kwiaty. Na białym drewnianym szyldzie było napisane niebieskimi literami „Les Maisons de Soleil", a poniżej „Bed & Breakfest". To było to, czego szukała!

Simone zaparkowała mały zielony samochód przed domem. Kiedy zadzwoniła do drzwi, otworzyła jej kobieta, której wygląd sugerował przynależność do artystycznej bohemy. Miała na sobie kolorową sukienkę, do tego fantazyjnie zawiązaną na głowie długą chustę i kolczyki z licznymi wisiorkami, które obrazowały cały wszechświat. Simone zapytała, czy jest wolny pokój, a kiedy usłyszała własny głos, dotarło do niej, że coraz lepiej radzi sobie z francuskim.

– *Oui.* – Kobieta popatrzyła na Simone promiennym wzrokiem i zachęcająco otworzyła jej drzwi. Walizka została szybko przyniesiona z samochodu i kiedy Simone po załatwieniu niewielkich formalności szła za gospodynią korytarzem, jej wzrok zatrzymywał się na starych fotografiach wiszących na ścianach. Stare statki, marynarze, ulice, na których było widać powozy zamiast samochodów… Czuła się jak w muzeum. Wydawało się, że na ścianie wisi cała historia małej rybackiej osady. Szła dalej zdziwiona, musiała uważać, aby nie wpaść na jakąś starą komodę czy krzesło, które stały na korytarzu, podobnie jak małe stoliki z różnorodnymi dekoracjami. Jensowi by się tu podobało. Poczuła krótkie bolesne ukłucie w piersi. A głos w głowie przypomniał jej: musisz się zastanowić nad waszym związkiem. Tylko nie zgrywaj detektywa, przyjechałaś tu również po to, aby przemyśleć kilka spraw! Simone potrząsnęła głową, aby odpędzić głos.

Pokój znajdował się na końcu korytarza. Kobieta w krótkich słowach poinformowała ją, gdzie jest łazienka, i pożegnała się z uśmiechem. Simone zamknęła za sobą drzwi. Jej pokój miał małe okno i drzwi prowadzące na kamienny balkon. Był wystarczająco szeroki, by zmieściły się na nim dwa filigranowe żelazne krzesła. Simone wyjęła z torebki przyniesione ze sobą bagietki i usiadła na balkonie. Z rozkoszą jadła posiłek w świetle zachodzącego słońca, patrząc na rzekę, na której kołysały się białe łodzie, a w oddali na przeciwległym brzegu powoli włączały się

uliczne światła. Jedna z bagietek była z pieczonymi krewetkami, dużą ilością sałaty i sosem koktajlowym, tak pysznym, że Simone zlizała ostatnie krople z palców. Tak, to była prawdziwie urlopowa atmosfera. W tyle głowy gnieździły się wyrzuty sumienia, ale tego wieczoru zamknęła im drzwi przed nosem. Później zastanowi się nad sobą i nad Jensem.

Następnego ranka zjadła śniadanie, które podała jej wciąż uśmiechnięta kobieta z kosmicznymi kolczykami. Składało się z dużej filiżanki kawy z mlekiem, dwóch rogalików i dżemu.

Pojechała samochodem do Centré Médico, zimnego budynku z betonu, którego wygląd spowodował, że jej dobry nastrój prysł. Przed wejściem w porannym słońcu siedzieli chorzy na wózkach inwalidzkich, za ich plecami znajdował się hol, po którym krzątały się pielęgniarki w białych fartuchach. Simone podeszła do okienka informacji. Teraz musiała się bardzo skoncentrować, żeby siedzącemu w nim mężczyźnie wytłumaczyć po francusku, co było celem jej wizyty. Słuchał jej cierpliwie i kilka razy wystukał coś na stojącym przed nim komputerze.

– *Oui* – madame Chervon. – Zanotował coś na kartce i podał ją Simone. Było na niej napisane Cf34-G4–812. Po spojrzeniu Simone mężczyzna mógł się łatwo zorientować, że nie bardzo wiedziała, co z tym począć, i przez chwilę się zastanawiał. Potem zatrzymał przechodzącą obok pielęgniarkę, pokazał jej kartkę i poprosił, żeby zaprowadziła ją do madame Chervon.

– *Merci!* – Simone skinęła z wdzięcznością, musiała się śpieszyć, żeby nadążyć za szybko idącą pielęgniarką.

Centré Médico wydawało się ogromne. Schodami i korytarzami wchodziły coraz głębiej i głębiej. Białe korytarze i sterylny zapach nie napawały optymizmem. Tym bardziej zaskoczyło Simone to, że za jednymi z rozsuwanych drzwi ukazał się zupełnie inny świat: wesołe kolory, niemal przytulne wyposażenie, obrazy na ścianach i wysokie rośliny doniczkowe na podłodze. Pielęgniarka próbowała coś wyjaśnić, ale Simone zrozumiała tylko tyle, że były na oddziale rehabilitacji starszych ludzi. A więc to miał na myśli Pascal, mówiąc o „oddziale odnowy".

Pielęgniarka zatrzymała się przed słonecznie żółtymi drzwiami.

– Madame Chervon. *N'agitent pas*. – Upominająco uniosła palec. *Tylko żadnych nerwów*.

Simone przytaknęła.

Pielęgniarka zapukała do drzwi, skinęła na Simone i odwróciła się na pięcie. Kiedy szła, jej białe buty cicho piszczały na linoleum, które pokrywało podłogę.

Simone głęboko odetchnęła. Nie wiedziała, co ją czekało za tymi drzwiami. W jej głowie pojawił się obraz wyłożonego białymi płytkami pomieszczenia, wypełnionego ciężkim powietrzem i pikającymi urządzeniami. Dla pewności jeszcze raz zapukała do drzwi.

– *Oui!* – zabrzmiało cicho od wewnątrz.

Skoro madame Chervon mogła mówić, wydawało się, że nie było z nią jeszcze tak źle. A więc naprzód! Zebrała się w sobie i weszła do pokoju.

To, co zobaczyła za słonecznie żółtymi drzwiami, nie było klasyczną szpitalną salą. Poczuła się raczej, jakby z zimnego szpitalnego korytarza przeniosła się do przytulnego pokoju. Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to ciepłe kolory, drewniane szafki i długie przewiewne firanki. Po prawej stronie stało szpitalne łóżko, całe usłane kolorowymi poduszkami i kocami.

– *Bonjour* – powiedział łagodny głos z lewego rogu pokoju. Siedziała tam na fotelu szczupła siwowłosa kobieta otulona kocem. Sprawiała wrażenie niedołężnej, ale jej błyszczące oczy spoglądały żywo na Simone.

– *Bonjour,* madame Chervon.

W starą damę wróciło życie, wyprostowała się i wyciągnęła głowę, jak gdyby starała się

rozpoznać, kto właśnie wszedł do jej pokoju.

– Że też przyszłaś jeszcze raz mnie odwiedzić! Jakże się cieszę! – powiedziała czystym niemieckim, chociaż z mocnym akcentem.

– Och nie, madame Chervon. Nie sądzę, żeby mnie pani znała. Nazywam się Simone Berger. – Simone zaskoczyło jej powitanie. Musiała zajść jakaś pomyłka.

– Berger? – Stara dama przywołała Simone bliżej i przez chwilę się jej przyglądała. Jak Simone przypuszczała, blask, który jeszcze przed momentem był widoczny w jej oczach, przygasł.

– Proszę mi wybaczyć, wzięłam panią za kogoś innego – powiedziała. – Proszę podejść, pani Berger i usiąść obok mnie. – Wskazała na stojący obok fotel.

– Powiedzieli mi, że muszę tu jeszcze zostać. Muszę odpocząć. Ale jak można jeszcze odpoczywać, kiedy ma się dziewięćdziesiąt lat? – Westchnęła i poprawiła się pod kocem.

Z bliska stara dama wyglądała jeszcze dość młodo. Jej skóra przypominała cieniutką bibułkę, a mimo to była różowa. Miała schludnie uczesane wysoko upięte włosy. Niebieskie oczy były mętne, ale pełne życia.

– To dziwne znów mówić po niemiecku, ale on… wciąż tkwi w mojej głowie. – Stara dama uśmiechnęła się szelmowsko. – A więc, pani Berger?

Simone chrząknęła i zastanawiała się, jak powinna zacząć.

– Róże, Maria musi jeszcze przed latem ściąć róże… – Wzrok madame Chervon powędrował obok Simone w próżnię.

Czyżby stara kobieta nie miała już całkiem po kolei w głowie, skoro mówi takie rzeczy? Madame Chervon nagle ponownie spojrzała na Simone.

– *Oui*, madame Berger. Napisałam do pani list.

– No właśnie, i dlatego tu jestem. – Simone z ulgą podjęła wątek, zanim staruszka znów się rozkojarzyła. Najwidoczniej była na dobrym tropie.

– Oczekiwałam pani. Miała pani przyjechać? Nic już nie wiem. Cieszę się, że pani tu jest. – Spod koca wysunęła się mała filigranowa dłoń, chwyciła rękę Simone i zaskakująco mocno ją ścisnęła.

– Kupiłam na aukcji kufry dla pani.

– Kufry… tak… kufry?

– Tak, dwa kufry i siodło.

– Moje siodło, siodło mojej matki… Cascade był takim pięknym koniem. Ostatni, na którym jeździłam. Miał długą grzywę i taki sprężysty chód. – Znów pogrążyła się w myślach i była jakby nieobecna.

Simone przestało dziwić to osobliwe zlecenie, skoro madame Chervon od dłuższego czasu była w takim stanie.

– Nie byłam pewna, czy pani jest moją zleceniodawczynią, dlatego nie przywiozłam ze sobą kufrów. Ale pozwoliłam sobie przywieźć coś z ich zawartości. – Simone wyjęła z torebki małą broszkę w kształcie motyla i włożyła ją w dłoń madame Chervon.

– Och tak. – Stara dama przyglądała się broszce zamyślona i delikatnie głaskała palcem precyzyjnie dopracowane skrzydła motyla. – Należała do mojej matki. Bardzo dziękuję – powiedziała cicho lekko łamiącym się głosem.

– Madame Chervon, czy mam zająć się sprowadzeniem kufrów i siodła do pani do Francji?

– *Oui*, byłoby miło, nie wychodzę jeszcze do domu. Muszę tu jeszcze trochę zostać. Co z koniem?

– Z jakim koniem? – zapytała Simone skonsternowana. Przecież nie zlecono jej kupna

konia.

– Cascade… ach nie, to było już tak dawno temu. To jest… ja... – Stara kobieta zrobiła się niespokojna.

Żadnych nerwów! – rozbrzmiały jej w uszach słowa pielęgniarki.

– Madame Chervon, proszę się uspokoić. Musi pani najpierw odpocząć. Przypilnuję pani rzeczy, dostanie je pani, kiedy wróci pani do domu.

– Do domu… róże, tak.

– Teraz już pójdę, madame Chervon. Dziękuję…

– Przyjdzie pani jutro? – W oczach starej damy było widać błaganie.

– Jeśli pani zechce, chętnie przyjdę jutro. – Simone uścisnęła delikatną dłoń madame Chervon, która wciąż spoczywała w jej ręce.

– Byłoby mi miło, nieczęsto ktoś mnie odwiedza. Maria musi zajmować się ogrodem i domem. – Wydawało się, że przy słowie dom wzrok jej pojaśniał i coś poruszyło jej myśli. – Dom… Niech pani pójdzie do monsieur Nouville. Coś tam dla pani zdeponowałam.

– Dla mnie?

– Tak, proszę pójść do Nouville'a w Tréveneuc. On wie. Nie… nie mogę sobie przypomnieć, kiedy dokładnie u niego byłam. Nie czułam się dobrze… Kiedy pielęgniarka przyniesie popołudniową herbatę?

– Nie wiem, nie ma jeszcze południa, madame Chervon. – Simone wstała i powoli zaczynała się obawiać, że za bardzo zdenerwowała starą damę.

– W takim razie najpierw będzie lunch. Dobrze tutaj gotują. Nie tak dobrze jak Maria, ale… Niech pani jeszcze przyjdzie, Simone Berger!

– Dobrze, przyjdę. Było mi miło panią poznać, madame Chervon.

Mętne oczy jeszcze raz spojrzały na Simone.

– *Oui*. Pani… Wyglądasz jak… nie, to było tak dawno temu.

– Jutro panią odwiedzę, proszę teraz odpocząć, madame Chervon.

Kiedy Simone wyszła na korytarz, musiała na chwilę przystanąć. Zamyślona przejechała ręką po włosach. Oby stan starej damy się poprawił. Ale wydawało się, że nie potrafi już trzeźwo myśleć. Jak powiedziała? *Proszę pójść do Nouville'a w Tréveneuc!* Cokolwiek tam na nią czekało, powinna się tego dowiedzieć. Więc do Tréveneuc.

Szyld. Zdała się na łut szczęścia i nacisnęła dzwonek. Czuła się nieswojo, prawdopodobnie zaraz znów będzie musiała opowiedzieć całą historię obcemu człowiekowi.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku.

– *Vous désirez?*

– *Monsieur Nouville?*

– *Oui.* – Kobieta szerzej otworzyła drzwi i zaprosiła Simone do środka. Widocznie w domu znajdowało się również biuro. Wskazała gestem Simone, żeby poczekała, i zniknęła za drzwiami.

Niedługo potem znów się pojawiła, uśmiechnęła się przyjaźnie i otworzyła Simone drzwi.

– *Par ici* – proszę tedy.

– *Merci*. – Simone weszła do pokoju. Pierwsze, co zobaczyła u monsieur Nouville'a, to jego plecy, ponieważ właśnie pochylał się do szafy.

– *Bonjour, monsieur Nouville. Je m'appelle Simone Berger.*

– Wiem.

Simone omal nie dostała zawału, kiedy rozpoznała głos i uświadomiła sobie, kto ją tu

przywitał.

– Witamy ponownie w Tréveneuc.

– Pascal?

Uniósł ręce w przepraszającym geście.

– My… myślałam… nie wiedziałam…. – Simone była całkowicie zbita z tropu. W duchu spodziewała się jakiegoś starego kościstego adwokata, a nie…

– Miło znów panią widzieć. Proszę, niech pani usiądzie, Simone.

Sposób, w jaki wymówił jej imię, od razu wywołał u niej gęsią skórkę na rękach.

– Dziękuję. – Kiedy siadała, musiała chrząknąć, żeby się nie jąkać.

– Więc była pani u Constanze. – Jego głos brzmiał co prawda bardzo formalnie, ale Simone widziała, że jej zdziwienie go ubawiło.

Chrząknęła i skinęła głową w odpowiedzi na jego pytanie.

– To miłe. Jak ona się ma?

– Dziękuję, całkiem dobrze. Przynajmniej fizycznie. Ale…

– Tak, jest jeszcze trochę oszołomiona. Lekarze mówią, że to minie, kiedy znów wróci do pełni sił. Co prawda z wyglądu jest dość drobna, ale wewnętrznie jest silna jak koń. – Z jego ciepłych brązowych oczu biła troska. Wydawało się, że naprawdę lubi starą kobietę.

– Nie wiedziałam, że jest pan również jej… adwokatem.

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Wobec tego było dla pana jasne, że tu wrócę.

– Miałem taką nadzieję. *Mamans krampouezhenn*, chyba nie przepuści pani takiej okazji... – Ale jego twarz szybko spoważniała i zmierzył ją wzrokiem. – Tak, wiedziałem o tym, albo dokładniej mówiąc, wiedziałem, o co chodzi, kiedy usłyszałem wczoraj pani nazwisko. Chciałem, żeby pani najpierw sama porozmawiała z Constanze. Najwidoczniej przysłała panią do mnie, tym samym wszystko idzie w dobrym kierunku.

Simone popatrzyła na niego pytająco. Jego wzrok wciąż spoczywał na niej.

Odchylił się z krzesłem do tyłu, złożył dłonie i przez chwilę bębnił złączonymi palcami w wargi, zanim zaczął mówić dalej.

– Constanze już od kilku dni źle się czuła. Zapewne przeczuwała, że może się jej jeszcze pogorszyć. Na dzień przed zasłabnięciem powiedziała mojej matce, żeby zaniosła na pocztę jeszcze jeden list, który leżał na jej biurku. Stuknął palcem w leżącą przed nim żółtą wypchaną kopertę.

– I jest ona… przeznaczona dla mnie?

– Tak się wydaje. Nie mogliśmy jej wysłać.

Pascal podniósł list i podał go Simone. Na kopercie napisano zamaszystym ręcznym pismem „Simone Berger". Po dwóch pierwszych literach adresu pismo się urywało. Simone poznała to pismo. Było takie samo jak na zleceniu.

– Okej… – Simone wzięła kopertę.

– Stan zdrowia Constanze w pierwszych dniach po zasłabnięciu był krytyczny, a potem… Zauważyła pani, że jest jeszcze trochę oszołomiona. Chciałem poczekać, aż znów będzie mogła sobie wszystko przypomnieć, i wtedy zapytać ją o adres. I nie wiem też, co jest w środku. – Wzruszył ramionami i spojrzał na nią zachęcająco.

Simone niezdecydowanie otworzyła porządnie zaklejoną kopertę i zajrzała do środka. Klucz! Wyjęła go.

– I? – Pascal był wyraźnie ciekawy.

Uniosła klucz i zmarszczyła czoło.

– Hmm – mruknął, ale w jego oczach znów pojawił się mały błysk.

Simone czuła, że wiedział więcej, niż chciał powiedzieć.

– I naprawdę nie zna pani Constanze?

– Nie. – Simone uniosła dłonie bezradnie. – Przecież powiedziałam panu, jaką drogą dostałam zlecenie. Kiedy nie otrzymywałam długo następnej wiadomości – wskazała na żółtą kopertę – przeprowadziłam małe dochodzenie. Mam nadzieję, że to wszystko nie… No wie pan. – Zrobiła palcem kółko na czole.

– Nie – odparł Pascal. – Do czasu zasłabnięcia Constanze była w pełni władz umysłowych. I mam nadzieję, że znów je odzyska. Ma ku temu swoje powody. – Pokazał na klucz w ręku Simone. – Zawartość koperty oznacza, że pani zaufała, więc i ja pani ufam. To klucz do jej domu. Ale będę miał panią na oku. – Mrugnął do niej. – Poza tym dom jest duży i ma kilka pokoi gościnnych. Moja matka chętnie się panią zajmie.

– Ale po co wysłała mi klucz?

– Wydawało się, że na panią czeka.

– Przecież nie mogę się tam tak po prostu wprowadzić, dopóki madame Chervon nie wróci do domu.

– Dlaczego nie? Na pewno nie dała pani klucza bez powodu.

– Chciałam zostać tu tylko kilka dni.

– A więc jeśli chce pani dowiedzieć się, dlaczego pani tu teraz jest i co to wszystko znaczy, być może będzie musiała pani zostać trochę dłużej w naszej pięknej wiosce.

Simone westchnęła. Chyba miał rację.

– Najpierw pojadę jeszcze raz do Saint-Brieuc. Wynajęłam tam pokój w małym pensjonacie, a poza tym muszę szybko jeszcze raz odwiedzić madame Chervon.

Pascal wzruszył ramionami.

– Jak pani chce. Mimo to proszę pamiętać, że w najbliższych dniach zaproszę panią na kolację.

Ton jego głosu był tak służbowy, a wzrok tak poważny, że Simone się roześmiała.

– Widzę, że nie mam wyboru.

– Nie przyjechała tu pani na urlop. – Uśmiechnął się.

Idąc z biura Pascala do samochodu, Simone musiała przyznać sama przed sobą, że chętnie przyjęła zaproszenie. Oczywiście Jens byłby zazdrosny, gdyby się o tym dowiedział. Wyrzuty sumienia znów się odezwały, wydawało się jej, że ktoś uniósł palec w geście upomnienia. Ale to nie był niewinny flirt, to było… działanie w interesach. W końcu Pascal znał Constanze. Być może od niego dowie się więcej niż od starej kobiety.

Klucz do *château* ciążył jej w dłoni. Mocno go ścis-kała, jakby bała się, że mogłaby go zgubić. Ale tak naprawdę bała się go użyć. Dlaczego Constanze Chervon wysłała jej klucz? Co miała robić w *château*? Co ją tam czekało?

Kiedy siedziała już w samochodzie, otworzyła dłoń i przyglądała się kluczowi. Nie! Dziś jeszcze nie odważy się wejść do domu. Byłoby to w jakimś sensie niewłaściwe. Może za parę dni. Najpierw jeszcze raz odwiedzi madame Chervon. Być może stara kobieta będzie miała trochę jaśniejszy umysł i przypomni sobie, dlaczego chciała w ten sposób wciągnąć w tę historię Simone. Wzdychając, uruchomiła samochód i skierowała się w stronę Saint-Brieuc.

Kiedy wieczorem leżała na poduszce miękkiego łóżka w pensjonacie, gapiła się na leżący na nocnym stoliku stos listów od Viviane i ostatni pamiętnik Elisabeth. Był tam również jej

telefon. Na samą myśl, żeby zadzwonić do Jensa, poczuła w sobie ołowiany ciężar. Wolała wziąć do ręki pamiętnik. To skieruje jej myśli w inną stronę.

Jak Elisabeth wiodło się z Gunterem? I o jakie dziecko chodziło w ostatnim wpisie? Potem był jeszcze ostatni list od Viviane. Simone odwróciła się i wzięła kopertę ze stolika. Ten ostatni list nie został nigdy otwarty. Koperta była tak mocno zaklejona, jakby zamknięto ją dopiero wczoraj. Simone biła się z myślami.

Czy powinna?

Ostrożnie, kawałek po kawałku, aby nie uszkodzić koperty, podważyła paznokciem skrzydełko, a potem je oderwała. Minęło kilka minut, zanim wreszcie zebrała się na odwagę, aby wyjąć ten ostatni list, ale nim go otworzyła, upłynęły jeszcze długie sekundy. Wreszcie wzięła się w garść. Być może przeczytanie teraz tego listu było ważne i właściwe. Simone skuliła się pod kocem, jakby ten zapewniał jej ochronę. Potem ponownie zanurzyła się w życiu Viviane.

Berlin, 17 października 1917

Kochana Elli,

kiedy będziesz trzymała w rękach ten list, czego pragnę całym sercem, wtedy wszystko będzie dobrze. To był najtrudniejszy krok w moim życiu, uwierz mi, proszę. Nie widziałam innego wyjścia.

Do tej pory nie wypuścili Philippe'a. Powiedziano mi, że prawdopodobnie wyślą go do obozu pracy. Nawet nie mogę go odwiedzić, chociaż jesteśmy w tym samym mieście. Ta sytuacja jest dla mnie nie do zniesienia. Jestem sama.

Stało się to, co musiało się stać. Pewnego dnia nie mogłam już dłużej ukrywać mojej ciąży przed Miną. „Dlaczego nic nie powiedziałaś?", zapytała z wyrzutem. Była bardzo zła, ponieważ jej nowy numer z tresurą koni, w którym ja i moje ogiery odgrywaliśmy ważną rolę, prysnął jak bańka mydlana.

„Mino, proszę, nie mów o tym swojemu ojcu", błagałam ją. Strasznie się bałam, że mnie wyrzuci. Gdzie wtedy miałabym się podziać?

Mina jest brawurową woltyżerką. Cały Berlin uwielbia jej występy. Poza areną jest raczej osobą trudną. Oczywiście pomogła mi, kiedy postanowiła, żeby mnie zaangażować. Ale nie nazwałabym jej przyjaciółką. Teraz wpadła w szał i bała się, że jej sława ucierpi, ponieważ zniszczyłam jej numer. Kiedy już wyładowała na mnie swoją złość, umilkła i zamyśliła się.

„Dobrze", powiedziała. „Jest chyba tylko jedna możliwość. Kiedy spodziewasz się rozwiązania? Jest takie miejsce, dokąd możesz się udać. Twoje konie zostaną tutaj, a kiedy już będzie po wszystkim, znów tu wrócisz. Nie powiem nic ojcu, dopóki będą tu twoje konie".

Z ciężkim sercem spełniłam jej rozkaz, ale wiedziałam, że przynajmniej konie są w dobrych rękach. Staremu panu Aldenhoffowi powiedziała, że musiałam wyjechać na kilka tygodni z powodu ważnych spraw rodzinnych. Było w tym sporo prawdy. O nic więcej nie pytał, kiedy powiedziała mu, że na ten czas Juventus i Artikos zostają w cyrku. To było dla niego bardzo ważne – bo oprócz jej ogierów mieli tylko same wynędzniałe chabety. Wiedziałam, że będzie ich pilnował jak oka w głowie. Ja natomiast byłam mu w zasadzie obojętna. W końcu jego córka mogła występować w tym numerze również beze mnie.

Mina dała mi adres domu prowadzonego przez zakonnice na obrzeżach Berlina. Spakowałam więc mój skromny dobytek, jaki miałam w wozie, i wyruszyłam. Siostry przyjęły mnie, nie zadając wielu pytań. Dom był pełen wojennych wdów w zaawansowanej ciąży,

upadłych dziewcząt i kobiet, które z powodu swojego stanu ciągle wybuchały płaczem. Nie czułam się tam zbyt dobrze, ale zapewne było to jedyne miejsce, do którego mogłam się udać.

Czwartego listopada, wcześnie rano, przyszło na świat moje małe cudeńko. Pozwolono mi przez chwilę trzymać je na rękach i płakałam gorzko ze zmęczenia i dlatego, że nie było z nami Philippe'a.

Następnego dnia podeszła do mojego łóżka matka przełożona. Zapytała, czy wiem, komu oddać dziecko, czy też ma zawieźć je do sierocińca. To pytanie mnie przeraziło. Nagle zrozumiałam, że tego domu matka nie opuszcza razem ze swoim dzieckiem. Mina zapewne o tym wiedziała, kiedy mnie tu wysłała. A ja zdawałam sobie sprawę, że raczej nie było innego wyjścia – nie mogłam przecież wrócić do cyrku z niemowlęciem. Płakałam z rozpaczy. Dano mi całe cztery dni, żebym odpoczęła, potem ponownie zadano mi nieuchronne pytanie.

Oczywiście! Wiedziałam, komu oddać dziecko. Była tylko jedna możliwość. Zatem za ostatnie zaoszczędzone pieniądze ruszyłam w drogę.

Kochana Elli, Ty wiesz, dokąd mnie ciągnęło. Dom był sielankowo spowity jesienną mgłą, a my biegałyśmy po ogrodzie, jakby to było wczoraj. Nosiłam w sercu podwójny ciężar. Kochana Siostro, chociaż przysporzyłam Ci już tyle trosk, pomóż mi jeszcze ten jeden raz. Zajmij się moją małą dziewczynką. Nie mogłam oddać jej obcym ludziom. Wiem, że coś wymyślisz. A być może… pewnego dnia, kiedy ta wojna już się skończy i znów będę z Philippe'em, być może wtedy wszystko się jeszcze ułoży.

Kocham Cię

Vivi

Simone wpatrywała się w ostatnie słowa. Czyżby Viviane rzeczywiście zawiozła dziecko do siostry? Skoro Elisabeth nigdy tego listu nie otworzyła, prawdopodobnie nic o tym nie wiedziała. Czy się tego domyśliła? Co stało się z dzieckiem? Przypomniała sobie ostatni wpis w pamiętniku: „Dziecko wszystko zmieniło".

W nocy Simone śniły się przedziwne rzeczy. Krzyczące dzieci, obdarci ludzie, wojna. I wciąż jedna postać. Jej ojciec? Potem, ni stąd ni zowąd, pojawiła się matka i porywała ją za każdym razem, kiedy zbliżała się ta postać. W końcu zobaczyła Jensa, który z kolei przeistoczył się w jej matkę, i wreszcie Pascala, który tylko stał w oddali i ją obserwował.

Rozdział 12

Następnego dnia rano Simone znów udała się do Centré Médico. Czuła, że jest niewyspana, a ponury nastrój ze snów, który wciąż się utrzymywał, doskonale pasował do pogody. Zmieniła się gwałtownie przez noc. Silne podmuchy wiatru przynosiły łagodne wiosenne powietrze. Od morza nad ląd napływała szara pokrywa chmur, a drobna zimna mżawka rosiła przednią szybę samochodu.

Tym razem Simone sama znalazła drogę na oddział geriatrii. Dzisiaj skromny betonowy budynek nie sprawiał już tak odstraszającego wrażenia jak wczoraj, a przede wszystkim nie wyglądał już na taki duży i nie przypominał labiryntu. Na oddziale, gdzie leżała madame Chervon, Simone zgłosiła się najpierw do pokoju pielęgniarek.

Puszysta siostra uśmiechnęła się, kiedy Simone wymieniła swoje nazwisko i wyjawiła cel wizyty.

– *Oui*… madame Chervon już mówiła, że spodziewa się dzisiaj pani wizyty. Proszę wejść do niej. Madame się ucieszy.

Simone postanowiła po prostu niczemu się nie dziwić. W momencie kiedy chciała zapukać do żółtych drzwi pokoju, w jej torebce zawibrował telefon.

– Cholera! – Nerwowo wygrzebała aparat z torebki. Zupełnie zapomniała, żeby wyłączyć go na czas odwiedzin.

– Halo?

– Simone? Gdzie jesteś? – Był to głos Jensa.

– Posłuchaj, sytuacja się trochę skomplikowała. Jestem w szpitalu.

– Co? Coś ci się stało?

– Nie, odwiedzam kogoś.

– Kogo?

– Klientkę. Nie jest z nią najlepiej.

– Kiedy wrócisz?

– Jeszcze nie wiem, to może potrwać kilka dni.

Milczenie.

– Jens, przepraszam, zadzwonię do ciebie dzisiaj wieczorem, okej? Muszę się teraz rozłączyć. Cześć.

– Okej… dziś wieczorem. No, to do usłyszenia.

Słyszała w jego głosie, że był na nią zły. Szybko wyłączyła komórkę i włożyła ją na samo dno torebki. I od razu dopadły ją wyrzuty sumienia. Po prostu nie wiedziała, co powinna mu powiedzieć. Wzięła głęboki oddech i zapukała do drzwi.

– *Oui!* – rozbrzmiało, już trochę mocniej niż poprzedniego dnia.

– Madame Chervon? – Simone weszła do pokoju.

Constanze Chervon znów siedziała w fotelu. Na małym stoliku przed nią stały dwie filiżanki i dzbanek. Radośnie skinęła na Simone, aby weszła.

– To miłe, że pani przyszła, proszę wejść, poprosiłam pielęgniarkę, żeby przyniosła kawę. Chyba pije pani kawę? Czy woli pani herbatę?

Simone była zdumiona. Stara dama naprawdę na nią czekała. Co by było, gdyby przyszła dopiero w późniejszej porze dnia? Wtedy Constanze czekałaby na próżno w swoim fotelu.

Ogarnęło ją dziwne uczucie, że oprócz niej najwidoczniej każdy tutaj wiedział, co zdarzy się za chwilę.

– Niech pani wejdzie, proszę usiąść. – Constanze Chervon wskazała na wolny fotel po swojej lewej ręce.

Simone zdjęła kurtkę i usiadła. Czuła się obco. W pokoju pachniało szpitalnymi środkami dezynfekcyjnymi i fiołkami, zapewne perfumami, jakich używała Constanze Chervon. Rozejrzała się przelotnie. Wczoraj nie zdała sobie sprawy, że nie był to zwykły szpitalny pokój, lecz raczej pokój mieszkalny i pielęgnacyjny. Miał pewien osobisty charakter, co pozwalało sądzić, że madame Chervon była tu już jakiś czas i przykładano dużą wagę do tego, aby się tu dobrze czuła. Prawdopodobnie wiedziano, że będzie musiała spędzić tu jeszcze dłuższy czas...

– Czy była pani u Pascala?

– Tak. Dał mi kopertę, której pani już nie wysłała.

Wydawało się, że stara dama musiała się przez chwilę zastanowić.

– Tak, dałam kopertę Marii. Zanim… Zaprosiłam panią. A może tylko wysłałam pani klucz? Miałam nadzieję, że pani przyjedzie. Ale nie wiedziałam dobrze… Tak mi przykro. Podjęła się pani podróży, a ja… Ach, to przykre, kiedy głowa już odmawia posłuszeństwa. Paskudna dzisiaj pogoda, nieprawdaż?

– Tak, znowu zrobiło się zimno. – Simone postanowiła, że po prostu pozwoli, aby rozmowa potoczyła się swoim torem, i nie będzie naciskać na starą kobietę. Być może z przebiegu pogawędki dowie się, dlaczego teraz siedzi tu, gdzie siedzi.

– Ach, ale to jeszcze nic takiego. Musiałaby pani przeżyć kiedyś jesienną burzę, kiedy morze napiera na klify. To jest dopiero straszny widok. Była pani już w *château*?

– Nie, zatrzymałam się w małym pensjonacie nad rzeką.

– Dziecko, może pani spokojnie spać w moim domu. Maria wszystkim się zajmie.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony, madame Chervon. Ale…

– Naprawdę proszę się nie krępować. Przyjechała pani w samą porę. Co słychać u Pascala? Czy już naprawił dach stajni?

Simone powstrzymała śmiech, kiedy pomyślała o obu spotkaniach z Pascalem. Za pierwszym razem wystąpił w znoszonych dżinsach i z poprzyczepianą do koszuli słomą, a drugi raz w porządnej białej koszuli, siedzący za biurkiem.

– Nie wiem, wczoraj byłam w jego biurze.

– To miły młody chłopiec. A jego matka robi najlepsze *krampouezhenn* na całym Côtes-d'Armor.

– Też to już słyszałam. Ale proszę mi powiedzieć, madame Chervon, co to są *krampouezhenn*?

– Ach, proszę zwracać się do mnie Constanze. Nie wie pani, co to są *krampouezhenn*? Ach, skąd miałaby pani wiedzieć. – Stara dama się zaśmiała. – Proszę posłuchać, wyjaśnię to pani. – Wydawało się, że tego ranka była w dobrej formie. Simone miała nadzieję, że tak samo jak wątpliwe *krampouezhenn* Constanze wkrótce przypomni sobie również inne rzeczy.

– Wie pani, co tą są *crepes*, cienkie naleśniki, jak się na nie mówi w Niemczech. Ale *krampouezhenn* robi się z mąki gryczanej. Dlatego są trochę ciemniejsze. Taaak, ale nie wiem dokładnie, co jeszcze dodaje Maria. Na wierzch daje ser, jajko i szynkę. Już nigdy nie będzie pani chciała jeść niczego innego. Już jako dziecko jadłam je u matki Marii. I nieważne, gdzie byliśmy, zawsze tęskniłam za tym, aby wrócić do domu, żeby zjeść właśnie te *krampouezhenn*. – Uniosła cienki delikatny palec wskazujący, aby nadać wagę swoim słowom. – Tylko żona Pascala ich nie jadła. Była na coś uczulona. Myślę, że ludzie mieszkający w miastach są bardziej podatni na alergię niż ludzie ze wsi.

Żona Pascala? Simone znalazła się w wyraźnym kryzysie. Był żonaty? Podczas gdy stara dama wciąż opowiadała o życiu na wsi, myśli Simone powędrowały z powrotem do biura Pascala. Czy sprawiły to podejrzane zdjęcia na ścianach? Czy nosił obrączkę? O mój Boże! Dlaczego właśnie teraz zawraca sobie tym głowę? Na chwilę zacisnęła pięści, aby wrócić do rzeczywistości.

– Kiedy byłam mała, dzieci wciąż przebywały na dworze, nigdy nie chorowały i nie miały… uczuleń. – Najwidoczniej stara dama dużo lepiej pamiętała to, co działo się dawniej, niż wydarzenia z nowszych czasów. Czy był to odpowiedni moment, aby wydobyć z niej coś na temat przeszłości? Ostatecznie była jakoś spokrewniona z Philippe'em i Viviane. Simone przynajmniej miała taką nadzieję. Artyści często żyli w dużych grupach. Oczywiście mogło być również tak, że Constanze nic nie wiedziała o parze młodych woltyżerów i tylko przypadkiem nosiła to samo nazwisko. Sam fakt, że w kufrze były schowane papiery, nie oznaczał automatycznie pokrewieństwa. Kufry prawdopodobnie przeszły przez wiele rąk. Czy powinna zaryzykować i podpytać o to Constanze? Simone zdecydowała, żeby ostrożnie poruszyć ten temat.

– Czy dużo jeździła pani konno, Constanze? – zaczęła.

Wzrok starej damy powędrował obok Simone w stronę okna.

– Tak, można tak powiedzieć.

– Czy mogłaby pani mi o tym opowiedzieć?

– Tak, oczywiście! Najlepiej zacznę od samego początku… – Naraz zaiskrzyły jej się oczy. Oparła się na fotelu i złożyła rękę na kolanach.

– Urodziłam się pewnego słonecznego majowego dnia w pobliżu Monachium. Mój ojciec zawsze mówił, że jestem jednym z najdroższych dzieci na świecie. – Constanze Chervon mówiła teraz silnym głosem. Wydawało się, że rzeczywiście lepiej pamiętała przeszłość niż teraźniejszość. Simone oparła się wygodnie. Cieszyła się ze spotkania z tą zagadkową starą kobietą i jednocześnie boleśnie uświadomiła sobie, że nigdy nie poznała własnej babki.

– Wezwana akuszerka po moich urodzinach zabrała ze sobą do domu koszyk pieniędzy, a butelka wódki, którą mój ojciec zafundował z okazji tego radosnego dnia, kosztowała siedemdziesiąt tysięcy papierowych marek. Przy czym i tak miał szczęście, bo pół roku później moje urodziny kosztowałyby go zapewne miliardy. Prawdę mówiąc, nie mogłam wybrać sobie bardziej nieodpowiedniej pory, aby przyjść na świat. Były to czasy galopującej inflacji. No wie pani, kiedy pieniądze nie mają żadnej wartości i trzeba je nosić w workach. Ledwo ludzie jako tako odetchnęli po wojnie, zła sytuacja gospodarcza na nowo doprowadziła kraj do wrzenia. Oprócz strachu przed nowymi rozruchami albo przemocą każdy musiał zatroszczyć się o własne utrzymanie. Moi rodzice jako ludzie prowadzący koczowniczy tryb życia oczywiście w szczególny sposób.

Simone mocniej zabiło serce. *Tak!* Najwidoczniej trafiła na właściwy ślad!

Constanze natomiast się skrzywiła.

– Wie pani, wtedy nie było jeszcze telewizji. Kino zabierało nam już dostatecznie dużo widzów, ale mimo to ludzie lubili chodzić do cyrku, tak samo jak lubią robić to do dzisiaj, jak sądzę. Kiedy ostatni raz była pani w cyrku?

Simone od razu przyszedł na myśl zapach świeżych trocin i koni oraz muzyki rozpoczynającej każdy numer. Ale ostatni raz była w cyrku bardzo dawno temu.

Constanze nie poczekała na odpowiedź Simone. Poprawiła się w fotelu.

– Urodziłam się w małym zielonym wozie cyrkowym z kolorowym wyposażeniem, pluszowymi poduszkami i mnóstwem miłości moich rodziców. Podczas wojny na jakiś czas stracili ze sobą kontakt. Szczęście, jakim było dla nich to, że znów się odnaleźli, było ważniejsze

od złych czasów, w jakich przyszło im żyć. Mój ojciec, obdarzony wielkim talentem woltyżer, po wojnie od razu połączył się z kilkoma innymi artystami, i znów podróżował po kraju.

Czyżby więc Constanze była córką Philippe'a i Viviane? W głowie Simone układały się w całość pierwsze puzzle tej historii.

– Zapewne chciał wyjechać z kraju, ponieważ nie ufał już Niemcom. Ale nie było to takie proste, a rodzice potrzebowali pieniędzy, zwłaszcza że matka oczywiście nie mogła występować jakiś czas po tym, jak mnie urodziła. Byłam jej całym szczęściem i w cyrkowej rodzinie traktowano mnie jak mały cud.

Simone sporządziła w myślach małą oś czasu, na której próbowała umieścić informacje. Constanze urodziła się po pierwszej wojnie światowej w Monachium. Nie była więc dzieckiem, które Viviane oddała swojej siostrze. To znaczy, że ta historia miała w sobie jeszcze dużą lukę. Ale Simone nie odważyła się o to zapytać. Prawdopodobnie Constanze nic nie wiedziała o tamtym dziecku. Zresztą nie była to najlepsza pora, aby wyjawiać starej damie, że jej rodzice, być może, coś przed nią ukrywali.

– Sądzę, że moi rodzice nie mieli lekko w tamtych czasach. Koczowniczy tryb życia wiązał się ze znacznym niedostatkiem. Zwłaszcza że okres pomiędzy wojnami nie był łatwy, nie mówiąc już o samych wojnach. Ale dla mnie była to prawdziwa Kraina Czarów, w którą wrosłam. Czy wie pani, dlaczego ludzi cyrku nazywa się również bankieciarzami?

– Nie, nigdy nie słyszałam tego słowa – przyznała szczerze Simone.

– Dlatego że od stuleci artyści są również zapraszani na wielkie bankiety. Już w średniowieczu akrobaci, artyści i woltyżerzy przybywali na dwory i zapewniali tam rozrywkę. Właściwie to całkiem dobry pomysł, nie sądzi pani? Dzisiaj po prostu wystarcza telewizja.

Constanze milczała przez chwilę. Widać było po niej, jak wspomnienia w jej głowie układają się w ruchome obrazy.

– Pod koniec lat dwudziestych i na początku trzydziestych nasza trupa przeniosła się na południe. Rodzice cieszyli się popularnością gwiazd areny. Wymarzona para, która nauczyła swoje konie tańczyć. Matka jawi mi się jako anioł, kiedy jej drobna postać w ozdobionym złotem kostiumie dosiada jednego ze swoich ogierów i na dźwięk muzyki rusza kłusem. Już jako małe dziecko stałam z wypiekami na twarzy za kurtyną. Nie wiem już… prawdopodobnie miałam cztery albo pięć lat, kiedy pewnego wieczoru powściągnęła przede mną ogiera, a ojciec mnie podniósł i posadził przed nią w siodle. Pamiętam jeszcze, jak oślepiły mnie światła areny i moje małe palce uchwyciły końską grzywę, i jak zachwycona publiczność biła brawo. I wtedy było już po mnie, miałam to we krwi. W tamtym czasie pierwszy raz przyjechaliśmy przez południe Francji do Bretanii. Mój ojciec pochodził stamtąd i przez wiele lat nie odwiedzał swoich rodzinnych stron. Niestety, jego rodzice zaginęli podczas wojny. Był już tylko *château*, dom, w którym mieszkam do dzisiaj, *château* Chervon. Prawie się rozpadał, ale rodzice wyremontowali go wtedy na tyle, że mogliśmy spędzić tam zimę: konie w ciepłej stajni, a my przy ogniu z kominka. Za domem, na polanie w lesie, rok w rok zbierało się kilka wozów cyrkowych, inni artyści spędzali tam zimową przerwę w występach. Zawsze byli mile widzianymi gośćmi moich rodziców, chociaż sądzę, że mieszkańcy wsi niezbyt przychylnym okiem patrzyli na to, co działo się w ich sąsiedztwie. Artyści żyjący w wozach cyrkowych nigdy nie mieli łatwo. Oczywiście podziwiano i oklaskiwano ich na arenach. Ale chodziło przecież o to, żeby zaoferować im kwaterę…

Simone się uśmiechnęła. Tak, wieśniacy jeszcze dzisiaj są nieufni w stosunku do obcych.

– W każdym razie tak mijały lata. Wrosłam w to życie. Zimą snuliśmy nowe plany, ślęczeliśmy nad mapami, aby wyszukać najdogodniejsze trasy, na których leżało możliwie jak najwięcej miast. W stodole, wysoko nad końskimi łbami, akrobaci uczyli się swoich numerów,

a gdy tylko pogoda się poprawiała, ćwiczyli również w ogrodzie. Kiedy przychodziła wiosna, pakowali wszystkie rzeczy, ojciec zamykał w domu okiennice, zaprzęgał konie i znów ruszali na tournée.

Kiedy miałam sześć lat, dostałam śnieżnobiałego kucyka. Odtąd każdego dnia wolno mi było występować w małym numerze razem z matką. Stopniowo narodził się z tego większy występ, a kiedy miałam dwanaście lat, należała do mnie cała arena. Pamiętam, jakby to było dzisiaj, jaka byłam zdenerwowana przed pierwszym występem! Jazda w pojedynkę była czymś zupełnie innym niż razem z rodzicami.

Ledwo mogłam utrzymać nerwy na wodzy. Serce podchodziło mi do gardła, a kolana groziły, że odmówią posłuszeństwa. Naprawdę nie myślałam, że w tym stanie będę potrafiła zapanować nad koniem. Na chwiejnych nogach przyprowadziłam Baresa do kurtyny. Kasztanowaty ogier był taki piękny, cicho parskał, ale wcale nie był tak zdenerwowany jak ja. Sprawiał raczej wrażenie, jakby cieszył się, że wystąpi przed publicznością: znał ten biznes, ojciec go wyszkolił. Niecierpliwie szarpałam swój kostium. – Pogrążona w myślach Constanze majstrowała chwilę przy bluzce, potem zaczęła mówić dalej. – Wciąż mam w uszach delikatny brzęk cekinów. Na widowni wybuchły brawa i zagrała muzyka. Występ klauna dobiegł końca. Bares niecierpliwie grzebał przednimi kopytami, miał napięte mięśnie. Kurtyna poszła w górę i na chwilę oślepiły mnie mieniące się reflektory. Klaun opuścił arenę. Muzyka na krótko zamilkła, publiczność siedziała w pełnej oczekiwania ciszy. „Teraz!" – Constanze wykonała lekki podskok na fotelu, jakby chciała spiąć pod sobą konia. – Nie było już czasu na nerwy. Popuściłam Baresowi cugli, ogier wykonał potężny skok i z rozwianą grzywą pogalopował po arenie… Od tego występu obwołano mnie młodą cyrkową księżniczką.

Delikatne pomarszczone dłonie Constanze Chervon zacisnęły się, jakby wciąż czuła cugle pomiędzy palcami. Szybko oddychała, tak że Simone już ogarnął strach. Na chwilę stara kobieta pogrążyła się w rozmyślaniach i wydawało się, że otaczała ją młodzieńcza aura. Ale wróciła starość i na moment zamknęła oczy.

– Tak, tak wtedy było – wymamrotała i zaczęła skubać rękaw bluzki. – Miałam piękne dzieciństwo, nie można powiedzieć inaczej.

– Tak, wierzę pani… – Simone nie wiedziała, co ma mówić. Obrazowa opowieść Constanze spowodowała u niej napięcie. A przecież tak wiele pytań cisnęło się jej na usta. Zapewne nie ulegało wątpliwości, że Constanze była córką Viviane i Philippe'a. Ale czy Constanze znała przeszłość matki i wiedziała o jej pierwszym dziecku?

Simone wiedziała, że nie powinna otwarcie o to zapytać. Constanze dociekałaby uparcie, skąd ona o tym wie. I co miała jej wtedy odpowiedzieć? Postanowiła poczekać, być może Constanze powie jej coś więcej. Ale na dziś już wystarczy. Stara dama sprawiała wrażenie wyczerpanej.

– Wygląda pani na zmęczoną. Myślę, że będzie lepiej, jeśli teraz już sobie pójdę.

– Tak, niedługo podadzą obiad. Simone, czy była już pani w moim domu?

– Nie. Ja…

– W takim razie gdzie pani śpi?

– W pensjonacie.

– Ach, przecież to nie jest konieczne! Niech pani idzie do *château Chervon*. Serdecznie panią zapraszam. Maria się panią zajmie.

– Dziękuję, Constanze, to bardzo miłe z pani strony. Jutro rano znów panią odwiedzę. – Simone stawała się powoli nieufna. Czy to pomieszany umysł sprawiał, że była dla niej taka miła, czy stara kobieta coś przed nią ukrywała?

Constanze uśmiechnęła się na pożegnanie.

– To miłe, cieszę się. Proszę pozdrowić Marię i Pascala.
– Zrobię to.

W ciągu minionych godzin szare chmury się rozwiały, a południowe słońce przyjemnie przygrzewało, kiedy Simone wsiadała do samochodu.

Rozsiadła się wygodnie w fotelu kierowcy. Nie była zdecydowana, dokąd powinna jechać. Czy powinna do Tréveneuc? Wydawało się, że dla Constanze było ważne, żeby poczuła się jej gościem. Być może powinna pojechać do *château* i tam się rozejrzeć. Bez sensu. Maria na pewno wszystkim się zajęła. Simone cicho westchnęła. Coś ją powstrzymywało, żeby tak po prostu wejść do tego domu. Energicznie uderzyła rękami w kierownicę. Pojedzie tam i trochę się rozejrzy, ale zostawi swoje rzeczy w pensjonacie. Powątpiewała w to, że będzie czuć się u Constanze jak gość, kiedy starej kobiety nie ma w domu, tylko przebywa w zakładzie opiekuńczym.

Wąskie uliczki Tréveneuc wyglądały na uśpione. Od czasu do czasu wyskoczył z krzaków kot albo w oddali za rogiem skręcił jakiś rowerzysta, ale rzeczywiście niewiele się działo w tej wiosce. Przy kościele Simone skręciła w kierunku krzyża. Zanim zjechała w boczną drogę, jej myśli pobiegły dalej prosto. Gdzieś tam mieszkał Pascal ze swoją rodziną. Ze swoją żoną. Czy miał dzieci? Dlaczego ta wzmianka tak ją poruszyła? Tak, wydawał się jej miły, ale nic więcej. W końcu była w związku.

Ale dlaczego nie wspomniał o żonie? W gruncie rzeczy nie każdemu opowiada się od razu o swoim życiu osobistym. „Halo, nazywam się Pascal i jestem żonaty. Świetnie, jestem Simone i mam przyjaciela, ale teraz trochę się to skomplikowało".

Simone się roześmiała. Pomyślała, że musi coś zjeść, bo zaczyna już powoli wariować. W wolnym tempie skręciła z szosy na nieutwardzoną drogę i miała nadzieję, że mały samochód wytrzyma jazdę po wertepach.

W lesie panował cień, a przez otwarte okno do samochodu Simone wdzierał się zapach ziemi. Ptaki świergotały tak głośno, że zagłuszały nawet odgłos pracującego silnika. Jak podczas pierwszej wizyty przejście z lasu na teren posiadłości wydało się jej w jakimś sensie mistyczne. Jakby ten ukryty dom był jakimś tajemniczym strzeżonym miejscem.

Simone zostawiła samochód przed *château*. Pierwsze kroki skierowała do ogrodu, być może spotka tam Marię. Nie chciała ponownie przestraszyć starszej kobiety. Poza kilkoma ptakami i jednym królikiem, który pośpiesznie zniknął w krzakach, kiedy Simone szła przez taras, nikogo tu nie było. Z końca ogrodu dochodził szum morskiej kipieli. Simone poszła wąską żwirową alejką, minęła soczystozielone krzaki róż, które miały już ciężkie pąki. Jeszcze kilka ciepłych dni i cały ogród będzie tonął w kwiatach.

Simone mimowolnie przypomniała sobie obrazy olejne w sklepie swojego ojca. Ten ogród wyglądał jak motyw, który malarze z lubością wybierali na początku dziewiętnastego wieku. Bujna sielankowa przyroda, której barwy miały przykryć smutną szarą codzienność tamtych czasów.

Żwirowa alejka kończyła się między krzakami rododendronów, które osiągały wysokość człowieka. Jeszcze dwa kroki i Simone musiała się raptownie zatrzymać. Bezpośrednio przed nią rozciągało się klifowe wybrzeże Bretanii. Widok wprost zapierał dech w piersiach. Nie przypuszczała, że *château* rzeczywiście leży tak blisko morza. Pod nią fale rozbijały się o skały, a szum morza wszystko zagłuszał. Mewy nurkowały w locie w dół klifu, aby po chwili znów

z werwą wzbić się w górę. W powietrzu unosiła się delikatna mgła z burzącej się wody i lśniła kolorami tęczy. Pod nią pieniła się morska kipiel, a w oddali horyzont łączył się z wodą. W porównaniu z idyllą panującą w ogrodzie, przez który dopiero co szła, był to zupełnie inny świat.

Simone na chwilę zamknęła oczy i głęboko oddychała. Czuła, jak nagle zagościł w niej spokój. Wszystkie myśli odpłynęły, czuła teraz tylko lekki wiatr i słyszała szum morza.

Z trudem zebrała się do powrotu, ten moment ciszy był niezwykle rozkoszny, ale chciała się jeszcze tu rozejrzeć. Tym razem Simone obeszła dom z jego prawej strony. Skraj lasu nie był zbyt odległy i szybko dostrzegła to, czego nie zauważyła do tej pory: prawie zarośniętą ścieżkę prowadzącą w ciemną zieleń. Poszła nią i znów znalazła się na rozległej polanie, dawnej zimowej kwaterze cyrkowców. Wyobraziła sobie ustawione w koło wozy z dymiącymi kominami na dachach, goniące się dookoła dzieci, matki, które wieszały pranie na sznurkach rozpiętych pomiędzy wozami.

Musiała potrząsnąć głową, żeby znów wrócić do teraźniejszości, sceny, które dzięki opowieści Constanze rozgrywały się w jej głowie, były zbyt plastyczne. Na tej gęsto zarośniętej polanie już dawno nie stał żaden wóz cyrkowy.

Simone poszła w stronę domu. Przed wejściem zatrzymała się i dotknęła klucza, który zimny i ciężki spoczywał w kieszeni kurtki. Wtedy jej wzrok padł na starą stodołę. Z perspektywy Simone było widać tylko jej front; bryła długiej hali ciągnęła się aż pomiędzy drzewa. Dach był zielony i omszały i w niektórych miejscach w naprawdę opłakanym stanie. Simone podeszła do wrót szopy, nie były zamknięte. Z głośnym skrzypieniem lekko się uchyliły. Simone rozglądała się wokół. Miała nadzieję, że nikt jej nie zauważył.

Przez małe nieprzejrzyste okna do szopy wpadała niewielka ilość światła. Simone starała się coś zobaczyć w półmroku. Po obu stronach wejścia piętrzyły się sterty drewna na opał, a przy ścianie stało kilka narzędzi ogrodniczych.

Przecisnęła się przez uchylone wrota i weszła do środka. Wnętrze było dużo większe, niż wyglądało z zewnątrz. Dach opierał się na drewnianym belkowaniu, zdziwiona zobaczyła dwie grube liny, które zwisały z jednej z belek, do każdej było przyczepione kółko, jak w sali gimnastycznej. Po lewej i prawej stronie ciągnęły się dawne boksy dla koni. Pomiędzy ściankami działowymi wisiały grube pasma pajęczyn, kamienna podłoga była starannie zamieciona. Tylko w rogach leżało trochę suchych liści. Simone wyobraziła sobie, jak kiedyś stały tu w zimie szlachetne ogiery woltyżerów i być może również ciężkie konie pociągowe, które ciągnęły wozy cyrkowe, żłoby pełne siana, a ciepłe powietrze było przesycone zapachem koni.

Powoli szła środkiem stodoły. Czy Artikos i Juventus również tu kiedyś stały? Ogiery, które Philippe kupił w Hamburgu i które przebyły taką długą drogę razem z nim i Viviane. Co się z nimi stało?

Jej wzrok padł na coś dużego, co było przykryte plandeką. Wóz z sianem? Zaciekawiona podeszła bliżej. Kiedy spróbowała zajrzeć pod przykrycie, uniósł się tuman kurzu, a pod nogami usłyszała podejrzany szelest.

Mysz?

Kawałek po kawałku ściągała plandekę. Nagle ujrzała przed sobą zielony wóz cyrkowy!

Zaskoczona wstrzymała oddech. Nie myślała, że znajdzie tu jeszcze taki wehikuł. Miał drewniane koła z żelaznymi obręczami, farba była popękana, ale wciąż błyszczała. Simone zajrzała przez małe okno, za zakurzoną szybą zobaczyła cienką firankę. Życie Viviane i Constanze, które do tej pory było dla niej starą romantyczną historią, nagle nabrało realnego wymiaru. Dostała gęsiej skórki na rękach. Poczuła się jak intruz. Mimowolnie zrobiła krok do tyłu i opuściła plandekę.

Starannie zamknęła za sobą wrota i pośpiesznie wyszła ze stodoły.

Stanęła niezdecydowanie na placu przed *château*. Wyjęła z torebki klucz i przyglądała mu się przez chwilę. Srebrny kolor metalu zmatowiał.

W międzyczasie zaczęła wiać świeża bryza. Po niebie sunęło coraz więcej chmur. Pogoda znów się zmieniła. Simone zadrżała z zimna. Rozejrzała się dookoła: oczywiście nikogo nie zobaczyła.

Dlaczego wejście do tego domu było dla niej takie trudne? Dlaczego właśnie teraz pragnęła, żeby ktoś wszedł tam razem z nią? Potrząsnęła głową, aby odpędzić mgliste myśli. Nie nastawiaj się tak, byłaś już w setkach obcych domów, powiedziała do siebie. Zdecydowanym krokiem pokonała kilka stopni do drzwi wejściowych i włożyła klucz do zamka.

Usłyszała kliknięcie. Niezależnie od tego, czego Simone się spodziewała, nic się nie wydarzyło. Znalazła się w sieni zalanej popołudniowym światłem. Od drzwi do końca korytarza podłogę przykrywał chodnik z czerwonym wzorem. Simone zamknęła za sobą drzwi. Zapanowała cisza. Była to specyficzna cisza. W jej berlińskim mieszkaniu nie było cicho, cały czas słyszało się dochodzące zewsząd odgłosy miasta.

Powoli szła dalej w głąb domu. Po lewej stronie znajdowały się łukowate drewniane schody, które prowadziły na piętro. W korytarzu było widać różne drzwi, których większość była szeroko otwarta. Wszystko sprawiało miłe i zachęcające wrażenie. Ponury nastrój, który wciąż czuła i który omal nie powstrzymał jej przed wejściem do tego domu, powoli znikał.

Simone zajrzała przez pierwsze drzwi po lewej stronie, tuż obok schodów. Znajdował się tam salon, duży prawie na całą szerokość domu. Dzięki wysokim oknom i przeważnie jasnym meblom sprawiał miłe i zachęcające wrażenie. Wszędzie były porozkładane osobiste rzeczy Constanze. Na stole leżało kilka czasopism, a na wierzchu okulary, zapewne przeznaczone do czytania. Poduszki na sofie wyglądały na pogniecione, tak jakby ktoś przed chwilą tam siedział.

W tylnej części salonu były duże drzwi balkonowe, przez które wychodziło się na taras. Stało tam kilka foteli z podnóżkami skierowanymi w stronę morza, które było widać przez lukę w rododendronach. Przy prawej ścianie pośrodku znajdował się ogromny otwarty kominek. Simone poczuła, jak musi tu być przytulnie, kiedy zimowe sztormy rozbijają fale o brzeg, a ogień buzuje i roztacza wokół kojące ciepło.

Po prawej stronie były jeszcze jedne drzwi. Simone znalazła teraz się w kuchni. To, co od strony salonu było otwartym kominkiem, okazało się olbrzymim piecem z ciemnozielonych kafli, który otaczała ławka. Przed piecem stał szeroki stary drewniany stół, którego grube deski wyglądały, jakby kiedyś wypluło je morze. Na stole w wazonie stały świeże kwiaty. Od Marii? Chociaż Constanze nie było tu już od jakiegoś czasu, czuło się delikatny zapach jedzenia. Jakby dopiero co podano aromatyczną szynkę, świeży chleb i dojrzałe owoce. Przy ścianach w kuchni stały stare drewniane szafki, a szeroki blat roboczy wielkości dużego stołu świadczył o życiu, które musiało się tu toczyć. W tej kuchni posilało się już zapewne sporo głodnych i wesołych ludzi.

Na bocznych ścianach pieca jak na kolorowej tablicy korkowej wisiały zdjęcia i wycinki z gazet. Pomiędzy nimi przymocowano małe pamiątki, tu zasuszoną różę, a tam muszlę na łańcuszku.

Simone poczuła, że oto wisi tam całe życie. Miłość, uroda, wspomnienia. Podeszła bliżej. Niewątpliwie na większości zdjęć było widać Constanze, a na prawie każdym konia. Piękne konie, bogato przystrojone, w lśniących uprzężach, niektóre z pękami piór między uszami. Inne zdjęcia ukazywały Constanze prawdopodobnie w czasie wolnym. W bufiastych spodniach do

jazdy konnej, jakie były kiedyś w modzie, na koniach bez przepychu i tandety, za to skaczących nad żywopłotem albo galopujących po rozległych łąkach. Nie ulegało wątpliwości – konie towarzyszyły Constanze przez całe życie.

Simone przyjrzała się kilku prasowym artykułom w ramkach. Papier za szkłem był już pożółkły. Constanze zdobyła wiele nagród i urządzała duże widowiska. Simone miała nadzieję, że stara kobieta jeszcze coś jej o sobie opowie. Wyglądało na to, że naprawdę miała interesujące życie.

Inne drzwi prowadziły z kuchni na korytarz. Za kolejnymi znajdowało się biuro. Tutaj ściany były zastawione po sufit regałami z książkami oraz obwieszone obrazami i innymi pamiątkami w ramach. Pod oknem stało duże masywne biurko. Simone zatrzymała się blisko drzwi. Ten pokój wydał się jej bardzo prywatny. Nie chciała tu szperać.

Kolejne drzwi zdobiła mała emaliowana tabliczka z literami „WC". Tym samym Simone poznała wszystkie pomieszczenia na parterze. Odwróciła się i położyła rękę na drewnianej poręczy schodów. Czy powinna rozejrzeć się na górze, czy raczej nie? Znów się zawahała. Kiedy jej wzrok powędrował do góry do korytarza na piętrze, zauważyła duży obraz. Wstrzymała oddech i nagle mocniej zabiło jej serce. Kobieta na obrazie to nie była Constanze. Mimo to Simone od razu ją poznała. Długie jasne włosy ostro kontrastowały z karym koniem, na którym siedziała amazonka… To mogła być tylko Viviane! Była piękna, prawdziwy anioł na koniu. Simone mimowolnie przypomniała sobie swoją pierwszą wizytę w cyrku. Wydawało się, że mięśnie karosza nagle się napięły, rozbrzmiała cicha muzyka, obraz zaczął się ruszać. Simone dosłownie czuła, jak widownia wstrzymała oddech, kiedy Viviane wjechała konno na arenę.

Czy Elisabeth kiedykolwiek oglądała występ siostry? Czy pierwsze dziecko Viviane kiedykolwiek dowiedziało się o swojej matce? Czy Constanze w ogóle wiedziała, że Viviane urodziła przed nią inne dziecko? W głowie Simone piętrzyło się pytanie za pytaniem.

Kiedy niespodziewanie otworzyły się drzwi wejściowe, Simone o mało nie umarła ze strachu.

– A, to pani!

Pascal wszedł do domu razem z porywem wiatru.

– Przestraszyłem panią? Pardon! Wygląda pani bardzo blado. – Uśmiechnął się całą twarzą. – Powiedziano mi we wsi, że pani tu będzie. Zdradził panią samochód, tutaj każdy zna każdego. Matka przysłała mnie, żebym panią zaprosił.

Simone potrzebowała trochę czasu, aby znów móc swobodnie oddychać. Nie była w stanie powiedzieć, czy na skutek strachu, czy ciepłych brązowych oczu Pascala, które teraz patrzyły na nią zachęcająco.

– Zaprosić mnie? To miłe. Dziękuję – wyjąkała.

– Świetnie, w takim razie chodźmy, Simone, zawiozę panią. Może pani zostawić swój samochód tutaj. – Kiwnął na nią zapraszająco.

Podczas jazdy Simone ukradkiem zerkała na dłonie Pascala. Nie dostrzegła obrączki. Dręczyła ją myśl, że wkrótce się dowie, czy jest jeszcze jakaś pani Pascalowa. Dziwnie się czuła i w głębi duszy musiała przyznać, że miała nadzieję nie spotkać tej kobiety.

Gospodarstwo rodziny Pascala było oddalone zaledwie o kilka minut jazdy samochodem. Okolona żywopłotem droga dojazdowa do gospodarstwa prowadziła pomiędzy soczystymi łąkami, na których pasły się krowy. Kiedy terenówka Pascala się zatrzymała, z podwórza uciekło kilka kur, a pojawił się merdający ogonem pies.

Wysiadając, Pascal szybko pokazał na budynki gospodarskie.

– Mamy osiemdziesiąt mlecznych krów i prawie sto świń. A to jest Manja. – Pogłaskał psa po łbie.

Simone nie miała pojęcia o rolnictwie, ale przezornie przytaknęła z uznaniem. Manja podskoczyła do Simone, a potem znikła gdzieś na podwórzu. Zaczęło lekko mżyć i Pascal zaprowadził gościa do domu.

Maria przywitała Simone tak serdecznie, jakby była długo wytęsknionym dzieckiem, które wróciło do domu. Zaprowadziła ją do krzesła przy dużym stole w przestronnej kuchni. Na jego końcu siedział starszy mężczyzna i przeglądał gazetę.

– Simone, to jest mój ojciec Vincente. – Krótkie skinienie głową w stronę Simone i Pascal już po chwili rozmawiał z ojcem o jakichś sprawach, które najwidoczniej dotyczyły gospodarstwa. Mówili szybko i Simone miała trudności, aby zrozumieć rozmowę prowadzoną po francusku. Chodziło o krowy.

Nie było tu nikogo więcej, żadnej kobiety. Simone trochę się rozluźniła. Przypatrywała się Marii, która zawiązała kolorowy fartuch i zaczęła krzątać się przy przesadnie dużym blacie zastawionym miskami i talerzami. Mimochodem co rusz dokładała drewna do dużej starej kuchenki. Za każdym razem kiedy Maria otwierała drzwiczki pieca, buchał ogień i unosiła się mała chmura dymu.

Wydawało się, że ten dym nad kominem był z daleka widocznym sygnałem. Ledwo Maria postawiła na płycie ciężką żeliwną patelnię, ktoś zapukał do drzwi. Do kuchni Nouville'ów przybywało coraz więcej ludzi, najwidoczniej byli to sąsiedzi, przyjaciele, mieszkańcy wsi. Wesoło otrzepywali kurtki z kropli deszczu, jakby to było całkiem oczywiste, że zjawili się tu, aby coś zjeść. W tym czasie Maria jak gdyby nigdy nic krzątała się przy swoich miskach i zaczęła przyrządzać jedzenie na ogniu. Simone otoczył gwar złożony z francuskich i bretońskich słów i chociaż była tu zupełnie obca, czuła, że nieodłącznie należy do tego zgromadzenia. Mówiono do niej powoli i wyraźnie. Skąd pochodzi? Czym się zajmuje? Czy podoba się jej w Tréveneuc? Jeden po drugim talerze zapełniały się legendarnymi gryczanymi naleśnikami Marii i już po pierwszych kęsach Simone wiedziała, dlaczego wszyscy tak chętnie tu przychodzą. *Krampouezhenn* były wyśmienite, delikatne ciasto z aromatycznym roztopionym serem, solidną porcją szynki i ziołowym sosem. Podczas jedzenia wszyscy zachowywali podniosłą ciszę, aby potem znów wesoło gawędzić, podczas gdy Maria nieustannie dużą łyżką wazową wylewała ciasto na patelnię.

Za oknami powoli robiło się ciemno i na dom zaczął napierać wiatr. Tak nagle, jak przyszli, ludzie opuścili kuchnię Marii, włożyli kurtki, podnieśli kołnierze i życzyli miłego wieczoru. W tym czasie Maria uprzątnęła sprzęty kuchenne, a ojciec Pascala przyniósł z małej spiżarni obok kuchni butelkę czystej wódki. Nalał Pascalowi, Marii, Simone i sąsiadowi, który jeszcze został.

– Nie, muszę jeszcze jechać – wzbraniała się.

– Ach tam, przecież będzie pani spała w pokoju gościnnym u Constanze, prawda? Specjalnie go przygotowałam – argumentowała Maria, podsuwając Simone kieliszek. – Pascal panią potem odwiezie.

Raczej odprowadzi, miała nadzieję Simone, ponieważ Pascal wypił już parę kieliszków. Ale się zgodziła. Nie chciała okazać się nieuprzejma, a w tej kuchni panowała zbyt miła atmosfera, żeby chcieć nagle zakończyć ten wieczór. Dzielnie piła mocną słodką wódkę. I była teraz zadowolona, że zjadła wcześniej naleśniki. Alkohol poszedł jej prosto do głowy i wywołał silne rumieńce na policzkach.

I kiedy nalano jej następny kieliszek, Simone przysłuchiwała się skupiona coraz cichszym głosom. W międzyczasie jej głowa przyzwyczaiła się do ciągłego tłumaczenia i coraz lepiej

rozumiała rozmowę. Po prostu zwykła rodzinna pogawędka. Chodziło o codzienne sprawy, nastroje, uczucia, pogodę i krowy. W tym czasie Maria co chwila głaskała Pascala po dłoni, uśmiechała się do męża i Simone też spotkała się z niejednym życzliwym gestem. W którymś momencie ostatni sąsiad pożegnał się i wyszedł.

– Ja też powinnam już iść – powiedziała Simone zakłopotana.

Vincente kolejny raz napełnił jej kieliszek.

– Ale najpierw wypijemy strzemiennego.

Pascal co chwilę szukał z nią kontaktu wzrokowego, uśmiechał się i starał się wciągnąć ją do rozmowy. Prostymi słowami próbował opowiedzieć jej to i owo o hodowli i zdrowiu krów. Simone niemal zapomniała, że tak naprawdę przy stole siedzi adwokat. Ale w duchu przyłapała się na tym, że zastanawia się, jaki jej się bardziej podoba: jako rolnik czy w swojej kancelarii. Czuła się tak dobrze, jak już dawno się nie czuła. Do momentu kiedy w torebce zaczął wibrować jej telefon.

– Halo – szepnęła do słuchawki Simone i wstała, aby odejść kawałek od stołu. Nie wiedziała dobrze dokąd, a na dodatek już trochę chwiała się na nogach.

– Simone, gdzie ty się podziewasz? Przecież miałaś zadzwonić. – W głosie Jensa było słychać zdenerwo-wanie.

Pascal i jego ojciec właśnie głośno się z czegoś śmiali.

– Gdzie jesteś? – powtórzył Jens. Tym razem jego pytanie wyraźnie dotyczyło odgłosów w tle.

– U… u znajomych.

– Przecież nikogo tam nie znasz.

– Poznałam tu kogoś.

– Kogoś? – Sposób, w jaki Jens to zaakcentował, jednoznacznie wskazywał, że miał na myśli potencjalnego rywala.

Simone cicho westchnęła.

– To rodzina, a nie tak, jak znów sobie wyobrażasz.

– No, wydaje się, że jest tam u was wesoło. Kiedy wracasz?

– Nie wiem, to może potrwać jeszcze kilka dni.

– Hm.

– Muszę kończyć. Jeszcze zadzwonię.

Kiedy Simone się rozłączyła, zauważyła, jak wpatrują się w nią brązowe oczy Pascala. Zmieszana wróciła do stołu.

– To był mój… przyjaciel. – Czuła, że musi się wytłumaczyć.

Pascal nic nie powiedział. Ale na krótką chwilę zmrużył oczy.

– Ma pani przyjaciela? Czemu nie przyjechał z panią? – Maria była bardziej drobiazgowa w wypytywaniu.

– Musi pracować.

– A co robi?

– Zajmuje się sztuką.

– W takim razie musicie się dobrze uzupełniać zawodowo.

Na szczęście ojciec Pascala szybko znów sprowadził rozmowę na temat obory. Simone nie chciała rozmawiać o Jensie. Nie w obecności Pascala.

Gdzieś około północy przyszła pora, aby się zbierać. Gdyby Simone wypiła więcej alkoholu, byłoby za późno, nie podniosłaby się już z wygodnego kuchennego krzesła i zapewne

zataczałaby się, co byłoby dla niej dość kłopotliwe.

– Dziękuję, powinnam już iść do domu… to znaczy do domu Constanze.

– Jak mówiłam, przygotowałam dla pani pokój, Simone. Drugi po lewej stronie korytarza na piętrze. – Maria zerwała się z krzesła i spontanicznie objęła Simone. – Tak się cieszę, że pani jeszcze tu zostanie. Może pani odwiedzać nas o każdej porze. W kuchni *château* znajdzie pani coś na śniadanie. Jeśli ekspres do kawy nie będzie chciał się włączyć, musi pani go mocno stuknąć.

– Dziękuję. I dziękuję za miły wieczór.

W tym czasie obok niej stanął Pascal. – Odprowadzę panią.

Simone była wdzięczna za towarzystwo. Myśl, że będzie musiała sama brnąć przez mroczny las, nie bardzo się jej podobała. Ponadto… nie! Musi przestać dopuszczać do siebie takie myśli.

Trochę później wyszli we dwoje z domu Nouville'ów. Pies, który kilka godzin wcześniej przywitał ją przy samochodzie, biegł obok nich, zawzięcie węsząc. Deszcz przestał padać i pomiędzy chmurami co rusz ukazywał się księżyc. Nie było zbyt ciemno. Dopóki oczy nie przyzwyczaiły się do mrocznego światła, Simone prawie nic nie widziała. Była tym lekko zaskoczona, chociaż nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wędrowała nocą w naturalnym, a nie w sztucznym świetle.

– Moi rodzice lubią panią.

Simone usłyszała, że uśmiechnął się, mówiąc te słowa. Ale zauważyła też, że szedł trochę chwiejnie. A może to ona się zataczała? Wódka rzeczywiście uderzyła jej do głowy.

– Są naprawdę miłymi ludźmi, to był bardzo sympatyczny wieczór. Ale proszę, skończmy już z tą *panią*.

– Okej… Simone. – Przez chwilę jego oczy patrzyły w górę na księżyc.

– Czy wyszła kiedyś za mąż?

– Kto? Moja matka?

– Nie, Constanze. Czy miała jakiegoś mężczyznę, albo inaczej, czy zawsze mieszkała tu sama?

Wydawało się, że Pascal się zastanawia.

– Nie, myślę, że nigdy nie miała męża. Bardzo dawno temu ktoś z nią mieszkał w tym domu. Jakiś mężczyzna.

– Jej mąż?

– Nie, nie sądzę. Nie wiem, co między nimi było. Byłem wtedy jeszcze mały. Moja matka będzie to wiedziała.

– Czy to był… cyrkowiec?

– Nie, w żadnym wypadku, on był… ach, nie wiem. Jako dzieci zawsze się go baliśmy. Był dość straszny. Niemiec.

– To nie jest takie ważne. – Simone nie chciała bardziej grzebać w tych sprawach. Być może Constanze jeszcze jej coś powie na ten temat. – A Niemcy nie zawsze są tacy straszni – powiedziała, śmiejąc się, aby rozładować gęstniejącą atmosferę. Ale jedno pytanie po prostu nie dawało jej spokoju.

– A ty? Masz żonę? – Zapewne alkohol sprawił, że zapytała o to bez ogródek, ponieważ gdy tylko to powiedziała, zawstydziła się, że walnęła tak prosto z mostu.

Pascal najpierw przez chwilę milczał. Simone złościła się, że w ciemności nie może zobaczyć jego twarzy.

Potem cicho wyszeptał:

– Tak… byłem żonaty.

Był? Nie, nie powinna pytać dalej. Simone przy-gryzła wargę. Przecież wcale nie o to jej chodziło.

Przeszli przez las i stali teraz przed wejściem do domu Constanze. Simone przechodziły ciarki na myśl, że będzie musiała sama spędzić tu noc. Z zewnątrz dom sprawiał mroczne i solidne wrażenie. Ich kroki trzeszczały na żwirze.

– No, to jesteśmy na miejscu. Zobaczymy się jutro? Mogę pokazać ci wybrzeże.

Jego głos był – Simone próbowała to ocenić – kumpelski, przyjacielski. Czy powinna się zgodzić? Czy nie będzie to niestosowne?

– Tylko że rano chciałam najpierw odwiedzić Constanze – powiedziała niezdecydowanie.

– Okej, około drugiej?

– Tak, z chęcią!

– Świetnie, przyjadę po ciebie. – Głośnym gwizdnięciem przywołał psa, który samowolnie pobiegł do lasu i tam przepadł. Pascal pomachał jej na pożegnanie. – Kolorowych snów, Simone!

– Dziękuję, tobie też!

Patrzyła, jak jego postać znika w ciemnym lesie. Nagle ogarnęła ją panika. Poczekaj! Nie mam nawet numeru telefonu, w razie gdybym chciała do niej zadzwonić. Ale ugryzła się w język. Nie rób takich ceregieli!

Kiedy Simone weszła do środka i włączyła światło, natychmiast opuściło ją niepokojące uczucie samotności. W rzeczywistości wydawało się jej, jakby przyszła do domu.

Zmęczona i podchmielona poszukała garderoby i powiesiła tam kurtkę. Dla bezpieczeństwa zamknęła drzwi od wewnątrz. Potem poszła na górę. Drugi pokój po lewej?

Simone znów znalazła się w przestronnym pokoju gościnnym. Szerokie łóżko było przeładowane poduszkami i dosłownie krzyczało, żeby się w nie wtulić. Simone zostawiła włączoną małą stojącą lampę na kredensie. Ponieważ nie miała nocnej bielizny, nie zdjęła T-shirta i wślizgnęła się pod kołdrę. I w jednej chwili usnęła.

Rozdział 13

Następnego dnia Simone pojechała najpierw do Saint-Brieuc do pensjonatu.

Kobieta z ogromnymi kolczykami przywitała ją zatroskana. Simone niemal ogarnęły wyrzuty sumienia na jej słowa, że nie spędziła nocy w swoim pokoju.

– …wciąż słyszy się o tragicznych wypadkach, przeważnie wśród turystów. Zwłaszcza że często lekceważą tutejsze drogi przy wybrzeżu – powiedziała kobieta z troską, kiedy Simone się wymeldowywała.

Postanowiła, że rzeczywiście zostanie w domu Constanze. Dziwne przeczucie mówiło jej, że postępowała słusznie, i miała nadzieję, że w ten sposób będzie mogła dowiedzieć się czegoś więcej o pełnym przygód życiu jego właścicielki. Na dodatek zrozumiała, że zamieszkanie tutaj będzie bardziej korzystne niż w pensjonacie.

I było coś jeszcze. Nawet jeśli nie chciała się do tego przyznać, potrzebowała spokojnego miejsca, w którym mogłaby przemyśleć parę spraw. W *château* znalazła ten spokój. Od dawna nigdzie nie czuła się tak bezpieczna. Być może będzie mogła wreszcie zastanowić się nad sobą i Jensem. I pomyśleć o… Ale szybko odsunęła od siebie tę myśl. Pascal mieszkał prawie o rzut beretem… Próbowała skoncentrować się na kobiecie w pensjonacie, która wciąż do niej mówiła.

– Mam nadzieję, że miło spędziła pani czas we Francji. Życzę szczęśliwej podróży, a jeśli znów będzie pani kiedyś w Saint-Brieuc, proszę pamiętać, że zawsze znajdzie pani tu nocleg.

Simone wyjaśniła kobiecie, że musi teraz kontynuować swoją podróż. Wolała przemilczeć, że tak naprawdę zatrzymała się w prywatnym domu. Zapakowała bagaż do małego zielonego samochodu z wypożyczalni. Dobrze, że wynajęła go na nieokreślony czas!

Jedyna wada domu Constanze polegała na tym, że nie było tam komputera, nie mówiąc już o internecie. Powinna zabrać ze sobą laptop. Musiała pilnie odpowiedzieć na kilka e-maili, a lepiej jej to wychodziło na komputerze niż na komórce. Być może zapyta Pascala, czy w jego biurze… *O Boże!* Ten mężczyzna dzisiaj bez przerwy chodził jej po głowie. Zamiast o nim powinna lepiej pomyśleć o swoim przyjacielu, który czekał na nią w Berlinie. Jens wciąż spodziewał się wiadomości od niej. Ale tak gwałtownie, jak ta myśl wpadła jej do głowy, tak szybko odsunęła ją na bok.

Wsiadła do samochodu i pojechała do Constanze. Chciała odwiedzić starą kobietę jeszcze przed południem, w końcu po południu czekał na nią Pascal. Była to okoliczność, która powodowała lekkie mrowienie w żołądku – uczucie, którego zdecydowanie nie spowodował alkohol wypity poprzedniego wieczoru.

Kiedy Simone dotarła do Centré Médico, Constanze była zadziwiająco aktywna. Stara dama stała przy parapecie w swoim pokoju zwrócona plecami do otwartych drzwi i oskubywała uschnięte liście ze stojących tam zielonych roślin.

– Dzień dobry! – Żeby nie przestraszyć Constanze, głośno zapukała w futrynę drzwi.

– Simone, jak miło. Cieszę się. – Constanze niemal zrobiła piruet, kiedy Simone weszła do pokoju, i twarz jej się rozpromieniła. Sprawiała wrażenie znacznie młodszej niż wcześniej. Kiedy szła do Simone z otwartymi ramionami, jej kroki były stabilne i pewne.

– Dobrze pani wygląda, Constanze, jak się pani czuje?

– Doskonale. Proszę dalej, Simone, usiądźmy.

Na stoliku przy fotelach znów stał już przygotowany dzbanek z kawą. Constanze lekko

drżącymi rękami nalała parujący napój do filiżanek. Simone była bardzo wdzięczna za kawę, ponieważ ekspres w domu Constanze okazał się bardziej uparty, niż przepowiedziała Marie. Po prostu nie udało się jej przekonać urządzenia, żeby spełniło swoją powinność.

Przy czym mocna kawa była dokładnie tym, czego potrzebowała, kiedy się już obudziła. Co prawda rzeczywiście bardzo dobrze spała, ale mimo to wypity poprzedniego wieczoru alkohol sprawiał problemy jej głowie i żołądkowi. W torebce znalazła jeszcze jedną tabletkę od bólu głowy, którą popiła dużą szklanką wody. W kuchni było obiecane przez Marię śniadanie składające się z tostów, dżemu i sera, ale nie odważyła się obciążyć nim organizmu.

– Dobrze się pani spało w moim domu? Mam nadzieję, że wreszcie przyjęła pani moją ofertę? – Constanze siedziała naprzeciwko Simone, położyła sobie na kolanach koc i obejmowała filiżankę obiema dłońmi, jakby chciała je od niej ogrzać.

– Tak. To naprawdę bardzo ładny *château*. Dziękuję, że pozwala mi pani spać w swoim pokoju gościnnym.

Constanze westchnęła.

– Z ogromną przyjemnością. Tak, ja też za nim tęsknię. Ale chociaż Maria bardzo o mnie dba, nie jest to odpowiednie miejsce dla starych ludzi. Łazienka na dole jest o wiele za mała, a sypialnie, no tak, trzeba wdrapywać się do nich po schodach. Chociaż te słowa z trudem przechodzą mi przez gardło, muszę się zastanowić, czy nie byłoby lepiej, gdybym już została tutaj. Oczywiście można by przebudować dom, ale myślę, że to się nie opłaca. I tak nie mam nikogo, kto pewnego dnia by go przejął.

Trudny temat. Simone szukała odpowiednich słów.

– No tak, skoro dobrze się tu panią zajmują i ma pani zapewnioną opiekę…?

– Wszyscy są tutaj bardzo mili. Nie mogę powiedzieć złego słowa. Proszę spojrzeć, robią wiele, żebym się tu dobrze czuła. Mimo to tęsknię za moim tarasem i bliskością morza. Czy była już pani nad brzegiem z tyłu domu?

– Tak, odważyłam się wczoraj na krótki spacer. Widok jest wprost bajeczny.

– Koniecznie musi pani zejść do zatoki, plaża jest przepiękna.

– Tak, być może… Pascal obiecał mi dzisiaj pokazać wybrzeże.

– Ach. – Na twarzy Constanze pojawił się szeroki uśmiech. – Jak miło, pani i on… Rozumiecie się?

Simone poczuła, że się rumieni.

– Zaproponował, że pokaże mi wybrzeże. Wczoraj wieczorem byłam na kolacji u Nouville'ów.

– Niech zgadnę. *Krampouezhenn*. I pewnie teraz zna pani już pół wsi. – Constanze mrugnęła, jakby przyjęcie do tego kręgu było czymś szczególnym. Oparła się wygodnie w fotelu i przez chwilę wydawało się, że pogrążyła się w myślach. A potem zaczęła mówić tonem, który powiedział Simone: a teraz posłuchaj.

– Moja rodzina nigdy nie miała łatwo z mieszkańcami Tréveneuc. W niektórych latach nadchodząca zima sprawiała, że przybywali do nas naprawdę dziwni ludzie. Kiedyś, jeszcze to pamiętam, był taki klaun Peppone. Wykonywał numer z pięcioma kozami i trzema małymi angielskimi kucami. Kucami szetlandzkimi. Mój ojciec zawsze powtarzał: nigdy nie ucz konia czegoś, czego będziesz później żałować. Te małe kule sierści w zimie nie dawały spokoju całej wsi. Potrafiły otworzyć każde drzwi, kradły rozwieszone na dworze pranie, przetrząsały kuchnie obcych ludzi i ścigały rowerzystów na wiejskiej drodze. To był show pierwsza klasa, publiczność wstawała i biła brawo, kiedy kuce prezentowały swoje umiejętności na arenie. Widać zimą się nudziły i dokazywały. I jakby tego wszystkiego nie było dosyć, kozy miały niepohamowany pęd ku wolności i wspinały się na nadbrzeżne skały. Dzięki Bogu tej zimy, to musiało być na

przełomie trzydziestego szóstego i trzydziestego siódmego roku, pogoda nie była tak obrzydliwa, bo inaczej zapewne wichura strąciłaby je ze skał.

Była też zima, podczas której moi rodzice planowali duże tournée na Wschodzie. Posmutniałam wtedy, ponieważ znaczyło to, że nie wrócimy tu przez kilka zim. Jednocześnie byłam strasznie podekscytowana, ponieważ mieliśmy odwiedzić wszystkie duże areny po tamtej stronie od Paryża: Berlin, u Aldenhoffów, gdzie już kiedyś występowała moja matka, potem dalej do Prus, Gdańsk, Tylża, Królewiec. Stamtąd do Moskwy, potem z powrotem na zachód do Breslau, przez Czechy do Pragi i przez Wiedeń z powrotem w kierunku Francji.

Oprócz tournée po Włoszech miało to być kolejne wielkie przedsięwzięcie. Ojciec długo szukał dobrych koni i jeźdźców i zaangażował jeszcze kilku akrobatów. Mogę śmiało powiedzieć: rodzina Chervon przygotowała jeden z najlepszych programów w tamtych czasach. Nikt nie przeczuwał, że nadciągną czarne chmury i jaka katastrofa będzie nam towarzyszyć w drodze. – Constanze wypiła łyk kawy i kontynuowała swoją opowieść, a Simone słuchała jak urzeczona.

– Wyruszyliśmy wczesną wiosną 1937 roku. Powodziło się nam wtedy względnie dobrze. Ojciec oprócz trzech zaprzężonych w konie wozów cyrkowych kupił jeszcze dwa traktory. Jeden ciągnął wóz z cyrkowymi końmi. Nie musiały biec przez całą liczącą tysiące kilometrów drogę, ale mogły się oszczędzać. Drugi ciągnął wóz, na którym umieszczono duży przenośny namiot cyrkowy. Ojciec odkupił go od małego wędrownego cyrku i w ten sposób mieliśmy własną arenę i mogliśmy wszędzie występować.

Nasze występy w Paryżu były już wcześniej zapowiedziane i na widowni był zawsze komplet ludzi. Jechaliśmy przez wszystkie większe miasta na trasie. Podczas gdy mężczyźni za każdym razem rozkładali namiot, matka i ja siodłałyśmy konie, stroiłyśmy się i razem z akrobatami oraz muzykiem grającym na fanfarze ruszaliśmy reklamować nasz cyrk. Kiedy przemierzaliśmy ulice miast i wsie, robiliśmy wiele hałasu, kazałyśmy naszym koniom grzebać kopytami w ziemi i wspinać się na tylne nogi, podczas gdy akrobaci budowali piramidy z ludzi i dzięki temu miejscowi dostawali przedsmak tego, co mogli zobaczyć na naszej arenie.

Miałam wtedy czternaście lat. Nie ulegało wątpliwości, że kiedy jechałam przez ulice na moim koniu, patrzyli na mnie głównie chłopcy. Ale moje serce należało wyłącznie do koni. Kiedy byłam dzieckiem i matka opowiadała mi bajki, nigdy nie interesował mnie książę, tylko... koń, na którym siedział, zawsze chciałam wszystko o nim wiedzieć. – Na chwilę Constanze pogrążyła się we wspomnieniach, potem mówiła dalej.

– Jechaliśmy przez Niemcy. Panowała tam dziwna atmosfera. Ludzie manifestowali euforyczną nerwowość przed tym, co miało nastąpić, wszędzie powiewały czerwone flagi ze swastykami. Czułam się niepewnie, w pierwszych rzędach na widowni siedzieli przeważnie umundurowani mężczyźni. Ale mój przedsiębiorczy ojciec zrobił z tego show. Postarał się o mundur, dosiadał w nim swojego czarnego ogiera i jechał jak na defiladzie. Niemcom się to podobało. Ach, gdyby moi rodzice wtedy…

Constanze wyjęła z rękawa chusteczkę i osuszyła oczy.

Simone przerwała jej. Co prawda paliła się, aby wysłuchać, jak potoczyła się dalej ta historia, ale w żadnym razie nie chciała dopuścić, żeby stara kobieta się zdenerwowała. Chrząknęła.

– Czy mogłaby pani mi doradzić, jaką część wybrzeża powinnam koniecznie zobaczyć? – zapytała zmieszana, aby odwieść Constanze od drażliwego tematu.

Constanze doszła do siebie. Potem zaświeciły się jej oczy.

– Tak, oczywiście. Koniecznie powinna pani zobaczyć plażę za lasem przy moim domu. Pascal może pokazać pani drogę, za ogrodem jest wąska ścieżka prowadząca wzdłuż klifu. To

właśnie tam ciągle uciekały wtedy te przeklęte kozy. Tą ścieżką dochodzi się do zatoki Le Palus. Stamtąd powinna pani pójść z powrotem na wschód, cały czas wzdłuż klifu. Zaraz przed czubkiem klifu, który wbija się w morze, jest wąska zatoka z małą plażą. Turyści prawie tam nie zaglądają. Moja matka zawsze mówiła, że to jest *nasza* plaża. Pascal powinien ją pani pokazać. Spodoba się pani. – Constanze głęboko westchnęła. – Już tak dawno tam nie byłam, moje nogi, po prostu odmawiają mi już posłuszeństwa.

– Odwiedzę to miejsce i pozdrowię od pani morze. Teraz już pójdę, żeby mogła pani trochę odpocząć. – Simone uśmiechnęła się zachęcająco do starej kobiety. Rozumiała jej tęsknotę.

– Proszę przyjść znów jutro. Przepraszam, wiem… prawdopodobnie… prawdopodobnie musi pani niedługo wracać do domu. Po prostu cieszę się, że pani tu jest. Jak to dobrze móc opowiedzieć o swoim życiu. Kto wie… kto wie, jak długo jeszcze będę mogła coś sobie przypomnieć.

W głosie Constanze było słychać melancholię. Simone omal nie pękło serce.

– Jutro znów przyjdę do pani. Obiecuję. Mam jeszcze kilka dni.

– To dobrze. Proszę pozdrowić ode mnie Pascala. I Marię.

– Pozdrowię.

– Życzę pani miłego dnia. Chociaż Tréveneuc jest małą prowincjonalną wioską, naprawdę są tu urocze zakątki. Myślę, że ukrywa się je przed turystami. – Constanze uśmiechnęła się. – To charakterystyczne dla wieśniaków. Tutejsi mieszkańcy są trochę samolubni.

Simone wróciła do *château* około południa. Tego dnia pogoda zmieniała się już kilka razy, ze słońca w mżawkę i znów w słońce.

Jeszcze raz spróbowała uruchomić w kuchni ekspres do kawy. Po dwóch mocniejszych uderzeniach zaświeciła się zielona lampka i dało się słyszeć bulgotanie. Na kuchennym blacie obok kamiennego zlewu stał mały koszyk przykryty ścierką. Czy był już tam rano? Simone zajrzała pod ścierkę i roześmiała się. Maria! W koszyku znajdowała się połówka chleba, masło, szynka, jajka… Zapewne Nouville'owie bali się, że może umrzeć z głodu. Wydawało się, że Marii sprawiało radość to, że znów może opiekować się kimś w tym domu.

Simone poszła do salonu. Promienie słońca przenikały przez okna i ogrzewały powietrze w pokoju. Czuło się jeszcze zapach ognia w kominku, ale też świeżych kwiatów, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazły się w wazonie stojącym na małym stoliku. Simone rozejrzała się dokładniej po pokoju. Również tutaj na ścianach i pomiędzy oknami wisiały obrazy z różnymi cyrkowymi i końskimi motywami. Jej uwagę zwróciło kilka szklanych witryn. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że znajdowały się w nich również podobizny koni. Constanze naprawdę musiała być kiedyś gwiazdą.

Z kuchni dobiegło syczenie, widocznie kawa była gotowa. Przez chwilę zastanawiała się, czy przynieść pamiętnik Elisabeth i czytać dalej. Ale spojrzenie na zegar powiedziało jej, że niedługo przyjdzie Pascal.

Punktualnie o drugiej Simone usłyszała, jak podjeżdża samochód. Przez szybę w drzwiach wejściowych ujrzała terenówkę Pascala. Pośpiesznie zerknęła w lustro w garderobie, poprawiła parę kosmyków włosów i przyjrzała się nawet zębom. Od razu wydała się sobie dziecinna, ale przyśpieszone tętno nie dało się uspokoić. Cieszyła się na dzisiejsze popołudnie. Szybko odegnała wyrzuty sumienia z powodu Jensa, które nagle ożyły.

Ciekawa podglądała przez szybę w drzwiach i obserwowała, jak Pascal właśnie wypuszczał z bagażnika czarnego psa Nouville'ów. Manja wyraźnie cieszyła się z wycieczki i węsząc przy ziemi, pobiegła w kierunku ogrodu. Pascal odwrócił się w stronę domu i podszedł do drzwi wejściowych.

Sądząc po ubraniu, był przygotowany do wędrówki: skórzane trzewiki, spodnie z licznymi kieszeniami i parka.

Simone spojrzała badawczo na swoje stopy. Włożyła wygodne półbuty w nadziei, że wystarczą na tę wędrówkę po klifie. Szybkim ruchem wyjęła z garderoby kurtkę i przewiązała ją wokół bioder. Co prawda właśnie znów wyjrzało słońce, ale nigdy nic nie wiadomo.

Podeszła do drzwi i otworzyła je w momencie, kiedy Pascal wchodził na schodki.

– Cześć!

– Cześć! – Uśmiechnął się do niej promiennie. – Gotowa?

– Gotowa.

Obeszli dom i poszli przez ogród w stronę morza.

– Jak tam, jak czuje się dzisiaj Constanze?

– Myślę, że bardzo dobrze, była niezwykle roz-mowna.

– To dobrze. A jak ty się dzisiaj czujesz, Simone? – Jego uśmiech zrobił się bardziej zuchwały i Simone wiedziała, że nawiązywał do wczorajszego wieczoru.

– Dobrze. Wszystko w najlepszym porządku. – Ona również się uśmiechnęła. Nie musiał wiedzieć, że bolała ją głowa i było jej niedobrze.

– Myślę, że po prostu zejdziemy na plażę. – Pokazał na wąską ścieżkę, która wiła się w dół pomiędzy rosnącymi na klifie krzakami.

Simone musiała uważać, gdzie stąpa. Jeśli chodziło o ubranie, a przede wszystkim buty, nie była przygotowana do chodzenia po klifie. Pascal szedł powoli przodem. W szczególnie wąskim miejscu, gdzie pomiędzy Simone a stromym zboczem klifu nie było nawet trzech metrów, wyciągnął do niej rękę. – Ostrożnie!

Simone instynktownie chwyciła jego dłoń, patrząc w dół, skąd dochodził szum i bulgot morskiej wody. Ciepło dłoni Pascala przeszło jak fala przez jej rękę, tak że przestraszona łapała powietrze i mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Boisz się?

– Nie… już dobrze.

Mimo to nie chciała go puścić. Kiedy go dotykała, czuła się tak cholernie dobrze. Jej serce waliło jak szalone. Przez chwilę cieszyła się tym mrowiącym uczuciem, ale potem opanowała się i puściła jego dłoń.

– Spójrz, tam jest plaża La Palus. – Pascal pokazał przed siebie. Przed nimi otworzyła się długa zatoka otoczona wysokimi klifami. Jasny piasek błyszczał w słońcu, a długie płaskie morskie fale zalewały plażę. W oddali, na drugim brzegu zatoki, stało kilkanaście domów, Simone dostrzegła kilka samochodów na parkingu. Ale tutaj, pod jej stopami, plaża była bezludna. Manja kręciła się obok nich zachwycona i szczekając, pobiegła ścieżką w dół do morza.

– Lubi plażę. – Pascal podążył za czworonogiem.

– A właściwie to z czego Constanze żyje? W tym wieku chyba już nie z cyrku? – Pytanie już od przedpołudnia chodziło jej po głowie.

– Och, jeszcze ci nie powiedziała? Hoduje konie. Dobre konie. Kilka zostało sprzedanych aż do Ameryki. Jako dzieci zawsze lubiliśmy do niej przychodzić. Ma też szetlandzkie kuce. Co prawda ciągle nas wyrzucała, ale i tak mieliśmy dużą frajdę.

– Czy Constanze nie miała własnych dzieci?

– Nie, nic o tym nie wiem.

Simone poczuła piasek pod butami. Wiatr wywoływany przez łagodną morską kipiel bawił się jej włosami, nad głowami latały pojedyncze mewy, a odciski stóp na mokrym piasku od razu się rozmywały.

Pascal pokazał w prawo.

– Tędy.

– Idziemy do małej zatoki?

– Constanze powiedziała ci o niej? – Znów się uśmiechnął. – Mamy przed sobą jeszcze spory kawałek.

– No, to chodźmy! – Simone nie miała z tym problemu. Wesoło rozłożyła ramiona i obróciła się dookoła siebie. Ta plaża budziła w niej dziecięcą radość, a Manja biegała wokół niej, merdając ogonem.

– Jak sobie panie życzą. Chodźmy!

Na początku droga prowadziła wzdłuż plaży, a potem znów na klif. W całkiem naturalnym geście Pascal znów podał Simone dłoń, aby jej pomóc. W którymś momencie, kiedy schodzili do kolejnej zatoki, to dotknięcie nagle nabrało charakteru silnej osobistej więzi. Kiedy zeszli nad wodę, Simone czuła ciepło, które przechodziło z jego dłoni na nią. Znów odezwało się jej sumienie: *Puść!* Ale nie chciała pozbyć się ciepła i bezpieczeństwa, jakie w tym momencie czuła. Jeszcze nie teraz.

Zatoka była znacznie mniejsza, a plaża węższa. Simone zrozumiała, dlaczego rodzina Chervonów i mieszkańcy wsi strzegli tego miejsca przed obcymi, by pozostało odludne. Razem ruszyli wzdłuż linii morza.

– Podoba ci się tu?

Simone poczuła lekki uścisk na swojej dłoni. Jej serce chciało zawołać: „Tak! Co za pytanie!", ale zdołała się opanować. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo zbliżyli się z Pascalem w ostatnich godzinach. Oczywiście, każde na swój sposób. To spostrzeżenie ją przeraziło. Przecież znali się dopiero od paru dni!

Nieśmiało uwolniła dłoń, aby poprawić kurtkę, którą do tej pory miała zawiązaną na biodrach.

– Tak tu jest pięknie, Pascal. Jak mogłoby mi się to nie podobać? – Pokazała ręką na otwarte morze. A potem dodała cicho: – Ale jestem tu tylko przejazdem.

– No tak, ale każda podróż ma swój cel, prawda? – Zaśmiał się i podniósł kawałek drewna wyrzucony na brzeg przez morze, co pies skwitował kilkoma radosnymi skokami. Pascal rzucił drewno przed siebie, a Manja pobiegła za nim jak strzała.

– Masz jeszcze czas?

Roześmiała się.

– Tak, oczywiście.

– Chodź, coś ci pokażę.

Na końcu małej zatoki znów wspięli się wąską ścieżką na klif. Podejście było dość męczące i Simone z trudem łapała oddech. Tak mściło się życie mieszczucha. Na górze, na skraju klifowego wybrzeża, powędrowali przez pola i łąki w ciepłym wieczornym świetle. Niedługo później dotarli do niepozornej drogi. Pascal skierował się w stronę jedynego w tej okolicy domu. A dokładniej mówiąc: do jedynej chaty.

– Sądzę, że powinniśmy coś zjeść.

– Chętnie. – Po długim spacerze Simone rzeczywiście była głodna. Chata okazała się małą restauracyjką z dobudowanym z tyłu dużym zimowym ogrodem, a z przodu szerokim drewnianym tarasem. Znajdowały się na nim niedbale porozstawiane stoły i krzesła.

– Mam nadzieję, że nie jest ci za zimno. Tutaj trzeba po prostu siedzieć na dworze.

Pascal skierował się do stołu na końcu tarasu. Widok, jaki wyłonił się przed Simone, wprost zapierał dech w piersiach. Chociaż zapewne tutaj, jak i wszędzie, można się było rozkoszować widokiem morza, to jednak każda perspektywa była inna. Przed nimi rozpościerała się kolejna zatoka, skały jak ponure cienie wznosiły się z morskiej kipieli, woda długimi falami wdzierała się na plażę. Słońce było już nisko na niebie i horyzont zmieniał barwę z jasnej na coraz ciemniej czerwoną. Wkrótce słońce dotknie morza.

Kelner ubrany klasycznie na czarno-biało, co zupełnie nie pasowało do tej małej drewnianej chaty, podszedł do stołu, uprzejmie przywitał się z Pascalem, przyniósł dwie karty i podał Simone miękki wełniany koc.

– *Merci.* – Z wdzięcznością przyjęła koc i położyła go sobie na kolanach. Kiedy kelner odszedł, spojrzała na menu, które właściwie składało się z jednej laminowanej kartki. Zastanawiała się przez chwilę, a potem serdecznie się roześmiała.

– Co się stało? – zapytał Pascal ze zmarszczonym czołem.

– Chyba jest to jedno z tych romantycznych miejsc, jakie widziałam w ostatnich latach, naprawdę, ale… – Stuknęła palcem w kartę. – Czy ta restauracja naprawdę nazywa się „Pod Czerwoną Ropuchą”?

– Tak, czemu pytasz? Spróbuj pieczonych małży, są wyśmienite.

– Dlaczego „Pod Czerwoną Ropuchą”?

Pascal uśmiechnął się, założył ręce na piersi i popatrzył na zachodzące słońce.

– To tajemnica, Simone. Być może jeszcze kiedyś ci ją zdradzę – powiedział patetycznie i sam się roześmiał.

Zamówili pieczone małże ze świeżym pieczywem i solonym masłem, pili do nich wytrawne mocno owocowe białe wino, a na deser było małe czekoladowe ciastko z ciepłym płynnym nadzieniem. Manja zwinęła się w kłębek pod stołem i leżała połową ciała na stopach Simone, która czuła ciepło i równomierny oddech psa.

– No tak, jeśli zostanę jeszcze dłużej w Bretanii, to przytyję tak, że żaden samolot nie zabierze mnie już do domu.

Jak po takim obfitym posiłku mieli wrócić do domu Constanze, stanowiło dla niej zagadkę. Rozkosznie wtulała się w ciepły koc i patrzyła na ciemne morze. Nad ich głowami kołysały się kolorowe lampiony. Na drugim końcu tarasu byli sami, jeśli nie liczyć jeszcze jednej pary.

– W takim razie muszę ciekawie zorganizować jeszcze kilka dni, żebyś tu została.

Simone chrząknęła. Znów była lekko upojona winem, ale w tym momencie odezwał się w jej głowie dzwonek alarmowy. Nie mogła się już powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Pascal, co się dzieje z twoją żoną? – Zdawała sobie sprawę, że tym pytaniem zepsuła beztroski nastrój, który pękł jak kryształ na betonowej podłodze, ale wyraźnie czuła, że bardzo powoli rodziła się między nimi jakaś głębsza więź.

Milczał i opuścił wzrok.

– Nie lubiła życia na wsi… a ja nie chciałem przenieść się na stałe do miasta. Tak, takie sprawy powinno się omówić wcześniej. Ale nigdy nie robiłem tajemnicy z tego, że pewnego dnia wrócę na gospodarstwo rodziców. Moja rodzina mieszka tam od kilkuset lat. Po prostu czegoś takiego nie porzuca się dla innej pracy. Chodzi też o coś jeszcze. Tu! – W poczuciu winy wzruszył ramionami i Simone zauważyła, jak szczerze to powiedział. Czuła też, że już często w ten sposób się usprawiedliwiał.

– W którymś momencie doszło do tego, że nasze drogi się rozeszły. – Zrezygnowanym ruchem upuścił serwetkę na talerz.

Simone poprawiła się na krześle. Pies wydał pomruk niezadowolenia pod stołem, kiedy wysunęła spod niego stopy. Ale był to dobry moment, żeby wszystko sobie wyjaśnić. Chociaż miała nieuporządkowane relacje z Jensem, nie potrafiła ciągnąć dalej sprawy z Pascalem, nie wspominając o tym ani słowem.

– Pascal, mam przyjaciela. Partnera. W Berlinie. W dlatego muszę wracać. Jest jeszcze moja praca.

Milczał.

Co za głupota. Siedziała z cholernie miłym i przystojnym facetem w jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek widziała. Moment był idealny. I mówiła o pracy, którą teraz bardzo zaniedbała, i o Jensie! O Jensie, co do którego od jakiegoś czasu nie była pewna, czy w ogóle mają przed sobą jakąś wspólną przyszłość. Rozzłościła się na siebie, ale poczuła też ulgę.

– Czy jesteś z nim szczęśliwa?

– Co? – Pytanie zaskoczyło ją.

– No, z twoim przyjacielem w Berlinie. Kiedy pierwszy raz cię ujrzałem, nie wyglądałaś na szczęśliwą. – Jego brązowe oczy uchwyciły jej wzrok i wpatrywały się w nią.

– Nie… nie wiem.

– Simone… nie zawsze posuwam się tak daleko.

W świetle lampionów zobaczyła, jak spuścił głowę. Czyżby się zaczerwienił?

– Przynajmniej zostań tu tak długo, aż będziesz wiedziała. Szkoda by było, gdybyś miała być nieszczęśliwa. Co prawda za dobrze się jeszcze nie znamy, ale… nie wiem… bardzo cię lubię.

Simone dostała gęsiej skórki. Jego słowa były szczere i zezłościło ją, że potrafił tak czytać w jej sercu.

Droga powrotna nie była taka długa, jak Simone się obawiała. Wybrzeże ciągnęło się chaotycznym zygzakiem wzdłuż morza, ścieżki prowadziły prosto w głąb lądu do wsi. Tréveneuc już spało. Drogę oświetlało tylko kilka lamp, ale tej nocy księżyc co rusz wyłaniał się zza przesuwających się chmur. Leśna droga do domu Constanze nie wydawała się już Simone taka straszna jak na początku i nie przeraziła się, nawet kiedy Manja nagle wypadła z gęstwiny. Słyszała obok siebie kroki Pascala i jego oddech, czuła pachnący ziemią las i przenikał ją spokój, którym emanowała ta okolica.

Zatrzymali się przed domem Constanze.

– To był piękny dzień. Dziękuję, Pascal. – Poczuła potrzebę, aby powiedzieć mu dużo więcej.

– Tak…

Jego oczy na chwilę rozbłysły w ciemności. Najpierw wyglądało to tak, jakby chciał odejść, ale potem jeszcze raz odwrócił się do Simone, zawahał się, zrobił krok w jej stronę.

Simone serce podeszło do gardła.

– Chciałbym, żebyś była szczęśliwa, Simone. Zawsze. – Potem uniósł dłoń do pozdrowienia. – Dobranoc. – Z tymi słowami odwrócił się, gwizdnął na psa i zniknął w lesie.

Simone pulsowało w skroniach. Ze wszystkich sił musiała walczyć z zawrotami głowy. Jego słowa otworzyły w niej jakieś drzwi, które uparcie pozostawiała zamknięte. Uczucia nagle uderzyły w nią jak zimny prysznic. Czuła, jak po policzkach płyną jej łzy, i nie mogła nic na to poradzić. Myśli kłębiły się w niej jak szalone. Jak w transie weszła do domu, zamknęła za sobą drzwi i usiadła w ciemnej sieni na pierwszym stopniu schodów. I zaczęła wyć.

Rozdział 14

I co, zobaczyła pani wczoraj kilka ładnych zakątków? – zapytała Constanze, kiedy Simone przyszła do niej następnego dnia przed południem.

– Tak, plaża i wybrzeże są cudowne. – Simone była jeszcze zmieszana i starała się nie dać nic po sobie poznać. Spała niespokojnie. W domu nadal czuła się pewnie i bezpiecznie, ale jej sprawy sercowe znacznie się skomplikowały. Aż do świtu próbowała uporządkować myśli, myśleć o Jensie albo precyzyjniej rzecz ujmując: zastanowić się nad swoim stosunkiem do niego. Ale w ogóle jej się to nie udawało. Każda myśl natychmiast prowadziła do Pascala.

Na wspomnienie jego słów poczuła ciepły dreszczyk na plecach. Tylko jak mogła teraz spojrzeć mu w oczy, żeby od razu… nie wyjawić swoich najskrytszych uczuć. Jeszcze nigdy nie czuła tak silnej potrzeby rozmowy z kimś. Beształa się za to, że jest taka ufna, ale czuła, że Pascal ją zrozumie. Jej wewnętrzne zagmatwanie, pragnienia i nadzieje, których nawet sama nie była do końca świadoma. W stosunku do Jensa jeszcze nigdy nie miała takiego uczucia. Oczywiście on też ją rozumiał, kiedy z nim rozmawiała, ale raczej racjonalnie niż uczuciowo. I właśnie to był jeden z punktów, który się w niej wykrystalizował podczas tej bezsennej nocy: w rzeczywistości oboje z Jensem żyli tylko obok siebie, a nie ze sobą. Było to bolesne odkrycie, ale jednocześnie przyniosło jej ulgę. Jeszcze bardziej pogłębiło to rozdźwięk między nimi. W co ona się wplątała?

– …i co, warto?

– Przepraszam, Constanze, co pani powiedziała? – Simone oderwała się od swoich myśli.

– Powiedziałam, że warto zostać tu trochę dłużej.

– Tak, zastanawiam się nad tym – stwierdziła.

Constanze uśmiechnęła się szelmowsko. Czyżby się czegoś domyślała? W końcu znała Pascala i nawet przy swoich dziewięćdziesięciu latach nie mogła nie zauważyć, że był bardzo przystojnym mężczyzną. Z całą pewnością wiedziała, że nie miał u boku żony. Ale jedno było oczywiste: był związany z tą wsią. A co by to oznaczało dla niej? Simone zacisnęła pięści, żeby wrócić na ziemię. Przestań zawracać sobie głowę takimi myślami, zbeształa się w duchu.

– Co potem stało się w Niemczech? – Simone miała świadomość, że z niewygodnego dla siebie tematu przeskoczyła na inny, który był trudny dla Constanze. Ale zaryzykowała.

– Och tak, wtedy… ach, to nie było proste. Cały kraj przeżywał euforię. I to wychodziło nam na dobre. Mimo to czuło się… powiedziałabym, dziwne wibracje. W Niemczech występowaliśmy dłużej, niż planowaliśmy. Prawdopodobnie wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy wcześniej pojechali dalej.

Constanze podciągnęła leżący na kolanach koc, jakby mógł on ją ochronić przed złymi wspomnieniami. Simone zmartwiła się już, że nie będzie chciała kontynuować swojej opowieści. Wzrok starej kobiety powędrował do okna i pogrążyła się w myślach, jakby chciała przywołać obrazy z tamtych czasów.

– Na nasze występy przychodzili wysocy rangą politycy – powiedziała w końcu. – Mój ojciec cieszył się, że pisano o nas w wielu gazetach. Wydawało się, że matce nie bardzo się to podobało. Wcześniej, w innych krajach, we Włoszech albo w Hiszpanii, była zadowolona z okazywanego nam zainteresowania. Ale w Niemczech nie sprawiało jej to przyjemności. Wtedy chętnie na pierwszy plan wysuwała mnie. Oczywiście byłam niezwykle dumna, oglądałam swoje zdjęcia w gazetach. Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że w przeszłości mojej matki było coś, co w Niemczech zawsze ją przygnębiało. Ale nigdy o tym nie mówiła. Mało

wiem o młodych latach matki. Nigdy nie wspominała, skąd pochodziła, czy miała jeszcze rodzinę. Wtedy wiedziałam tylko to, że miała siostrę, starszą siostrę, czyli moją ciotkę. O której często mi opowiadała. I że wyjechała z Hamburga. Ale nigdy nie wystąpiliśmy w tym mieście. Ojciec odrzucił nawet kilka dobrych ofert.

Simone czuła się niekomfortowo ze swoją wiedzą o Viviane i Elisabeth. Błędnie wyobrażała sobie, że więcej wiedziała o przeszłości Viviane niż jej własna córka. W duchu miała nadzieję, że być może Constanze przypomni sobie coś jeszcze, aby zdjąć z niej ten ciężar. Słuchała więc dalej skupiona.

– Jechaliśmy powoli na wschód. W Prusach naszą tresurę koni przyjmowano głośnymi wiwatami. W końcu to kraj, którego mieszkańcy byli zwariowani na punkcie tych zwierząt. W późniejszych latach moimi najlepszymi końmi były wschodnioeuropejskie konie trakeńskie. Co prawda ojciec zawsze mówił: – Niech Bóg chroni dom przed burzą i wiatrem, i trakeńskimi końmi – ale one pochodziły ze starej, bardzo dobrze prowadzonej hodowli i co prawda często były uparte, ale zawsze dobrze wytresowane. Jeździła pani kiedyś konno, Simone?

– Ja? – Simone się roześmiała. – Nie. Co najwyżej jako dziecko siedziałam kiedyś na kucyku.

– Dużo pani straciła. – Constanze mrugnęła. – Zawsze marzyłam, że pewnego dnia będę miała córkę. Oczywiście dostałaby kucyka. Niestety, mąż i dzieci nigdy nie były mi dane. Czy ma pani dzieci?

Simone pokręciła głową.

– Ach, jest pani jeszcze młoda. Ma pani czas.

No tak, być może z perspektywy dziewięćdziesięciu lat tak się to widzi, pomyślała Simone. Karen z jej dziećmi zawsze próbowała przekonać Simone, że sytuacja wygląda wręcz przeciwnie. W końcu w wieku trzydziestu lat jest się już starym rodzicem.

– Czy potem pojechaliście do Moskwy? – dopytywała się dalej Simone, aby zejść z tematu dzieci.

– Prawie. Byliśmy w najdalszym zakątku Prus, pod Królewcem, kiedy Hitler napadł na Polskę; kraj wiwatował. Moi rodzice zadrżeli. Zapewne jeszcze bardzo dobrze pamiętali wydarzenia z pierwszej wojny światowej. Matka najchętniej przerwałaby trasę i wróciła prosto do Francji. Ale ojciec uznał, że powinniśmy trochę odczekać i wykorzystać panującą w kraju atmosferę. Nikt nie wierzył, że znów dojdzie do takiej katastrofy jak kiedyś.

Jechaliśmy wzdłuż linii zdobytych terenów i graliśmy przedstawienia w Polsce. Przez wiele tygodni naszym domem była Warszawa. Jak się później okazało, Hitler i Stalin zapewne już wcześniej uzgodnili podział Polski pomiędzy siebie. W ciągu niewielu godzin przetoczyła się obok nas lawina zdobywców. To było jak potężna burza.

Byłam wtedy jeszcze taka młoda. Nie miałam pojęcia o polityce. Sowieci i Niemcy walczyli dalej na wschodzie i najwidoczniej wśród zwykłej ludności znów szybko zapanował spokój. W rzeczywistości zdarzyło się wszystko to, czego dowiedzieliśmy się dopiero po latach. Mimo to matce udało się przekonać ojca, żeby jednak znów pojechać na zachód. Wschodni cel, Moskwa, okazał się nieosiągalny. Na początku czterdziestego trzeciego roku postanowiliśmy wyruszyć do Bretanii. Francja już od dawna znajdowała się pod niemiecką okupacją. Mieliśmy dać jeszcze trzy ostatnie przedstawienia w Breslau, a potem ruszyć w drogę. Wtedy zdarzył się wypadek…

Constanze przerwała na dłuższą chwilę. Simone wręcz widziała, jak w głowie starej kobiety odżyły wspomnienia.

– Do dzisiaj zadaję sobie pytanie, czy można było temu zapobiec. Już parę dni wcześniej publiczność była niespokojna, chyba coś świętowali, znów gdzieś odniesiono zwycięstwo. Na

trybunach szerokim strumieniem lał się alkohol. W tamtym czasie przychodziło niewiele rodzin, na ogół sami żołnierze. Ojciec musiał odkomenderować kilku artystów, aby pilnowali areny podczas tresury koni. Występy matki i moje wciąż były bardzo popularne. Piękne kobiety na szlachetnych koniach – nieważne, co działo się w kraju, mężczyźni zawsze lubili oglądać coś takiego.

W tamtych czasach wszystkie konie oprócz cyrkowych były już tylko chodzącymi szkieletami. Wszystkie, które jeszcze mogły jako tako pracować, zostały zarekwirowane na potrzeby armii. Ojciec cały czas się bał, że taki los mógł grozić również naszym ogierom. Ale na szczęście były one obdarzone takim temperamentem i uporem, że nie nadawały się do wojska. Jednak wykarmienie zwierząt nie było łatwe. Napełnienie drabinek sianem często trwało kilka dni. Owsa nie było już od dawna. A sroga zima zniszczyła wszystko, co zielone. Często konie dostawały tylko nędzne gałęzie do gryzienia. Ze szlachetnych zwierząt zrobiły się chude szkapy. Niektórym zakładaliśmy na występy na arenie grube koce, aby nie było widać sterczących żeber. Również to było powodem, dla którego wszyscy chcieliśmy wrócić na zachód. Przebąkiwano, że tam sytuacja jest trochę lepsza. Ale na wschodzie front coraz bardziej się zbliżał. Przez miasta na naszej drodze przemieszczały się niezliczone jednostki wojskowe i brygady pancerne, wciąż owacyjnie witane. – Głos Constanze przycichł, kiedy mówiła dalej.

– Wspomnianego wieczoru atmosfera była gorąca i niespokojna. Właściwie był to dzień, kiedy dla ostrożności powinno się wszystko zostawić, żeby nie wywołać nieszczęścia. Dla mnie była to gorzka lekcja i od tamtej pory zawsze zdaję się na własną intuicję. – Westchnęła. – Wtedy moi rodzice mieli jeszcze posłuch i kiedy kazali chłopcom stajennym osiodłać konie i przysiąc wszystkim, że dadzą dobry show, to tak było. Matka osiodłała Kresto, młodego, pełnego temperamentu siwka, który robił naprawdę duże wrażenie na arenie. Byłam gotowa z moim numerem, w następnej kolejności miała wystąpić moja matka w numerze „Germańska bogini na koniu". Nienawidziłam tej części programu. Z jednej strony dlatego, że matka tak się przymilała do żołnierzy, a z drugiej strony dlatego, że trudno było okiełznać tego konia. Oczywiście wyglądał cudnie. Jak w bajce oboje wyłaniali się zza kurtyny. Mało kto wiedział, ile potu i pracy się za tym kryło.

Tego dnia matka już poza areną miała trudności z utrzymaniem Kresto, koń co chwilę stawał dęba. Mimo to pojechała.

Przekazałam swojego konia stajennemu i podglądałam przez kurtynę. Mimo niespokojnych trybun na początku wszystko szło dobrze. Matka była utalentowaną amazonką z ogromnym doświadczeniem. Koń nigdy nie był dla niej zbyt dziki. Zawsze potrafiła utrzymać Kresto w ryzach. Ostatnie pozdrowienie, wspięcie na tylnych nogach.

Paradny ukłon.

Ale dokładnie w tej chwili rozległ się strzał na widowni. Zobaczyłam, jak koń ze strachu przewrócił oczami. Matka rzuciła się do przodu i objęła go za szyję, żeby w pionowej pozycji zachować równowagę. Ale Kresto ją stracił. Upadł do tyłu i przygniótł matkę.

Nigdy nie zapomnę ciszy, jaka nagle zapanowała w namiocie. Koń wstał, ale matka leżała nieruchomo na ziemi. Jej złoty kostium, długie jasne włosy – wyglądała jak upadły anioł. Kresto przebiegł obok nas, kiedy z ojcem wpadliśmy na arenę. Wszyscy inni stali jak zamurowani i nie ruszali się ze strachu. Matka oddychała, ale jej ciało było jakoś dziwnie wykręcone. Wszyscy patrzyli jak skamieniali na upadłą boginię, panowała śmiertelna cisza. Wojskowy sanitariusz, który dzięki Bogu znajdował się na widowni, jednym susem doskoczył do nas i natychmiast powiedział: „Nie dotykać, nie wolno jej ruszać!".

Prawdopodobnie tym uratował jej na razie życie. Wydawało mi się, że minęły godziny do chwili, gdy ją stamtąd zabrano. W tym czasie wyproszono widzów z trybun. Matka wciąż była

nieprzytomna, co zapewne było dla niej szczęśliwą okolicznością, ponieważ ból byłby nie do zniesienia. Przewieziono ją do szpitala. Kopyta zgruchotały kilka żeber, miała złamaną w kilku miejscach lewą nogę i pęknięty kręgosłup. Szczęście, że jeszcze żyje, powiedzieli lekarze.

Ale później zaczęły się prawdziwe męczarnie! Założono jej gips, od stóp prawie po szyję. Unieruchomiono ją, przywiązano do dziwnej konstrukcji. Przez wiele dni balansowała pomiędzy życiem i śmiercią. Ojciec odwołał ostatnie przedstawienie i czuwał dzień i noc przy jej łóżku. Ja opuszczałam ją tylko po to, żeby zadbać o nasze konie.

W końcu matka odzyskała przytomność. Powoli, dzień po dniu, wracała jej świadomość, o ile pozwalały na to środki przeciwbólowe. Ale lekarze zgadzali się w jednym: już nigdy nie będzie mogła dosiąść konia, jeśli w ogóle któregoś dnia będzie mogła chodzić.

Początkowo ojciec nic jej nie powiedział. Nie chciał odbierać jej nadziei, gdyż po tych wszystkich tygodniach myśl, że pewnego dnia wstanie z łóżka, była jedyną rzeczą, która trzymała ją przy życiu.

Constanze, omijając Simone wzrokiem, patrzyła przez okno.

– Gdyby kiedykolwiek mi się zdarzyło, że już nigdy nie mogłabym wsiąść na konia, nie wiem, czy mogłabym z tym żyć.

Opuściła wzrok na leżące na kolanach dłonie.

– Zostaliśmy więc w Breslau. Znalazłam kwaterę dla naszych koni i plac dla wozów cyrkowych. Traktory były już dawno zarekwirowane. Ojciec zamknął cyrk i dał wolną rękę tym, którzy chcieliby odejść. Niektórzy spakowali swoje rzeczy i pojechali dalej. Pięciu naszych pracowników zostało z ojcem, chociaż nie mógł już im płacić. Nie wiedzieli, dokąd pójść. Nie znali innego życia poza pracą w cyrku.

Mijały miesiące, ale matka robiła niewielkie postępy. Prawdziwym świętem był dzień, kiedy pierwszy raz usiadła wyprostowana na wózku inwalidzkim. I podczas gdy w czterdziestym trzecim szpital wciąż zapełniał się inwalidami wojennymi, również my musieliśmy tkwić w mieście. Wtedy katastrofa nabrała rozpędu. A ja na zawsze straciłam rodziców. – Oczy Constanze wypełniły się łzami.

Simone, zakłopotana, wyjęła z torebki chustkę i podała ją starej kobiecie.

– Jest mi naprawdę przykro.

– Ach, to było już tak dawno temu, ale kiedy znowu o tym pomyślę… – Stara kobieta wytarła nos.

– Pani matka była naprawdę wyjątkową kobietą. W korytarzu widziałam jej zdjęcie.

– Tak, kazał je zrobić mój ojciec. To było w międzywojniu. Mam jeszcze album ze zdjęciami. Powinna go pani obejrzeć, jeśli to panią ciekawi. Leży… gdzieś tam jeszcze jest… – Constanze przez chwilę się zastanawiała. – W moim biurze stoi szafka z dużymi szufladami. Wydaje mi się, że album jest w dolnej.

Simone skinęła głową, czuła, że dla Constanze było ważne, aby zawierzyć komuś – może jej – historię swojego życia. Nie miała już nikogo oprócz niej. Jeśli Constanze poprosi ją, żeby przejrzała jej rzeczy, zrobi to.

Drzwi do pokoju Constanze otworzyły się zamaszyście i do środka wjechał wózek z jedzeniem, który pchała pielęgniarka. Simone zirytowała się w duchu. Właśnie teraz, kiedy historia zrobiła się tak interesująca.

– Och, już tak późno? – zapytała Constanze. – Ach, Simone, pewnie panią zatrzymuję, z pewnością ma pani coś innego do zrobienia niż dotrzymywanie mi towarzystwa.

Simone uśmiechnęła się.

– Nie, chętnie tu przychodzę, Constanze. Ale myślę, że na dziś już wystarczy. Powinna pani coś jeść i odpocząć. Przyjdę jutro.

Z tymi słowami Simone wstała, pożegnała się i wychodząc, skinęła pielęgniarce, która właśnie stawiała posiłek na stoliku obok łóżka.

Tak, chętnie tu przychodziła. Chociaż znała starą kobietę dopiero kilka dni, ale już się z nią zżyła. Constanze nie tylko skłoniła ją do przyjazdu do Trévenauc, ale również dała jej zlecenie. Oczywiście wcześniejsza lektura pamiętników spowodowała, że Simone tak interesowała historia Viviane i Elisabeth. Miała wyrzuty sumienia. Czy przypadkiem nie obudziła dawno uśpionych demonów przeszłości?

Na dworze kilka razy głęboko odetchnęła. Człowiek chyba nigdy nie przyzwyczai się do zapachu szpitala – nawet jeśli oddział, na którym leżała Constanze, został tak wyposażony, że przypominał zwykły dom.

Kiedy Simone znów skierowała samochód w stronę Tréveneuc, w jej głowie kotłowały się myśli. Biedna Viviane, po wypadku uwięziona w swoim ciele, i to jeszcze w środku wojny. Jak to się tragicznie skończyło dla rodziców Constanze? I co się z nią później stało?

Najwyższy czas, aby wrócić do lektury pamiętnika Elisabeth. Opowieść Constanze wypełniła luki w historii Viviane do końca lat trzydziestych. Teraz Simone paliła się, aby poznać dalsze losy Elisabeth.

Kiedy dotarła do domu Constanze, zostawiła kurtkę i torebkę w garderobie i szybko poszła do pokoju gościnnego, gdzie stała jej walizka. Wyjęła znajdujący się w niej pamiętnik i czule pogłaskała pożółkłą okładkę. Potem poszła na dół, zrobiła sobie kawę w nadal upartym ekspresie i postanowiła, że będzie czytać na tarasie.

Słońce wyszło zza chmur i rozgrzewało powietrze. Jakie to spokojne miejsce, pomyślała, kiedy przez chwilę wsłuchiwała się w świergotanie ptaków i daleki szum morza. Od razu przyszedł jej na myśl Pascal. A potem Jens, do którego powinna pilnie zadzwonić. Ścisnęło ją w żołądku, nie wiedziała, czy ze strachu przed tym, co się będzie działo między nią a Pascalem, czy ze zmieszania. Bardzo lubiła Pascala, ale znała go dopiero parę dni. Rozsądek mówił jej, żeby trzymać się od niego z daleka. Przeczuwała, że prawdopodobnie nie będzie potrafiła mu się oprzeć. Czy on w ogóle poważnie o niej myślał?

Można zwariować! Kierowana mglistymi przypuszczeniami o życiu Viviane i Elisabeth, trafiła do tej wsi, do tego domu. I nagle pojawiło się mnóstwo innych pytań, na które nie było odpowiedzi. Nie tylko dotyczących dawnych czasów, lecz również jej własnego życia. Tak czy owak – musiała teraz doprowadzić historię do końca.

Z westchnieniem otworzyła pamiętnik Elisabeth.

Rozdział 15

Hamburg, 3 września 1939

Kochana Vivi,

wkrótce minie ćwierć wieku, odkąd ostatni raz szłyśmy razem nad Łabę przez wysoką letnią trawę. Tak wiele lat, że moje wspomnienia prawie wyblakły. Myślę, że się postarzałyśmy. Przynajmniej ja czuję się stara. Nie wiem, co stało się z tobą. Ostatnią rzeczą, jaką o tobie słyszałam, albo dokładniej mówiąc, ostatnią rzeczą, jaką od ciebie dostałam, był mój skarb. Najważniejsza osoba w moim życiu. Straciłam siostrę, ale zyskałam córkę. Kiedy Tilla wpadła wtedy do domu z koszykiem i niemowlęciem, od razu czułam, że jest w tym jakaś głębsza więź. Zobaczyłam kopertę, jednak nigdy jej nie otworzyłam. Bałam się, że w środku znajdowało się coś innego, niż miałam nadzieję. Bałam się, że to małe cudeńko mogłoby nie pochodzić od ciebie, lecz od jakiejś dziewki kuchennej, która pomyślała, że musi oddać je do zamożnego domu. Po prostu chciałam mocno wierzyć, że było to twoje dziecko, które – z jakiegoś powodu – powierzyłaś mojej opiece.

Nie wiesz, że okoliczności sprawiły, że nie było mi dane mieć własnych dzieci. Z pewnością przez długie lata dręczyło to Guntera. Kiedy dziecko z nami zamieszkało, była to rekompensata. Mieliśmy kogoś, o kogo mogliśmy się troszczyć i dbać, jakby to była krew z naszej krwi. Na początku Gunter był sceptyczny. Dziecko? Obce dziecko? Ale kiedy zobaczył niebieskie oczy i jasny puszek na główce, już było po nim.

Kiedyś obiecałam ci, że zawsze będę ci oddana, kochana Siostro, i oczywiście ta obietnica odnosiła się również do małej dziewczynki. Na chrzcie daliśmy jej na imię Dorothea.

Ale z upływem lat stwierdziłam, że w moje życie – oprócz ciągłej troski o ciebie – wkradł się dużo większy strach. Strach i rozterka, którą z trudem potrafię ująć w słowa. Co będzie, jeśli któregoś dnia wrócisz i zażądasz oddania córki? Myśl, która mnie dręczyła i wprowadzała ciągły niepokój w moje życie.

Wychowywaliśmy Dorotheę jak własną córkę. Wojenne zawirowania ułatwiały twierdzenie, że była naszym dzieckiem.

Wszystko toczyło się tak idyllicznie, kiedy zatarły się wspomnienia wojny. Miałam więcej, niż kiedykolwiek marzyłam. Ale teraz, od trzech dni, cała konstrukcja nagle się zachwiała. Wiadomość, że Hitler napadł na Polskę, wprawiła Guntera w radosne podniecenie. Ja natomiast znów widzę nadciągającą wojnę, wojnę, która zada ludziom najgorsze cierpienia i doprowadzi do nędzy i znów będą musieli jeść trawę. Martwię się, martwię się o mojego męża, który nagle wydał mi się obcym człowiekiem, i martwię się o moją córkę, moje oczko w głowie…

Elisabeth przyglądała się, jak atrament jej ostatnich słów zasycha na papierze, i wpadła w zamyślenie.

Przez wiele lat nie czuła potrzeby spisywania swoich myśli, ale teraz, kiedy z radia nieustannie grzmiała propaganda, a w biurze na dole Gunter i jego towarzysze wznosili toasty za Wielkoniemiecką Rzeszę, czuła tępy strach. To było jak ciemna chmura, która przepływała nad jej dotychczasowym życiem. Jej córka niedługo skończy dwadzieścia dwa lata, była w rozkwicie młodości i urody, i w głowie Elisabeth pojawiły się obrazy, jak przez następne lata będzie

musiała zmagać się z nędzą.

Czyżby nikt oprócz niej nie pamiętał wydarzeń ostatniej wojny? Dlaczego wszyscy wpadali w euforię z powodu tego Hitlera? Były to słowa, które wypowiadała w myślach, ale nie mogła ich powiedzieć na głos. Dla Guntera Hitler był jedyną prawdziwą gwiazdą na niebie. Zbawcą, który pomści katastrofę, jaką była klęska 1918 roku, i wreszcie poprowadzi kraj do należnej mu chwały. Elisabeth nie mogła już słuchać tyrad Guntera. I nierytmicznego stukania butów, kiedy chodził w koło w brunatnym mundurze i z laską w ręku, co wywoływało u niej ból głowy.

Pierwsze lata małżeństwa przebiegały jeszcze w obopólnej zgodzie i harmonii. Po krótkiej kłótni na temat sposobu dalszego prowadzenia domu handlowego Berentschów i wyrzuceniu Palovskiego przez Guntera ich drogi się rozeszły. Gunter nie tolerował w swojej firmie Żydów. Elisabeth było żal biednego Palovskiego, który tyle lat poświęcił jej rodzinie, a Gunter odwdzięczył mu się wyrzuceniem z pracy. Ale jej mąż coraz energiczniej zarządzał firmą i domem i tak samo jak cały kraj uważał, że trzeba stawać na baczność i spełniać życzenia Hitlera. Elisabeth z troską obserwowała zaangażowanie polityczne Guntera. Rosło ono wraz z NSDAP i rosła w nim duma, w miarę jak przemówienia Führera nabierały coraz większego patosu.

Od początku małżeństwa Elisabeth zajmowała się prowadzeniem ksiąg, podczas gdy Gunter przejął reprezentowanie firmy. Ojciec miał rację. Dzięki nazwisku von Ehlers w pierwszych latach po wojnie Gunter nawiązał wiele nowych kontaktów. Poza tym zadbał o stosunki w Prusach. Tam, gdzie ludzie jeszcze mieli pieniądze, wkrótce znów zaczęto zamawiać tkaniny oraz inne towary handlowe.

Mała Dorothea była jedynym ogniwem łączącym ich oboje. Gunter, który nigdy do końca nie pogodził się ze swoim kalectwem albo dokładniej mówiąc, utratą męskości, początkowo postrzegał małą dziewczynkę tak, jakby to była zakaźna choroba. Elisabeth do dzisiaj nie wiedziała, co go skłoniło do zmiany zdania. Ale pokochał Dorotheę, która stała się jego córką. Elisabeth bardzo się z tego cieszyła. Całym sercem kochała dziecko. Swojego własnego, rodzonego też nie traktowałaby lepiej.

Mała dziewczynka wypełniła lukę w jej sercu. Nigdy nie przyznała się do tego Gunterowi, ale już w pierwszych latach małżeństwa czuła, że jednak czegoś jej brakowało. Zawsze był dla niej miły i troskliwy, a na zewnątrz sprawiał wrażenie idealnego męża. Ale nigdy nie spali w tym samym łóżku ani nie zbliżyli się do siebie, jeśli nie liczyć pocałunków. Elisabeth nawet nie potrafiła ocenić, na co się porwała. Swoje wyobrażenia o małżeństwie czerpała wyłącznie z przeczytanych powieści. Nie brakowało jej tak bardzo miłości fizycznej. Przygnębiała ją natomiast tęsknota za dzieckiem. Zwłaszcza że w imię wierności krajowi naczelnym zadaniem kobiety stało się rodzenie dzieci i wszyscy wokół niej z radością spełniali ten obowiązek. Ale jej przygnębienie nie wynikało z potrzeby dochowania wierności krajowi, lecz po prostu czuła słabość do małych pyzatych niemowląt.

W odczuciu Guntera było hańbą, że nie może podarować swojemu ideologicznemu wzorowi dziecka, ale rekompensował to niezłomną wiernością i zapałem na polu polityki. Elisabeth pozostała sama ze świadomością, że istniała luka, której nie dało się wypełnić. Ale potem to miejsce zajęła Dorothea.

I tak patrzyli razem z mężem, jak mała dziewczynka dorasta, i zapomnieli o własnych fizycznych wadach, a także o brzemieniu, które rujnowało ich zaaranżowane małżeństwo. Pokładali całą nadzieję w Dorothei, chronili ją i dbali o nią, kiedy chorowała. Gunter strzegł jej swoim argusowym wzrokiem, kiedy stawała się młodą kobietą.

Od tamtej pory Elisabeth cieszyła się nie tylko, że ma córkę, lecz również bliską sobie

osobę. Prawdopodobnie czasem za bardzo utożsamiała Dorotheę ze wspomnieniem Viviane. Wtedy musiała nawet sama siebie upominać. W końcu Dorothea nie była jej siostrą, lecz córką.

Dziewczyna szczupłą sylwetką, delikatną budową, jasnymi blond lokami i wciąż trochę nieposkromionym temperamentem bardzo przypominała jej Viviane. W wielu sprawach były do siebie tak niesamowicie podobne, że Elisabeth nie miała wątpliwości, kto zostawił niemowlę na jej progu. Ale Dorothea nigdy nie powinna się tego dowiedzieć. Elisabeth i Gunter już wcześniej zgodzili się co do tego, że Dorothea zawsze będzie ich córką. Nikt nie powinien tego kwestionować. Po wojnie Gunter uruchomił swoje kontakty i przez spokrewnionego pruskiego urzędnika załatwił dla niej akt urodzenia. Dorothea von Ehlers. List, który był w koszyku z dzieckiem, Elisabeth dobrze schowała. Być może popełniła błąd, że go zachowała, ale była to ostatnia wiadomość, jaką w ciągu tych wszystkich lat otrzymała od Viviane. Być może powinna go zawczasu spalić?

Oficjalnie Dorothea była jej córką, a Gunter – który nigdy nie zapytał, skąd się wtedy wzięło to dziecko – nie miał prawa się dowiedzieć, że Dorothea była rodzoną córką cyrkowej woltyżerki i Francuza. Jeszcze matka Elisabeth przekonująco wyjaśniła Gunterowi, że Vivian uciekła z pewnym austriackim ziemianinem. Zawsze było to lepsze niż prawda, ponieważ rodzina Guntera oczywiście chciała wiedzieć, co stało się z młodszą siostrą Elisabeth, której życie było zbudowane na kłamstwach. Sama traciła chwilami orientację, co było prawdą, a co nie.

– Mamo?

Elisabeth pośpiesznie zamknęła nowo zaczęty pamiętnik i schowała go do szuflady toaletki.

– Już idę, skarbie!

Jeszcze raz spojrzała w lustro. Z upływem lat blizny na skórze zrobiły się jeszcze głębsze. Lata wojny, późniejsza bieda, a potem długa ciężka choroba matki, świeć, Panie, nad jej duszą: nawet w domu Berentschów czasy nie były łatwe. Elisabeth myślała, że teraz wszystko się wreszcie uspokoi. Dorothea wyrosła na ładną inteligentną młodą kobietę, jej rodzinie znów dobrze się wiodło… ale wtedy atmosferę zatruli ci brunatni wichrzyciele. Wbili ludziom do głów euforyczne awanturnictwo i groziło, że znów wszystko wywróci się do góry nogami. Och, jak ona nienawidziła tych ludzi. Chociaż jej mąż został jednym z nich. Odkąd pierwszy raz znów włożył mundur, skończył się spokój.

Gunter von Ehlers pragnął zemsty. Zemsty za to, co go spotkało, i to pragnienie padło wreszcie na podatny grunt.

Kiedy Elisabeth zeszła po schodach, Dorothea stała już w holu wejściowym.

– Ojciec i ja zamierzamy już iść. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jutro wieczorem jesteśmy zaproszeni do Vahrenbergów. – Dorothea machnęła małą kartką.

Elisabeth zacisnęła usta i skinęła głową. Dorothea, tak jak zawsze, kiedy wychodziła z domu razem z ojcem, miała na sobie niebieską spódnicę, białą bluzkę i obowiązkową chustę drużyny Związku Dziewcząt Niemieckich. Gunter zadbał o to, żeby Dorothea wstąpiła do Związku. Kiedy jeszcze była młodą dziewczynką, posyłał ją na cotygodniowe wieczorne zebrania. W międzyczasie wyrosła z wieku obowiązkowego członkostwa i obecnie świadomie kierowała własnym kołem w organizacji.

Elisabeth to się nie podobało, tak samo jak niewiele dobrego dostrzegała w tej całej

ideologii. Ale co miała zrobić? To była treść życia Guntera, a odkąd mógł aktywnie udzielać się politycznie, stał się innym człowiekiem. Minął jego depresyjny nastrój i bojowo stawał po stronie swoich kompanów. Każde słowo przeciwko Führerowi wywoływało w domu ostrą kłótnię, zwłaszcza że wszyscy wokół Elisabeth najwidoczniej dali się zarazić brunatno-czerwonym szaleństwem.

– Baw się dobrze. – Dzisiaj było cotygodniowe spo-tkanie miejscowej grupy działaczy, stały punkt w kalendarzu Dorothei i jej ojca, który zajmował ważne stanowisko kierownika okręgu. Do tej pory Elisabeth udawało się skutecznie przed tym bronić.

Miała nadzieję, że Dorothea wkrótce pozna jakiegoś młodego mężczyznę i raczej poświęci się zajęciom domowym, zamiast angażować się w Związek Dziewcząt Niemieckich.

Następnego dnia matka i córka szykowały się późnym popołudniem na wizytę u Vahrenbergów. Dorothea znów włożyła swój mundur.

– Kochanie, nie chcesz włożyć czegoś innego?

– Ach, mamo, przecież stary Vahrenberg jest gauleiterem. Dobrze wiesz, że tata bardzo lubi, kiedy się odpowiednio ubieram. – Dorothea popatrzyła niezdecydowana na szafę z ubraniami. Oczywiście lubiła ładnie się ubierać. Wzruszyła jednak ramionami i poprawiła chustę na szyi. Elisabeth cicho westchnęła.

– Jesteście gotowe? – W korytarzu rozbrzmiało rytmiczne stukanie laski Guntera.

– Tak, już idziemy!

Nienawidził niepunktualności. Elisabeth usłyszała, że przed drzwi podjechał już samochód. Do okien na piętrze dochodził zapach benzyny.

Trochę później jechali ulicami Hamburga. Vahrenbergowie mieszkali poza miastem, kawałek drogi na północ, w położonej w lesie porządnej dzielnicy. Tutaj robiący karierę członkowie partii stworzyli sobie piękny, zdrowy świat. Wszędzie powiewały czerwone flagi z białym kołem i czarną swastyką.

Vahrenbergowie należeli kiedyś do stałych klientów domu handlowego. Odkąd Gunter wstąpił do partii, Klaus Vahrenberg został jego dobrym przyjacielem, zapewne dlatego też, że nie uważał za hańbę odniesionych przez Guntera na wojnie ran, wręcz przeciwnie, dzięki nim w jego oczach był walecznym i dzielnym obrońcą ojczyzny. Co oczywiście było balsamem dla duszy Guntera.

Kiedy dotarli do domu Vahrenbergów, w holu wejściowym było słychać radio.

Ilse Vahrenberg, pulchna kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat, przywitała gości i skierowała ich do salonu, gdzie Klaus Vahrenberg razem z synami w skupieniu słuchali najnowszych wiadomości. Mężczyźni przywitali się, klepiąc po ramionach.

– Wreszcie ktoś się odważył zrobić właściwy krok! – Klaus Vahrenberg przytaknął życzliwie. Jego najmłodszy syn Franz, który był w wieku Dorothei, strzelił obcasami i uniósł ramię w geście pozdrowienia. Przywitanie w wykonaniu starszego syna Vahrenbergów, Jürgena-Alexandra, wypadło trochę ciszej. Skinął głową Gunterowi, a potem przywitał się z kobietami zgodnie z zasadami starej szkoły.

Elisabeth zaskoczyło, że Jürgen-Alexander tak wydoroślał. Tym bardziej odniosła teraz pozytywne wrażenie. Wydawało się, że Jürgen-Alexander oczarował również Dorotheę. Kiedy szarmancko pocałował ją w rękę, Elisabeth zauważyła, jak dziewczyna się rumieni. Omal się nie roześmiała, tak bardzo ucieszył ją ten przypływ uczuć córki, której dotychczasowe życie wydawało się składać wyłącznie z udzielania się w Związku. Ale opanowała się, ponieważ wiedziała, że Gunter miał inne plany co do synów Vahrenbergów. Miał nadzieję, że skojarzy

Dorotheę z Franzem. Kiedy skierował rozmowę na ten temat, Elisabeth tylko zdawkowo odpowiedziała, że poprze jego pomysł, jeśli Dorothea będzie mogła sama zdecydować. Wydawało się, że trafiła w czuły punkt Guntera i że przypomniał sobie w ten sposób, że jego własne małżeństwo zostało zaaranżowane. Elisabeth w żadnym wypadku nie chciała, żeby to samo przytrafiło się jej córce, ale nie była już taka pewna, jak daleko posunie się Gunter.

W każdym razie Jürgen-Alexander zadał sobie więcej trudu niż jego ceremonialnie umundurowany brat, który ze swoim malutkim wąsikiem wyglądał jak młodsza kopia Führera.

– Cieszę się, że znów panią widzę, Dorotheo. Pozwolą panie, że będę im towarzyszył do jadalni? – Zwrócony do Elisabeth, kontynuował: – Pani małżonek, mój ojciec i Franz chcą z pewnością poczekać na wiadomości o siódmej. Sądzę, że panie wolałyby wypić aperitif.

– Dobry pomysł. – Ilse Vahrenberg klasnęła w dłonie. Wydawało się, że nie miała ochoty dalej słuchać trzeszczącego głosu, który dochodził z głośnika.

Pani domu kazała pokojówce przynieść do jadalni tacę z kieliszkami napełnionymi szampanem. Najwidoczniej rodzina Vahrenbergów uznała, że było co świętować.

W pokoju obok mężczyźni pogłośnili radio. Po raz kolejny zabrzmiały słowa Hitlera:

– …i od tej pory za każdą bombę odpłacimy bombą!

Elisabeth przeszły ciarki i jednym haustem wychyliła kieliszek.

Trochę później przyszli do stołu mężczyźni. Byli w świetnych nastrojach. Wesoło rozmawiali ze sobą o wiadomości sprzed kilku godzin, że Anglia i Francja żądają natychmiastowego wycofania się Niemców z Polski.

– Co o tym myślicie? – zadrwił pan domu.

Jego młodszy syn uśmiechnął się zuchwale i powiedział:

– Jeszcze czego, żabojady powinni uważać, żebyśmy i im nie skopali tyłków.

Wzrok Dorothei przeskakiwał pomiędzy jej rodzicami, ale zatrzymał się na Jürgenie-Alexandrze. Elisabeth dostrzegła, że dzisiejszego wieczoru jej córka chyba nie za bardzo była zainteresowana wydarzeniami na świecie – i tak samo Franzem. Jej zawstydzony uśmiech i nieśmiałe ruchy zdradzały, że mają zupełnie coś innego na myśli.

– Podoba ci się Jürgen-Alexander? – zapytała bez ogródek Elisabeth, kiedy kilka godzin później córka szykowała się do snu.

– Jest… jest miły.

– I przystojny.

– Mamo! – Wydawało się, że Dorothea się zamyśliła. – Myślę, że tata nie za bardzo go lubi. Nie słyszałaś, jak krytycznie się dzisiaj o nim wyrażał? Za to jest zachwycony Franzem. Okropne chłopaczysko, nie sądzisz? Jak on się puszy.

– Myślę, że nie powinno się stawiać poglądów politycznych ponad osobistymi zainteresowaniami. Obaj synowie Vahrenbergów są inteligentni i wykształceni.

– Hm.

Jej córka powinna sama znaleźć sobie męża i ten wybór powinien być wolny od wszelkich nacisków. Mężczyźni wyrządzili już w tym domu wystarczająco dużo szkód: miłość, która doprowadziła do ucieczki, małżeństwo, w którym nie było miłości… Coś takiego nie powinno przydarzyć się jej córce.

– Tak, ten Jürgen-Alexander jest przystojny… – Kolor twarzy Dorothei znów zmienił się na jasnoczerwony i Elisabeth od razu wiedziała, że z planów Guntera nic nie wyjdzie. Co prawda jej mężowi by się to nie spodobało, ale w końcu Jürgen-Alexander też był synem gauleitera, mimo że nie podzielał poglądów ojca. Cała nadzieja w tym, że Gunter to zaakceptuje.

– To jak, może byś się gdzieś z nim wybrała? Masz moje błogosławieństwo. – Uśmiechnęła się czule do Dorothei.

– Zobaczę, jeszcze mnie nie poprosił.

– No, ale sposób, w jaki na ciebie patrzył, świadczy, że na pewno wkrótce to uczyni.

Zaproszenie ze strony Jürgena-Alexandra nie kazało na siebie długo czekać. Kiedy stał w holu wejściowym ich domu, czekając na Dorotheę, która szykowała się do ich pierwszego wspólnego wyjścia, jego spojrzenie mówiło więcej niż słowa.

Elisabeth cieszyła się z takiego rozwoju wypadków. Wydawał się przyzwoitym młodym człowiekiem.

Za to Gunter był mniej zachwycony.

– Ten Franz to dopiero jest prawdziwy niemiecki mężczyzna. Wierny ojczyźnie i gotowy do walki – wymamrotał.

– I chciałbyś, żeby twoja córka od razu straciła narzeczonego na froncie? Przecież obaj młodzieńcy są porządnymi mężczyznami. Nie rób więc problemów. Tak czy inaczej, Dorothea będzie miała za teścia gauleitera.

– Gdyby tylko o to mi chodziło. – Machnął ręką.

Elisabeth natomiast cieszyła się ze szczęścia córki. Młoda para wreszcie wniesie prawdziwą i szczerą miłość do domu Berentschów, uczucie, którego Elisabeth zawsze pragnęła dla Viviane i dla siebie. Jeszcze nie przeczuwała, że to uczucie będzie trwało bardzo krótko.

Rozdział 16

Simone, jesteś tu?

Simone zamknęła pamiętnik przestraszona i zmrużyła oczy w jasnym słonecznym świetle, które padało na taras. Głos Pascala dochodził gdzieś z głębi domu.

– Jestem tu, na zewnątrz.

Odpowiedział coś, czego nie zrozumiała. Zamyślona patrzyła na pamiętnik. Czyżby Dorothea nigdy nie dowiedziała się, że miała młodszą siostrę? Czy Elisabeth rzeczywiście utrzymywała córkę w niewiedzy? Nie mogła przestać myśleć o Dorothei.

Nagle w otwartych drzwiach tarasowych pojawił się Pascal.

– Tu jesteś. Twój telefon leżał w sieni i dzwonił. O… odebrałem go.

Wyszedł na taras i podał jej komórkę. Zostawiła ją w garderobie.

Simone spojrzała na niego zdumiona.

– Co to ma znaczyć?

Uniósł ręce w przepraszającym geście.

– Myślałem, że może to coś ważnego.

– Kto dzwonił?

– Rozłączył się, kiedy odebrałem.

Simone nacisnęła kilka przycisków. Na liście połączeń przychodzących ukazało się imię Jensa. Westchnęła. Jeszcze i to. Zapewne nie potraktuje tego jak dowcip, że zamiast niej zgłosił się obcy mężczyzna.

– Co robisz? – Pascal usiadł na ogrodowym krześle przy stole.

– Czytałam.

– Korzystasz z urlopu?

– Nie, to ma związek z Constanze.

– Aha, byłaś u niej?

– Tak, myślę, że z dnia na dzień czuje się trochę lepiej.

– Ja też muszę ją pilnie odwiedzić. Dobrze słyszeć, że lepiej się czuje. Prawdopodobnie nie do końca jest ci to obojętne. – Mrugnął do niej wesoło.

W Simone obudziła się nieufność. Wspomnienie wczorajszego wieczoru nieprzerwanie jej towarzyszyło. Ta naturalność, z jaką teraz usiedli obok siebie, podobała się jej, ale jednocześnie niepokoiła. Pascal był po prostu odrobinę zbyt miły. Cichy głos w jej głowie ostrzegał ją. Ale: dlaczego mężczyzna nie mógłby po prostu być miły?

– Napijesz się kawy? – zapytała, aby oderwać się od swoich myśli. Bardzo się starała, aby w jej głosie nie było słychać zdenerwowania. Z chęcią wróciłaby do lektury i w ogóle musiała pobyć trochę sama. Tyle różnych rzeczy zajmowało jej myśli, że już tylko dziko kłębiły się w głowie i nie chciały wrócić na ziemię.

– Chętnie.

Simone zabrała pamiętnik ze sobą do kuchni. Uznała, że jest zbyt osobisty, i nie chciała wypuścić go z ręki. Nie, żeby spodziewała się, że Pascal, będzie w nim grzebał, kiedy była w domu, ale…

Dała kuksańca maszynie do kawy i wyjęła z szafki dwie filiżanki. Od jakiegoś czasu czuła się w tej kuchni jak w swojej własnej.

Naraz zamarła. Znów przyszło jej do głowy imię: Dorothea. A potem nazwisko mężczyzny: Vahrenberg.

Dorothea Vahrenberg…

Jedna z filiżanek upadła z brzękiem na podłogę. Ale była ślepa! Simone serce podeszło do gardła.

– Co się stało?

W drzwiach pojawił się Pascal i wskazał na rozbitą filiżankę na podłodze. – Wyglądasz, jakbyś nagle zobaczyła ducha.

Simone musiała ręką przytrzymać się kuchennego blatu. Patrzyła w próżnię i próbowała poradzić sobie z mętlikiem w głowie. Już prawie zapomniała, że Vahrenberg było panieńskim nazwiskiem jej matki. Czyżby Dorothea Vahrenberg była… jej babką?

Zakręciło się jej w głowie.

Trochę później Simone znów siedziała na tarasie. Na stole przed nią stała nowa filiżanka z parującą kawą, a naprzeciwko siedział Pascal z zatroskaną miną.

– Jak się czujesz? Byłaś zupełnie nieobecna myślami. Co się dzieje?

– Dziękuję, już wszystko w porządku. Już dobrze się czuję. To był tylko… to jest… to jest jakieś szaleństwo.

– Co?

– Nawet nie wiem, jak mam to powiedzieć… To tutaj. – Pokazała ręką na dom. – Wydaje mi się, że to dom mojej… prababki.

– Co? – Pascal uniósł brwi ze zdziwienia i lekko pochylił się do przodu. – Ty i Constanze… czy ona jest…?

– Nie, nie. Nie Constanze. Constanze miała starszą siostrę.

– I ona jest twoją prababką?

– Nie, moją babcią. Miały tą samą matkę – moją prababkę. Chociaż sama z trudem mogę w to uwierzyć. Ale nazwisko…

– Nic nie wiesz o swojej babce albo prababce? – zapytał, a jego głos był zimnym służbowym głosem adwokata.

Simone nie zwróciła na to uwagi i smutno pokręciła głową.

– Muszę przyznać, że nie wiem zbyt wiele. Moja matka chyba bardzo wcześnie pokłóciła się ze swoją matką. Nie wiem, co dokładnie się zdarzyło. To znaczy moja babka umarła, zanim się urodziłam. Nigdy jej nie poznałam.

– Hm. A jak teraz wpadłaś na to, że jest w tym jakiś związek? – Jego głos wciąż był niezmiennie zimny.

Simone nagle coś zaświtało, ale była tak skołowana, że nie miała pewności, czy sobie tylko tego nie wyobrażała.

– Wiem, że moja babka miała na imię Dorothea, a panieńskie nazwisko mojej matki to Vahrenberg. I matka pochodzi z Hamburga.

– A dlaczego przyszło ci to do głowy dopiero przed chwilą w kuchni? – Zaśmiał się cicho, jego głos brzmiał teraz trochę bardziej miękko. – Ale chyba to nie kawa cię na to naprowadziła. Czy Constanze powiedziała ci coś, że przyszło ci to na myśl?

– Nie, obawiam się, że Constanze nawet nie wie, że miała siostrę.

– Ale ty wiesz?

– Tak… no tak, nie jestem tego pewna, ale wszystko na to wskazuje.

– Wszystko?

Simone westchnęła. Co miała do stracenia? Musiała powoli poskładać te puzzle, bo inaczej nie dałoby to jej spokoju. Opowiedziała Pascalowi całą historię, zaczynając od kufrów,

przez pamiętniki, aż po to, czego dowiedziała się od Constanze. Teraz, kiedy jeszcze raz streściła tę historię, rzeczywiście dostrzegła w niej dużo spójności.

– Skoro Constanze nie wie, że miała siostrę, może też nie wiedzieć, że jesteś jej wnuczką. Ale chyba nie dlatego cię tu sprowadziła – kombinował Pascal.

– Tak, ja też tak myślę, ale z jakiegoś powodu wybrała właśnie mnie. Wydaje mi się, że zlecając mi kupno kufrów i siodła na licytacji, chciała coś uporządkować. Nie wiem co. Ma trudności z przypomnieniem sobie rzeczy, które wydarzyły się na krótko przed jej zasłabnięciem. Ale być może wróci jej pamięć.

– Mówiłem ci, że jej szare komórki są jeszcze całkowicie sprawne. A więc z pewnością miała swoje powody. – Wyprostował się i pogładził po włosach.

– Gdybym tylko wiedziała, co to są za powody!

– Taak… – Zaśmiał się, ale ten śmiech zabrzmiał trochę sztucznie, jakby śmiał się do klienta. – W takim razie chyba zostaniesz tu jeszcze trochę dłużej?

Zrezygnowana podniosła ręce.

– A co innego mi pozostaje? Chyba ta historia powoli staje się również moją historią. Teraz muszę się dowiedzieć, jak to wszystko się kończy.

– To dobrze. – Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Simone przypatrywała mu się przez chwilę. Czy „to dobrze" znaczyło, że ona jeszcze tu zostanie, czy dobrze, że chce doprowadzić tę historię do końca? Znów wstąpiła w nią nieufność. Czyżby rzeczywiście nie wiedział nic więcej, niż jej wyjawił? A może Constanze powiedziała mu wcześniej coś, czego teraz już nie pamiętała, a on bardzo dobrze o tym wiedział? W duchu trochę się od niego odsunęła. Krótko zastanawiała się, jak bardzo może wprowadzić go w tę historię. Jeśli coś wiedział, to zapewne wcześniej czy później świadomie czy nieświadomie jej to powie. Odezwało się jej sumienie: on jest adwokatem, potrafi kłamać bez mrugnięcia okiem! Ale był też miły i jej pomógł. Poza tym lubiła przebywać w jego towarzystwie. Chyba jednak zaryzykuje. Tak czy inaczej, był on częścią całości, jak zawsze.

– I co dalej? Co teraz zamierzasz? – przerwał jej wewnętrzny monolog.

Simone przez chwilę się zastanawiała.

– Dziś rano Constanze powiedziała mi o albumie. Ze wspomnieniami o jej matce, czyli mojej prababce. Możemy go… chętnie bym go zobaczyła.

– Wiesz, gdzie on jest?

Simone przytaknęła.

Znaleźli album w szufladzie, dokładnie tak, jak powiedziała Constanze. Był to gruby plik kartek pomiędzy dwiema okładkami z kartonu, związany niebieską jedwabną wstążką. Teczka wyglądała na zniszczoną. Constanze chyba nigdy nie uwolniła się od wspomnień.

Album składał się z fotografii, artykułów prasowych i kilku odręcznych rysunków. Simone i Pascal rozłożyli wszystko na drewnianej podłodze w biurze Constanze.

W którymś momencie zapadającego już wieczoru przywędrowała z kuchni butelka wina. Przyglądali się starym zdjęciom. A Pascal przetłumaczył Simone kilka artykułów prasowych. Viviane naprawdę była cyrkową gwiazdą i Simone poczuła się dziwnie dumna. Słuchała ciepłego miękkiego głosu Pascala i przyglądała mu się, kiedy szperał w starych fotografiach. Był szczerze zaciekawiony, wydawało się, że pomaganie jej przy układaniu tych puzzli sprawia mu przyjemność. Teraz był jej sojusznikiem. I dobrze się z tym czuła.

Kiedy zapadła noc i księżyc wzniósł się nad ogród, Simone wyprostowała zesztywniałe ciało. Pod wpływem wina cała historia jawiła się jej jak film, a nieufność do Pascala znikła. Ale

koniecznie musiała przemyśleć wszystko jeszcze raz na trzeźwo. Jutro.

– Jak myślisz? Pójdziemy jeszcze na krótki spacer?

Popatrzyła na niego zachęcająco. Pójście z nim na spacer w księżycową noc, kiedy była oszołomiona winem i w sentymentalnym nastroju, było ryzykownym przedsięwzięciem, ale zdecydowała się na ten krok.

– Do klifu? – Wstał i śmiejąc się podniósł ją ze ręce z podłogi.

– Do klifu.

Trochę później stali blisko siebie na górze nad wybrzeżem. Pod nimi fale uderzały o skały, a księżyc odbijał się w morzu długimi srebrzystymi pasmami. Było zimno, Simone drżała. Pascal objął ją i przyciągnął do siebie. W milczeniu patrzyli w dal.

– Widzisz, więc jednak już trochę należysz do tego miejsca.

– Tak, tak mi się zdaje.

Może i tak było. Jej prababka była przywiązana do tego miejsca i spędziła tu swoje najszczęśliwsze lata. Simone nie potrafiła powiedzieć, czy odziedziczyła to przywiązanie. Ale z pewnością nie mogła zaprzeczyć, że w tej chwili dobrze się tutaj czuła.

Pascal odwrócił się do niej, odgarnął rozwiane kosmyki włosów z jej twarzy i objął ją jeszcze mocniej. W głowie Simone wszystko wirowało, pod powiekami tańczyły tysiące gwiazd, kiedy zamknęła oczy, i miała wrażenie, że spada. Simone czuła jego ciepłe dłonie, jego usta szukały jej ust i przycisnął ją do siebie, najpierw z wahaniem, potem zdecydowanie. Wtedy odsunął się od niej z ciężkim westchnieniem, jeszcze raz pogłaskał ją po policzkach i cofnął ręce, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, co się właśnie stało. Niepewnie zrobił krok do tyłu.

– Wracajmy, zrobiło się zimno.

Dziedzictwo sióstr

Rozdział 17

Simone się przestraszyła, kiedy następnego dnia zobaczyła Constanze. Ze zmartwienia ból głowy zniknął jak ręką odjął. Na dodatek miała jeszcze lekkiego kaca po wczorajszym winie i zastanawiała się, jak ostatni wieczór zmienił jej historię. Oczywiście dręczyło ją sumienie. Powinna wyjaśnić swoje stosunki z Jensem, zanim tutaj w coś się zaangażuje. Ale po pocałunku na klifie Pascal wyraźnie trzymał się na dystans, pożegnał się z nią oficjalnie przed domem i szybko odszedł. Czy ta cała sytuacja zmieszała go tak jak ją? Czy też było jeszcze coś innego?

Ale wszystko zeszło na drugi plan, kiedy zobaczyła starą kobietę, bladą i słabą, leżącą wśród poduszek.

– Źle się pani czuje? – Ostrożnie podeszła do łóżka.

Constanze spróbowała się trochę podnieść.

– Nie, już dobrze. Dziś rano moje nogi nie chciały robić tego, co bym chciała. Lekarz powiedział, że to od tego, że kiedy byłam młoda, za dużo siedziałam na końskim grzbiecie. – Uśmiechnęła się. – Zapewne sfatygowałam kolana.

– Może lepiej przyjdę kiedy indziej?

Constanze chwyciła Simone za rękę.

– Nie, dziecko, proszę, niech pani zostanie. O ile nie będę musiała dzisiaj tańczyć, dam radę. Chcę opowiedzieć pani, co było dalej.

Simone mocniej zabiło serce. Wróciła tu dokładnie z tego powodu. Właśnie teraz, jak przypuszczała, historia stała się po części jej historią, i umierała z ciekawości, aby dowiedzieć się, jak w końcu Constanze i Dorothea się spotkały. Jak to się stało… Przecież Simone nie potrafiła sobie inaczej wytłumaczyć tego, jak kufry i siodło znalazły się w Hamburgu.

– Proszę usiąść, Simone. Zaraz pielęgniarka przyniesie nam kawę.

Simone przysunęła sobie krzesło do łóżka.

– Obejrzała pani album… ten o mojej matce?

– Tak. Była naprawdę piękną kobietą.

Constanze z westchnieniem opadła na poduszki.

– Tak, była piękna. Gdyby tylko nie przydarzył się jej ten wypadek! Prawdopodobnie jeszcze przez wiele lat bylibyśmy szczęśliwą rodziną.

Simone milczała. Co miała na to powiedzieć?

Constanze machnęła ręką.

– To było tak dawno temu, ale przecież nie zapomina się swoich rodziców.

Rozległo się pukanie do drzwi i pulchna pielęgniarka wniosła tacę z filiżankami i dzbankiem z kawą.

– Dziękuję, Sarino. – Constanze skinęła pielęgniarce. – Gdyby człowiek nie wiedział, gdzie jest, mógłby sądzić, że w tym hotelu mają pierwszorzędną obsługę.

Pielęgniarka roześmiała się i troskliwie poprawiła łóżko Constanze.

– Chyba trzymamy panią tutaj tylko dlatego, że jest pani taka miła.

– Mam nadzieję, że nie!

Kiedy pielęgniarka wyszła z pokoju, Simone nalała im kawę.

– Lekarz powiedział, że nie powinnam ciągle pić tego świństwa. – Constanze postukała palcem w filiżankę. – Ale boję się, że bez tego serce mi osłabnie.

Simone dobrze to rozumiała, sama też czuła się dzisiaj wyjątkowo rozbita i zmęczona, mimo że wczorajszy wieczór z Pascalem był taki cudowny.

Resztę nocy spędziła na rozmyślaniu i mało spała. Tylko jak to teraz będzie? Dobrze się tu czuła, a w obecności Pascala czuła się bezpiecznie. Znali się jednak dopiero parę dni. Ale czy nie była to stereotypowa wymówka? Może to jednak była miłość od pierwszego wejrzenia? Tylko czy była to miłość, czy raczej fascynacja spowodowana niezwykłym panującym tutaj nastrojem, który ich połączył? Nie mogła zapominać, że w domu czekał Jens i prawdopodobnie był wściekły. Nie mog-ła brać mu tego za złe. Powinna dzisiaj przynajmniej zadzwonić i powiedzieć kilka słów wyjaśnienia. Tylko co miała mu powiedzieć? „Cześć, Jens, całowałam się z innym mężczyzną i nie wiem, co z tego będzie. Byłbyś zły, gdybym została tu jeszcze kilka dni"? Wydała się sobie taka głupia. Nie, najpierw sama musiała uporać się ze swoimi uczuciami. To na pewno. Ale jak długo coś takiego trwa?

– Jest pani dzisiaj trochę blada, Simone.

Simone przestraszyła się.

– Ja… krótko spałam ostatniej nocy.

– Ach tak, ale mam nadzieję, że dobrze się pani czuje w domu.

– Czuję się tam bardzo dobrze, proszę się nie mart-wić, to nie z powodu domu.

– Tak się cieszyłam, kiedy wróciliśmy do Bretanii, nawet nasz dom jeszcze stał. Niemcy okupowali cały kraj. To wyszło na dobre naszej podróży. Kiedy w czterdziestym czwartym Amerykanie przegnali Niemców, dzięki moim francuskim korzeniom udało mi się nas ochronić.

– Nas? – Simone zamieniła się w słuch.

– Tak, nie byłam wtedy sama. Powinnam zacząć od początku. – Constanze aż się rwała do kontynuowania opowieści i Simone uśmiechnęła się do niej zachęcająco.

– Przebywaliśmy nadal w Breslau, a moja matka była jeszcze daleka od tego, żeby mogła wyruszyć w podróż do Francji. Tkwiliśmy więc w mieście. I chociaż lekarze nie dawali nam większych nadziei, liczyliśmy na cud. Sytuacja na froncie wschodnim się zaostrzyła. Wracało coraz więcej rannych, podczas gdy w przeciwnym kierunku podążały brygady pancerne i eskadry lotnictwa. Na szpitalnych korytarzach szerzyły się ciche plotki, że na wschodzie wszystko jest już stracone. Postrachem stały się nowe słowa: Armia Czerwona. Przyjdą, zaleją kraj i będą się mścić. Nikt nie mówił tego głośno. Żołnierze szeptali, zakrywając usta dłońmi. Kiedy w ich pobliżu przechodził oficer albo lekarz, zachowywali się, jakby mieli nie po kolei w głowie. Nikt nie chciał wrócić na front. Euforia z pierwszych lat wojny minęła.

Constanze uniosła upominająco palec.

– Czasem należy słuchać swojej intuicji. Miałam niemiłe uczucie już na widok pierwszej czerwonej flagi. W każdym razie ojciec był bardzo przygnębiony. Chociaż miał nadzieję, że jest inaczej, matka nie nadawała się do transportu. Pewnego dnia wezwali mnie – to było jesienią czterdziestego trzeciego – do jej łóżka. Matka miała zapłakane oczy, a ojciec był blady i zdenerwowany. „Constanze, musisz stąd wyjechać, robi się tu zbyt niebezpiecznie", powiedział cicho. Pamiętam jeszcze, że stałam jak rażona piorunem i próbowałam zrozumieć, co miał na myśli.

Matka była bardziej konkretna. „Musisz wyjechać na zachód. Tylko żadnego sprzeciwu! Spakuj rzeczy, przyszykuj wóz, zaprzęgnij najsilniejsze konie, jakie jeszcze zostały, i zabierz ze sobą oba ogiery".

Zaprotestowałam. Jak miałam sama dać sobie z tym wszystkim radę? Przecież jeszcze nigdy nie byłam bez rodziców! Nie byłam jeszcze dorosła! – powiedziała Constanze głosem zrozpaczonej młodej dziewczyny.

– Ojciec przysiągł mi, że jest to dla mnie najbezpieczniejsze wyjście. Rozmawiał już z pozostałymi artystami. Kilkoro z nich z pewnością będzie mi towarzyszyć. „Musisz spróbować dostać się do Hamburga, Constanze", powiedziała mocnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem

matka. „Mieszka tam moja siostra, idź do niej! Ona ci pomoże”.

Byłam jak rażona piorunem! Nigdy nie przypuszczałam, że matka miała rodzinę w Niemczech, w Hamburgu. To, że teraz mi o tym powiedziała i mnie tam wysyła, odzwierciedlało tragiczną sytuacje, w jakiej się znajdowała. Bała się o mnie.

Constanze przez chwilę milczała. Simone cierpliwie czekała.

– Amalia, akrobatka na linie, i klaun Peppone już zadeklarowali, że będą mi towarzyszyć. Amalia chciała jechać do Hamburga, a potem dalej do Bremy, gdzie postara się znaleźć swoją rodzinę. Peppone miał nadzieję, że znajdzie zajęcie w Hamburgu, chociaż już wtedy było to szaleństwem, ponieważ całe uregulowane życie stopniowo waliło się w gruzy. Zatrudnienie można było znaleźć wyłącznie w wojsku. Bądź co bądź nie zostawiono mnie samej sobie i ojciec poparł decyzję ich obojga. Och, biedny Peppone! W międzyczasie stracił wszystkie swoje ukochane kuce. Pamięta pani, te, które uciekały we wsi?

Simone skinęła głową i Constanze głęboko westchnęła.

– Myślę, że właśnie w tamtej chwili rozpadła się nasza rodzinna firma. Nie mogłam zabrać wyposażenia, zarekwirowano już traktory i większość koni pociągowych, a pozostali artyści rozproszyli się po całym świecie i szukali szczęścia w ucieczce.

– Czy to znaczy, że po wojnie nie pracowała już pani w cyrku? – zapytała Simone. Przypomniała sobie liczne fotografie i artykuły prasowe na ścianie w kuchni Constanze.

– Ależ skąd, pracowałam, ale już nigdy na własną rękę. Po wojnie… po wojnie byłam zupełnie sama. Później hodowałam konie.

– Wcześniej powiedziała pani, że nie wróciła pani sama – stwierdziła Simone zbita z tropu.

Constanze zaśmiała się cicho i pokręciła głową.

– Tak, my… Jürgen i ja. Nie był człowiekiem cyrku, a poza tym…

Jürgen? Jürgen-Alexander Vahrenberg? Ten Jürgen z pamiętnika Elisabeth? Simone szumiało w głowie. Nie był przyjacielem Dorothei… tylko jej mężem? Dlaczego pojechał z Constanze do Francji? Czy to on był tym *dziwnym* Niemcem, o którym wspomniał Pascal? Tym, który kiedyś mieszkał u Constanze? I – na myśl o tym ścisnęło ją w żołądku – czy ten Jürgen był w końcu jej dziadkiem? Nie pomyślała o tym wczoraj, kiedy czytała pamiętnik Elisabeth. To pokrewieństwo wciąż wydawało się jej nierealne.

– …poza tym po wojnie czasy się zmieniły.

Simone musiała się skupić, żeby nadążać za słowami Constanze.

– Wyruszyliśmy z Breslau w październiku. Podróż w miesiącach zimowych nie była dobrym pomysłem, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Ojciec ponaglał mnie do wyjazdu. „Pojedziemy za tobą, gdy tylko to będzie możliwe! Czekaj na nas w Hamburgu!”. Sądzę, że powiedział to, żeby dodać mi odwagi. Ale widziałam strach w jego oczach. Przy pożegnaniu płakałam przy łóżku matki. I jeszcze dzisiaj widzę ich oboje, jakby to było wczoraj, tam, w tej szpitalnej sali, jak trzymają się za ręce.

Po policzku Constanze spłynęła łza.

– Jeśli pani nie chce, to nie musi pani opowiadać dalej. – Simone podała jej chusteczkę.

– Nie, już w porządku, właściwie to dobrze zrobić przegląd swojego życia. Tylko niektóre wspomnienia są po prostu bolesne.

– Czy wie pani, co się wtedy stało z pani rodzicami?

Constanze wzruszyła ramionami.

– Nie wiem dokładnie. Lata później dowiedziałam się, co miało się wydarzyć. Ale nie wiem, czy tak było naprawdę.

Znów głęboko westchnęła.

– Powiedziano mi, że podczas bombardowań w październiku czterdziestego czwartego ojciec nie uciekł jak wszyscy inni na wieś. Został w mieście z moją matką. Hitler ogłosił miasto twierdzą i prawie nikt nie mógł z niego wyjść ani do niego wejść. W styczniu czterdziestego piątego gauleiter nakazał ewakuację. Armia Czerwona przekroczyła Wisłę i parła do przodu. No tak, historia ucieczki ze wschodu jest znana. To musiało być straszne.

– Czy pani ojciec wtedy uciekł?

– Nie. Chciał wesprzeć matkę. Niestety, zapewne wpadł w ręce pierwszych czerwonoarmistów. W każdym razie tak mi powiedział jeden z naszych starych stajennych, który też tam został i którego spotkałam wiele lat później. To ostatnie, co słyszałam o ojcu i matce. Myślę… myślę, że nie przeżyli szturmu na miasto.

– Przykro mi.

Simone przełknęła ślinę. Na myśl, że ciesząca się życiem i dawniej tak sprawna Viviane została przykuta do wózka inwalidzkiego w mieście, kiedy zbliżała się do niego armia sowiecka, ciarki przeszły jej po plecach. Viviane i Philippe, jej dziadkowie, osaczeni przez okru-cieństwa wojny. Znało się takie historie. Do tej pory nie zastanawiała się nad tym, w jaki sposób wojna dotknęła jej własną rodzinę. Wspomnienia kończyły się na rodzicach. Przedtem niewiele mówiło się o rodzinie, oprócz kilku enigmatycznych wzmianek. Matka nigdy nie wspominała o przeszłości ani o swoich rodzicach. Kiedy Simone była mała, na pytanie, czy ma babcię, otrzymała odpowiedź: „Nie, jest już w niebie". Wtedy jej to wystarczyło, nie pytała dalej.

Teraz była zła, że nie dopytywała dokładniej. Jednak nigdy nie była w bliskich stosunkach z matką. Prawdopodobnie jej pytania spłynęłyby po niej jak krople deszczu po szybie.

– Wygląda pani na zamyśloną, Simone.

– To były niedobre czasy.

– Tak… – Constanze patrzyła przez okno zamyślona.

– Przyjechała pani bez problemów do Hamburga?

– Hm, to zależy, jak na to patrzeć. Łatwo nie było i, jak łatwo zgadnąć, podróż nie okazała się przyjemna. Ale… – Constanze klepnęła ręką o pościel – wciąż żyję.

Pojechałam więc wtedy z Amalią i Peppone'em. Było już zimno i opady deszczu sprawiały, że drogi stawały się nieprzejezdne. Zaprzęgłam ostatnie, jakie nam zostały, bretońskie zimnokrwiste konie. Nie zarekwirowano ich nam, ponieważ miały bardzo krzywe nogi, ale potrafiły ciągnąć jak woły. Baresę i starego Artikosa przywiązałam z tyłu wozu. Zarzuciłam im na grzbiety dwie warstwy starych derek, sierść na łbach i szyjach wysmarowałam błotem, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że konie, które za sobą ciągnęliśmy, były szlachetnymi rumakami. Dzięki Bogu, niewielu interesowało się końmi. Amalia i ja byłyśmy bardziej narażone. Wszędzie na drogach natykaliśmy się na grupki zdemoralizowanych żołnierzy. Rozproszeni błąkali się po okolicy i szukali… nie wiem czego? Odmiany? Kogoś, kto powiedziałby im, co mieli robić? Frontu? W każdym razie nie byli w najlepszym nastroju, a kobiety były zdane na ich łaskę i niełaskę.

Peppone niejeden raz nas ratował. Pod łóżkiem w wozie znajdowała się skrytka. Chowałyśmy się tam za każdym razem, kiedy żołnierze przetrząsali wóz, drżąc ze strachu i nasłuchując, co działo się na zewnątrz. Którymś razem Peppone został pobity, ponieważ żołnierze niczego nie znaleźli, ani alkoholu, ani pieniędzy, jedzenia, papierosów ani dziewcząt.

Kiedyś, to była wyjątkowo przykra historia, zrzucili Peppone'a z kozła i ukradli cały wóz z nami w środku. Zatrzymali się gdzieś i sprowadzili sobie kobiety. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zapomniała o tym, co się wtedy wydarzyło.

Peppone znalazł nas kilka godzin później, byłyśmy prawie nieprzytomne ze strachu i dlatego, że w skrzyni zaczynało powoli brakować powietrza. Na szczęście żołnierze stracili

zainteresowanie wozem i ruszyliśmy dalej.

Jechaliśmy przeważnie przez tereny wiejskie. Unikaliśmy dużych miast. Padał śnieg. Na poboczach dróg leżały padłe zwierzęta, konie, bydło… i od czasu do czasu również ludzie. Peppone nie pozwalał nam więcej wyglądać z wozu. Amalia i ja siedziałyśmy w kucki obok siebie i próbowałyśmy się nawzajem ogrzewać. Nie wiem, jakie potworne rzeczy można było jeszcze zobaczyć po drodze. W każdym razie Peppone nie był już klaunem, kiedy w końcu dotarliśmy do Hamburga. Później pomyślałam, że tylko obietnica dana mojemu ojcu, że będzie na mnie uważał i dowiezie mnie do celu, kazała mu jechać dalej.

Niedaleko przed Hamburgiem straciliśmy jeszcze starego Artikosa. To było głupie, żeby ciągnąć ze sobą przez cały kraj ponaddwudziestopięcioletniego konia. Dzisiaj to wiem, ale wtedy był dla mnie czymś, co łączyło mnie z rodzicami. Skoro już nie mogli jechać ze mną, chciałam przynajmniej jego mieć przy sobie. Ale wyczerpująca droga pochłonęła jego ostatnie siły. Czułam, jak robił się coraz słabszy, mieliśmy też mało pożywienia dla zwierząt. Gdzieś pod Lüneburgiem nagle coś szarpnęło wozem. Koń pociągowy spłoszył się i wbił się czterema kopytami w ziemię. Amalia i ja ostrożnie wyjrzałyśmy z wozu. Jeszcze jeden napad? Już miałyśmy ukryć się w skrzyni. Ale wtedy Peppone wywołał nas na zewnątrz. Wyszłyśmy po koźle na lodowaty wiatr.

Za wozem Artikos leżał płasko na boku.

– Nie żyje – powiedział Peppone i przeciął powróz. To był pierwszy raz, kiedy się rozpłakałam podczas tej podróży. Opłakiwałam rodziców i wiernego konia.

Constanze drżała broda i zacisnęła wargi.

– Jak go tak zostawić... – Wytarła łzy. Minęła chwila, zanim się otrząsnęła i mogła mówić dalej.

– Na początku listopada dotarliśmy do Hamburga, a dokładniej mówiąc, do miejsca, które kiedyś było Hamburgiem. Po nalotach bombowych, których miasto doświadczyło latem czterdziestego trzeciego, nie został tam kamień na kamieniu. Oczywiście po drodze niejeden raz widzieliśmy zniszczenia, ale to, co ujrzeliśmy tam, przewyższało wszystko. Bezdomnych było więcej niż tych, którzy mieli dach nad głową. W ruinach koczowali ludzie, wycieńczeni, w łachmanach, trzęsący się z zimna. Okropnie się bałam, że mogło się to przydarzyć również mojej ciotce. Co będzie, jeśli nie będzie mogła mnie przygarnąć?

To były straszne godziny, wreszcie przedarliśmy się wozem do Blankenese. Ale w rzeczywistości bomby nie spustoszyły tego miejsca tak, jak centrum miasta. Byliśmy śmiertelnie wyczerpani.

Constanze cicho westchnęła, jakby wciąż czuła to wyczerpanie.

– Na pewno nie było łatwo przyjechać zupełnie samej, i to jeszcze do całkowicie obcych ludzi. – Simone wzięła starą kobietę za rękę i uścisnęła ją.

Constanze z wdzięcznością odwzajemniła gest.

– Rzeczywiście nie było łatwo. Kiedy stanęłam przed drzwiami domu, ogarnął mnie strach, że nas odprawią. Przecież w ogóle nie znałam mojej ciotki. Przez te wszystkie lata nie miałam z nią kontaktu, a teraz byłam tam i musiałam prosić ją o pomoc.

Drzwi otworzyła mi kobieta ubrana w fartuch, który włożyła na czarną podomkę. Zbeształa mnie ponurym głosem, że nic nie ma, i zamierzała od razu zamknąć drzwi. Pamiętam jeszcze, że zaczęłam się jąkać ze zdenerwowania: „Chciałam zobaczyć się z Elisabeth, przysłała mnie jej siostra". – Constanze mimowolnie przeszły ciarki na to wspomnienie.

– Ciotka napędziła mi strachu przy pierwszym spotk-aniu. Próbowałam opowiedzieć jej w paru słowach, co się zdarzyło, i że przysłała mnie tu moja matka zmuszona do tego. Potem dałam jej list od matki.

„A więc spadła z konia, można się było spodziewać, że któregoś dnia tak się stanie", skomentowała, kręcąc głową. Stałam tam z opuszczonymi ramionami, przemarznięta do kości, a pierwsze, co usłyszałam od niej, to zarzut, że matka była sama sobie winna. Myślę, że zaważyło to na naszych stosunkach. Byłam na nią taka wściekła. Moja matka leżała w Breslau, nie mogąc uciec przed bombami, a wydawało się, że to w ogóle nie poruszyło jej jedynej siostry.

Przynajmniej zaoferowała mi kwaterę. „Sami nie mamy dużo, czasy są bardzo ciężkie. Ale oczywiście możesz tu zostać", powiedziała w końcu.

Nie jestem sama, wyszeptałam i wskazałam nieśmiało na drzwi. Ciotka wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła wóz cyrkowy, obok niego czekali Peppone i Amalia.

„Przyjechaliście tu czymś takim?". Ciotka zastanowiła się. „No dobrze, niech pojadą na tyły domu, mogą tam zostać. Konie pójdą do starej stajni. Tilla, idź i pokaż im wszystko. Ty – odwróciła się do mnie i przyglądała mi się jak koniowi na targu – oczywiście możesz zostać w domu. Powinnaś się umyć i … przebrać w czyste rzeczy. Moja córka coś ci da".

Ulżyło mi, na razie byliśmy bezpieczni. Ale ciążyło mi rozdzielenie z Peppone'em i Amalią. Odbyliśmy razem taką długą podróż, doświadczyliśmy tak wiele złego. A teraz moja ciotka potraktowała ich, jakby byli podejrzanymi dorywczymi robotnikami. Ciotka była taka… taka inna niż moja matka. Nie tylko mało przypominała ją z wyglądu, również w jej sercu było mniej ciepła. I okropnie tęskniłam za wszystkim, co w moim życiu do tej pory coś znaczyło, co znałam, za artystami, areną, końmi.

Jedyne szczęśliwe chwile w Hamburgu zawdzięczałam mojej kuzynce Dorothei. Była, jak stwierdziłam z upływem tygodni, dużo bardziej podobna do mojej matki niż ciotka Elisabeth, nie tylko z sylwetki, lecz również z serdecznego charakteru.

Simone słuchała tak skoncentrowana, że na dźwięk imienia Dorothea zakrztusiła się i musiała odkaszlnąć.

– Przepraszam. – Próbowała przezwyciężyć drapanie w gardle. *Kuzynka!* Czyli Constanze prawdopodobnie do dzisiaj nie wiedziała, że miała siostrę.

– …w ciągu następnych miesięcy Dorothea stała się moją dobrą przyjaciółką i jedyną sojuszniczką, którą miałam w Hamburgu. Ona i jej narzeczony. Ciotka natomiast chyba nie była zadowolona, że się tam pojawiłam, ale dopiero później odważyła się mnie odesłać i tym samym odebrała mi również jedyną prawdziwą przyjaciółkę, nie – pokrewną duszę, jaką kiedykolwiek spotkałam.

Constanze zamknęła oczy zmęczona.

– Przykro mi. Po wojnie nigdy nie nawiązała pani kontaktu z Dorotheą?

Z wciąż zamkniętymi oczami Constanze pokręciła głową.

– Nie. Próbowałam później, ale moje listy wracały nieotwarte. Siodło i kufry były jedynymi rzeczami, które udało mi się uratować z Breslau, i musiałam je wtedy zostawić w Hamburgu. Zawsze miałam nadzieję, że moja matka… moi rodzice pewnego dnia wrócą. Wiedziałam, że mogę przechować rzeczy u Dorothei. Ale już nigdy o niej nie słyszałam, myślałam już, że je straciłam.

– Zadbam o to, żeby jak najszybciej zostały dostarczone do Francji, żeby je pani mogła wreszcie odzyskać.

– To bardzo miłe z pani strony, Simone. Nie byłam pewna, czy wciąż tam są. Kiedy dowiedziałam się, że dom ma zostać zlikwidowany… Dzięki Bogu Pascal zawczasu mnie poinformował.

– Pascal? – Simone poczuła się zaintrygowana.

– Tak, rozmawialiśmy kiedyś o mojej przeszłości. Zaproponował, że zasięgnie języka, czy pojawiły się jakieś informacje o zaginionych podczas wojny. Co prawda byłam przekonana,

że moi rodzice nie wydostali się z Breslau, ale teraz mam jakąś nadzieję. – Constanze cicho westchnęła.

– Dobrze to rozumiem – powiedziała Simone ze współczuciem. – Na pewno było to bardzo trudne dla pani. Myślę, że będzie lepiej, jeśli dzisiaj już pójdę. – Czuła, że stara kobieta była bardzo wzburzona. I nagle przyszło jej do głowy coś zupełnie innego. Pascal wiedział o aukcji. Dlaczego nic jej nie powiedział? Czyżby wiedział coś więcej?

– Proszę trochę odpocząć, a jutro znów chcę widzieć panią na nogach, słyszy pani, Constanze? – Simone uśmiechnęła się zachęcająco.

– Postaram się. Jestem jak stary koń, jeśli mnie się wystarczająco popędzi, daję z siebie wszystko. A pielęgniarki zrobią resztę.

Simone pośpiesznie wróciła do Tréveneuc. To, że Elisabeth nie była zachwycona, kiedy nagle w jej drzwiach stanęła córka Viviane, o której prawdopodobnie nic nie wiedziała, to było jedno. Ale że Constanze i Dorothea zostały na dodatek dobrymi przyjaciółkami… Simone potrafiła sobie wyobrazić, że Elisabeth włączyły się wszystkie dzwonki alarmowe. Miała nadzieję, że dowie się czegoś więcej z ostatniej części pamiętnika Elisabeth. Nie przeczytała jeszcze wszystkiego. Przeszkodził jej Pascal i wieczór ze sporą ilością wina, który skończył się na klifie. Pascal…

W Simone wstąpiła lekka złość. Coś przed nią ukrywał. Wiedział o aukcji. Czy wiedział też o *niej*? Koniecznie musiała z nim porozmawiać. Ale najpierw chciała poznać dalsze losy Constanze i Dorothei. Nie przypuszczała, że miała taki ścisły związek z tą historią. W jaki sposób ktoś na francuskiej prowincji dowiedział się, że pośrednio miała z tym coś wspólnego? Szczerze mówiąc, chyba tylko szukała powodu, aby nie musiała wkrótce porozmawiać z Pascalem. Bała się, że jeszcze czegoś się dowie.

Kiedy dotarła do *château*, od razu wzięła do ręki pamiętnik Elisabeth i usiadła z podwiniętymi nogami na szerokim fotelu w salonie.

Rozdział 18

Hamburg, 17 listopada 1944

Dlaczego to zrobiłaś, Vivi? Dlaczego ją tu przysłałaś? Naprawdę próbowałam. Nie mogłam pozwolić jej stać w progu zmarzniętej i na pół zagłodzonej. Ale ona naraziła wszystko na niebezpieczeństwo, również Jürgena-Alexandra. Ach, nigdy nie zaakceptowałam tego związku. Nie przypuszczałam… Wszyscy chcą mi odebrać to, co jest najważniejsze w moim życiu. Moją córkę.

Rok wcześniej

Początkowo wojna była dla Elisabeth sprawą abstrakcyjną. Słyszało się w wiadomościach o zdobyczach Rzeszy Niemieckiej w dalekich krajach, a gazety wiwatowały na cześć szybkiego zwycięstwa i wielkiego mocarstwa Hitlera.

Euforia w Hamburgu minęła jak ręką odjął dwudziestego piątego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Było upalne lato i kiedy Elisabeth wyglądała przez okno, widziała w oddali tylko wąski ciek wodny Łaby, a nie okazały nurt jak dawniej. Nad doliną drgało powietrze, a w ogrodzie drzewa zaczęły już zrzucać liście.

Dorothea cieszyła się na nadchodzące uroczyste zaręczyny, które były zaplanowane na początek września. Ona i Jürgen-Alexander zostali parą. Jeśli taka pogoda się utrzyma, zapewne będzie można urządzić uroczystość w ogrodzie. Elisabeth już na kilka tygodni wcześniej poleciła Tilli oszczędzać żywność.

Gunter zezłościł się na Elisabeth.

– Jak gdyby Führer nie dość się o nas troszczył.

Od początku wojny racjonowano wszystkie produkty spożywcze. Kolorowe kartki żywnościowe już od dawna codziennie towarzyszyły Tilli, której obowiązkiem było zaopatrywanie państwa i dbanie o dom. Założyła teczkę na wszystkie bony i strzeg-ła jej jak oka w głowie. Nauczyła się tego jeszcze od starej Käthe w czasie pierwszej wojny światowej. Zorganizowała również przydomowy ogródek z tyłu domu na zboczu Łaby. Elisabeth dobrze pamiętała rok, kiedy ludzie zaczęli jeść korzenie, a w końcu i trawę. Gunter natomiast był bardziej beztroski niż ona. W jego ojczyźnie, w Prusach, bieda nie była tak wszechobecna. Nie mógł się nachwalić sumiennego przygotowania i zaopatrzenia we wszystko, co było potrzebne narodowi. Czy to mleko, czy ziemniaki w proszku albo kawa z prażonego ziarna zamiast prawdziwej kawy:

– Przecież niczego nam nie brakuje – podkreślał zawsze z dumą.

Ale zapewne sporo brakowało, aby bogato nakryć stół na wystawne przyjęcie. A ponieważ Gunter zaprosił na uroczyste zaręczyny córki cały tłum towarzyszy partyjnych, Elisabeth bała się, czy będzie mogła sprostać ich wymaganiom.

Ale noc dwudziestego piątego czerwca rozwiała wszystkie nadzieje. W ciemnościach zawyły syreny i wszyscy zerwali się na równe nogi.

Elisabeth pobiegła do Dorothei, która stała przy oknie w swoim pokoju.

– Powinniśmy zejść do schronu! – Elisabeth wyciągnęła ją za rękę z pokoju.

W korytarzu stał Gunter.

– Zostajemy!

– Ale tu nie jest bezpiecznie! – Elisabeth chciała przecisnąć się obok niego.

– Nie słyszysz? Jest za późno, oni już tu są. – Uniósł rękę i pokazał palcem w górę. Kiedy Elisabeth wytężyła słuch, oprócz syren usłyszała coś jeszcze, głębokie buczenie. Samoloty!

– Szybko, musimy wyjść z domu. – Gunter pociągnął za sobą obie kobiety, kulejąc, ponieważ nie mógł dobrze iść bez laski. Odrzucił ją od siebie aż na koniec ogrodu w kierunku zbocza nad brzegiem Łaby. Pełni napięcia zastygli w parnej nocy i patrzyli przed siebie w stronę rzeki na miasto. Wydawało się, że spadają tam z nieba tysiące gwiazd i ze złowrogim grzmotem zmieniają się w kule ognia.

Dorotea przestraszona kurczowo trzymała się matki.

– Ich celem jest miasto, jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, nie przylecą tutaj! – Gunter starał się przekrzyczeć głuche grzmoty na niebie.

Z upływem godzin Hamburg zmienił się w morze płomieni. Coraz więcej eskadr przelatywało nad ich głowami, by zrzucić niszczące ładunki na miasto. Elisabeth, Dorothea i Gunter stali bez ruchu aż do świtu pod osłoną starych drzew. Nalot skoncentrował się na śródmieściu. Tylko dwa razy bomby spadły niebezpiecznie blisko. Trawa była wilgotna i Elisabeth czuła, jak Dorothea drży z zimna i ze strachu. Sama była zdrętwiała z przerażenia i już prawie miała pewność, że nie przetrwają tej nocy.

Następnego dnia słońce ledwo przebijało się przez czarny dym, który unosił się znad ruin. Podczas krótkiego wstrzymania ognia Gunter wygonił Elisabeth i Dorotheę do domu, żeby przyniosły najpotrzebniejsze rzeczy.

Dzieło niszczenia starego hanzeatyckiego miasta trwało dziesięć dni. I dziesięć dni Elisabeth i Dorothea siedziały stłoczone z niezliczoną liczbą ludzi w schronie przeciwlotniczym. Śmierdziało tam, było ciasno. W nielicznych przerwach pomiędzy kolejnymi falami nalotów ludzie masowo szukali szczęścia w ucieczce. Ale Gunter nawet o tym nie pomyślał.

Stary Hamburg przestał istnieć.

Elisabeth dziękowała Bogu, że pozwolił im przeżyć. Blisko nich nie spadła ani jedna bomba, pożoga zablokowała kilka ulic prowadzących do miasta. Dorothea rozpłakała się ze szczęścia, kiedy znów spotkała Jürgena-Alexandra. Wszyscy przeżyli. Ale atmosfera na tak krótki czas przed zaręczynami była jakby pokryta popiołem. Gunter palił się do zemsty na aliantach i powtarzał każdemu, kto wracał do codziennych interesów:

– Musimy być silni. Nie damy się pokonać!

Dzień w dzień jego zaklęcia grzmiały w całym domu i wywoływały ciągłe kłótnie między Gunteren a jego przyszłym zięciem.

Elisabeth miała nadzieję, że Dorothea i Jürgen-Alexander będą szczęśliwą parą. I chyba nią byli, źródło sporów tkwiło raczej w Gunterze. Nad młodymi zakochanymi unosił się nie tylko miecz Damoklesa w postaci wojny, lecz również poglądy Guntera, które po nalocie stały się jeszcze bardziej ekstremalne. Na krótko przed zaręczynami omal nie doszło do skandalu. Nawet ojciec i córka przestali być solidarni.

– Mamo!

Rozdzierające serce wołanie córki zaintrygowało Elisabeth.

– Co się stało, skarbie? – Pośpieszyła na piętro. Zobaczyła tam Dorotheę, jak leżała na łóżku, całkowicie odchodząc od zmysłów i zanosząc się płaczem.

– Co się stało, dziecko? – Elisabeth usiadła obok niej na brzegu łóżka i zaczęła głaskać ją

po jasnych blond włosach.

– Tata i Jürgen-Alexander znowu się pokłócili – powiedziała, szlochając.

– Ach, o co poszło tym razem?

– Jürgen-Alexander powiedział tacie, że podczas uroczystości nie wystąpi w mundurze. Tata chciał mu dać plakietkę i opaskę na ramię, ponieważ zaprosił tylu towarzyszy partyjnych. Jürgen-Alexander powiedział na to, że tego nie włoży… a ja… ubiorę się w sukienkę, a nie… w mundur Związku Dziewcząt Niemieckich. – Dorothea pociągnęła nosem. – Wtedy tata wrzasnął na niego, że jemu ma zostawić decyzję, w co ubierze się jego córka, i… i… – Policzki poczerwieniały jej z gniewu. – …że lepiej, żeby Jürgen-Alexander uważał, co mówi, bo inaczej jeszcze raz przemyśli sprawę małżeństwa. Mamo… przecież tata chyba nie…?

Elisabeth nienawidziła tych ciągłych kłótni. Objęła Dorotheę.

– Nie, nie zrobi tego, Dorotheo. Być może twój ojciec jest tylko trochę… zazdrosny, ponieważ niedługo będzie musiał przekazać cię w ręce innego mężczyzny.

– Porozmawiasz z nim jeszcze?

– Zrobię, co w mojej mocy. I nie płacz już. Twoje zaręczyny na pewno będą piękne!

Jednak uroczystość okazała się bardzo sztywna. Oprócz towarzyszy partyjnych Guntera i ich rodzin, przyjaciółek Dorothei z organizacji i Franza wraz z jego kompanami przyszli oczywiście znajomi Jürgena-Alexandra. I tak w ciepły wrześniowy dzień w ogrodzie willi Berentschów widać było z jednej strony umundurowanych patriotów, a z drugiej strony młodych ludzi w cywilnych ubraniach. Wszyscy byli jeszcze przejęci strachem po nocnych bombardowaniach.

– Buntownicy! Popatrz tylko na nich! – warknął Gunter, a wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Naprawdę wydawał się zastanawiać, czy chce oddać rękę córki komuś takiemu. – A przecież mogła wybrać Franza, który jest takim sumiennym młodym człowiekiem. I też się nią interesował.

– Gunter! – Elisabeth była szczerze oburzona. – Przestań mówić takie rzeczy, przecież nie jesteśmy tu na targu zwierząt. Jürgen-Alexander jest przynajmniej aktywny w Volkssturmie. Przecież ostatnio sam mówiłeś, że ważne jest, aby ktoś dbał o sprawy publiczne w kraju, a nie tylko na froncie. Jürgen-Alexander właśnie tak wnosi swój wkład.

Znajomi Jürgena-Alexandra byli w większości całkiem interesującymi ludźmi. Ale w mniemaniu Guntera intelektualiści i artyści plasowali się nisko, zaraz po Żydach i Polakach. A ten, kto nie chciał chwycić za broń, był w jego oczach zdrajcą ojczyzny. Gunterowi humor poprawił się dopiero wówczas, kiedy Jürgen-Alexander przed posiłkiem wygłosił krótką mowę, stosownie strzelając obcasami i unosząc ramię w geście pozdrowienia Heil Hitler. Młody mężczyzna nie był głupi i dobrze wiedział, co jego przyszły teść chciał usłyszeć. Po serdecznym podziękowaniu Führerowi i partii i potoku pochwalnych słów skierowanych do ojca narzeczonej przynajmniej udobruchał go na resztę dnia.

Dorothea promieniała na twarzy i zaczerwieniła się z radości, kiedy Jürgen-Alexander włożył jej na palec pierścionek zaręczynowy, a Gunter wzniósł toast za Hitlera i młodych.

Następnego dnia Gunter już prawie zapomniał o uroczystości. Skupiony słuchał wiadomości: Włochy przyłączyły się do aliantów.

W październiku Włochy wypowiedziały Rzeszy Niemieckiej wojnę; następny front, który trzeba było utrzymać, kiedy zima zaatakowała już z całą siłą. W całym kraju znów zarządzono powszechną mobilizację. Gunter też nie miał już wyboru. Elisabeth od dawna wiedziała, jak go dręczyło, że nie mógł bronić swojego kraju.

Któregoś ranka stanął w korytarzu bez swojej laski.

– Gunter? – Elisabeth i Dorothea zatrzymały się na schodach zdziwione.

Patrzył niezdecydowany pod nogi, ale potem uniósł głowę, a jego twarz wydała się nagle twarzą obcego człowieka.

– Idę. Mój kraj mnie potrzebuje, nie wpuszczę za próg Sowietów jeszcze raz.

– Ojcze, nie, nie rób tego! – błagała Dorothea. Ale nawet ona nie mogła go zatrzymać.

Elisabeth milczała. Gunter musiał odzyskać spokój, choćby to miało oznaczać pójście na wojnę. Przestraszyła się swojej obojętności.

Kilka dni później Gunter zgłosił się do służby i wsiadł do transportu jadącego na wschód. Chciał dać ujście długo pielęgnowanej nienawiści, a było to możliwe tylko na froncie wschodnim.

Chociaż od początku wojny Elisabeth i Gunter coraz bardziej się od siebie oddalali, dom bez niego wydał się nagle pusty. Często zdawało jej się, że słyszy jego głośne kroki w oficerkach w charakterystycznym trzytakcie, a przecież był daleko stąd. Podczas gdy Elisabeth nie była pewna swoich uczuć w tym względzie, Dorothea cierpiała znacznie bardziej. Bała się o ojca. Elisabeth boleśnie dotknęło to, że więź pomiędzy nim a dziewczyną, która nie była z nim nawet spokrewniona, okazała się silniejsza niż więź pomiędzy nimi. I również silniejsza niż więź pomiędzy nią a Dorotheą. Z bólem serca przypomniała sobie, jak kiedyś obcy mężczyzna przeciął więź łączącą ją z siostrą. Kochała ją, a jednak ona odeszła. Teraz widziała, jak Dorothea cierpiała z powodu utraty ojca i nie szukała pociechy u swojej matki, lecz u ukochanego. Oczywiście Jürgen-Alexander był przyzwoitym młodym człowiekiem i Elisabeth ceniła go bardziej niż brunatnych młodych idealistów, których jedynym sensem życia było dostać się w tryby hitlerowskiej machiny wojennej. Ale pewnego dnia, widziała to teraz bardzo wyraźnie, całkiem straci Dorotheę dla niego. Pobiorą się, a jeśli Gunter nie wróci z wojny, ona znów zostanie całkiem sama. Strach przed tym odsuwał na dalszy plan nawet okrucieństwa wojny.

Elisabeth zaczęła zastanawiać się w duchu, jak to zrobić, żeby Dorothea przy niej została. Niektóre pomysły były tak niegodziwe, że sama się ich wstydziła. Nie wolno jej było stanąć na drodze do szczęścia córki. Elisabeth robiła sobie wyrzuty, bo przecież powinna się cieszyć, że w ogóle mogła przeżywać to szczęście. Kiedyś przyrzekła siostrze, że zapewni siostrzenicy możliwie najlepsze życie. To życie i tak opierało się już na pajęczynie kłamstw, czego Dorothea nawet się nie domyślała. Elisabeth zmuszała się do tego, żeby własne uczucia trzymać w ryzach. Ale potem zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego, co zagroziło odważnie strzeżonej tajemnicy i przewróciło mur, którym starannie otoczyła swoje najgłębsze odczucia: w jej drzwiach stanęła druga córka Viviane.

To był wietrzny, mokry i zimny listopad. Tilla wyszła, aby stanąć w kolejce do punktu wydawania posiłków w Altonie. Kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach, Elisabeth drgnęła. Zawsze kiedy ktoś dzwonił do drzwi, istniało niebezpieczeństwo, że stoją za nimi dwaj mundurowi z poważnymi twarzami, aby przekazać kopertę z informacją o śmierci żołnierza. Elisabeth była wewnętrznie przygotowana na tę chwilę, mimo to dzwonienie do drzwi za każdym razem ją paraliżowało. Zrobiła głęboki wdech, wytarła dłonie w fartuch i próbowała zapanować nad nerwami, kiedy szła do drzwi. Właśnie odkurzała witryny w salonie. Ledwo Tilla skończyła sprzątać dom, a już brud wojny wydawał się wdzierać do domu każdą szparą, jakby chciał zdobyć to ostatnie spokojne miejsce.

Niezdecydowanie uchyliła lekko drzwi i gdy jej wzrok padł na obdartą postać, odetchnęła głęboko. Znów jakaś żebraczka. Biedacy tłumnie ciągnęli z miasta do kiedyś zamożnych

przedmieść, gdzie zniszczenia nie były tak ogromne, i żebrali o coś do jedzenia lub do ubrania.

– Nic nie damy! Zabieraj się stąd! – Elisabeth było przykro, że musi być taka szorstka, ale musiała chronić swój dom. Raz już pozwoliła, żeby po dużym nalocie bombowym do przybudówki za stajnią wprowadziły się dwie rodziny. Tym samym wyczerpała swoją gotowość niesienia pomocy. W tych czasach każdy mógł być następny, chociaż Dorothea patrzyła na to inaczej i zawsze chciała wszystkim pomóc. Elisabeth tak nie uważała. Oczywiście była to twarda postawa, ale kto wiedział, jak wielka bieda mogła jeszcze nadejść?

– Ja… ja… proszę zaczekać… – Pod dziurawym kapturem płaszcza ukazała się twarz dziewczyny. Blada i wychudzona. – Przyjeżdżam z… Breslau. Przysłali mnie moi… moi rodzice.

Niebieska zmarznięta dłoń podała Elisabeth pogniecioną kopertę.

Gdy tylko Elisabeth zobaczyła oczy dziewczyny, zamarła ze strachu. Jak w transie wzięła kopertę.

– Poczekaj tutaj. – Zamknęła drzwi i patrzyła na list. To były oczy Viviane. Ale czy to możliwe! Drżącymi palcami otworzyła kopertę. Natychmiast rzuciło się jej w oczy odręczne pismo, dość rozwlekłe i niechlujne.

Kochana Siostro… Elisabeth poczuła pieczenie w piersi. Jak to możliwe? Przez te wszystkie lata Vivi nie dawała znaku życia. A teraz… teraz w jej drzwiach stała jej córka.

Odpraw ją! krzyczał jej wewnętrzny głos. Odpraw ją!

Ale Elisabeth nie mogła tego zrobić. Schowała list, nie czytając go, do kieszeni fartucha i ponownie otworzyła drzwi.

– Wejdź, dziewczyno.

– Dzi… dziękuję. – Dziewczyna drżąc weszła przez próg domu, ale wtedy się zawahała. – Ja… jest mi bardzo przykro… ale ja nie jestem… sama. – Pokazała na ulicę.

Dopiero teraz Elisabeth zobaczyła zniszczony wóz cyrkowy z chudą jak szczapa chabetą z przodu. Na koźle kuliły się jeszcze dwie postacie, które z nadzieją wpatrywały się w dom.

– Powiedz im, żeby zajechali od tyłu. Można tam zostawić wóz. – Nagle oczom Elisabeth ukazał się potworny widok, że to samo mogło przydarzyć się również jej siostrze. Zagubiona, bez nadziei i z wojną na karku.

– Dziękuję, łaskawa pani. – Dziewczyna dygnęła jak dobrze wychowana panienka i wybiegła na mróz. Przez krótką chwilę Elisabeth mogła się trochę pozbierać. Zaraz potem przybyszka znów stanęła przed nią w korytarzu.

– Łaskawa pani, mam nadzieję… że nie robię dużego kłopotu. Ale… moi rodzice nie mieli innego wyjścia. Powiedzieli, że tu będę bezpieczna. Moja matka… miała wypadek i nie mogła… – Po jej policzkach popłynęły łzy.

– Co się stało?

– Spadła z konia – zaszlochała dziewczyna.

– Więc spadła z konia, można się było spodziewać, że pewnego dnia tak się stanie. – Elisabeth nie mogła się powstrzymać, aby nie wypowiedzieć tych twardych słów, ale się zastanowiła. Przecież dziewczyna nie była niczemu winna. – Wejdź, jesteś cała przemarznięta. Teraz się wykąpiesz i przebierzesz w czyste ubranie, a potem mi wszystko opowiesz. Jestem… jestem Elisabeth. Siostra twojej… matki. – Ścisnęło ją w gardle, kiedy powiedziała te słowa.

Właśnie w tej chwili przez drzwi dla służby weszła Tilla.

– Łaskawa pani, dostałam trochę chleba.

– Tilla, mamy gościa. Przygotuj kąpiel i… zaprowadź ją na górę. Jak ci na imię, dziecko?

– Constanze.

– Constanze. Idź z Tillą. Ja zaraz przyjdę.

Popchnęła dziewczynę w stronę patrzącej ze zdumieniem pokojówki i skinieniem głowy

dała jej do zrozumienia, żeby o nic nie pytała, tylko wykonała polecenie.

– Proszę za mną, panienko. – Tilla poszła z dziewczyną po schodach. Elisabeth stała jak zamurowana w holu wejściowym. Dlaczego wpuściła ją do domu?

Przyjechała z Breslau, przysłali ją tu rodzice. Chuda, wycieńczona kupka nieszczęścia. Elisabeth nie chciała w to uwierzyć, ale spojrzenie na dziewczynę nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości, że mówiła prawdę. Podobieństwo do Viviane było zdumiewające, ale równie porażające było podobieństwo do Dorothei – okoliczność, która niemal zaparła Elisabeth dech w piersi.

– Już jestem! – Wraz z powiewem wiatru do domu weszła jej córka. Kiedy zdejmowała rękawiczki, patrzyła pytająco na matkę, a potem na Tillę i dziewczynę, które właśnie weszły na piętro.

– Mamy gościa? Och. Kto to jest? Źle się czujesz, mamo?

Elisabeth zakaszlała. I starała się wyrwać z odręt-wienia.

– To… to jest twoja siostra cioteczna.

– To ja mam siostrę cioteczną?

– Tak, ano tak.

Dorothei zajęło chwilę, zanim pojęła, co właśnie zakomunikowała jej matka.

– Dlaczego nigdy nie mówiłaś mi, że masz rodzeństwo?

Dorothea powiesiła płaszcz w garderobie.

– Skąd ona się wzięła? Dlaczego do nas przyszła? Gdzie są jej… jej rodzice?

Elisabeth uniosła ręce.

– Ona jest… córką mojej siostry. Byłyśmy jeszcze bardzo młode, kiedy odeszła. Dorotheo, to jest stara, właściwie już dawno pogrzebana historia. Jej rodzice są w Breslau i stamtąd przyjechała. Mówi, że jej matka miała wypadek. Dlatego ją tu przysłali.

– Wypadek, to straszne! Całkiem sama z Breslau? I nic nie wiedziałaś, że twoja siostra ma córkę?

– Nie, od dwudziestu siedmiu lat nie miałyśmy ze sobą kontaktu.

Nagle Elisabeth poczuła się strasznie stara. To było tak dawno temu. Dlaczego swoim przybyciem obudziła już od dawna uśpione wspomnienia.

– Żal mi tej dziewczyny. To cud, że dotarła tu cała i zdrowa. I na pewno bardzo się martwi o swoich rodziców. – Dorothea popatrzyła zamyślona na schody. – Co się wtedy stało? Dlaczego jej matka… twoja siostra odeszła?

Elisabeth cicho westchnęła.

– Vivia… – to imię nie chciało przejść jej przez usta – …była młoda i pełna temperamentu i poznała niewłaściwego mężczyznę.

– I uciekła z nim?

Och nie! To zdecydowanie nie był temat, na który Elisabeth chciałaby rozmawiać z Dorotheą. Błyski zaciekawienia w jej oczach nie zapowiadały niczego dobrego.

– Nie chciałabym o tym mówić.

Elisabeth sama nie doszła jeszcze ze sobą na tyle do ładu, żeby mogła wytłumaczyć córce ówczesne wydarzenia. Co prawda od czasu do czasu myślała jeszcze o Viviane, ale z biegiem lat wspomnienia coraz bardziej blakły i były już tylko mieszanką wściekłości i frustracji. Ale teraz groziło, że wszystkie powrócą ze wzmożoną siłą. Ścisnęło ją w gardle.

– Sprawdź, czy Tilla już przygotowała kąpiel dziewczynie – poprosiła Dorotheę.

– Dobrze, sprawdzę… i zobaczę, czy znajdę dla niej coś do ubrania. Tu… tutaj czuć

końmi.

Elisabeth puściła tę uwagę mimo uszu i w tej chwili przyszła jej do głowy dręcząca myśl, jak szybko niespodziewane pojawienie się siostry mogło zatrząść całą historią opartą na kłamstwie. To oczywiste, że obie dziewczyny były siostrami. Elisabeth zaczęła drżeć i musiała przytrzymać się krzesła. A co, jeśli ta dziewczyna wiedziała o pierwszym dziecku Viviane? Jeśli wiedziała, że Dorothea jest jej siostrą?

Elisabeth podwinęła spódnicę i weszła po schodach. W żadnym wypadku nie mogła zostawić dziewcząt samych, zanim nie upewni się, czego Constanze dowiedziała się od matki! Serce podeszło jej do gardła.

Tilla przyniosła już z kuchni ciepłą wodę. Kiedy Elisabeth zapukała we framugę drzwi i weszła do łazienki, Constanze kucnęła w wannie przestraszona. Patrzyła na nią wielkimi oczami.

– Jeszcze nigdy nie widziałam takiego pokoju – przyznała szczerze.

A gdzie miałabyś go zobaczyć, pomyślała w duchu Elisabeth. Jeśli mieszka się w wozie cyrkowym, pewnie wiadro czystej wody jest już luksusem.

Łazienkę w domu Berentschów urządzono na piętrze na życzenie Guntera. Siedzenie w ciepłej wodzie dobrze robiło jemu i jego starym obrażeniom, a nie chciał w tym celu fatygować się do pralni. Gunter nigdy nie przejmował się tym, że Tilla musiała dźwigać ciepłą wodę na piętro. W końcu Führer też miał swoją własną łazienkę, a nie cebrzyk w jakiejś pralni.

– Lepiej się już czujesz? Już się rozgrzałaś?

Elisabeth nie potrafiła wymówić imienia dziewczyny. Wydawało się jej zbyt dziwne, że nagle siedziała przed nią młodsza kopia Viviane. Włosy, drobna sylwetka i to podobieństwo z Dorotheą…

– Jestem pani naprawdę wdzięczna, że wolno mi tu zostać. Prawdopo… prawdopodobnie to nie potrwa długo, aż dojadą moi rodzice… albo… albo ja będę mog-ła pojechać do nich.

Smutek w głosie dziewczyny omal nie rozerwał Elisabeth serca. Wiedziała, co człowiek czuje, kiedy stracił coś, co tak bardzo kochał. Ale słowa „aż dojadą moi rodzice" kłuły ją w głowę jak trujące żądło. Za żadną cenę nie mogło do tego dojść. Chociaż nie wiedziała, jak miałaby temu zapobiec… Ale Elisabeth była pewna, że gdyby Viviane wróciła do Hamburga, straciłaby Dorotheę.

– Pani córka jest bardzo miła, od razu chciała dać mi coś do ubrania.

Constanze oplotła ciało rękami, wyraźnie czuła się nieswojo, kiedy siedziała w wannie nago przed obcymi ludźmi.

Elisabeth spostrzegła, jak przypatruje się dziewczynie. Trochę się odwróciła i chrząknęła zakłopotana.

– Pani córka jest trochę podobna do mojej matki – powiedziała dziewczyna cicho smutnym głosem.

Elisabeth odpowiedziała błyskawicznie.

– Nie!

W tej samej chwili do łazienki weszła Dorothea ze stertą ręczników. Patrzyły na siebie zakłopotane.

– Co nie? Wszystko w porządku, mamo?

– Tak, oczywiście… Właśnie chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo obie jesteście podobne do mojej matki. Niestety, ja odziedziczyłam więcej po ojcu. – Elisabeth próbowała sztucznym śmiechem zatuszować swoje zakłopotanie. Widok obu dziewcząt w jednym pokoju

niemal odebrał jej mowę. Miały takie same drobne sylwetki, jednak Constanze była dużo chudsza. Ale obie miały takie same wystające kości policzkowe, takie same niebieskie oczy, takie same jasne blond włosy. Nie dało się zaprzeczyć, że były ze sobą spokrewnione.

– Chodź, dziecko, wysuszę cię i ubiorę. A potem Tilla zrobi ci w kuchni coś do jedzenia i zaniesie talerz zupy również tym dwojgu w wozie. – Miała nadzieję, że to trochę odwróci uwagę Constanze od Dorothei.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pani strony, łaskawa pani.

– Elisabeth… jestem twoją ciotką Elisabeth.

Wydawało się, że obie dziewczyny niczego się nie domyślały, mimo to przez następne dni i tygodnie Elisabeth obserwowała je bacznie.

Najwidoczniej Viviane nic nie opowiedziała córce o swojej przeszłości. Według jej własnych słów Constanze dowiedziała się o rodzinie w Hamburgu dopiero przed wyjazdem z Breslau.

Za to ciekawość Dorothei była niemal nienasycona. Chciała dowiedzieć się od Constanze wszystkiego o jej życiu w cyrku. Elisabeth była zmuszona też tego wysłuchać. Bądź co bądź Constanze opowiadała o życiu Viviane.

Mimo wszystko Viviane udało się zrealizować swoje marzenie. Życie na dużych arenach, szlachetne konie i ciągłe brawa i wiwaty. W Elisabeth czasem wzbierało lekkie poczucie dumy. Przypomniała sobie ostatnią jazdę konno na maneżu w sąsiedztwie, gdzie Viviane poznała tego Francuza. Ale szybko na pierwszy plan znów wysunęła się pretensja – pretensja o to, że Vivi ją opuściła, o wszystkie cierpienia, jakich podczas wojny i po wojnie doznała z powodu podupadających na zdrowiu rodziców, o ciągłe zamartwianie się o dom handlowy i małżeństwo z Gunterem, w którym nie było miłości. Jedyną prawdziwą radością, jaka zachęcała ją do dalszego życia, była Dorothea. Troska o Guntera, który tej zimy przepadł gdzieś na froncie i prawdopodobnie już nigdy nie wróci, była o niebo mniejsza od strachu, że straci Dorotheę.

Gunter. Przez te wszystkie lata nie naprzykrzał się Elisabeth. Żyli obok siebie, a na zewnątrz występowali jako para małżeńska. Tu krótki uścisk dłoni, tam jakiś uśmiech. Byli partnerami w interesach i mieli jasny układ. Elisabeth dawała dom i firmę, a Gunter wiarygodnie występował jako mąż. Elisabeth nigdy nie dowiedziała się, czym była prawdziwa miłość pomiędzy mężczyzną a kobietą.

Natomiast opowieści Constanze o rodzicach były tak przepełnione ciepłem i wdzięcznością, że niemal wstrząsnęły Elisabeth. Jak bardzo wtedy demonizowała tego Francuza i jak wielką miała nadzieję, że pewnego dnia Viviane przejrzy na oczy i zawstydzona wróci do domu! Prawdopodobnie ze złamanym sercem, ale do domu, do którego należała. Kiedy teraz dowiedziała się, jak bardzo tych dwoje wzmocniła miłość, wymazała wszystkie myśli o tym, że Viviane być może żałowała swojego postępku.

Minęło kilka tygodni, wreszcie Elisabeth odważyła się przeczytać list Viviane, który dała córce na drogę. Najpierw długo trzymała go w ręku, potem otworzyła i przeczytała. Światło dawał tylko płomień świecy, ponieważ w Hamburgu wciąż obowiązywało zaciemnienie.

Kochana Siostro,

zapewne są to ostatnie słowa, jakie mogę do Ciebie skierować. Breslau zostanie wkrótce okrążony, Armia Czerwona cały czas posuwa się do przodu. Prosiłam Boga, żeby uważał na moje dziecko. Upadłam, spadłam z konia. Połamałam się i chociaż Philippe i lekarze podtrzymują mnie na duchu, wiem, że już nigdy nie będę mogła chodzić. Utknęłam tu na dobre. Zaklinałam Philippe'a, żeby wyjechał, ale odmówił. Mój ukochany mąż. Ale musiałam wiedzieć, że moja córka jest bezpieczna. Elli, proszę Cię, zatroszcz się również o nią. Razem z nią wysyłamy Ci nasz ostatni dobytek. Gdyby nie udało się nam wydostać z Breslau, proszę, zadbaj o bezpieczeństwo Constanze.

Myślami jestem zawsze z Tobą, Elli, a moja miłość do Ciebie jest niezłomna. Świadomość, że zapewne już nigdy Cię nie zobaczę i że w ciężkiej sytuacji tracę teraz również moje drugie dziecko, waży więcej niż strach przed tym, co może czekać Philippe'a i mnie. Proszę, nigdy nie zapomnij, jakie byłyśmy kiedyś szczęśliwe, nawet jeśli z upływem lat łącząca nas więź stała się słabsza, to mam nadzieję, że nie została zerwana.

Kochająca

Vivi

Elisabeth opuściła list i patrzyła przez okno w ciemną noc. Jak często obserwowała ją stąd razem z Vivi? To było już tak dawno temu. Po policzkach spływały jej łzy. Zapewne były to naprawdę ostatnie słowa jej siostry. Cień Armii Czerwonej przetaczał się groźnie na zachód i niósł ze sobą tysiące uciekinierów. Breslau upadnie, zostanie zdobyte przez Armię Czerwoną, zbombardowane, spalone.

Elisabeth była tego pewna. Drugi raz straciła siostrę, tym razem na zawsze.

Rozdział 19

Kiedy nadeszła zima, a bieda spowodowana wojną coraz bardziej się pogłębiała, troje ludzi spędzało ze sobą dużo czasu. Constanze sprawiała wrażenie niespokojnej, jak wędrowny ptak, który nie za bardzo wiedział, kiedy powinien odlecieć do ciepłych krajów. W pierwszych tygodniach często mówiła o tym, jak chciałaby pojechać do Francji. Gnało ją przekonanie, że jeśli jej rodzicom uda się wyjechać z Breslau, właśnie tam się spotkają. Ostrożne aluzje Elisabeth, że jest mało prawdopodobne, żeby udało im się przedostać do Francji, Constanze kwitowała złym spojrzeniem. Elisabeth byłoby tylko na rękę, gdyby dziewczyna wyjechała, najlepiej jak najszybciej, ale nie nadszedł na to jeszcze właściwy czas. Chociaż wszystko, co o sobie opowiadała Elisabeth, narażało Constanze na niebezpieczeństwo.

Jürgen-Alexander również był niespokojny. Wahał się pomiędzy refleksyjnym życiem w odosobnieniu a nastrojem euforii. Elisabeth czuła, że coś knuje, ale do tej pory nie dowiedziała się co.

Wyjazd Guntera na front ożywił związek Jürgena-Alexandra i Dorothei. Częściej teraz przychodził do domu Berentschów i czuł się tam swobodniej niż dotąd.

Ale zima czasu wojny odsłoniła także dobre zachowania. Ludzie zbliżyli się do siebie, pomagali sobie, gdzie tylko było można. Elisabeth wciąż dobrze pamiętała zimę podczas pierwszej wojny światowej, kiedy jadło się tylko brukiew. Co się tyczyło jej gotowości niesienia pomocy, nadal uparcie wszystkim jej odmawiała. Uważała za cud, że jej dom nadal stał nieuszkodzony na wysokim brzegu Łaby. Wokół było tyle ruin, że miasto wydawało się zupełnie obce. Elisabeth przyłapywała się na tym, że zaczęła zachowywać się podobnie jak kiedyś jej matka. Starała się zachować ostatnie resztki codziennego życia. Wszystko robić po staremu, nie poddawać się, niezależnie od tego, co działo się za drzwiami.

Na zewnątrz ludzie walczyli o przeżycie. Mieszkali w piwnicach pod gruzami, niekiedy w dwadzieścia albo więcej osób na kilku metrach kwadratowych. Po ulicach włóczyły się żebrzące dzieci. I coraz częściej napływały fale wynędzniałych uciekinierów, z dobytkiem na plecach albo w małych wózkach.

Dorothea i dziewczęta ze Związku starały się pomagać ludziom, urządzały im kwatery, rozdawały odzież oraz żywność, o ile jakaś była. Ale tej brakowało. Całymi dniami szykowały małe paczki dla żołnierzy na froncie. Dziewczęta oddawały się temu zajęciu z wielkim zapałem i dołączały krótkie odręczne listy do nieznanych żołnierzy. Bywały dni, kiedy Elisabeth złościła się, że Dorothea bardzo późno wracała do domu.

– Ależ, mamo. Taka paczka może równie dobrze trafić do ojca. Na pewno ucieszy się, że dostał jakieś wsparcie z ojczyzny – odpowiadała Dorothea, ilekroć Elisabeth robiła jej z tego powodu wyrzuty.

Oficjalne wiadomości z frontów donosiły wyłącznie o sukcesach, co Dorothei dawało nadzieję, że wkrótce znów zobaczy ojca. Ale wiadomości, które docierały do uszu osób pozostałych w domu za pośrednictwem poczty polowej i powracających z frontu, nie dawały nadziei na szybkie zwycięstwo. Nie mówiąc już o okropnościach, o których opowiadali uciekinierzy.

Jürgen-Alexander, który dzięki swoim kontaktom do tej pory uniknął wysłania na front, ciągle przynosił do domu pogłoski, że alianci szykują wielką ofensywę.

– Razem z Sowietami wezmą naszych w kleszcze. Nie da się już długo utrzymać frontów.

– Przestałbyś straszyć dziewczęta – ofuknęła go Elisabeth. Jürgen-Alexander i Dorothea

chcieli się pobrać pod koniec lata i Dorothea zdawała sobie sprawę, że te wiadomości zagrażają jej szczęściu. Bywało, że Elisabeth wolałaby, żeby Dorothea nie wiązała się z tym młodym mężczyzną. Ale zaraz przychodziło jej na myśl, co sobie przyrzekła: jej córka sama zadecyduje, z kim spędzi resztę życia.

Ale czasem Jürgen-Alexander przynosił do domu Elisabeth pomysły, których nie mogła zaakceptować. Pewnego dnia przyłapała go, jak z Dorotheą i Constanze dyskutowali o ruchu oporu.

– Uważam, że to nie jest temat, na który powinniśmy tu rozmawiać. – Elisabeth spojrzała na Jürgena-Alexandra karcąco.

– Ależ, mamo, przecież trzeba pomyśleć również o tym, co będzie… kiedy zabraknie Führera.

– Lepiej pomyślcie o waszym ślubie!

Elisabeth nie chciała myśleć o polityce. I bez tego miała dość problemów. Wiele zachodu wymagało, by w tych ciężkich czasach utrzymać dom na właściwym poziomie, nakarmić głodne gęby i jednocześnie zadbać o dom handlowy, żeby móc regularnie wysyłać wystarczającą ilość towarów dla wojska, bo w przeciwnym razie wszystkie zostałyby im zabrane. Elisabeth potrzebowała pilnie pomocy, ale jej siostra odeszła stąd już wiele lat temu, mąż walczył na froncie, a przyszły zięć wolał rozprawiać o ruchu oporu. Lepiej, żeby zajął się firmą, uważała. Przecież był wykształcony. A skoro chciał zbudować przyszłość dla siebie i Dorothei, dom handlowy Berentschów stwarzał ku temu dobre perspektywy. Oczywiście była wojna, ale Elisabeth patrzyła na to pragmatycznie. Już raz stanęła na nogi, uprzątnęła gruzy i zaczęła od nowa. Wprawdzie z pomocą Guntera i Palovskiego. Ale gospodarka jeszcze całkiem nie upadła. Również w Niemczech wszystko pójdzie dalej, zawsze jakoś szło. Dlatego nie ma co się narażać, nie należało zbyt głośno mówić o oporze. Przecież słyszało się, że ludzie wciąż znikali. Ludzie, którzy zwrócili na siebie uwagę, ponieważ nieprzychylnie wyrażali się o Hitlerze. Jürgen-Alexander narażał na niebezpieczeństwo całą rodzinę. Jednak ze względu na Dorotheę Elisabeth tolerowała go w swoim domu. Być może po ślubie się opamięta. W każdym razie będzie musiał troszczyć się o żonę i być może któregoś dnia o rodzinę. Elisabeth miała nadzieję, że to wybije mu z głowy te bzdury.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku nie było dużo czasu na rozmyślania. Front wschodni przesuwał się coraz bliżej terytorium Rzeszy. W czerwcu alianci wylądowali w Normandii, aby wyzwolić Francję, co sprawiło, że oczy Constanze zaświeciły pełnym nadziei blaskiem, a Jürgena-Alexandra jeszcze bardziej to zaniepokoiło.

Niedługo po czerwcowym zamachu na Hitlera przyszły zięć Elisabeth zwrócił się do niej z prośbą o rozmowę. Jego formalnie przedstawiona prośba wzbudziła jej podejrzliwość.

– Elisabeth, coraz częściej słyszę pogłoski, że naprawdę możemy wkrótce zostać pokonani. Boję się o nas, o Dorotheę. Wiem, że to ci się nie spodoba, ale chciałbym zabrać nas w bezpieczne miejsce. Mam możliwość wyjazdu do Lizbony. Stamtąd Dorothea i ja będziemy mogli wyemigrować do USA jako uchodźcy polityczni.

Elisabeth roześmiała się.

– Chyba żartujesz?

– Mówię śmiertelnie poważnie. Hitler nakazał bronić kraju do ostatniego człowieka. Rozejrzyj się, już teraz sytuacja jest fatalna, a będzie coraz gorzej.

– Moja córka nigdzie nie wyjedzie, a już na pewno nie przez front na tereny wroga.

– Do tej pory nie interesowało cię, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem – skontrował

zręcznie. – Poza tym Dorothea byłaby tam bezpieczna. – Dobrze wiedział, jak bardzo Elisabeth martwiła się o córkę.

– Dorothea nigdzie nie wyjedzie, najbardziej bezpieczna jest tutaj. I ty też powinieneś jeszcze raz o tym pomyśleć, Jürgenie-Alexandrze… – Jej głos był tak ostry, że przez chwilę patrzył na nią zdziwiony. Ale nic już nie powiedział.

Elisabeth poczuła kołatanie w głowie. Jürgen-Alexander na pewno tak szybko się nie podda. Gdyby tu był Gunter, zapewne nigdy by się nie odważył zlekceważyć jego polecenia. Jeśli chodziło o nią, Elisabeth nie była tego taka pewna. Musiała uważać, być czujna. Cokolwiek planował, uprzedzi go. Nie mogła stracić córki! Wtedy zostałaby sama. Co prawda często myślała o Gunterze, jednak nie jak o ukochanym, wytęsknionym małżonku, lecz jak o dobrym znajomym, o którym już od dawna nic nie słyszała. Nie była również pewna, jak powinna się wobec niego zachować, jeśli rzeczywiście wróci kiedyś do domu. Od dawna nie było nic, co by ich ze sobą wiązało.

Ale Elisabeth nie mogła pozwolić córce wyjechać. Nawet gdyby mogło to oznaczać, że gdzie indziej byłaby bezpieczna. A wspólny wyjazd nie wchodził w grę. Ci, którzy zostawali na miejscu, po prostu zajmowali dobytek tych, którzy znikali, ludzi, którzy uciekali, albo tych, których, jak przebąkiwano, aresztowano. Elisabeth nie była gotowa, aby wypuścić z rąk dziedzictwo swojej rodziny. Nie, zostanie tutaj i postara się, żeby Dorothea stanęła po jej stronie. Lubiła Jürgena-Alexandra, ale tym żądaniem wyraźnie przeholował. Sympatia, jaką go darzyła, zmieniła się w nieufność. Nie rozdzieli jej rodziny. Elisabeth chciała dla Dorothei jak najlepiej, a to najlepsze znajdowało się tutaj, a nie na odległym kontynencie.

W Elisabeth formowały się myśli i pomysły i stopniowo krystalizował się plan. Był on ryzykowny, ale chyba stwarzał jedyną szansę, żeby zatrzymać córkę przy sobie.

Rozdział 20

Następnego dnia w drodze do Constanze Simone musiała się bardzo starać, żeby skoncentrować się na bezpiecznym prowadzeniu auta. Zbyt wiele myśli chodziło jej po głowie.

Jak Elisabeth udało się zniszczyć przyjaźń dziewcząt i związek Jürgena-Alexandra z Dorotheą? Simone czuła, że zbliża się do dramatycznego jądra tej historii. Do punktu, który wszystko zmienił. Niestety, zapiski Elisabeth nie wnosiły już nic więcej. Wpisy w pamiętniku się skończyły.

– Dzień dobry. – Constanze siedziała wyprostowana w swoim fotelu i sprawiała wrażenie weselszej niż poprzedniego dnia.

– Lepiej się pani czuje? – Simone jak zwykle usiadła na fotelu obok niej.

– Tak, moje kolana zdecydowały się jeszcze nie podawać do dymisji. – Klepnęła zachęcająco w leżący na jej nogach koc.

– Cieszę się! – Simone zastanawiała się, jak sprowadzić rozmowę na temat, wokół którego wszystko się kręciło, i postanowiła zapytać wprost. – Constanze, nie chciałabym sprawiać wrażenia ciekawskiej, ale co się wtedy stało w Hamburgu? Dlaczego pani wyjechała?

Twarz Constanze zesztywniała i przez chwilę zastanawiała się, zanim zaczęła mówić.

– To nie była przyjemna historia. Dzisiaj sądzę, że ciotka po prostu chciała pozbyć się mnie i Jürgena-Alexandra. Wszystko z jakiegoś powodu. Chyba byłam dla niej ciężarem, poza tym przypominałam jej siostrę. A co do Jürgena-Alexandra: w lecie czterdziestego czwartego myślał o tym, aby uciec z Dorotheą.

– Czy w tamtym czasie w ogóle można było jeszcze uciec?

Constanze odwróciła się do Simone.

– No tak. Jürgen-Alexander chyba po cichu aktywnie działał w podziemiu, jak wtedy przypuszczałam. Przynajmniej miał dobre kontakty w ruchu oporu. Mówił, że miał możliwość wyjechać przez Lizbonę.

– Z Dorotheą?

– Tak, z Dorotheą. Nie była zachwycona tym pomysłem, w końcu jej ojciec wciąż był na froncie i musiałaby zostawić matkę. Ale Jürgen-Alexander opowiadał o perspektywach, jakie stwarzało im nowe życie w Ameryce. Oczywiście podróż byłaby długa i niebezpieczna, ale wydawało się, że był gotowy zaryzykować. Ciotka Elisabeth natomiast nie chciała puścić Dorothei. Jürgen-Alexander zaproponował mi, żebym towarzyszyła im do Francji. W końcu byłam Francuzką, a Francja została wyzwolona przez aliantów.

– Ale ostatecznie nie udało się zrealizować tego planu?

– Tylko częściowo. Jürgen-Alexander nalegał, by Dorothea wyjechała, nawet wbrew woli matki. Dużo się kłócili i padało wiele złych słów. Ciotka obwiniała zarówno mnie, jak i jego, że nabijamy głowę jej córki bzdurami. Kiedyś wzięła mnie na bok i powiedziała, że chyba byłoby lepiej, gdybym zawczasu opuściła jej dom. Nie odważyłam się powiedzieć o tym Dorothei, ale naprawdę poczułam potrzebę, żeby odejść. Nie byłam tam już mile widziana. Poza tym chciałam wrócić do domu. Po tym, jak Francja została wyzwolona, miałam nadzieję, że rodzicom jakoś uda się przedostać do ojczyzny. Tyle miesięcy nic o nich nie słyszałam! Ale nigdy nie straciłam nadziei. A potem pewnego dnia wszystko potoczyło się bardzo szybko. Był środek nocy. Musieliśmy natychmiast uciekać.

Zapytałam Jürgena-Alexandra, co się dzieje. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy.

„Ktoś nas zdradził i jeśli natychmiast nie zniknę… Musimy razem wyjechać, Constanze. Powiedzieli, że jesteś szpiegiem. W każdej chwili przed drzwiami mogą pojawić się brunatne mundury i biada nam, jeśli nas złapią. No już, pośpiesz się". Dorothea miała dołączyć do nas później, stwierdził, że teraz byłoby to zbyt niebezpieczne.

Pośpiesznie spakowaliśmy nasz skromny dobytek. Znowu musiałam wszystko zostawić. Dorotea rozpłakała się, kiedy Jürgen-Alexander powiedział jej, że możemy zabrać ze sobą tylko mały bagaż podręczny.

– A kufry i siodło?

– Tak, no właśnie. Omal nie pękło mi serce, że musiałam rozstać się z Dorotheą. Jürgen-Alexander… Biedak. Święcie wierzył, że Dorothea dotrzyma obietnicy.

– Ale jej nie dotrzymała?

– Nie, nie dotrzymała. Najpierw myślałam, że prawdopodobnie nie przeżyła zawirowań wojny. W Hamburgu na nowo toczyły się zacięte walki. Nie wypowiedziałam na głos moich obaw. Jürgen-Alexander był wyczerpany ucieczką. Wiele dni jechaliśmy w śmierdzących wagonach kolejowych i na odkrytych ciężarówkach, wreszcie zachorował na gruźlicę. Kiedy przyjechaliśmy do Tréveneuc, potrzebował tygodni, żeby jako tako wyzdrowieć.

– Czy potem nigdy nie próbował skontaktować się z Dorotheą? Albo dowiedzieć się, dlaczego złamała obietnicę?

– Nie… – Constanze westchnęła głęboko. – Po zimie czterdziestego czwartego na czterdziesty piąty dostaliśmy wiadomość od Elisabeth, że Dorothea poślubiła obergruppenführera Franza Vahrenberga.

– Co?

– Tak, my też nigdy tego nie zrozumieliśmy. Oczywiście złamało to serce Jürgena-Alexandra. Już nigdy się z tego nie otrząsnął. Radziłam mu, żeby może wyjechał do Ameryki. Być może to pozwoliłoby mu nabrać dystansu. Ale kurczowo trzymał się Tréveneuc, jakby to była ostatnia kotwica, którą miał. Wiadomość, że Dorothea oddała się jego bratu, coś w nim zabiła.

W torebce Simone cicho zadzwonił telefon. Przestraszyła się i poszukała aparatu.

– Przepraszam, Constanze… Jens?

– Cześć, Simone.

– Słuchaj, to nie jest dobry moment, mogę zadzwonić do ciebie później?

– Nie musisz. Możemy się po prostu spotkać. – Zaśmiał się.

– Co?

– Jestem w Tréveneuc.

Simone była całkowicie zaskoczona.

– Gdzie jesteś?! Skąd wiesz…? Co tutaj robisz?

– Ha, od wielu dni się nie odzywasz, obcy mężczyźni odbierają twój telefon… Nie sądzisz, że miałem powody, żeby się martwić?! Na twoim biurku leżała kartka. Tutaj kończyła się twoja trasa, pomyślałem więc…

– Ale przecież nie możesz tak po prostu….?!

– Więc jak, spotkamy się? Gdzie ty właściwie jesteś? Jakiś dziwny facet wysłał mnie do *château*. Wszyscy cię znają w tej wiosce. Elegancki domek. Nie wiedziałem, że możesz sobie pozwolić na taki luksusowy dom wczasowy.

Simone była coraz bardziej zbita z tropu.

– To nie jest dom wczasowy – zająknęła się.

– Nie? W takim razie kto tam mieszka? Twój francuski przyjaciel? Wyrwałaś go

w internecie? W każdym razie stoję przed drzwiami, a pada deszcz. Gdzie jesteś? Myślę, że musimy porozmawiać.

– Zostań tam, gdzie jesteś, będę za pół godziny.

Simone potrzebowała chwili, żeby się pozbierać.

– Dziecino, co się dzieje? – Constanze patrzyła na nią zatroskana.

– Nic, to tylko… niestety muszę iść. Przepraszam! Ale jutro znów przyjdę – obiecała i pośpiesznie pożegnała się z Constanze.

Simone, coraz bardziej zbita z tropu, wyszła ze szpitala i pomknęła swoim wypożyczonym samochodem w kierunku Tréveneuc.

Kiedy wyjechała z lasu i podjechała pod dom, Jens siedział na schodach przed głównym wejściem. Jego stare, trochę poobijane kombi stało na podjeździe. Czy Jens naprawdę dojechał swoim samochodem aż do Francji?

Wstał i podszedł do niej.

– Wreszcie jesteś.

– Jens, na Boga, co ty tu robisz?

– W czymś ci przeszkadzam?

– Nie, ale…

– Ale co? Znikasz tak po prostu! Powoli zacząłem się martwić. – Rozłożył ręce. – Możemy wejść do środka? Siedzę tu już całą wieczność, jest mokro i zimno, jak być może zauważyłaś.

Nie, nie zauważyła. Ani nie zmarzła. Przeciwnie. Simone była kompletnie zmieszana. Nie spodziewała się tu Jensa. Po drodze do domu zastanawiała się gorączkowo, jak powinna wyjaśnić mu całą tę historię.

Jens bez zbędnych ceregieli usiadł na jednej z sof w salonie. Potem założył ręce na piersi.

– I? Wyjaśnisz mi, o co tu chodzi?

Simone opadła na stojącą naprzeciwko sofę i wzięła głęboki oddech.

– Więc… – Zaczęła opowiadać, dlaczego przyjechała do Francji.

– Przepraszam, że w tym czasie nie dzwoniłam, ale to wszystko było takie… zagmatwane – zakończyła swoją opowieść po niecałej godzinie.

– Więc podobno jest to dom twojej prababki? – Jens patrzył na nią rozbawiony.

– Jens, to nie jest dowcipne. Sama nie wiem, jak wdepnęłam w tę historię. Czy był to przypadek, czy… zrządzenie losu. Nie pytaj mnie. Ale…

– *Bonjour*.

Simone zesztywniała. W drzwiach salonu stał Pascal.

– Pascal…

– Dzień dobry. – Podszedł do Jensa, który gapił się na niego zdziwiony. – Jestem Pascal, a pan…

Zanim Jens zdążył odpowiedzieć, Pascal podszedł do Simone i zanim mogła się uchylić, pocałował ją w policzek.

– Wszystko w porządku?

– Tak, Pascal… to jest Jens.

– *Oui*, Jens. Dużo o panu słyszałem.

Jens zerwał się z sofy.

– Simone, z całym szacunkiem, ale najwidoczniej ci przeszkadzam. Kiedy w tej historii miała pojawić się część z twoim francuskim przyjacielem? Naprawdę myślisz, że jestem głupi? – Skierował się do wyjścia, ale jeszcze raz się odwrócił. – Ach, zanim zapomnę, w zasadzie to przyjechałem z tego powodu.

Wyciągnął kopertę z kieszeni kurtki.

– Ktoś był w mieszkaniu i zabrał to stare śmierdzące siodło i kufry. Może to była pomyłka i zwrócą ci wszystkie koszty. – Rzucił kopertę na stół w salonie.

– Co, jak? Jens, poczekaj!

Ale był już za drzwiami.

Simone zerwała się na równe nogi.

– Pascal, co to miało być? Jesteś idiotą!

– Dlaczego? Ponieważ byłem dla ciebie miły?

– Nie, ponieważ zachowałeś się jak… jakbyśmy…

Pobiegła za Jensem, ale wsiadł już do samochodu. Niedługo potem tylne światła jego kombi zniknęły w lesie. Była mocno przybita. Wściekła wróciła do domu.

– Pascal, to było zupełnie nie na miejscu, mam nadzieję, że to rozumiesz!

Uniósł ręce w przepraszającym geście. Ale Simone od jakiegoś czasu wpatrywała się w leżącą na stole kopertę.

– Co on powiedział? – Chwyciła się za czoło.

– Chciał się dowiedzieć, czy uważasz, że jest głupi – odpowiedział spokojnie Pascal.

– Przestań już. Nie… co powiedział o kopercie?

– Przyjechał ktoś z Hamburga i coś zabrał.

– O cholera. – Simone uderzyła się dłonią w usta. – Czyżbym była taka głupia?

Pascal patrzył na nią zdziwiony.

Pokazała na kopertę.

– Najwidoczniej ktoś odkupił te rzeczy… Jens powinien mnie zapytać! Zwłaszcza że należą do Constanze, a nie do mnie… O Boże, co on sobie myśli? – Teraz była naprawdę wściekła. Wyrzuciła w górę ręce i przeszła parę kroków dookoła pokoju.

– Pascal. Przecież ty wiedziałeś o aukcji. Powiedziałeś o niej Consanze. Co jeszcze wiesz?

Wzruszył ramionami zakłopotany.

– No powiedz wreszcie. Przecież wiesz więcej, niż mi mówisz.

Pascal nerwowo złożył dłonie i unikał jej spojrzenia.

– No cóż – zaczął – przeprowadziłem śledztwo dla Constanze. Chciałem dowiedzieć się, czy istnieją jakieś informacje na temat miejsca pobytu jej rodziców. Zebrałem więc, teraz już w Breslau, wiadomości o uciekinierach z miasta. Niestety, nie znalazłem nic istotnego, poza tym, że Constanze złożyła wtedy w Czerwonym Krzyżu zawiadomienie o zaginięciu. Adres, który tam podała, był adresem domu w Blankenese. Kiedy potem go szukałem, znalazłem zapowiedź licytacji. Pomyślałem, że być może zainteresuje to Constanze, i wysłałem jej dokumenty. No tak, a potem…

– Odkryła swoje stare rzeczy. Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?

– Simone, ja… – Opuścił wzrok.

– Co się potem stało?

– Dowiadywałem się dalej za pośrednictwem domu aukcyjnego. Powiedziałem, że reprezentuję krewną właścicielki, co było zresztą zgodne z prawdą. Dostałem kontakt w USA. Ursula Berger.

Simone opadła na sofę osłupiała.

– Moja matka? Rozmawiałeś z moją matką?

– No cóż, trudno to nazwać rozmową... Nie była zbyt uprzejma. Powiedziała, żebym zostawił ją i jej matkę w spokoju i że nie jest zainteresowana jakimkolwiek kontaktem z rzekomymi krewnymi. Nic nie wiedziała również o siostrzenicy swojej matki. Simone, nie zdawałem sobie sprawy, że zupełnie nic o niej nie wiesz. Kiedy się tu zjawiłaś, pomyślałem, że mój plan się urzeczywistnił. Ale potem powiedziałaś, że nie znasz Constanze. – Mówił to desperackim tonem. – Miałem nadzieję, że przez ciebie nawiążę jakiś kontakt. Szukałem krewnych tej Ursuli Berger z USA i trafiłem na ciebie.

– Śledziłeś mnie? – Simone zaczerpnęła powietrza oburzona. – Naprawdę powoli zaczynam mieć tego dosyć.

– Nie, zaczekaj! – Pascal uniósł dłonie w uspokajającym geście. – Tylko sprawdzałem, czy są jeszcze jacyś krewni. Wtedy znalazłem ciebie. I byłaś, że tak powiem, predestynowana do tego, żeby odzyskać rzeczy Constanze. Poza tym wtedy nie mogłem przewidzieć, że nawiążę kontakt z krewną Constanze. Po reakcji twojej matki nie chciałem robić jej złudnych nadziei. Była bardzo podekscytowana, kiedy powiedziałem jej, że dom wciąż stoi na swoim miejscu, a także odnaleźli się członkowie rodziny Berentschów. I nawet obwiniam się za to, że tak to przeżyła. – Westchnął. – Na dodatek nie mogłem jeszcze powiedzieć jej o tobie. Gdybym nie był w stanie skontaktować się z tobą i gdybyś nie przyjęła zlecenia, wszystko pozostałoby po staremu. Po prostu chciałem oszczędzić Constanze rozczarowania. – Opuścił wzrok. – Ale potem naraz wszystko się pogmatwało. Constanze dostała ataku, ja zorientowałem się, że nie wysłała drugiej koperty… no i wtedy pomyślałem, że po prostu poczekam, co będzie dalej. Nie było też pewności, czy Constanze jeszcze dojdzie do siebie.

Simone opadła na poduszki i zamknęła oczy. Co miała o tym wszystkim myśleć? Była rozgniewana, naprawdę rozgniewana. Powinien jej powiedzieć. Z jednej strony jej zaufanie do niego zostało mocno nadszarpnięte. Z drugiej strony, wreszcie udało się jej trafić na właściwy trop. Patrząc z tego punktu widzenia, jego działania osiągnęły zamierzony cel.

Nagle poczuła się zmęczona i wyczerpana. To było dla niej trochę za dużo. Miała jeszcze tyle spraw do uporządkowania, począwszy od Jensa po rozmowę z matką…

Jednym ruchem usiadła prosto.

– Pascal, co dokładnie powiedziała ci moja matka?

Uśmiechnął się krzywo.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Co ci powiedziała, kiedy mówiła o własnej matce?

– Żebym zostawił ją i jej matkę w spokoju.

– Zostawić jej matkę w spokoju? – W głowie Simone kłębiły się myśli i uczucia. Przyłożyła dłonie do skroni. – Pascal, czy wiesz, co to może znaczyć? Nie tylko to, że matka kłamała mi na temat mojej babki… o Boże – dom, w którym odbyła się aukcja… Przecież jeszcze do niedawna ktoś w nim mieszkał! I tym kimś mogła być moja babka! – Potrzebowała chwili, żeby przetrawić to odkrycie. Nagle z oczu jakby spadły jej łuski: stara kobieta na aukcji. Czyżby to było możliwe, żeby…?

Czyżby nie zdając sobie z tego sprawy, siedziała zaledwie kilka rzędów krzeseł za swoją babką, o której sądziła, że już od dawna nie żyje? Zaśmiała się trochę histerycznie. Cała ta historia wydała jej się całkiem zwariowana.

– Czy już wszystko jest dla ciebie jasne, Simone?

– Tak, wszystko jest jasne. Tylko właśnie zastanawiam się, co jest gorsze: wściekły Jens, prawdopodobnie jeszcze żyjąca babka czy to, że mnie okłamałeś.

– Nie okłamałem cię, tylko nic nie powiedziałem.

– Na jedno wychodzi. Jeszcze o tym porozmawiamy!

– Okej, jestem ci to winien. – Pascal spojrzał na nią przepraszającym wzrokiem. Czuła, że nie będzie się długo na niego złościć. Ale to załatwi się później.

Simone zerwała się na równe nogi.

– Muszę jechać do Niemiec!

– Teraz?

– Tak, natychmiast!

Wstał i klasnął w dłonie.

– Okej, no to jedźmy.

– My? – Uniosła brwi.

Wzruszył ramionami.

– Jestem ci to winien. Czy też wolisz jechać całą drogę pożyczonym samochodem?

Do diabła, ma rację – dlaczego te odległości są tak ogromne?

Jak by tu zarezerwować bilet na samolot, nie było tu nawet przyzwoitego internetu. Podróż wynajętym samochodem kosztowałaby majątek i nawet gdyby dodzwoniła się do Jensa, zapewne niechętnie zabrałby ją ze sobą. Och, znów musiała wyprostować kilka spraw.

– No to jak, Simone. Berlin?

– Nie, Hamburg.

Rozdział 21

Simone szybko spakowała swoje rzeczy. Potem pojechała do Pascala, który również przyniósł mały bagaż i poinformował rodziców o wyjeździe.

– Możesz tak po prostu wyjechać? Mam na myśli, czy możesz zostawić nie tylko gospodarstwo, lecz również biuro?

Pascal wzruszył ramionami.

– Zazwyczaj w wiosce nie dzieje się nic takiego, co nie mogłoby kilka dni poczekać.

– Jesteś pewny, że chcesz jechać ze mną?

– Posłuchaj, przecież będzie fajnie. I niespecjalnie przypada mi do gustu, żebyś jechała całą drogę sama.

– Tutaj też przyjechałam sama – odpowiedziała Simone przekornie. Chociaż już się zdecydowała, że pojadą razem, chciała go jeszcze trochę podrażnić.

Kliknął w nawigację w uchwycie na desce rozdzielczej i wystukał coś na ekranie.

– To tylko tysiąc trzysta kilometrów.

Simone patrzyła na wyświetlacz.

– Może powinniśmy powiedzieć Constanze o naszym wyjeździe. Spodziewa się, że odwiedzę ją jutro przed południem.

– Zadzwonimy do mojej matki i powiemy jej, żeby poszła do Constanze i powiedziała jej, że my… cokolwiek. Tylko nie to, że jedziemy do Niemiec, aby szukać Dorothei. Bo może na końcu tylko ją rozczarujemy i niepotrzebnie zdenerwujemy.

– Dobrze. – Simone miała świadomość, że sama byłaby bardzo rozczarowana, gdyby w Hamburgu dowiedziała się, że jej babka w międzyczasie… Nie! To nie mogło się stać właśnie teraz. Mimo to nad jej głową unosiła się chmura niepewności.

– Myślę, że dzisiaj dotrzemy do Hawru – planował Pascal wesoło. – Przenocujemy tam i jutro zobaczymy, jak daleko zajedziemy. A dziś wieczorem zadzwonisz do niego.

– Do kogo?

– No, do twojego przyjaciela. Powiesz mu, że jest ci przykro, że potrzebujesz trochę czasu, aby się zastanowić, ponieważ sytuacja jest nadzwyczajna, i że wrócisz do domu, gdy tylko wyjaśnisz rodzinną historię.

– Hm.

– No co?! Wiem, że popełniłem błąd i być może w ostatnich dniach za bardzo ci się narzucałem. Ale nie chcę wbijać klina w twój związek.

– Pocałowałeś mnie.

– Ty mnie też.

– *C'est la vie*.

Szybko spojrzał na nią.

– Mimo wszystko mamy teraz dużo czasu, żeby lepiej się poznać. Po prostu zacznijmy jeszcze raz od początku. Co ty na to?

– Pascal, dziękuję, powinniśmy… jechać. Teraz jestem wściekła na ciebie. Zapytaj mnie jeszcze raz za tysiąc dwieście kilometrów, okej? Albo jeszcze lepiej: odezwij się do mnie dopiero w Hamburgu!

Simone gapiła się w boczną szybę. Obok niej przesuwał się krajobraz. Czuła się zdezorientowana. Jens, Pascal, Constanze, Dorothea. Czy powinna zostać z Jensem? A jeśli jej przypuszczenie było prawdziwe i Dorothea jeszcze żyła? Czy nieustępliwość Pascala powinna jej

schlebiać? Ale wiedziała, że on wodzi ją za nos. Jednocześnie Simone czuła, że jest też przez niego pożądana i akceptowana. Czy te motylki w brzuchu, to podekscytowanie, które już dawno utraciła przy Jensie, mogło się znów między nimi obudzić? Czy rozmowy i obietnice by coś dały? A gdyby rzeczywiście pogodziła się z Jensem, co byłoby z nią i Pascalem? Nie wiedziała tego. W głowie miała plątaninę myśli i uczuć. Oparła skroń o zimną szybę i zamknęła oczy.

Kiedy dotarli do Hawru, było już ciemno. Zjedli trochę smażonego makaronu w chińskiej knajpce i poszukali hotelu. Dwa pokoje. Simone uparła się, że zapłaci za siebie, chociaż oznaczało to, że musiała naruszyć swoją prowizję od Constanze. Były to jedyne pieniądze, które zostały jej jeszcze w rezerwie. Kufry i siodło nie miały dużej wartości, ale należało się jej piętnaście procent prowizji. Jednak rzekome odkupienie ich przez dom aukcyjny przyprawiało ją o ból głowy. Jeszcze nigdy nie spotkała się z czymś takim, ale wiedziała, że było to możliwe. O ile zgodził się na to kupujący, w tym wypadku ona albo, dokładniej mówiąc, Constanze jako jej zleceniodawczyni. Ale to nie był akurat taki przypadek. Nie ulegało wątpliwości, że mimo to zatrzymałaby swoją prowizję. Tylko nie wiedziała jeszcze, jak wybrnąć z tej sytuacji, skoro Jens nie miał prawa dokonać sprzedaży. Miała nadzieję, że problem da się rozwiązać, bądź co bądź, w rodzinie. Ale to wszystko nie było takie proste. Próbowała przełknąć urazę do Jensa, chociaż popełnił naprawdę duży błąd.

Kiedy już leżała w łóżku, wzięła komórkę i nacisnęła numer Jensa.

– Słucham?

– To ja. – Wiedziała, że widzi jej imię na wyświetlaczu.

Milczenie.

– Jens, przykro mi, myślę, że trochę fałszywie to zrozumiałeś.

– Pocałował cię w policzek.

– Tak, pocałował. Jesteśmy we Francji, tutaj ludzie ciągle tak robią.

– Hm.

– To tylko przyjaciel, nic więcej. Okej? Posłuchaj, przez tę rodzinną historię jestem naprawdę trochę rozkojarzona. Przepraszam, że nie zadzwoniłam, jak obiecałam, przepraszam, że się martwiłeś, i przyznaję, uważam za coś wspaniałego, że przyjechałeś do mnie taki kawał drogi. Uwierz mi, naprawdę mam wyrzuty sumienia. Po prostu wszystko poszło nie tak. – Simone wstrzymała oddech. Musiała to teraz z siebie wyrzucić. – I… zastanawiałam się też nad naszym związkiem. Myślę, po prostu czuję, że się trochę pogubiliśmy.

– Chcesz, żebyśmy się rozstali?

Te bezpośrednie słowa zakłuły Simone. Musiała przełknąć ślinę, ale odpowiedziała szczerze:

– Nie wiem. Myślę, że powinniśmy zrobić sobie przerwę. Potrzebuję jeszcze kilku dni, żeby uporządkować całą sprawę. Potem przyjadę do domu i jeszcze raz porozmawiamy. Co ty na to?

– Nie śpiesz się. – Jego głos zabrzmiał przesadnie obojętnie.

– Dlaczego?

– Pojechałem dalej na zachód. Piękna okolica. Chyba zrobię sobie wycieczkę przez Brest i Nantes.

– Nie jesteś w drodze do Berlina?

– Nie.

– Okej… – Nagle w Simone obudziła się dobrze znana nieufność. – Skąd masz na to pieniądze?

– Kiedy byłaś w Hamburgu, pojechałem z Rolfem do Drezna. Tym razem nasz pomysł wypalił, możemy wystawiać tam nasze obrazy do jesieni, a trzy już sprzedałem do innych galerii.

– Trzy? Gratuluję! – Była szczerze zaskoczona i wyrzuty sumienia, że fałszywie go oceniła, wróciły z całą siłą.

– Dziękuję. – Zrobił krótką przerwę. – A więc dobrze, zróbmy tak. Oboje zakończymy nasze wojaże i wtedy spotkamy się i jeszcze raz spokojnie porozmawiamy. Szkoda, gdyby tak to się skończyło.

– Dziękuję, Jens. Nie, to nie powinno się tak skończyć. – W tej chwili Simone nie wiedziała już, czy w ogóle powinno się to skończyć. Miała uczucie, że jest w środku mydlanej bańki, ale widziała możliwości, żeby zrobić coś, by pękła. Jej myśli gwałtownie wzbraniały się przed udzieleniem jej jasnej odpowiedzi na jej uczuciowy chaos.

– Okej, Simone. Jeśli będzie coś, o czym chciałabyś porozmawiać albo cokolwiek innego… Wiesz, że możesz zadzwonić do mnie o każdej porze. – Teraz jego głos zabrzmiał ironicznie.

– Tym razem naprawdę zadzwonię.

– Tak, dobrze.

– Ach, Jens, ale powinieneś mi powiedzieć jeszcze jedno: Kto konkretnie odebrał kufry i siodło?

– Nie wiem. Facet miał pismo z jakiegoś domu auk-cyjnego.

– To nie było w porządku. Dobrze o tym wiesz, Jens. Powinieneś mnie zapytać.

– Nie było cię i cholernie trudno było złapać cię przez telefon. – Jego głos przybrał teraz ostry ton.

– Już dobrze. Wiem. Przykro mi.

– Właściwie to gdzie ty jesteś?

– Jesteśmy w drodze do Hamburga.

– My?

– Tak, na miły Bóg, Pascal zaproponował, że mnie zawiezie. Samolot jest drogi, a wynajętym samochodem… nie wolno wyjeżdżać nim z Francji. – Było to kłamstwo z konieczności. Ale nie mogła przyznać, jak się cieszyła, że towarzyszył jej Pascal.

– W takim razie powodzenia, cokolwiek tam razem robicie. – W jego głosie znów zabrzmiał lodowaty ton.

Nie powinna mu mówić, z kim podróżowała. Ale czy miała brnąć w kłamstwa? To też nie było rozwiązanie.

– A więc, śpij dobrze, Jens. Odezwę się, okej?

– Tak, ty też śpij dobrze.

Simone się rozłączyła i wsłuchała w swój wewnętrzny głos. Czy teraz się uspokoiła? Czy też czuła się raczej tak, jakby tylko po prostu odroczyła wykonanie wyroku? Jej ciało nie odpowiadało, myśli też. Czuła się po prostu pusta. Zrezygnowana opadła na poduszkę. Jak się samemu odnaleźć, jeśli się nawet nie wie, gdzie się jest?

Po skromnym śniadaniu wcześnie rano pojechali dalej. Nad ziemią wisiała mgła i nie przepuszczała promieni słońca. Pascal włączył radio.

– Przeszkadza ci muzyka?

Roześmiała się.

– Nie, skąd?

Jechali przez Amiens, Lille i Gent w Belgii. Tam zatrzymali się na obiad. Potem ruszyli

dalej w kierunku Holandii.

– Chcesz, żebym poprowadziła?

– Mój samochód?

– No, nie zgrywaj takiego macho!

– Nie, jest okej, lubię prowadzić, to dla mnie nic takiego. Dawniej zawsze jeździłem z Niemiec do domu samochodem.

– Mówiłeś, że studiowałeś w Niemczech.

– Tak, kilka semestrów w Kolonii. *Alaaf!* – Machnął ręką w powietrzu.

Simone się zaśmiała.

– Świetnie, czyli znasz już najważniejsze zasady niemieckiej kultury.

– Hej, czy to nie ironia?

– Nieeeee.

Oboje się zaśmiali. Tak sobie rozmawiali kilometr po kilometrze. Gdzieś pomiędzy Osnabrück i Bremą Simone stwierdziła, że między nimi znów zrodziła się atmosfera bliskości i zaufania. Złość jej przeszła i naprawdę była ciekawa, co jeszcze jej o sobie powie.

Wieczorem zmęczeni i głodni dotarli do granic Hamburga.

– *Voilà*, madame, Hamburg. I co teraz?

– Dom aukcyjny jest w centrum miasta. Powiedziałabym, poszukajmy noclegu i jeszcze coś zjedzmy.

– *Oui*, madame. Co właściwie zamierzasz? To znaczy chcesz szukać Dorothei, a potem?

– Gdybym to wiedziała. Ale muszę znaleźć odpowiedź na pytanie, czy ona jeszcze żyje. To jest najważniejsze. Jeśli naprawdę jest kobietą, której szukamy, musi mieć już ponad dziewięćdziesiąt lat.

– Hm… jeśli ma chociaż kilka takich samych genów jak Constanze, musi być jeszcze dość żwawa.

– Mam taką nadzieję. Jeśli przeczucie mnie nie myli, widziałam ją na aukcji. Sprawiała wrażenie, że jest jeszcze w całkiem dobrej formie.

– Mimo to nie powinnaś ot tak pójść do niej, przedstawić się jako jej wnuczka i powiedzieć, że przychodzisz na zlecenie jej siostry, którą przed laty uważała za swoją kuzynkę.

– Przecież to wiem. – Ale Simone nie miała jeszcze pomysłu, co powinna powiedzieć jej zamiast tego.

Znaleźli dwa pokoje w małym hotelu. Wieczorem usiedli w małej hotelowej restauracji pomiędzy cichymi, samotnie podróżującymi biznesmenami i kilkoma głośniejszymi młodymi ludźmi.

Simone nie dopisywał apetyt i trochę apatycznie grzebała w swojej sałatce. Bała się, że prawdopodobnie jej podróż była daremna. Co, jeśli okaże się, że jej babka była tak samo odpychająca jak jej matka? Była to myśl, którą starała się szybko odrzucić.

– Rozmawiałaś ze swoim przyjacielem? – Ciche pytanie Pascala sprowadziło ją z powrotem do rzeczywistości.

– Tak.

– I co?

– I co? Nie za bardzo się ucieszył. – Zakołysała się lekko na krześle. Jens dał się szybko ułagodzić przez telefon, ale Pascal nie musiał o tym wiedzieć. Sumienie powinno gryźć go jeszcze jakiś czas. – A ty kiedy rozstałeś się z żoną? – zapytała zamiast znów poprzestać na temacie Jensa.

Pascal wykrzywił twarz.

– Czy musimy o tym rozmawiać?

– Tak, tak uważam. Przecież sam zaproponowałeś, żeby wykorzystać podróż, aby się jeszcze raz od nowa poznać.

Odłożył sztućce, oparł się łokciami na stole i złożył dłonie.

– Trzy i pół roku temu.

– Jak długo byliście małżeństwem?

– Pięć lat. – Odetchnął głęboko. – Simone, to już przeszłość, skończyłem z tym. Eileen i ja poznaliśmy się na uniwersytecie, byliśmy młodzi i mieliśmy wielkie plany. Oczywiście chciałem mieć własną kancelarię, ona natomiast zamierzała zostać… jak to się mówi… reprezentantem podatkowym?

– Doradcą podatkowym.

– Chciała zostać doradcą podatkowym, jak jej ojciec i wuj w Paryżu. Było dla niej jasne, że pewnego dnia się tam zatrudni. Nie myślałem o tym zbyt wiele. Człowiek jest młody, zakochany, a później sami wszystko niszczymy. Pobraliśmy się, przeprowadziliśmy do małego mieszkania i dalej studiowaliśmy. – Wzruszył ramionami. – Ale potem naprawdę zatrudniła się w biurze swojego ojca, a ja, ja próbowałem swojego szczęścia w Paryżu. Ale po studiach coraz bardziej i bardziej uświadamiałem sobie, że życie w mieście nie jest dla mnie. Jak wiesz, pochodzę ze wsi i zawsze mnie tam ciągnęło. I czułem, jak w moich rodzicach narastał strach, że mnie całkiem stracą. Ale ja byłem związany z nimi i z gospodarstwem i chociaż jestem prawnikiem, lubię zajmować się rolnictwem. Gdyby pewnego dnia trzeba było wyzbyć się gospodarstwa z mojego powodu… nie, nie chciałbym tego.

– A więc wróciłeś?

– Tak. Eileen nie potrafiła tego zrozumieć i to był decydujący powód naszego rozstania. Musiałem przyznać, że nie mielibyśmy wspólnej przyszłości.

– Hm. – Simone uświadomiła sobie, że obecnie znajdowała się w podobnej sytuacji z Jensem. Tylko w jej wypadku nie było starej rodzinnej tradycji, którą należało chronić. Jeśli o to chodzi, nie miała się na czym oprzeć, żeby ułatwić sobie podjęcie decyzji. Pływała po morzu i nie wiedziała, dokąd rzucą ją fale. – Zgodziliśmy się z Jensem, żeby najpierw trochę od siebie odpocząć. Być może… ach, już sama nie wiem.

– Simone – powiedział miękkim głosem Pascal. – Ja też nie od razu wiedziałem i dręczyło mnie to długie miesiące. Niekiedy potrzeba czasu, żeby zrozumieć, co dalej.

Co chciał przez to powiedzieć? Że na nią nie nacis-ka? Że ją rozumie? To wcale nie ułatwiało jej podjęcia decyzji.

– Powinniśmy iść spać, Pascal. Jestem zmęczona, a jutro będzie intensywny dzień. – W rzeczywistości Simone była zmęczona raczej wsłuchiwaniem się w samą siebie i zastanawianiem się nad swoimi uczuciami. Być może naprawdę powinna po prostu poczekać, co przyniesie czas.

Następnego dnia Pascal zawiózł Simone do domu aukcyjnego w starym Speicherstadt. Zrezygnowała z rozmowy przez telefon, ponieważ chciała uniknąć tego, że ktoś będzie próbował ją zwodzić. W końcu odkupywanie sprzedanych na licytacji przedmiotów nie było ogólnie przyjętym zwyczajem.

W biurze Simone natknęła się na młodą sekretarkę sprawiającą sympatyczne wrażenie.

– Dzień dobry. Nazywam się Simone Berger.

– Czym mogę pani służyć?

– Chciałabym porozmawiać z osobą odpowiedzialną za pewną aukcję. Odbyła się dziewiątego kwietnia tu, w Hamburgu, w Blankenese. – Ile dni temu to było? Automatycznie szukała w biurze kalendarza.

– Chwileczkę, proszę. – Sekretarka wystukała coś na komputerze.

– To był pan Lücking.

– Jest teraz tutaj?

– Tak, chwileczkę. – Wzięła do ręki słuchawkę.

Po krótkim wyjaśnieniu skinęła Simone i się rozłączyła.

– Trzecie drzwi na lewo. – Pokazała na korytarz.

– Dziękuję.

Pan Lücking, krępy mężczyzna około pięćdziesiątki, poprawił okulary i cierpliwie wysłuchał celu wizyty Simone.

– Proszę zrozumieć, że niekoniecznie chodzi o odkupienie przedmiotów, lecz raczej o to, że brakuje części zawartości kufrów i kupujący… albo sprzedający, zresztą nieważne kto, z pewnością chciałby je odzyskać. Ale ponieważ chodzi tu o bardzo osobiste przedmioty, wolałbym to sam załatwić.

Simone czuła się jak ciężarówka jadąca slalomem. Oczywiście nie chciała opowiadać całej historii temu obcemu człowiekowi, a już na pewno nie o tym, że wyjęła z kufrów pamiętniki i listy, aby je przeczytać, ale musiała jakoś podkreślić, że ta sprawa była wyjątkowo pilna.

– Właśnie przyjechałam z Francji, gdzie spotkałam się z moją zleceniodawczynią. Nie mogłam przewieźć wszystkiego za jednym razem i dlatego wciąż mam część zawartości wylicytowanych kufrów.

– Z Francji? O jakie przedmioty właściwie chodzi? Chętnie zapytam *naszych* zleceniodawców, czy te przedmioty są ważne…

– Nie, to wszystko stanowi jedną całość i powinno pozostać razem. Byłoby to w interesie zleceniodawców.

Simone próbowała przybrać uprzejmy wyraz twarzy.

– Panie Lücking, czy nie mógłby pan zrobić wyjątku, żebym mogła osobiście załatwić tę dość delikatną sprawę? Wiem, że może mieć pan z tego powodu kłopoty. Ale muszę od razu powiedzieć, że odkupione rzeczy trafiły w niepowołane ręce. Ani ja, ani mój klient nie wyraziliśmy na to zgody. Może pan mieć duże kłopoty, jeśli uprę się, żeby załatwić tę sprawę oficjalną drogą.

Simone drżała w środku. Podczas jazdy omawiała ten problem z Pascalem. Poradził jej, żeby śmiało powiedziała, co zamierza. Krótko mówiąc, powinna zagrozić, że poweźmie kroki prawne. W ten sposób zapewne zdobędzie potrzebną informację.

Pan Lücking chrząknął i nagle sprawiał wrażenie bardzo zakłopotanego.

– No dobrze, wyjątkowo. Ale prosiłbym panią, żeby pani coś wymyśliła, aby wyjaśnić naszemu klientowi, skąd pani ma jego adres. Bo inaczej będę miał nieprzyjemności, mam nadzieję, że pani to rozumie.

– Będę bardzo dyskretna, proszę mi wierzyć. Będziemy panu wdzięczni, że pomógł pan wyprostować kilka spraw.

Trochę później Simone wyszła z biura z kartką, na której był zapisany adres. Pascal

czekał w samochodzie.

– Mam! – zawołała.

– I co, to rzeczywiście Dorothea?

– Tak, Dorothea Vahrenberg. Dom spokojnej starości imienia Hildy Bloom, Hagenkamp w Hummels-büttel.

Pascal wbił adres w nawigację.

– Gotowe!

Pojechali. Simone poczuła nerwowe mrowienie w brzuchu. Czy za kilka minut pozna swoją babkę, o której myślała, że nie żyje? Simone niespecjalnie przypominała swoją matkę, raczej ojca. Ale przypomniała sobie, że Constanze przy ich pierwszym spotkaniu wzięła ją za kogoś z rodziny. Być może nawet za Dorotheę? Nie wiedziała nawet, czy Dorothea znała jej ojca. W końcu nie widziała swojej własnej córki, matki Simone, co najmniej trzydzieści lat. W każdym razie Simone nie wierzyła, żeby jej matka utrzymywała z nią kontakt. Prawdopodobnie jej babka w ogóle nic o niej nie wiedziała. Co wydarzyło się pomiędzy matką a babką? Simone potrafiła sobie wyobrazić, że wybuchł jakiś konflikt, w końcu jej matka nie była łatwym człowiekiem.

Pojawiły się pierwsze tabliczki z nazwami ulic, wskazujące, że byli już w Hummelsbüttel, małej spokojnej dzielnicy tonącej w zieleni. Samochód Pascala zatrzymał się przed kompleksem mieszkalnym, którego duży hol wejściowy wskazywał raczej na akademik niż budynek mieszkalny.

– Jesteśmy na miejscu. Poczekam w samochodzie, okej?

Simone wahała się przez chwilę. Bezsensowne było dłuższe zastanawianie się nad tym, co powinna powiedzieć. Miała taki mętlik w głowie, że i tak nie mogła już jasno myśleć. Postanowiła, że po prostu zostawi sprawy swojemu biegowi.

Hol wejściowy był przestronny i jasny. Recepcja przypominała raczej hotel niż dom seniora.

– Dzień dobry, ja do Dorothei Vahrenberg.

Młoda kobieta w recepcji rzuciła okiem na plan.

– Pokój sześćdziesiąt cztery. Trzecie piętro, prawy korytarz. Tam dalej jest winda. Przy drzwiach jest dzwonek.

– Dziękuję.

Simone wjechała windą na wymienione piętro. Spociły się jej dłonie. Pokój z dużym numerem 64 na drzwiach znajdował się daleko na końcu korytarza. Simone waliło serce. Szybko nacisnęła przycisk dzwonka, zanim mogłaby zdecydować się na coś innego.

Minęła chwila i Simone już się bała, że nikogo nie było w domu, kiedy usłyszała kroki za drzwiami. Zapanowała krótka cisza i Simone uświadomiła sobie, że stoi na wprost wizjera. Uśmiechnęła się zakłopotana.

Drzwi uchyliły się z kliknięciem.

– Tak, o co chodzi?

Tylko jak miała zacząć? Czy powinna od razu w drzwiach powiedzieć, kim jest?

– Nazywam się Berger. Czy mam przyjemność z panią Vahrenberg?

– Słucham? – Drzwi uchyliły się trochę szerzej. Nie ulegało wątpliwości, że stała tam siostra Constanze Chervon. Niska, szczupła, lekko kręcone siwe włosy, oczy mimo zaawansowanego wieku żywe i czujne.

– Mówi pani, Berger? Och tak, znam panią… na pewno przychodzi pani z powodu rzeczy, które odkupiłam.

– Tak. To też.

– Proszę, niech pani wejdzie, chciałabym to pani wyjaśnić. Z pewnością sprawiłam pani

kłopot.

Simone weszła do mieszkania. Z małego przedpokoju szło się prosto do salonu z aneksem kuchennym po jednej i łóżkiem po drugiej stronie. Na środku stały dwa fotele i stół, a za nim telewizor. Z dużych okien roztaczał się widok na zieleniec.

– Proszę usiąść. Czy mogę pani coś podać? Wodę? Sok? – Stara kobieta żywo krzątała się po aneksie kuchennym. Sprawiała wrażenie trochę nerwowej.

– Poproszę wodę. Dziękuję.

– Przypominam sobie panią. Była pani na aukcji w moim domu. Nie powinnam tam iść. Bardzo trudne było dla mnie pozbycie się tych wszystkich rzeczy.

– Wierzę pani.

– Lekarz poradził mi pilną przeprowadzkę. Wie pani, mam dziewięćdziesiąt sześć lat. Uwierzyłaby pani? – Rozłożyła ręce. – Nie wiem, dlaczego właśnie mnie podarowano takie długie życie. Co prawda to wspaniałe, oczywiście, ale wszyscy wokół mnie się starzeją i tak wielu ludzi już mnie opuściło. No tak, w każdym razie dom był dla mnie za duży. A na dodatek te schody! Poza tym nie mam już personelu. Wszystko tak podrożało, nie mówiąc już o kosztach ogrzewania. A więc lekarz poradził mi przeprowadzić się do miejsca bardziej odpowiedniego dla starych ludzi. Gdzie ktoś się o mnie zatroszczy, kiedy już nie będę mogła dobrze chodzić. – Podeszła do stołu ze szklanką wody. – Przepraszam panią, trochę za dużo mówię. Ale jestem podekscytowana tą sprawą.

Simone uniosła dłoń.

– Żaden problem, chętnie posłucham.

– W każdym razie poradzono mi sprzedać dom, a wyposażenie wystawić na licytację. Całe życie, nie, całe stulecie poszło pod młotek! To było okropne, ale w końcu nie miałam wyboru. Powiedziano mi, że wynajęcie nie byłoby rentowne, a za to tutaj – pokazała dookoła siebie – też trzeba było zapłacić. I to z góry.

Dorothea usiadła na krześle naprzeciwko Simone i przez chwilę milczała. Nerwowo ugniatała palce i nieustannie wycierała ze stołu nieistniejące okruchy.

– Przepraszam, że naciskałam, żeby odkupić wylicytowane przez panią rzeczy. Och, pan Lücking z domu aukcyjnego nie był zachwycony. Był też wobec mnie bardzo nieuprzejmy, ale uświadomiłam sobie, że pozbywając się ich, popełniłam duży błąd. Przecież mogłam zabrać ze sobą niewiele. Nic dużego, co zajmowałoby wiele miejsca, a już na pewno nic niepotrzebnego. Ale kufry i siodło… nie, to był błąd. W dniu tej okropnej aukcji nie mogłam kupić tych rzeczy, byłam bez grosza. Musiałam jak najszybciej zapłacić za to mieszkanie, żeby móc się tu wprowadzić. Ale zysk z licytacji był wyższy, niż myślałam, i tak nagle miałam więcej pieniędzy, niż zapewne mogłabym jeszcze wydać. Nie mogłam się oprzeć, aby nie odkupić przynajmniej tych rzeczy, i zadzwoniłam do pana Lückinga. Wie pani, pani Berger, mówiąc szczerze, one nawet nie są moją własnością. Przechowywałam je dla kogoś w moim domu. Właściwie takich rzeczy nie można i nie wolno sprzedawać. Miałam wyrzuty sumienia. Dlatego też je licytowałam.

Dorothea spuściła głowę i złożyła dłonie na kolanach.

– Teraz już pani wie, dlaczego zażądałam zwrotu tych rzeczy. Mam nadzieję, że nie jest pani za to na mnie zła. – Dorothea wyglądała w tej chwili jak młoda zawstydzona dziewczyna.

Simone naprawdę współczuła starej kobiecie.

– Nie, bardzo dobrze panią rozumiem, pani Vahrenberg. Ale ja też chciałabym coś pani wyjaśnić. Pracuję jako agentka aukcyjna, to znaczy kupuję na aukcjach w imieniu innych ludzi. Dostałam zlecenie kupna dokładnie tych rzeczy.

– Oczywiście nie wiedziałam o tym. Ale kto mógłby być tym zainteresowany? Uważam, że siodło jest piękne, ale w kufrach były tylko stare ubrania.

– Pani Vahrenberg, do kogo należały kiedyś te rzeczy? Powiedziała pani, że przechowywała je dla kogoś.

– Tak. Wiele lat temu należały do mojej siostry ciotecznej.

Simone skinęła głową.

– Pani siostry ciotecznej. To właśnie ona zleciła mi kupno tych rzeczy.

Dorothea zakryła dłonią usta.

– Nie! To ona jeszcze żyje?

– Tak, mieszka we Francji. I sądzę, że zareagowałaby takim samym zdziwieniem, gdyby wiedziała, że w tej chwili jestem w pani mieszkaniu. Nie byłam pewna, czy panią znajdę. Gdyby pani nie odkupiła tych rzeczy, to wszystko by nas ominęło. Przekazałabym pani kufry i siodło madame Chervon i zlecenie zostałoby zamknięte.

– To ona jeszcze żyje… – Dorothea pokręciła głową. Simone nie była pewna, czy słyszała ostatnie zdania.

– Pani Vahrenberg, żeby nie przeciągać: madame Chervon opowiedziała mi co nieco o waszej historii i… że zapewne zaszło nieporozumienie. Bardzo się cieszę, że jest pani zdrowa i w dobrej kondycji, ponieważ chciałabym pomóc wam obu, być może teraz, po prawie siedemdziesięciu latach, wyjaśnić do końca tę starą historię.

– Siedemdziesiąt lat. Mam wrażenie, jakbym ostatni raz widziała Constanze wczoraj. Wie pani, nie znałyśmy się długo, w zasadzie rok. Była wojna. Wtedy wszystko się rozpadało. Więc ona jeszcze żyje. Czyli też musi już mieć około dziewięćdziesiątki.

Simone uśmiechnęła się.

– Tak, ale jest jeszcze dość sprawna jak na swój wiek.

Dorothea też się uśmiechnęła.

– Byłyśmy wtedy bardzo do siebie podobne i zapewne nadal jesteśmy, w każdym razie jeśli chodzi o starzenie się.

Simone się zawahała. Jeśli opowie jej historię Constanze, nie będzie to to samo, gdyby obie kobiety stanęły naprzeciw siebie. Nie wypadało jej się w to mieszać. Ponieważ było kilka spraw, które tylko te dwie kobiety mogły ze sobą omówić. To nie było jej zadanie. Spontanicznie przyszedł jej do głowy pomysł, być może trochę zwariowany, ale…

– Mam dla pani pewną propozycję, pani Vahrenberg. Chciałabym zaproponować, żebyśmy pojechały razem do Francji, żeby spotkała się pani z Constanze i żebyście mogły wyjaśnić sobie dawne zaszłości. Ale oczywiście pod warunkiem że czuje się pani na siłach.

Dorothea zrobiła wielkie oczy.

– Do Francji? Do Constanze? Mam z panią jechać? Przecież ja wcale pani nie znam…

– Mogę pani na przykład powiedzieć, że wtedy Constanze przyjechała do pani wozem cyrkowym z Breslau.

– Zgadza się. A więc opowiedziała to pani?

– Tak, jeszcze parę innych rzeczy. Wiem, że to zabrzmi teraz trochę głupio, ale mam nadzieję, że mi pani wierzy. Być może wyjazd do Francji byłby okazją do wyjaśnienia kilku spraw z przeszłości. Jak już mówiłam, chętnie pani w tym pomogę.

Czy nie za bardzo naciskała na starą kobietę?

– Oczywiście, jeśli czuje się pani na siłach i lekarz nie będzie miał nic przeciwko temu – dodała pośpiesznie. – Obiecuję, że będę się panią dobrze opiekować.

Proponowanie dziewięćdziesięciosześcioletniej kobiecie takiej długiej podróży było ryzykowne. Trochę szalone. Ale przecież był jeszcze Pascal.

– Kiedy wyjeżdżamy?

Simone nie spodziewała się takiej szybkiej odpowiedzi.

– Pojedzie pani ze mną?

– Oczywiście! To jest moja ostatnia szansa, żeby dowiedzieć się, co się wtedy stało. Nawet jeśli, być może, prawda będzie dla mnie bolesna. Ale czy będę siedziała tutaj i czekała na swój koniec, czy też jeszcze raz sensownie wykorzystam ostatnie dni mojego życia…

– Dobrze. Muszę jeszcze na trochę wpaść do Berlina. – Simone uświadomiła sobie, że koniecznie musi spakować kilka rzeczy. Przecież na pewno zostanie dłużej w Tréveneuc. – Zabierzemy panią w drodze powrotnej. Powiedzmy, za dwa dni.

– Tak, za dwa dni. Och, to jest naprawdę ekscytujące.

– Niech mi pani od razu powie, jeśli to będzie przerastało pani siły!

– Tak, tak, nie, wszystko dobrze. Być może kości już mi się trochę zastały, ale skoro Constanze jeszcze żyje…

– Cieszę się, pani Vahrenberg, i jestem pewna, że Constanze też się bardzo ucieszy. W takim razie zabierzemy panią pojutrze, najlepiej przed południem. Zgoda?

– Tak. Muszę się jeszcze spakować i załatwić kilka spraw, powiadomić kierownictwo domu…

– Nie ma pośpiechu, pani Vahrenberg. Spokojnie. Chętnie pani we wszystkim pomogę. – Simone już teraz bała się, że stara kobieta za bardzo przeżywa tę podróż. Pożegnała się i poszła do samochodu.

– Chcesz ją ze sobą zabrać? – Pascal roześmiał się. – Czy zdajesz sobie sprawę, ile ona ma lat? Czy w ogóle cię poznała?

– Nie, nie sądzę. Nie jestem zbyt podobna do matki, a Dorothea prawdopodobnie nie znała mojego ojca. Myślę, że matka poróżniła się z nią dostatecznie wcześnie, bo inaczej nie mówiłaby mi od małego, że moja babka umarła, zanim się urodziłam.

– Nie powiedziałaś, że jesteś jej wnuczką?

– Nie, jeszcze nie. Nie chciałam jej wystraszyć ani przytłoczyć zbyt wieloma sensacyjnymi informacjami. Narazie wystarczy im, jeśli dowiedzą się, że są sio-strami.

– A kiedy chcesz im to powiedzieć?

– Kiedy Dorotheę zdrową i w dobrej formie przywieziemy do Constanze. Mam już pewien pomysł, jak moglibyśmy im to możliwie delikatnie zakomunikować. Myślę… myślę, że powinny im to powiedzieć ich *matki*. – Simone uśmiechnęła się konspiratorsko.

– A więc, co dalej?

– Jutro wpadniemy na chwilę do Berlina, muszę spakować jeszcze kilka rzeczy. Potem wrócimy do Hamburga, żeby zabrać Dorotheę, a potem… do Tréveneuc.

Pascal popatrzył na nią rozbawiony.

– *Oui,* madame. Gdybym wiedział, że wybieram się z tobą w podróż dookoła świata, zabrałbym jeszcze dwie pary skarpetek.

– Przecież sam tak wspaniałomyślnie mi to zaproponowałeś, więc…

– Podoba mi się pomysł, że jeszcze trochę dłużej zostaniesz w Tréveneuc.

Simone dała mu kuksańca.

– Hej, robię to dla Constanze i Dorothei. Żadnych podtekstów, okej?

– Szkoda. – Przesadnie opuścił kąciki ust.

– No jedź już! – powiedziała śmiejąc się.

Rozdział 22

Następnego dnia pojechali do Berlina. Hamburg wydał się jej taki przytłaczający: wąskie ulice, duży ruch i wieczne szukanie miejsca parkingowego, do tego człowiek na człowieku. W Berlinie wyglądało to podobnie, a przy tym była tu właściwie w domu. Nagle poczuła się obco w tym mieście, a wejście do pustego mieszkania było dziwnym uczuciem. Wspólne życie z Jensem, które kiedyś tu wiodła, skończyło się. Simone patrzyła na swoje rzeczy, część swojego życia, która nagle wydała się jej czymś bardzo odległym, chociaż nie było jej tu zaledwie kilka dni. Rzeczy Jensa wydawały się jej zupełnie obce, na dodatek w mieszkaniu był Pascal, co jeszcze bardziej gmatwało sytuację. Wydawało się, że nic z jej dawnego życia już do siebie nie pasuje. Co prawda zaczęła już znowu przystosowywać się do czegoś nowego, ale nie wiedziała jeszcze, co z tego wyniknie.

Wydawało się, że Pascal też jest jakby trochę nie na miejscu. Rozejrzał się dookoła zaciekawiony, powiedział: „Ładnie tu!" – ale potem stał, jakby wrósł w ziemię. Zapewne dopiero teraz uświadomił sobie, że Simone miała własne życie, zanim przyjechała do Francji. Nie pasował do tego miejsca, a mimo to był jakąś częścią jej życia.

– Szybko spakuję parę rzeczy. Siadaj. Chętnie bym cię czymś poczęstowała, ale myślę, że poza herbatą i szklanką wody w kuchni chyba nie ma nic więcej. – Starała się jakoś zatuszować zakłopotanie.

– Nie szkodzi. – Dalej stał na środku pokoju.

Simone pobiegła do sypialni i chaotycznie wyjęła z szafy kilka rzeczy, które upchnęła w torbie podróżnej. Na jak długo tym razem wyjeżdża? Co powinna ze sobą zabrać? Przytłoczona myślami, usiadła na chwilę na brzegu łóżka. Jej łóżka, w którym zazwyczaj spała z Jensem. Gwałtownie wstała. Zdecydowanie spakowała do torby resztę ubrań i zaniosła ją do przedpokoju. Kiedy weszła do salonu, Pascal stał przy oknie i patrzył na miasto.

– Muszę jeszcze szybko sprawdzić e-maile… – Pokazała na komputer. Skinął głową i znów odwrócił wzrok w stronę okna.

Kiedy uruchamiała komputer, Pascal się nie ruszał. Ale potem chrząknął.

– Czy nie powinniśmy trochę dokładniej zaplanować drogi powrotnej? Bądź co bądź będziemy jechać ze starą kobietą. Nie mam na myśli, że będziemy musieli biwakować z Dorotheą w samochodzie. – Jego słowa wyraźnie mówiły Simone, że wciąż uważa pomysł za wysoce ryzykowny.

– Ona naprawdę jest jeszcze w bardzo dobrej formie.

Simone włączyła komputer i usiadła przy biurku. Zdziwiona odkryła po prawej stronie klawiatury stertę jeszcze nie uregulowanych rachunków, na których jednak widniała adnotacja „Zapłacone". Czyżby Jens zapłacił rachunki? Czy to możliwe? Od razu ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że robiła mu wymówki, bo nie dokłada się do życia. Cicho westchnęła i przejrzała listy, które zebrały się podczas jej nieobecności. Nie było żadnego zlecenia. Źle dla interesów, ale dobrze dla jej zamiaru pozostania jeszcze przez jakiś czas we Francji. Znajdzie się jakieś rozwiązanie. Być może tam uda się jej zdobyć jakieś zlecenie? W końcu we Francji też odbywają się aukcje, a gdyby niektórzy jej klienci wiedzieli, że tam przebywa, mogłaby zdobyć nowe zlecenia. To był dobry pomysł. Już dostatecznie długo karygodnie zaniedbywała swoją pracę.

Kiedy program pocztowy w jej komputerze się otwierał, spakowała do torby laptopa.

Koniecznie musiała zabrać go ze sobą. Przecież gdzieś w Tréveneuc musiał być dostęp do internetu. Przynajmniej przejrzenie e-maili przyniosło pomyślną wiadomość: kilka dni temu dobry klient dał jej zlecenie na sierpień. Pośpiesznie odpowiedziała mu, że skontaktuje się z nim w najbliższych dniach. Chciał nabyć rzadki cenny obraz, tym samym było to zapewne lukratywne zlecenie, musiała tylko przetrwać kilka tygodni, zanim znów zarobi pieniądze.

– Wracamy tą samą trasą, którą jechaliśmy w tę stronę? – zapytała.

Pascal odwrócił się do niej.

– Tak, jeśli nie chcesz wpaść jeszcze gdzie indziej. – Uśmiechnął się dwuznacznie.

Simone wyszukała odpowiednie hotele na trasie i zarezerwowała trzy pokoje w pobliżu Antwerpii i trzy w Hawrze. W ten sposób będą mogli robić częstsze przerwy. Zadowolona wyłączyła komputer.

– Możemy jechać.

Podeszła do Pascala, który właśnie usiadł na sofie i posadził sobie na kolanach małego szmacianego misia. Pokazała palcem na puszystego gościa.

– On też musi jechać z nami, również należy do wyposażenia domu Berentschów.

Wieczorem Pascal i Simone byli znów w Hamburgu, a następnego dnia rano pojechali odebrać Dorotheę.

Kiedy tam przybyli, stara kobieta czekała już w swoim małym mieszkaniu gotowa do drogi.

– Pani Berger, czy mogłaby pani zostawić na dole w recepcji swój numer telefonu? Pilnują tu tego. Jest tu taki obowiązek, że trzeba się zameldować i wymeldować oraz podać, dokąd się jedzie. – Dorothea uśmiechnęła się krótko, widocznie nie podobała się jej ta inwigilacja.

– Nie ma sprawy – powiedziała Simone. – Pascal weźmie pani bagaż i zaprowadzi panią do samochodu.

– *Mademoiselle*? – Pascal szarmancko podał Dorothei ramię.

Stara dama rozpromieniła się na twarzy.

– Och, to bardzo uprzejme z pana strony, młody człowieku.

– Obłudnik – szepnęła Simone, kiedy Pascal przechodził obok niej, i bezczelnie uśmiechnęła się do niego.

– Postaram się, żeby miały panie przyjemną podróż – powiedział przesadnie formalnym tonem i mrugnął do Simone, która wybierała się do recepcji.

Musiała tam nie tylko podać numer telefonu, lecz również odpowiedzieć na parę pytań dotyczących swojej osoby. Dokąd, na jak długo, czy spokrewniona?

– Zabieram panią Vahrenberg do jej siostry cio-tecznej.

– Siostry ciotecznej?

– Tak.

Simone zastanawiała się przez chwilę, czy nie powiedzieć, że jest jej wnuczką, ale mogłoby to obudzić nieufność w młodej kobiecie za ladą. Prawdopodobnie do tej pory Dorothei nie odwiedzali krewni, a ona też nie mogła podać nikogo jako kontakt.

Kiedy Simone szła do samochodu, poczuła żal z powodu tego, co zostało zaprzepaszczone, bezpowrotnie utracone. Jak przebiegłoby jej życie, gdyby miała babkę… i mniej trudną matkę? Czy może to przez sytuację w domu dotąd nie założyła jeszcze własnej rodziny? Szybko odrzuciła tę myśl.

Dorothea zajęła już miejsce obok kierowcy.

Simone usiadła z tyłu za Pascalem i zamknęła drzwi.

– Możemy jechać.

Ku zdziwieniu Simone stara kobieta przyciskała do piersi brązowego misia. Wyglądała na trochę zdenerwowaną i Simone nie mogła brać jej tego za złe.

Pierwsze godziny jazdy upłynęły w milczeniu. Pascal koncentrował się na drodze. Dorothea wciąż mocno trzymała misia i patrzyła przez okno, a Simone zastanawiała się nad wciąż jeszcze otwartymi kwestiami rodzinnej historii.

Nagle Dorothea poruszyła się i posadziła misia trochę dalej na kolanach.

– Kiedyś też takiego kupiłam. Dla mojej wnuczki.

– Och… Simone nie chciała jeszcze poruszać tego tematu.

Pascal chrząknął.

– Na pewno wnuczka się ucieszyła.

Simone uderzyła go z tyłu przez oparcie siedzenia. Ich spojrzenia spotkały się w lusterku wstecznym.

– Niestety, nigdy nie mogłam jej go dać. Moja córka… ach, to było już tak dawno temu. Nigdy nie miałyśmy dobrych stosunków. Opuściła mnie. – Simone musiała zamrugać oczami, żeby powstrzymać napływające jej do oczu łzy. Miś! Kiedyś kupiła go dla niej babcia.

– Wielka szkoda. – Pascal znów spojrzał w lusterku na Simone, tym razem jego oczy wyrażały zachętę.

Gwałtownie pokręciła głową. *Jeszcze nie, jeszcze nie teraz.*

– Co Constanze opowiedziała pani o nas, pani Berger? – zapytała teraz Dorothea.

– Opowiedziała mi, jak musiała uciekać z Breslau, a potem przyjechała do pani do Hamburga.

– Tak, myślę, że to było dla niej straszne. Nawet nie wiem, czy jeszcze kiedyś zobaczyła swoich rodziców. Wie pani coś o tym?

– Nie, już nigdy nie zobaczyła rodziców.

– Biedactwo, miała taką nadzieję, że wszystko będzie jeszcze dobrze, jeśli… zanim odeszła. Naprawdę jej współczułam, kiedy przyjechała wtedy do nas. Ta cała długa droga z Breslau do Hamburga! Dopiero po wszystkim człowiek zdaje sobie sprawę, co się mogło przydarzyć! Moja matka przeżyła wtedy duży szok. Nawet nie wiedziała, że jej siostra miała córkę. Nigdy nie powiedziała mi, co wtedy zaszło pomiędzy nią a jej siostrą. Myślę, że przez lata rodzina skutecznie wyparła tę historię. Ale czuję, że obecność Constanze u mojej matki rozdrapała wtedy kilka starych ran.

– Tak, Constanze opowiadała, że na początku nie była pewna, czy jej ciotka, czyli pani matka, w ogóle ją przyjmie.

– Matka nie miała serca, żeby ją odesłać. Nie. Ale był środek wojny i nie było łatwo zadbać o nas samych, chociaż ojciec miał dobre kontakty i pewne przywileje, zwłaszcza wtedy, kiedy poszedł na front. W lecie, zanim przyjechała do nas Constanze, bomby prawie całkowicie zniszczyły Hamburg. Wszystko leżało w gruzach, a ludzie cierpieli potworną biedę! W naszych szopach mieszkały przez dłuższy czas dwie do trzech rodzin. Czasem czułam się bardzo źle, ponieważ miałam własny pokój i łóżko. Aż do nocnych nalotów bombowych w lecie czterdziestego trzeciego wydawało mi się to całkiem normalne. Mój ojciec był aktywnym działaczem NSDAP, Hitler sprawował rządy i troszczył się o swój naród.

Dorothea spuściła głowę i ugniatała palce.

– Widzi pani, dzisiaj chętnie czyni się tego typu zarzuty wojennemu pokoleniu. To znaczy, że powinniśmy bronić się przed nazistami i w ogóle… Ale dla wielu świat był po prostu wspaniały. Ludzie mieli pracę, trochę pieniędzy, wszystko szło w dobrym kierunku. Byłam

wtedy szczęśliwą młodą dziewczyną, byłam dumna, że mogę wnieść do tego swój wkład, poczucie przynależności było bardzo silne. I przyznaję, że nie do końca rozumiałam wszystko, co działo się poza moim małym światem. Dla mnie liczyły się inne dziewczęta oraz poczucie, że rodzice byli ze mnie dumni.

– Potrafię to zrozumieć. Sądzę, że wiele złych aspektów wojny zostało ujawnionych dopiero znacznie później. – Simone nie chciała czynić wyrzutów starej kobiecie, która najwyraźniej źle znosiła te wspomnienia.

– Ojciec wrócił z frontu wschodniego po zakończeniu wojny w połowie czterdziestego piątego. Był tam już podczas pierwszej wojny światowej i został ranny. Tym razem odmroził tylko trzy palce u stóp, ale już nie był tym samym człowiekiem. – Dorothea puknęła się w czoło. – Bardzo kochałam ojca. Był dla mnie przykładem i w głębi serca dobrym człowiekiem. Był bardzo wierny partii, ale nie było to nic niezwykłego w tamtych czasach. Ale wciąż był moim *tatą*. Dopiero kiedy zakochałam się w pewnym młodym mężczyźnie, stosunki między nami się popsuły. To było jeszcze, zanim poszedł na wojnę. Dzisiaj myślę, że był po prostu zazdrosny. Potem musiałam mierzyć się z własnymi problemami, a ojciec był chory umysłowo. Troszczyłyśmy się o niego razem z matką. Umarł na początku lat pięćdziesiątych. Wszystko to odwróciło moją uwagę od tego, co zrobiła Constanze.

Dorothea milczała przez chwilę, potem się uśmiechnęła.

– Czy jest pani zamężna, pani Berger?

– Nie.

– A pan, panie… Pascal? Nie znam pana nazwiska.

– Pascal zupełnie wystarczy. Nie, nie jestem żonaty.

– Ach, być może dzisiaj po prostu są inne czasy. Wtedy wbijano nam do głowy, że powinnyśmy przygotowywać się do roli dobrej gospodyni i matki. Myślę, że zawiodłam.

Simone paliła się, żeby zapytać, co zrobiła wtedy Constanze i co później zaszło pomiędzy Dorotheą a jej córką, ale ugryzła się w język i nakazała sobie cierpliwość.

Niedługo potem przekroczyli granicę holenderską. Rozmowa zmieniła się w swobodną paplaninę o holenderskich serach, Morzu Północnym i specyfice Hamburga. Pascalowi bardzo sprytnie udawało się utrzymywać luźną atmosferę. Jednak Simone dowiedziała się co nieco o swojej babce i była wdzięczna Pascalowi, że pokierował rozmową tak, żeby mogła ją lepiej poznać.

Późnym popołudniem dotarli do miejsca ich pierwszego noclegu: małego hotelu na obrzeżach Antwerpii z widokiem na szeroki kanał, na którym kołysało się kilka łodzi mieszkalnych.

Dorothea rozglądała się szczęśliwa.

– Och, jak tu pięknie.

Simone cieszyła się, że widzi starą kobietę tak zadowoloną, i ulżyło jej, że jak do tej pory nie najgorzej znosiła podróż. Miała nadzieję, że kolejne dni upłyną równie dobrze.

Rozdział 23

Dorothea siedziała na brzegu hotelowego łóżka. Była zmęczona, potwornie zmęczona i bardzo wstrząśnięta. Nie chciała przyznać się do tego tej miłej młodej kobiecie. Znów zobaczy Constanze! Przez te wszystkie lata myślała o swojej przyjaciółce z dawnych lat. Najpierw, po wyjeździe Constanze z Hamburga, była na nią strasznie wściekła. Potem złość osłabła i zrobiła miejsce bezgranicznej pustce.

Zamyślona patrzyła na swoje stare pomarszczone dłonie. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła uliczne światła wzdłuż kanału naprzeciwko hotelu. Słabe światło latarni przypomniało jej stłumione oświetlenie z czasów wojny…

Hamburg, czasy drugiej wojny światowej

Dorotea trochę wstydziła się swojego szczęścia. Mimo biedy, która panowała dookoła, była zakochana. Co prawda Jürgen-Alexander nie był tym mężczyzną, którego życzyłby sobie dla niej ojciec. Ale ponieważ stary Vahrenberg był dobrym towarzyszem partyjnym, wszyscy mieli nadzieję, że Dorothea, członkini Związku i dziewczyna z dobrego domu, wywrze pozytywny wpływ na Jürgena-Alexandra, zakochana para spotkała się z życzliwością.

Matka Dorothei od razu poczuła, że młodzi mają się ku sobie. Rozmowa o tym była dla córki nieco kłopotliwa. Co prawda miały ze sobą dobry kontakt, ale istniały sprawy, o których chętniej rozmawia się z przyjaciółkami niż z własną matką.

Początkowo jednak musiała zachować dla siebie swoją rodzącą się miłość. Na temat Jürgena-Alexandra krążyła opinia, że nie jest za bardzo zainteresowany „sprawą", dlatego Dorothea nie mogła swobodnie rozmawiać o nim ze swoimi koleżankami ze Związku. Ale pogodziła się z tym. W pierwszych tygodniach strzeg-ła tego podniecającego uczucia jak cennego skarbu. Przecież w tamtych czasach nie było wielu okazji, aby móc się z czegoś cieszyć. Wybuchła wojna. Wiele jej koleżanek związało się z żołnierzami. Dorothea rozumiała ich ból i cierpienie, kiedy powoływano mężczyzn na front. Wielu z nich pękały serca. Młode kobiety zostawały z jednej strony przepełnione dumą, że ich ukochani bronią ojczyzny, z drugiej strony sparaliżowane strachem, że mężczyźni mogą stracić życie. Młodzi mężczyźni często zalecali się do Dorothei. Kiedy była z koleżankami w pralni, podczas rozdawania odzieży albo śpiewania, żołnierze, którzy jeszcze nie mieli dziewczyn, często okazywali się niezwykle szarmanccy. Ale Dorothea nigdy nie przyjmowała tych awansów. Jeśli ktoś był zdrowy i miał jeszcze wszystkie członki, musiał iść na front, a Dorothea domyślała się, co to mogło oznaczać.

Najpierw w głębi duszy ubóstwiała Jürgena-Alexandra. A kiedy potem złożył oficjalną wizytę jej rodzicom, omal nie eksplodowała z radości. Wolno im było się spotykać, zabierał ją na spacery. Ale wojna kładła się ponurym cieniem na jej młodym szczęściu.

Jürgen-Alexander był rezerwistą w Volkssturmie i zajmował się utrzymaniem łączności pomiędzy frontem a ojczyzną. Nie mówił dużo o swojej pracy, a ona też się nią nie interesowała. Jej ojciec natomiast regularnie wypytywał Jürgena-Alexandra, jakby chciał się upewnić, że młodzieniec gorliwie służy narodowi i Führerowi.

Pewnego dnia, kiedy wybrali się na krótki spacer nad brzeg Łaby, Jürgen-Alexander

popatrzył na nią poważnie. Wtedy wojna toczyła się jeszcze daleko. Było późne popołudnie, przez kłębiaste chmury przebijały się promienie słońca. Nisko nad wodą śmigały mewy i siadały na piaszczystych mieliznach przy brzegu. Ale nagle szczęście prysło.

– Doro. – Chwycił ją za ręce. – Muszę ci jeszcze wyznać coś, o czym powinnaś wiedzieć.

Serce zabiło jej ostrzegawczo.

– Działam w podziemiu. Wiesz, co to znaczy?

Raptownie wyrwała ręce i odwróciła się od niego.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Ponieważ chcę być z tobą, chcę cię poślubić. Dlatego musisz wszystko o mnie wiedzieć. Przecież nie możemy żyć razem i mieć przed sobą tajemnice.

Spuściła głowę. Tak – wiedziała, co to znaczyło, jeśli działał w podziemiu: jej ojciec, jego ojciec, jego brat potępią go, być może nawet każą go aresztować, jeśli się o tym dowiedzą. Właśnie w tym momencie w ich związku nastąpił niebezpieczny zwrot.

– Doro. – Objął ją i przyciągnął do siebie, potem oparł brodę na jej ramieniu. – Nie mogę inaczej – wyszeptał przez włosy prosto do jej ucha. – Ta polityka, wojna, Hitler… wszyscy pędzą jak stado brunatnych baranów za swoim idolem. Ale nie jesteśmy sami na kontynencie i inne kraje nie pozwolą sobie na to, żeby Niemcy nimi zawładnęli. Wojna przyniesie jeszcze wiele złego, a ja wolę wybrać inną możliwą drogę, również dla nas, niż przyłączyć się do tego stada baranów.

Objęła jego ręce i przytuliła policzek do jego policzka. Nie chciała o tym wszystkim słyszeć. Najchętniej wyłączyłaby jego i siebie z tej wojny. Miała nadzieję, że jeśli będzie się starać i działając w Związku zrobi dużo dobrego, być może dobry Bóg to doceni i ich oszczędzi. Wiedziała, że źdźbło trawy, którego się uczepiła, było bardzo cienkie.

Wyjazd ojca był przełomowym momentem w życiu Dorothei. Z jednej strony na początku poczuła niemal ulgę, że skończą się wieczne tarcia między nim a Jürgenem-Alexandrem. Ale kiedy ojciec wyjechał na front, nie mogła dłużej przymykać oczu na rzeczywistość. Dopiero w tym dniu naprawdę zrozumiała, czym była wojna. Doświadczała nocnych nalotów bombowych, widziała tłumy uciekinierów. Jednak do tego momentu mimo wszystko wojna nie dotknęła bezpośrednio jej rodziny. Ale kiedy ojciec stanął w drzwiach w brunatnym mundurze, skórzanym pasie i z żołnierskim plecakiem, wtedy wojna pierwszy raz zabrała jej kogoś, kogo kochała. Na myśl, że w końcu zrobi to samo z Jürgenem-Alexandrem, ze strachu przeszły jej ciarki po plecach. Nie mógł wiecznie wymigiwać się od powołania do wojska, nawet jeśli jej przysięgał, że ma swoje sposoby, by tego uniknąć.

Kiedy do Hamburga przyjechała Constanze, było to dla Dorothei zaskakującą i mile widzianą odmianą. Do tej pory próbowała odpędzić od siebie ponure myśli, dlatego starała się, by jej plan dnia był napięty, by nie mieć czasu na rozmyślanie. Trzeba było żyć dalej. Co się tyczyło jej małżeńskich planów, najchętniej poczekałaby na lepsze czasy. Tylko matka nalegała, żeby nie odkładać ich na przyszłość.

– Mamo, czym przyjmiemy gości, jeśli w ogóle jeszcze się jacyś znajdą? Zbożową kawą i komiśniakiem? I to najprawdopodobniej w schronie przeciwlotniczym? – Nie, w takich warunkach Dorothea nie chciała wychodzić za mąż.

Pojawienie się Constanze zepchnęło ślub na dalszy plan. Dorothea jeszcze nigdy nie widziała, żeby jej matka była taka roztrzęsiona. Nawet kiedy ojciec wyruszał na front, Elisabeth von Ehlers zachowała zimną krew. Trwała na posterunku i niezłomnie prowadziła dom i firmę Berentschów, którą odziedziczyła po rodzicach. Nic nie było w stanie jej w tym przeszkodzić.

Wydawało się, że dopiero widok Constanze nią wstrząsnął i dosłownie przeraził.

Dorothea starała się uspokoić matkę.

– Mamo, co się z tobą dzieje? Przecież Constanze jest naprawdę miłą dziewczyną.

Matka prychnęła z oburzeniem.

– Popatrz tylko na nią, wychowała się w cyrku!

– Co w tym złego? A może ty wstydzisz się swojej rodziny? Nigdy nie mówiłaś, że masz siostrę.

Elisabeth von Ehlers uniosła ramiona zrezygnowana.

– Dorotheo, nikt o tym nie wie, nawet twój ojciec. Moja matka, świeć, Panie, nad jej duszą, zapewniła go kiedyś, że moja młodsza siostra uciekła z austriackim ziemianinem. A więc jeśli kiedykolwiek wróci z frontu… – Przerwała.

Tak, Dorothea wiedziała, prawdziwa historia nie przypadłaby ojcu do gustu. Ale w końcu go tu nie było.

Najpierw front przyszedł do domu wraz z Constanze. Dorothea była przerażona, co ta biedna dziewczyna musiała przeżyć, i napawało ją grozą, że jej ojciec walczył na wschodzie właśnie na tym froncie. Dorothea od początku poczuła więź z Constanze. Chuda i wynędzniała dziewczyna była początkowo nieśmiała i powściągliwa. Ale po krótkim czasie nabrała zaufania do Dorothei.

Chociaż Constanze była zaledwie kilka lat młodsza, jej życie przebiegało zupełnie inaczej. Oczywiście wojna wyryła w niej głębokie bruzdy. Ale życie w cyrku, w taborze, wśród artystów i sztukmistrzów wydawało się Dorothei czymś tak odległym, że prawie nierealnym. Podczas długich nocy, kiedy obowiązywało zaciemnienie, słuchała opowieści Constanze o koniach, klaunach i występach w dalekich krajach. Snuła je nie bez dumy; tylko kiedy mówiła o rodzicach, głos jej cichł i się załamywał. Nawet jeśli nikt tego głośno nie mówił, wszyscy wiedzieli, że Constanze najprawdopodobniej nigdy więcej ich nie zobaczy. Fakt, że być może Dorotheę spotka ten sam los i już nigdy nie zobaczy ojca, mocno związał obie młode kobiety. Do czasu… kiedy Constanze zrobiła coś, czego Dorothea nigdy by się nie spodziewała.

Rozdział 24

W długie zimowe miesiące na przełomie czterdziestego czwartego i czterdziestego piątego roku Dorothea marzyła, że weźmie ślub wiosną. Nawet gdyby miała wziąć zupełnie cichy ślub z Jürgenem-Alexandrem, nie miałaby nic przeciwko temu. Młyny wojny wciągały wszystko, a strach, że w końcu mogłyby zemleć również ich, nieubłaganie narastał. Myśl, że ich ślub być może przerwałby ten cykl albo przynajmniej uczynił go bardziej znośnym, pozwalała jakoś przetrwać.

Noce były zimne, a brakowało drewna na opał i wszyscy starali się trzymać jak najbliżej siebie. Matka Dorothei nie była zbyt zadowolona, że Jürgen-Alexander wprowadził się do jej domu. Ale w którymś momencie uświadomiła sobie, że w zniszczonym bombami mieście młody mężczyzna nie znalazłby dachu nad głową. W domu jego rodziców ojciec i brat urządzili azyl dla członków partii, nie mógł i nie chciał tam zostać.

Dorotheę cieszyła bliskość, jaka wytworzyła się pomiędzy nią a Jürgenem-Alexandrem, co byłoby nie do pomyślenia, gdyby nie wojna. Ale Jürgen-Alexander wkrótce zaczął sprawiać wrażenie nieobecnego.

– Nie chcesz się już ze mną ożenić? – zapytała go koło Nowego Roku.

– Ależ, oczywiście, Dorotheo, ale… może się zdarzyć, że pojawi się dla nas jeszcze inna możliwość.

– Jaka?

– Nie mogę ci jeszcze powiedzieć. Ale być może pewnego dnia będę musiał szybko wyjechać… Obiecaj mi, że na mnie poczekasz, dobrze?

– Oczywiście. – Dorothea popatrzyła na niego zakochanym wzrokiem. Cokolwiek by się zdarzyło, była po jego stronie.

Była bezksiężycowa lutowa noc, kiedy do jej pokoju wpadła matka.

– Wstawaj, szybko! Jürgenie-Alexandrze!

– Co się stało?

– Mamo? – Dorothea była zdenerwowana tym alarmem.

– Późnym wieczorem Tilla stała w kolejce po kartki żywnościowe. Przyszło kilku ludzi z SS i rozmawiali o tym, że dziś w nocy mają zrobić nalot na obóz bojowników ruchu oporu. I że ma być wśród nich syn Vahrenberga. Jürgenie-Alexandrze, jak mogłeś? Sprowadziłeś niebezpieczeństwo na nas wszystkich! – Uniosła ręce w oskarżycielskim geście.

Jürgen-Alexander stał zmieszany obok łóżka.

– To… to nie może być… – zaczął się jąkać.

– Ale to prawda! Ciesz się, że Tilla zdążyła mnie uprzedzić. Musisz uciekać! Constanze też. Twierdzą, że jest szpiegiem.

Dorothea patrzyła, jak matka chwyta rzeczy Jürgena-Alexandra i dosłownie wciska mu w ręce. Teraz również ona zerwała się z łóżka.

– O Boże, co my teraz zrobimy? – Bezradnie spojrzała na narzeczonego. Głos matki ostro przeciął ciemny pokój. – Ty nic nie zrobisz, zostajesz tutaj.

– Ale skoro Jürgen-Alexander… i Constanze…

– Doro, ona ma rację – wtrącił zachrypniętym głosem Jürgen-Alexander. – Będą szukać mnie i Constanze. Musimy natychmiast uciekać. A ty musisz tu zostać, w tej chwili byłoby to dla

ciebie zbyt niebezpieczne.

– Ale przecież oni nie mogą… Dlaczego… I o co chodzi z Constanze?

Jürgen-Alexander podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach.

– Doro, znalazłem dla nas możliwość ucieczki do USA. Chciałem ci o tym powiedzieć, dopiero kiedy już wszystko załatwię i statek będzie czekał. Ale najwidoczniej ktoś nas zdradził. Nie chciałem sprowadzać na ciebie niebezpieczeństwa i dlatego podałem nazwisko Constanze zamiast twojego.

– Co?

– Mówiłam ci, że to niebezpieczny pomysł – napadła na niego matka.

Dorothea osłupiała.

– Wiedziałaś o tym?

– Zapytałem ją o to – wyjaśnił Jürgen-Alexander. – Powinna wiedzieć, co zamierzamy.

– Tak. – Elisabeth von Ehlers ostro syknęła. – I z czego nic nie wyszło. Teraz ty i Constanze macie stąd zniknąć. Kiedy przyjdzie tu brunatny oddział, przeszukają nasz dom. Wtedy niech Bóg ma was w swojej opiece, jeśli was znajdą.

Jürgen-Alexander i Constanze uciekli z domu pod osłoną nocy. Nie było dużo czasu na pożegnanie. Dorothea zachowywała się tak, jakby zamieniła się w kamień. To wszystko zdarzyło się tak szybko i tak niespodziewanie. Oczywiście kilka razy rozmawiała z Jürgenem-Alexandrem o ucieczce, ale nie przypuszczała, że za jej plecami snuł konkretne plany.

Wczesnym rankiem rzeczywiście do drzwi załomotali żołnierze. Przemaszerowali przez wszystkie pomieszczenia i pytali o Jürgena-Alexandra Vahrenberga i Francuzkę. Dorothea jak w transie patrzyła, jak jej matka, opanowana, uspokajała żołnierzy.

– Nie ma tu nikogo oprócz nas i pokojówki. – Przyciągnęła Dorotheę blisko siebie i trzymała ją tak mocno, że dziewczyna nie odważyła się poruszyć. – Są jeszcze ludzie w stajni, być może tam się ukrył.

Wszystko działo się tak szybko, że jawiło się Dorothei jak koszmarny sen. Odeszli. Jej narzeczony i przyjaciółka.

Mijały dni. Dorothea nie spodziewała się jeszcze wiadomości, zapewne miną tygodnie, jeśli nie miesiące, zanim Jürgen-Alexander znajdzie sposób, żeby się do niej odezwać, nie sprowadzając na nią niebezpieczeństwa. Zrezygnowana stwierdziła, że jest teraz zupełnie sama.

Wojna zataczała wokół niej coraz ciaśniejsze kręgi. Armia Czerwona posuwała się do przodu na wschodzie, na zachodzie natomiast alianci parli na wschód. Ludzie pomiędzy frontami bali się, jak to będzie, kiedy znajdą się w zasięgu walk. Hitler wygłaszał przez radio coraz bardziej euforyczne przemówienia. Ale wszyscy byli zmęczeni i wyczerpani i w duchu modlili się, żeby wojna wreszcie się skończyła.

Dorothea godzinami stała przy oknie. Widziała, jak w oddali niczym wielkie stada ptaków przelatywały eskadry samolotów. Wciąż nie potrafiła uporządkować wydarzeń, a przede wszystkim było dla niej zagadką, kto ostatecznie zdradził jej narzeczonego. Kto wiedział, że działał w ruchu oporu? Czy nie był dostatecznie ostrożny? I to właśnie teraz… Chciała mu to powiedzieć, teraz, wiosną, na krótko przed ślubem. Była w ciąży! Nie wiedziała, co teraz będzie.

W jeden z tych słonecznych wiosennych dni, który – jeśli zamknęło się oczy – daleko odsuwał wojnę, przyłączyła się do niej matka. Rzadka chwila, ponieważ odkąd wyjechali Jürgen-Alexander i Constanze, Dorothea ukrywała się przed nią.

– Nie niepokój się, dziecko. – Matka zadała sobie trud, aby ją podtrzymać na duchu, i wzięła ją w ramiona.

– Czy go jeszcze kiedyś zobaczę? – Dorothea położyła głowę na ramieniu matki.

– Ach, Dorotheo, dziecko, nie powinnaś robić sobie dużych nadziei.

Dorothea zesztywniała.

– Dlaczego? Myślisz, że on…

Elisabeth von Ehlers trochę odsunęła córkę od siebie i popatrzyła na nią przenikliwie.

– Dorotheo, jesteś aż tak naiwna? Przykro mi, że muszę ci to teraz powiedzieć, ale czy nie zauważyłaś, co się tu stało? Co zaplanował ten twój nieskazitelny Jürgen-Alexander?

– Nie? Co… co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Dorotheo! On odszedł z Constanze. Któregoś dnia musiałaś się tego dowiedzieć. Już od dawna podejrzewałam, że oni oboje… Ta Constanze była też trochę… no, z jej pochodzeniem.

– Mamo? O czym ty mówisz? – Dorothea nie rozumiała, co matka miała na myśli.

– Na Boga, dziecko, twój Jürgen-Alexander uciekł z Constanze. To z nią planował ucieczkę. Jej nazwisko, rozumiesz. Po prostu cię zostawił.

– Nie! – Dorothea nie chciała uwierzyć w to, co matka próbowała jej powiedzieć.

– Ależ, Dorotheo, musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Przykro mi. Całe szczęście, że Tilla zwąchała pismo nosem. Aż boję się pomyśleć, co by było, gdyby wpadło tu SS, a on jeszcze by tu był…

Dorothea poczuła szum w głowie. Jürgen-Alexander i Constanze? Nie, to nie mogła być prawda. Czyżby rzeczywiście była taka ślepa? Czyżby dlatego nie chciał więcej rozmawiać o ślubie? Z jej oczu popłynęły wielkie łzy.

– Ach, mój skarbie, tak mi przykro. Miałam taką nadzieję, że się zastanowi i że będziecie razem szczęśliwi.

– Mamo… jestem w ciąży – wyszeptała przez łzy Dorothea. – Co mam teraz zrobić?

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Znajdziemy. Najważniejsze, że jesteś ze mną. Razem sobie poradzimy.

Dwa dni później Dorothea miała niespodziewaną wizytę. Przyszedł Franz Vahrenberg. Matka skinęła na córkę zachęcająco, kiedy Dorothea schodziła po schodach.

– Panno von Ehlers, przepraszam, że panią nachodzę. – Mężczyzna wyglądał na zaszczutego. – W imieniu mojej rodziny chciałem przeprosić panią i pani matkę za niebezpieczeństwo, jakie Jürgen-Alexander na panią sprowadził. Jest nam bardzo przykro, że tak zmienił front. Jeśli… jeśli jest coś, co mógłbym dla pani zrobić…

Dorothea była zaskoczona, jak rezolutnie matka rozwiązała problem. Rozmowa z ojcem Franza, rozmowa z samym Franzem – i już postawiła córkę przed faktem dokonanym.

– Franz jest gotów ożenić się z tobą. Będzie ojcem dla twojego dziecka i zadba o to, żebyśmy wyszły z tej wojny w miarę cało i zdrowo. W końcu ma dobre kontakty, właściwe, co należy podkreślić.

– Ale ja przecież nie mogę…

– Ach, Dorotheo, choć raz zrób to, co ci mówię.

Nie było dożo czasu na zastanawianie się. Hamburg coraz częściej stawał się celem ataków lotniczych, a wojska brytyjskie niepowstrzymanie parły do przodu. Dorothea przyjęła nazwisko Vahrenberg. Ale nie w taki sposób, w jaki się spodziewała.

Rozdział 25

Następnego dnia Simone spotkała Pascala w hotelowej sali śniadaniowej. Dorothea była jeszcze w swoim pokoju. Simone miała nadzieję, że stara kobieta dobrze zniosła noc. Od jakiegoś czasu nie była już taka pewna, czy jej pomysł, aby doprowadzić do spo-tkania obu sióstr, rzeczywiście był taki dobry.

– Dzień dobry – przywitała się z Pascalem, który już siedział przy stole.

Simone przysiadła się do niego i zamówiła kawę. Uśmiechnął się do niej nad brzegiem filiżanki, ale był poważny.

– Co się dzieje? Wyglądasz na zaniepokojoną.

– Co będzie, jeśli one się nie dogadają?

– Constanze i Dorothea?

– Oczywiście. Mam na myśli, jeśli coś wbije pomiędzy nie klin.

– Mało prawdopodobne, że rzucą się na siebie jak dwie wrony.

– Pascal, to nie jest śmieszne.

– Sądzę, że po prostu będą zadowolone, że na stare lata mogą wyjaśnić sobie to i owo. Jak wiadomo, niektórym dobrze to robi.

– Tak, tak, my dwoje też będziemy niedługo o wszystkim rozmawiać. Ale najpierw doprowadź to do końca, bo tkwisz w tym po uszy. Bo tak naprawdę to ty jesteś wszystkiemu winien, co, może nie mam racji? – Simone skrzywiła się.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, do sali weszła Dorothea i skierowała się do ich stołu. Stara kobieta wyglądała dzisiaj jeszcze bardziej niedołężnie niż wczoraj, ale rześko rozglądała się dookoła.

– Dzień dobry.

Pascal wstał i przyprowadził ją do stołu.

– Zje pani coś?

Zaraz z samego rana pojechali w kierunku Belgii, a potem Francji. Dorothea wyglądała na wyspaną. Wydawało się, że jazda samochodem sprawia jej przyjemność. Żywo gawędziła.

– Ach, chciałabym zatrzymać się tu w każdym mieście i się rozejrzeć. Zawsze lubiłam podróżować, ale miałam na to tak mało czasu. Najpierw musiałam opiekować się rodzicami i moją córką, później przejęłam od matki dom handlowy. Ale w środku lat pięćdziesiątych musiałam go zamknąć… lepiej żebym wtedy poszła na studia, zamiast uczyć się gotować w Związku.

Simone nie mogła się dłużej powstrzymać od pytań.

– A właściwie to dlaczego straciłyście się z Constanze z oczu?

– Hm… to było…

Twarz Dorothei dosłownie zesztywniała. Potem drgnęła i mówiła dalej.

– Jürgen-Alexander i ja już od miesięcy byliśmy w sobie zakochani. Ale wszystko… poszło inaczej, niż myślałam, i on… wyjechał z Constanze. – Głos jej drżał. – Wyjechali, a ja zostałam. I… Wkrótce po ucieczce Jürgena-Alexandra i Constanze wyszłam za mąż za jego brata Franza. Matka tak chciała. Nie miałam wyboru. Trochę później otrzymałam wiadomość, że wraca mój ojciec. To skierowało moje myśli w inną stronę… Ale świadomość, że Jürgen-Alexander i Constanze tak mnie oszukali… nie mogłam się z tym pogodzić. – Stara

kobieta osunęła się na swoim siedzeniu. – Co miałam zrobić. Być może byłam ślepa. Nie wiem. Słowa matki zniweczyły wszystkie moje marzenia o przyszłości. Jej słowa: „Jürgen-Alexander uciekł z Constanze. Planował ucieczkę z nią", długo dźwięczały mi w uszach. Początkowo nie chciałam w to uwierzyć, ale…

– Jednak pani w to uwierzyła?! – powiedziała Simone.

A więc taki był plan Elisabeth, żeby zatrzymać córkę przy sobie. Wykorzystała plan Jürgena-Alexandra przeciwko niemu, aby pozbyć się nielubianego narzeczonego córki i niepożądanej siostrzenicy. Żeby córka za wszelką cenę została razem z nią! Dla Simone było teraz jasne, kto doniósł na Jürgena-Alexandra i Constanze i namówił ich do ucieczki.

Oczy Pascala, które widziała w tylnym lusterku, upomniały ją, żeby się uspokoiła. Simone ugryzła się w język. Byłoby niewłaściwie, gdyby teraz powiedziała całą prawdę. Najpierw powinny rozmówić się ze sobą Dorothea i Constanze.

– Dorotheo, właściwie nie mogę wiele na ten temat powiedzieć, ale myślę, że naprawdę jest tu parę rzeczy do wyjaśnienia.

– Tak czy inaczej… długo nie mogłam jej wybaczyć. Po wojnie próbowała się ze mną skontaktować, ale odsyłałam jej listy. Miałam koszmarne sny o tym, jak wiedzie szczęśliwe życie z Jürgenen-Alexandrem gdzieś we Francji, podczas gdy ja musiałam zadowalać się Franzem w Hamburgu. – Westchnęła głośno. – Ale to było prawie siedemdziesiąt lat temu. Nawet jeśli oboje byli szczęśliwi, dzisiaj myślę, że potrafię przejść nad tym do porządku dziennego, po prostu chciałabym jeszcze raz ją zobaczyć. Wystarczająco złe było już to, że pokłóciłam się o to z moją córką Ursulą. Zawsze dręczyła mnie pytaniami, co stało się z jej ojcem. Ale co miałam jej odpowiedzieć? Że oficjalny ojciec, Franz, został uwięziony jako zbrodniarz wojenny i jego ideologia pchnęła go do popełnienia samobójstwa, a jej rodzony ojciec uciekł z inną kobietą, kiedyś moją najlepszą przyjaciółką i siostrą cioteczną? Nie mogłam jej nic powiedzieć, chociaż tak nalegała…

Simone przełknęła ślinę. Że też kłamstwo Elisabeth przyniosło aż tak potworne skutki! Tylko dlatego że bała się utracić córkę, zniszczyła im wszystkim życie. I nie tylko to. Jak daleko Simone sięgała pamięcią, matka unikała tematu dziadków i też wymyślała różne kłamstwa.

Simone nie spodziewała się tego. Jak bardzo przez te dziesiątki lat wszystko się ze sobą posplatało! Ale po prostu nie mogła zostawić bez wyjaśnienia kłamstw Elisabeth.

– Jedno mogę pani już teraz powiedzieć, Dorotheo: Jürgen-Alexander i Constanze z całą pewnością nie byli parą.

Simone najchętniej od razu opowiedziałaby Dorothei, dlaczego jej matka tak się bała ją stracić i dlaczego nie lubiła Constanze. Ale obie stare kobiety wkrótce same do tego dojdą. I na pewno tak będzie lepiej, niż gdyby powiedział im to ktoś obcy.

Rozdział 26

Następnego dnia podróż z Hawru do Saint-Brieuc przebiegała raczej w milczeniu. Pascal starał się zadbać o dobry nastrój obu kobiet luźną pogawędką o Francji i Bretanii.

Kiedy w porze obiadowej coraz bardziej zbliżali się do celu podróży, w Simone rósł wewnętrzny niepokój. Czy rzeczywiście dobrze zrobiła?

– Dorotheo, czy jest pani na pewno zdecydowana, żeby od razu dzisiaj pójść do Constanze do Centré Médico?

– Nie mam czasu na odpoczynek! – Dorothea się zaśmiała.

– Pascal! – Simone szarpnęła go za rękaw, kiedy Dorothea wysiadała już z samochodu. – Myślę, że będzie najlepiej, jeśli ty najpierw pójdziesz do Constanze i ją zawczasu uprzedzisz. A ja dojdę z Dorotheą. Miejmy nadzieję… miejmy nadzieję, że obie stare kobiety przetrwają to rodzinne spotkanie. – Simone miała z troski miękkie kolana.

– Jakoś to będzie – powiedział uspokajająco – myślę, że to dobry pomysł. Co prawda nie znam wszystkich szczegółów, ale że coś może pójść nie tak, jest jasne jak słońce. Tak czy inaczej, jest już za późno, na pewno nie odwiozę teraz Dorothei do Hamburga, nie załatwiwszy tej sprawy. – Zaśmiał się zachęcająco do Simone, potem wziął ją za rękę i uścisnął. – Myślę, że dobrze zrobiłaś.

Simone uśmiechnęła się trochę krzywo. Było jej niedobrze ze zdenerwowania.

– Mam nadzieję, mam nadzieję.

Dorothea patrzyła na nich przez szybę w oczekiwaniu. Była zniecierpliwiona. Simone nie mogła mieć jej tego za złe.

– No, to chodźmy.

Pascal wszedł pierwszy do pokoju Constanze. Simone spodziewała się, że ostrożnie jej wyjaśni, kto ją zaraz odwiedzi.

Kiedy wyszedł z pokoju, spojrzał na Simone śmiertelnie poważnie.

– Co się dzieje? O Boże, Constanze nie… Nie, to niemożliwe, nie teraz, nie przed samym końcem! – Simone przelatywały przez głowę tysiące myśli.

Pascal uśmiechnął się.

– Zbeształa mnie, że wyjechaliśmy na tak długo, nie informując jej, i że macie wejść i nie stać dłużej na korytarzu.

Simone spadł kamień z serca.

Dorothea nerwowo szarpała sukienkę.

– Gotowa?

– Gotowa. – Jej głos zabrzmiał dość cienko, ale zdecydowanie.

Simone musiała wziąć się w garść, żeby się nie rozpłakać. Moment, kiedy obie stare kobiety znów się zobaczyły, był tak poruszający, że oczy ją piekły, a serce podeszło do gardła.

W pokoju stała Constanze, mała i szczupła, niemal krucha. Dorothea, niewiele wyższa i podobnej budowy, podeszła kilka kroków w jej stronę. Na chwilę w pokoju zapanowała

niezwykła atmosfera. Ale wtedy Dorothea rozłożyła ramiona.

– Constanze!

Nagle obie stare kobiety odmłodniały o lata. Objęły się serdecznie. Dorothea wzięła w dłonie twarz Constanze i przycisnęła czoło do starej przyjaciółki. Z ich ust nie padło ani jedno słowo, ale ich twarze mówiły wszystko.

– Zestarzałaś się, dziewczyno – wyszeptała w którymś momencie Constanze, nie puszczając Dorothei.

– Lepiej popatrz najpierw na siebie.

Obie zaśmiały się cicho, przytuliły, a ich oczy promieniały szczęściem.

Simone zebrała się i wymierzyła Pascalowi kuksańca.

– Myślę, że powinniśmy iść na kawę – szepnęła.

– *Oui* – odpowiedział, nie spuszczając z oczu obu starych kobiet.

Simone przyglądała mu się uważnie.

– Chce ci się płakać?

– *Non!* – Zakaszlał zakłopotany. – Chodźmy napić się tej kawy.

Simone czuła się wyczerpana, jakby musiała długo dźwigać duży ciężar i dopiero teraz mogła się od niego uwolnić. Ta historia zapewne bardziej dała się jej we znaki, niż sądziła. Siedziała z Pascalem w małej kawiarence w pobliżu portu w Saint-Brieuc. Na wodzie kołysały się niezliczone małe łódki. Słońce odbijało się w morzu, a na długich drewnianych pachołkach przy kei siedziały mewy.

Pascal rzucił Simone zamyślone spojrzenie.

– A właściwie gdzie Dorothea będzie mieszkać? Chcesz ją potem zabrać do Tréveneuc?

Simone wzruszyła ramionami. Jeszcze o tym nie myślała. Milczeli przez chwilę.

– To była bardzo miła i interesująca podróż.

– Dziękuję, że pojechałeś, Pascal.

– Chętnie to zrobiłem. Już się na mnie nie gniewasz?

Spojrzała na niego, udając, że jest zła.

– Muszę się jeszcze zastanowić. Masz jakieś ukryte zamiary?

– *Non!* – Uniósł dłonie uspokajająco. – Może zjemy razem kolację? Byłoby miło.

Śmiejąc się, wyciągnęła do niego rękę.

– Przyjaciele?

– Przyjaciele.

– Co teraz zrobisz? – zapytał Pascal.

– Przede wszystkim ta historia nie została jeszcze zakończona. Myślę, że potrwa parę dni, aż Constanze i Dorothea wszystko sobie powiedzą. Do tej pory oczywiście zostanę tutaj. Być może przyjemnie będzie spędzić tu… kilka dni urlopu.

– Dobry pomysł, znam świetnego przewodnika.

– Nie… Najpierw potrzebuję kilku dni dla siebie.

– No dobrze… ale pamiętasz, że obiecałaś mi kolację?

– Tak, ale pod warunkiem, że mi wyjaśnisz, co to takiego ta „Czerwona Ropucha". – Simone się zaśmiała.

Musiał się przez chwilę zastanowić.

– Ach, to… no nie wiem, czy zostaniesz dostatecznie długo w Tréveneuc.

– Zobaczymy.

Kiedy dwie godziny później wrócili do Centré Médico, pytanie o zakwaterowanie Dorothei okazało się zbędne.

Obie stare kobiety siedziały w przyjaznej zgodzie na fotelach w pokoju Constanze, a fotele stały teraz bliżej siebie, ponieważ po drugiej stronie pokoju ustawiono drugie łóżko.

Simone rozglądała się zdziwiona.

– Pani Berger, czy miałaby pani coś przeciwko, gdybym tutaj została? Mamy… mamy sobie jeszcze tak dużo do opowiedzenia.

– Tak, jeśli tak można? Constanze?

– Ach, Simone, przecież jesteśmy we Francji, tu wszystko można. – Constanze wesoło machnęła ręką. – Poza tym opieka dla takich dwóch starych pudeł jak my jest tutaj idealna.

Pogłaskała Dorotheę po ręce.

– Dobrze. – Simone uniosła ramiona.

Obie stare kobiety chichotały jak młode dziewczyny i co chwilę rzucały sobie wiele mówiące spojrzenia. Najwidoczniej w krótkim czasie już dużo sobie opowiedziały.

– Proszę podejść, Simone, niech pani usiądzie z nami. Bardzo pani dziękujemy, że umożliwiła nam pani to spotkanie. Wiele już sobie wyjaśniłyśmy. – Constanze popatrzyła na nią z wdzięcznością.

– Och, cieszę się. Ale przyjdę jutro. Myślę, że dla wszystkich był to emocjonujący dzień.

Simone wróciła z Pascalem do Tréveneuc. Przed domem Constanze wciąż stał zielony wynajęty samochód. Kiedy wysiadła z auta, zauważyła, że róże na rogach domu zakwitły i gęste baldachy kołysały się w lekkim wietrze wiejącym od morza.

Simone wzięła swoją torbę z tylnego siedzenia.

– No, to do zobaczenia – powiedziała w miarę niezobowiązująco.

– *Oui, mademoiselle*. Jutro wieczorem? Obiecana kolacja?

– Okej.

Pascal zaśmiał się i pomachał na pożegnanie, zanim odjechał swoim samochodem w kierunku lasu.

Simone stała jeszcze przez chwilę przed domem. Nagle zrobiło się tu tak spokojnie. Nawet jej myśli powoli się uspokajały.

Następnego dnia pojechała do Saint-Brieuc do Centré Médico.

Zastała Constanze i Dorotheę siedzące obok siebie w przyjaznej atmosferze. W nocy przyszła jej do głowy myśl, że znów mogłyby pokłócić się o przeszłość. Ale wydawało się, że wszystko biegło właściwym torem.

Wyjęła z torebki małą kupkę listów Viviane i pamiętniki Elisabeth. Constanze i Dorothea miały prawo, aby wszystkiego się dowiedzieć. Zapewne był to najlepszy sposób.

– Znalazłam te dokumenty w jednym z kufrów, przepraszam, że do nich zajrzałam. Ale… ale to, co się w nich znajduje, jest bardzo ważne. To są pamiętniki Elisabeth von Ehlers, a tu są listy Viviane Chervon.

– Naszych matek? – Zaskoczona Constanze położyła rękę na ustach.

– Tak, zostawię je tutaj, żeby panie mogły je przeczytać. Prawdopodobnie odpowiedzą one na kilka pytań. Ale jeden list chciałabym od razu teraz odczytać.

Simone wstrzymała oddech, zanim zaczęła.

Obie stare kobiety wzięły się za ręce i słuchały skupione.

Berlin, 17 października 1917

Kochana Elli,

Kiedy będziesz trzymała w rękach ten list, czego pragnę całym sercem, wtedy wszystko będzie dobrze. To był najtrudniejszy rok w moim życiu, uwierz mi, proszę. Nie widziałam innego wyjścia…

Kiedy Simone przeczytała już list do końca, Constanze bez słowa wyjęła pożółkły papier z jej dłoni i zamyślona wpatrywała się w napisane słowa.

– To… to znaczy… – wyszeptała bardzo cicho Dorothea.

Constanze popatrzyła najpierw na Simone, a potem na Dorotheę. Nagle się uśmiechnęła.

– …że w moim wieku odzyskuję jeszcze siostrę! – Wzięła Dorotheę za rękę.

– Że też życie może nagle się tak odmienić? – Dorothea co i raz kręciła głową. – Szkoda, że nigdy cię nie poznałam, moja rodzona matko.

– Opowiem ci wszystko, co jeszcze pamiętam, przecież mamy jeszcze trochę czasu do twojego… twojego wyjazdu do Hamburga. – Constanze pogłaskała ją po ręce.

– Hamburg, no tak… – Dorothea westchnęła.

Przez chwilę obie milczały, aż naraz Costanze się wyprostowała.

– Zostań tu, Doro. Zamiast siedzieć sama w Hamburgu, równie dobrze możemy razem się tu starzeć. Co ty na to?

– Myślisz, że dałoby się?

Constanze się zaśmiała.

– A dlaczego nie? Łóżko już ci dostawili, a Francuzi są bardzo pragmatyczni. Jeśli ktoś płaci, wolno mu zostać. A twoje mieszkanie w domu seniora na pewno też nie jest za darmo.

– No nie. – Dorothea się roześmiała. – Prawdę mówiąc, te parę metrów kwadratowych kosztują mnie mały majątek. Ale ponieważ sprzedałam dom i większość rzeczy, w zasadzie jestem całkiem dobrą partią. I nikt nie będzie za mną tęsknił, moja córka mieszka w Ameryce.

– Ach…? – Constanze uniosła brwi.

– Tak, a więc jestem sama.

Simone chrząknęła i odwróciła się do Dorothei.

– Hm, jeśli o to chodzi, to muszę coś powiedzieć. – Czuła się nieswojo, ale przyszła pora, aby wyjawić również i tę tajemnicę.

Dorothea popatrzyła na Simone pytająco.

– A więc, jest tak… Jakiś czas temu Constanze zleciła Pascalowi, aby przeprowadził rodzaj dochodzenia, żeby ustalić, czy jej rodzice przeżyli wojnę. W ten sposób Pascal zdobył adres w Hamburgu, a potem przez panią dotarł do pani córki. – Simone zrobiła krótką przerwę. – A przez nią do jej córki. – Nieśmiało uniosła palec wskazujący.

– Nie?! – Dorothea otworzyła szeroko oczy. – Pani… ty jesteś…?

– Tak, jestem córką Ursuli Berger.

– Wiedziałam, że ona ma córkę, ale… – Oczy Dorothei napełniły się łzami.

Constanze się roześmiała.

– Co za dzień, ja odzyskałam siostrę, a ty wnuczkę… Powinniśmy to uczcić.

Popołudnie Simone spędziła na tarasie *château*. Powietrze było gorące, a w głowie czuła przyjemną pustkę. Opadło z niej wreszcie napięcie ostatnich tygodni, czuła się naprawdę zadowolona. Zaśmiała się. Nagle miała babkę, siostrę babki, a… Wieczorem przyjdzie po nią Pascal. Oni też musieli porozmawiać o kilku sprawach, z jednej strony o obu starych kobietach, z drugiej strony o… nich samych. Simone nagle przestała się bać, opuściła ją niepewność, jej uczucia już od dawna były jednoznaczne.

Kiedy na horyzoncie słońce zetknęło się z morzem, wzięła do ręki telefon i poszła nad klif. Czuła potrzebę porozmawiania z osobą, która również była elementem tej historii. Nie był to łatwy krok. Simone westchnęła. Stuknęła w ekran i wyszukała numer. Minęła chwila, zanim uzyskała połączenie.

– Berger – odezwał się głos.

– Mama?